

MAŁGORZATA SARFATTI

# D U X

Z 33 ILUSTRACJAMI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ  
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO — ZAKOPANE

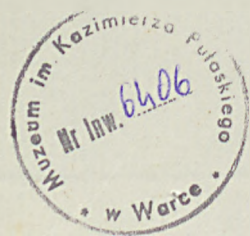
D U X

Michusio  
We  
Księżce  
X

Z KSIĘGOZBIORU  
IRENY I ANDRZEJA OLSZEWSKICH

100<sup>00</sup>  
EM

~~Now~~





*DUX*  
(Rzeźba Adolfa Wildta).

MAŁGORZATA SARFATTI

# D U X

Z 33 ILUSTRACJAMI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ  
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO — ZAKOPANE

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD  
Z PIERWSZEGO WYDANIA WŁOSKIEGO

SKŁAD GŁÓWNY:  
«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.» NEW YORK  
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓLKI  
1927

## PRZEDMOWA

*Przedewszystkiem wyznanie: niecierpię tych, którzy obierają mnie za przedmiot swoich pism lub wykładów. Mniejsza o to, jak mnie traktują — dobrze czy źle. Niecierpię ich jednako. A stopień tego wstrętu wzrasta, jeżeli pokazuje się mnie publicznie, jak w obecnym wypadku, bardzo szerokiej publiczności. Wstręt ten dochodzi wprost do punktu kulminacyjnego, gdy jestem zmuszony do napisania przedmowy. A więc, przedstawiając samego siebie, składam najbardziej dokładny dowód wytrzymałości ludzkiej, jaki zaofiarować mogę ku zbudowaniu moralnemu mych bliźnich.*

*Rozmyślałem niejednokrotnie nad groteskowym a jednocześnie wspaniałym losem działacza społecznego. Nigdy jednak nie doszedł do jakiegokolwiek konkluzji, gdyż chodzi tu o przeznaczenie. Działacz społeczny rodzi się takim; nosi on ten stygmat, który towarzyszy mu od urodzenia. Jest to pewnego rodzaju szczególna oznaka moralna. Działacze społeczni rodzą się tak, jak rodzą się ludzie inteligentni lub upośledzeni. Nigdy wprawa i doświadczenie nie zdołają przeistoczyć w działacza społecznego człowieka, który ma wrodzoną tendencję do «życia domowego». Działacz taki jest jak poeta: rodzi się z tem przekleństwem i nigdy od niego uwolnić się nie będzie w stanie. Jego tragedia zawiera nieskończoną gamę cierpień — od męczeństwa aż do autografu.*

*Wynurzenie moje jest kaprysem. Pogodziłem się bowiem już najzupełniej z moim losem, i zdarza się nawet, że jestem*

entuzjastą. Nie chodzi tu o zadowolenie, jakie daje rozgłos, albowiem okres próżności trwa od 20 do 25 roku życia; nie chodzi mi również o chwałę i sławę albo o pomnik, jaki wkońcu działaczowi społecznemu stawiają na placu jego rodzinnej wioski — nie!... Myśl i sprawdzian oczywisty, że już nie należę do samego siebie, że jestem czemś, co należy do wszystkich, że jestem kochany lub nienawidzony przez wszystkich, lecz że jestem elementem niezbędnym dla życia innych — dają mi pewnego rodzaju upojenie «nirwaniczne». Zresztą kiedy się jest czemś, co należy do wszystkich, w gruncie rzeczy nie należy się do nikogo. A jak już to było powiedziane, tłum może dać tę pełną goryczy rozkosz samotności, jaka daje całkowity wypoczynek w większym stopniu niż pustynia.

W książce tej jest całe moje życie. A przynajmniej ta część, z jaką można się zapoznać, gdyż każdy człowiek ma swe tajemnice i zaułki duchowe pełne cienia, w które wniknąć niepodobna. Życie to jest przedstawione, jako kolejne następstwo wypadków, jako rozwój idei. W gruncie rzeczy moje życie nie jest niczem wielkiem; niema w niem nic nadzwyczajnego, coby mogło uderzyć wyobraźnię, niema w niem wojen zwycięskich, nadzwyczajnych wydarzeń, lub tworzenia nowych systemów.

Jest to życie niewątpliwie bardzo ruchliwe, lecz mniej interesujące od życia, naprzykład wielkiego angielskiego podróżnika, Savage'a.

Książka ta podoba mi się, gdyż umiejscawia mię w czasie, w przestrzeni i w wydarzeniach bez żadnej przesady, mimo przyjaźni i wspólnoty pracy i idei. Być może, że przyszłość zmieni te proporcje, pomniejszy je lub powiększy, ale tem zajmie się mój biograf jutrzejszy.

## MUSSOLINI.

## I

### TRAGEDJA BEZ BOHATERA

*Wojny a kult bohaterów. Triumf materjalizmu a Nieznany Żołnierz. Kreml a Kapitol.*

Każda wielka wojna, poza troską niepewności i żalobą, dała ludziom przynajmniej jednego bohatera; jedynie kataklizm z lat 1914—1918 wydaje się pozbawiony bohaterских *dramatis personae*. Błyszczący pancierz feudalny Wilhelma II, wśród zużywającego znoju walk w rowach strzeleckich, rozmókł, ukazując tekturę, z której był zrobiony, a z przeciwnej strony, historyk-kronikarz przy wielkim sztabie głównym *Ententy* wykrzyknął: «Plutarch skłamał!...»

Przywódcy w tej wielkiej wojnie nietylko, że nie dorosli do wysokości wydarzeń, lecz przeciwnie przez te ostatnie byli opanowani, miast je opanować i nadawać im kierunku. Doktor Clémenceau i adwokat Lloyd George zajęli stanowiska bardziej kierownicze niż strategowie, i pewnie dlatego walka przeciągnęła się, zastygając w fazie utarczek w rowach, to znaczy w fazie oblegania dużej ilości drobnych fortec.

Na firmamencie bohaterstw epizodycznych lub anonimowych błyszczy jaśniejsza od innych postać Gabrijela d'Annunzio, poety i wojownika. Ale korony i tiary pozostawały, a nie ludzie wielcy i godni tiar i koron. A gdy miliony ludzi ginęły w obronie starego jak świat hasła honoru

i ziemi, idea Międzynarodówki w Europie Zachodniej nie znalazła ani jednego męczennika gotowego swą wiarę przypieczętować krwią. Zdawało się, że materjalizm, przeczący indywidualizmowi i woli, zatriumfował bezpodzielnie, lecz bunt ducha, nieprzewidziany a zdumiewający, ogarnął «wszystkich», aby z nich wyciosać «jednego», wybierając najbardziej pospolitą wśród ludzi postać Nieznanego Żołnierza, jako symbol wojny, podczas której ludzie, aby zmierzyć się ze śmiercią, zakopywali się żywi. W tym oto symbolu każdy rozpoznał samego siebie, a wszystkie matki straconych synów.

A jednak historia jest właśnie na tyle wierna najbardziej zasadniczym swym linjom, na ile nieprzewidziana w falowaniu konturów. Po rozjaśnieniu się atmosfery i po odnowieniu perspektywy dostrzegliśmy, że wojna ta nie była wydarzeniem ściśle wojskowym, lecz raczej wstrząśnieniem porządku społecznego niestałego i nieugruntowanego. I wówczas to zarysowali się na *proscenium* prawdziwi bohaterzy, w sensie rozumianym przez Carlyle'a, jako twórcy *novus ordo*, różni pomiędzy sobą tak, jak różne są przysadziste wyłącane kopuły Kremla od łuków i kolumn Kapitolu: Mikołaj Lenin i Benito Mussolini — reprezentanci dwu światów — elementu wschodniego i zachodniego w cywilizacji Europy.

Mikołaj Lenin, od kości twarzowych wystających, od oczu uspionych, lecz przenikliwych, nieco skośnych w kątach, aż do swej egzystencji nieruchliwej, oblekłej w mgłę tajemniczej choroby i zakończonej na wysokim katafalku, jest istotnym typem półboga azjatyckiego. Wychodził on ze swego hieratycznego zamknięcia jedynie po to, aby rozfanatyzowywać klęczące zdala tłumy tak, jak imperatorowie chińscy w swych olśniewających strojach.

Benito Mussolini — Rzymianin z ducha i z twarzy — jest zmartwychpowstaniem najczystszygo typu włoskiego, który powraca, wylaniając się z poza wieków.

## II

## KLUB WIEJSKI

*Rodzina Mussolinich, wodzów ludu. Rewolucjonista Romanji.  
Pani Rosa.*

Do dnia dzisiejszego istnieje w Bolonji ulica «Mussolinich», a istniały ongi ich wieża i plac. Dokumenty i ślady rodowego nazwiska, najpewniej pochodzącego od rzemieślnika fabrykantów lub sprzedawców wykwinnych lnianych płócien z Mossulu w Azji Mniejszej, znajdują się również w Wenecji. Ród ten wydał śmiałych i odważnych stronników i przywódców ludowych w wojowniczej Bolonji z XIII wieku, gdy każdy przywódca ludu był prawodawcą i rycerzem.

Nie wiadomo, czy to z tych właśnie Mussolinich pochodził Aleksander Mussolini, kowal zrazu, a później właściciel wyszynku w Varano di Costa, mieszczącego się w obszernym budynku na skłonie wzgórza w Dovia, należącego do gminy Predappio w okolicach Forli. Wiemy jedynie, że często bardzo w tych burzliwych czasach zamożne i dostojne rodziny traciły swe posiadłości i znaczenie, o ile zatriumfował obóz przeciwny, i wówczas mięszały się z ludem.

Aleksander Mussolini, jakkolwiek zwykły rzemieślnik, nie był człowiekiem nieokrzesanym. Za młodych lat zwoleńnik Bakunina i Andrzeja Costy, był wmięszany w cały szereg procesów politycznych, jakie upamiętniły pierwszy okres propagandy socjalistycznej wogóle we Włoszech, a zwłaszcza w Romanji, klasycznej dzielnicy wszelkich re-

belij. Jako córa prawowierna i jako kolonja, pradawna Romanjola zachowała w swych żyłach nieco tego fermentu rewolucyjnego, jaki cechował lud łacińskiej metropolji — Rzymu. To też Aleksander Mussolini odsiedział długie miesiące w więzieniu, zanim został wydany dekret darowujący mu resztę kary.

Ktokolwiek nie spędził choćby tylko jednego lata w Romanji, ten nie wie, do jakiego stopnia życie materialne na ziemi może być łatwe, szerokie, a nawet wesołe. Każda zagroda ma tam swego koguta wyśpiewującego swe hymny, z każdego chłopskiego wozu wynurzają się kosze pełne pachnących warzyw i owoców, a każda łódź rybacka, przyplływająca z oddali ledwo majaczącej na horyzoncie, jakby ptak olbrzymi na skrzydłach szeroko rozłożonych na błękitnem przestworzu Adrjatyku, niesie w swem wnętrzu niezliczoną ilość srebrzystych ryb i wielkich smakowitych skorupiaków. Nic też dziwnego, że tuziemiec — przywiązany do swej ziemi — nie chce słyszeć nawet o emigracji. Wojowniczy, hedonista z natury, pożąda on pracy możliwie we własnym domu, a jeśli jej nie znajduje, rozpoczyna spiski przeciw rządowi, aby go zmusić do wynalezienia mu tej pracy. Wskutek tego ręce robocze zużyte w całym szeregu przedsięwzięć, może nawet antiekonomicznych, wzbogaciły Włochy, zamiast wzbogacać daleką Amerykę, a praca taka doprowadziła do podziału własności i do wytworzenia nowej klasy drobnych właścicieli pracowitych i zamożnych. Słynne kooperatywy «czerwone» w Romanji wyrosły na tle tej twardej i nieustępliwej woli; burzliwe konflikty z wyrobnikami, zatargi z chłopami pracującymi przy produkcji ryżu, konflikty z powodu używania parowych młocarek — oto zjawiska, z tych samych przyczyn wynikłe. Dlatego też mieszkanie Romanji jest zwierzęciem zaciekle politycznem. — *Terra ferrace, uomini feroci* (ziemia żyzna, lecz lud okrutny) — powiedział ongi któryś z Kardynałów-Legatarjuszy papieskich.

Nie dostrzegłam nigdy wśród tamtejszych kobiet, aby

gospodyni, *l'arzdora* (władczyni) — jak tam powiadają — nie żywiła szacunku dla przekonań politycznych swych mężczyzn: mężów, braci, ojców lub synów; *e' parti e no più* powiadają zwięzle. Piękne i wolne Nausiki, jako dziewoje, stają się potem żonami ludzi poważnych i rządzą gospodarstwem z dumnym rozsądkiem, mądre jak Arete, królowa wyspy Feaków.

Kuźnia kowala z Dovia, burmistrza miasteczka i ofiary politycznych prześladowań, trzydzieści czy czterdzieści lat temu, była najodpowiedniejszym miejscem na siedzibę miejscowego klubu wiejskiego. Gospodarz niezwykle uprzejmy i serdeczny zwracał baczniejszą uwagę na ideje niż na pieniądze i zaofiarowywał litry wina, aby podsycać dyskusje, oraz pieczone kurczaki, aby je podtrzymywać.

W kątach domu krzątała się zaś drobna i delikatna postać niewieścia; nie protestowała ona, lecz dostrzec łatwo było, że cierpiała, słysząc tyle próżnych słów, i oburzała się, widząc wyzyskiwanie łatwowernej dobroci swego męża. Była to pani Rosa, nauczycielka wiejska, młoda jeszcze i ciesząca się uwielbieniem ludzi dobrodusznych i nieokrzesanych, którzy ją otaczali. Szkoła mieściła się w izbach nad kuźnią, a wark płomieni podsycanych ciężkim oddechem kowalskich sapiących miechów, wraz z odgłosem młotów wtorowały jej głosowi, gdy uczyła dzieci obojga płci tego, co im było najpotrzebniejsze, i pokazywała — uśmiechem i przykładem — tę wielką sztukę, której wytłumaczyć nie sposób, a która jest niezbędna w życiu: jak umieć być dobrymi ludźmi.

Istoty duchowo wyżej stojące od otoczenia są narażone na cały szereg różnych cierpień, gdyż są one w gruncie rzeczy wiązками rozprężonych nerwów, a to, co innym nie ciąży, i od czego wyswobadzają się łatwo, słuchając anegdot wesołych i śmiejąc się z byle czego — w sercu tych istot tworzy wielkie rany. Pozorny pancerz zewnętrznego stoicyzmu broni te istoty nie od ran, ale od współczucia obcych,



i nie zamieniłyby go one na szczęście istot pozbawionych duchowej wstydlivosti. Pani Rosa oddała z dumą swemu ukochanemu pierworodnemu Benito najlepszą część swej duchowej treści, a jednak stał się on powodem jej cierpienia, wskutek odziedziczenia tego systemu nerwowego, co zda się załamywać co chwila a mimo to jest silny. Kochała ona go, jak zawsze matki, za to cierpienie i za to podobieństwo.

Lud, mający intuicję i szacunek dla istot rzeczywiście niepoślednich, lubiący nadawać temu, co dobre i piękne, urok lat minionych, poczawszy od mitycznego okresu, zwanego wiekiem złotym, mawiał o niej: «Jest to niewiasta na wzór dawniejszych». Bohaterowie Homera uważali samych siebie za epigonów pokoleń bardziej wojowniczych i szlachetnych, a «niewiasta na wzór dawniejszych» w Romanji stanowi określenie syntetyczne najbardziej podniosłych cnót — jest może podświadomym wspomnieniem wielkich matron przeszłości.

## III

## NIESPOKOJNY PŁOMIEN

*Wśród rodzimych pól. Dziecko niedzieli. Posel do parlamentu przy kowalskim miechu. Akrobatyzmy przy kierownicy automobilu. Poza groby...*

W głębi klasy szkolnej albo na katedrze przy nauczycielce mały chłopczyzna doprowadzał panią Rosę do rozpacz. Wpełzał on na kolanach pod ławki, szczypał chłopców i straszyl dziewczynki. Tego, czego chciał, żądał twardo i niewruszenie, wpijając w twarz patrzącego nań dwoje oczu wielkich i dzikich, błyszczących wśród ściągłej twarzy pod wypukłym czołem i wzbudzających szacunek w starszych swych towarzyszach szkolnych. Szczególniej jedna z dziewczynek, najładniejsza siedmiolatka, pozostawała pod wpływem tego spojrzenia. On wyczekiwał na nią w polu i z nagłą wyskakiwał z poza płotu, aby ją przestraszyć, a jednocześnie wymagał od niej, aby nie ujawniała strachu krzykiem, i gniewał się, jeżeli krzyczała. Dziewczynka ta, o złocistym i bujnym warkocz, chodziła za nim ciągle przestraszona; pochlebiali jej może to specjalne zajęcia się nią syna nauczycielki.

«Pocałuj mnie, Marietta» — mówił a potem ciągnął ją za warkocz, bawiąc się w konie, aby za chwilę, zmęczony zabawą i jej obecnością, powiedzieć jej szorstko i gwałtownie: «Idź sobie!... Idź!...»

Powracała zasmucona do swych szkolnych zajęć.

Urodził się ten chłopczyzna dnia 29 lipca, 1883 roku, w niedzielę słoneczną, podczas skwarne lata, kiedy «dojrzewa zboże». Wszystkie dzwony dnia tego dzwoniły odświętnie i wesoło, a przysłowie ludowe — jak mówi Goethe — powiada, że dzieci, urodzone w niedzielę, mają los słoneczny.

Już jako dorosły człowiek, podczas przymusowej przerw w tym niepokoju, jakim jest jego życie, pozostając w więzieniu, pozwolił sobie na wglądnięcie w samego siebie i na opowiedzenie tych chwil swej wczesnej młodości, a raczej dzieciństwa, na kilku stronicach zniszczonego starego kajetu. Kajet ten w swoim czasie wypożyczył odeń Artur Rossato i ogłosił zeń kilka stron. Potem, z charakterystycznym dlań wielce zaniedbaniem, autor zgubił ten kajet.

Podczas gdy dzieci zazwyczaj poszukują wzruszeń i uganiają się za podnietami dramatycznymi z niemal chorobliwą wrażliwością, z tych opowieści o samym sobie widać wyraźnie, że stronił on od wczesnego dzieciństwa od wzruszeń, być może dlatego, że odczuwał je silniej i głębiej niż inni rówieśnicy. Wynika stąd również, że człowiek, którym chce on być, kryje poniekąd człowieka, jakim on jest, tworząc podwójną i nieraz sprzeczną naturę. Potężna pamięć mózgowa i jednoczesna delikatna a żywa pamięć serca ujawniają się w nim obok niespodziewanej ścisłości w przejawach kultury i uczucia; jeżeli nawet zniecka spytać go, powie dokładnie rok, miesiąc i dzień, w którym umarła Beatrice Dantego; rok, miesiąc i dzień, kiedy w Lozannie, po raz pierwszy w życiu, wkroczył w progi więzienia — 14 lipca 1902 — a jednocześnie zagryza wargi i tłumaczy się, oskarżając: «Wiecie, ja jestem nieukiem... wielkim nieukiem... nigdy nic nie pamiętam... przeszłość nie obchodzi mnie, nie istnieje dla mnie, istnieje jedynie przyszłość!»

Pomimo bogatego życia wewnętrznego którego najwyższym rezultatem jest intuicja, prawdą jest, że chce on żyć, dążąc ku przyszłości, narzucając milczenie melancholijnemu głosowi wspomnień, co osłabia ducha wojowniczego

zuchwalstwa, i mądryemu głosowi doświadczenia, co paraliżuje zwątpieniem czyn. Tylko więzienie fizyczne człowieka czynu może na chwilę osłabić więzienie moralne człowieka uczucia.

«Urodziłem się — pisze on — w niedzielę, o drugiej po południu, podczas święta patrona parafji *delle Camminate*, mieszczącej się w kościele o starej wieży, napoły walącej się, która dominuje nad przestrzenią, rozciągającą się od ostatniego z podapienińskich przedmurzy przez całą płaszczyznę Forli aż do przedmurzy Ravaldino. Słońce od ośmiu dni znajdowało się w konstelacji Lwa.

«Ojciec mój, Aleksander, nie chodził nigdy do szkoły; jako dziesięcioletni chłopiec został posłany do pobliskiej miejscowości Dovadola, aby tam nauczyć się kowalskiego rzemiosła. Z Dovadola przeniósł się on do Meldola, gdzie, pomiędzy 1875 a 1880 rokiem, zapoznał się z ideologią Międzynarodówki. Później, wyćwiczywszy się w rzemiosle, otworzył kuźnię w Dovia. Miejscowość ta, zwana do dziś dnia «Piscaza», nie cieszyła się zbyt dobrą famą, mieszkali w niej ludzie zwadliwi i skłonni do bijatyk. Ojciec mój znalazł tam jednak pracę i zaczął szerzyć ideje Międzynarodówki. Skupił liczną grupę, którą później zanknięto podczas jednej z ekspedycji policyjnych.

«Pomiędzy czwartym a piątym rokiem życia zacząłem studia nad elementarzem i wkrótce nauczyłem się czytać płynnie. Wspomnienie mego dziadka gubi się prawie całkowicie w pamięci, natomiast habkę moją kochałem.

«Moje współżycie z ludźmi rozpoczęło się w 6 roku. Od szóstego do dziewiątego roku chodziłem do szkoły, najpierw ucząc się w Dovia pod kierunkiem mej matki, później zaś u Silvia Marano, który był starszym nauczycielem w Predappio. Byłem chłopcem niespokojnym i skłonny do bitki. Wielokrotnie wracałem do domu z głową rozbitą. Umialem jednak się mścić.

«Byłem odważnym złodziejem polnym i ogrodowym.

Podczas wakacyj zdobywałem sobie małą łopatę i wraz z mym młodszym bratem Arnaldem spędzałem czas, pracując nad rzeczką. Pewnego razu ukradłem ptaki, zostawione na przynętę przez zawodowego łowcę w sieci; właściciel spostrzegł się natychmiast i zaczął mię gonić rozwścieczony; mimo to, nie porzucając mej zdobyczy, przebiegłem przez wzgórze, przebyłem wbród rzeczkę i uciekłem.

«Godną uwagi jest we mnie miłość do ptasząt, a przede wszystkim do sowy.

«Chadzałem do kościoła z babką i z matką, gorliwie wierzącą, ale nie pozostawał długo w świątyni, zwłaszcza podczas solennych ceremonij. Jaskrawe światło płonących świec, przenikliwy zapach kadzidła, barwne kolory szat kapłańskich, śpiewy wiernych i muzyka organów wzruszały mię głęboko».

Smukła i przemiała pani Rosa poskramiała do pewnego stopnia małego rebelizanta, posługując się z jednej strony tem naturalnem uczuciem przywiązania, jakie zazwyczaj chłopcy żywią w stosunku do rodzicielki, a z drugiej magiczną sztuką tych czarnych dziwnych znaczków na białym papierze, które przeradzają się w dźwięki i wyobrażenia, w ludzi i w rzeczy.

Również nauki ojca były zajmujące, a pierwsze odkrycia w zakresie sztuki rzemieślniczej zachwycaly malca równomiernie z tajemnicami ducha ujawnionemi przez czytanie. Ale gdy w kuźni spojrzenie dziecka wybiegało poza szerniałe osmalone ściany, twardego rzemieślnik bezlitosnym kułakiem przywoływał malca do porządku. Wiedział on bowiem z doświadczenia, że życie nie zna miłosierdzia, i że lepsze dziś jedno uderzenie ojcowskiej ręki niż potem liczne razy obcych dłoni. A malce łyskał jeno z podoba spojrzeniem, z obrazu nie z bólu. Nie wolno mu było zakrywać lub mrużyć oczu, gdy sypała wokół snopami złotych skier stał pod uderzeniem młotów. «Nie nauczysz się rzemiosła!»... — mawiał ojciec, a z jego bioder zsuwał się

pas podtrzymujący spodnie i rozwijał się, świszcząc w powietrzu przy wymierzaniu sprawiedliwości. Lwiątko z rykiem uciekało z domu, aby wrócić dopiero późno w nocy i chyłkiem przedostać się do łóżka.

Młody Benito był bardzo zdolny. Z natury klasyk i spirytualista, okazywał specjalne zamiłowanie do mechaniki, dającej poczucie panowania człowieka nad materją. Żelazo nie stawiało mu oporu, żaden mechanizm nie był obcym atawistycznie zręcznym palcom chłopca.

I w wiele lat potem, a parę lat temu, kiedy malce ten stał się już naczelnym redaktorem dziennika, posłem do parlamentu i przywódcą jednej z najważniejszych partyj politycznych, kierując swym potężnym automobilem, zawiózł on przyjaciół na wycieczkę poprzez lombardzką równinę. Po drodze zabawiał i potrosze zdumiewał ich, pokazując im najróżnorodniejsze sztuczki automobilowe; miał wyjątkowe doświadczenie osiągnięte w lotnictwie, i rzecz można, że kierowanie automobilem stanowiło dlań przymusową rezygnację, gdy spadł wraz z aparatem z wysokości czterdziestu metrów i rana, aczkolwiek lekka, uniemożliwiła mu na pewien czas pilotowanie. Wówczas rozwinęło się w nim zamiłowanie do sportu automobilowego. Dodać należy, że niektóre z manewrów dokonywanych z automobilem przypominały raczej ćwiczenia lotnicze. Otóż podczas tej wycieczki, po całym szeregu niebezpiecznych nawet eksperymentów, coś się popsło w automobile, i «wielkie dziecko» zmuszone było do pchania błyskotliwej zabawki — którą popsuł, chcąc skontrolować jej wnętrze — aż do najbliższych domostw.

Było to święto patrona tej miejscowości, i rozumie się, na ulicach miściny, przystrojonych festonami i zielenią, gromadziły się tłumy odświętnie ubrane, a dziewczęta, należące do bractwa «Dzieci Marji», w białych welonach przygotowywały się już do procesji. Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie miejscowego kowala, gdy wdziewał wła-

śnie odświętne ubranie, aby wziąć udział w procesji. W kuźni ogień był zgaszony. Trzeba było wówczas widzieć, jak to poseł do parlamentu, dziennikarz i polityk poruszał skwapliwie miechy, podsycając ogień, jak trzymał na kowadle żelazo, jak w porę podawał kowalowi cęgi i szczypce... Oczy mu błyszczały z zadowolenia, gdy zwoływał swych towarzyszy, czekających przed kuźnią, aby pochwalić się przed nimi znajomością kowalskiego rzemiosła. A kowal zdumiony chwalił go bez przerwy — «widać, że pan zna rzemiosło» — i ta pochwała była dlań cenniejszą, niż sukces odniesiony w parlamencie.

Jeszcze większy triumf oczekiwał go, gdy pomocnik kowala, szofer, a wreszcie i sam kowal nie zdołali zašrubować zlutowanej części maszyny. Wtedy on się wziął do dzieła, i wnet z jego palców zsunęła się bez trudu na swe miejsce kapryśna śrubka. Trzeba było widzieć, jak się wówczas puszył... — Mam ochotę powiedzieć kowalowi, jak się nazywam, aby mógł innym opowiedzieć, jaki zuch ze mnie!

Należy przyznać, że te jego ręce, które zakończają ramiona, wyrastające z szerokich barów, nieco przygarbionych, uszlachetniają cały wyraz ciała, tak samo, jak twarz o dolnej szczęce, prawie kwadratowej, uszlachetniają drgające nozdrza i cienka a ruchliwa linja warg.

Jeżeli w dzieciństwie kowalskie rzemiosło przyprawiało go o szereg cielesnych umartwień, przyswojenie sobie tego rzemiosła wynagrodziło mu stokroć uczucie bólu. I jak płomień przy podmuchu kowalskich miechów, tak i on przemienił się, a entuzjazm jego wzrósł i wyjaśniał, skierowany ku celom podnioslejszym i wyższym.

Kiedy w dniu 26 listopada 1910 roku stracił ojca, tak pisał o tej bolesnej stracie w swem piśmie: *Walka klas*, założonem i redagowanem we Forli:

«Piszę te wiersze drżącą ręką, nie dlatego, aby kreślić biografję lub pochwały, ale jedynie, aby złożyć ostatni

hołd mego synowskiego przywiązania na mogile ojca... Mój ojciec był radnym miejskim i burmistrzem Predappio; jeśli zostały wykonane prace o bezwzględnej użyteczności publicznej, to urzeczywistnienie ich zawdzięczać trzeba w znacznej mierze memu ojcu, który niestrudzenie zabiegał o to, gdzie należy. Władze polityczne śledziły go pilnie».

A po krótkim opisie życiowej kariery Aleksandra Musoliniego, Benito, zadowolając się jedynie pochwałą wypływającą z treściwego opisu samych faktów, pisał w konkluzji:

«Od partji ojciec mój doznał zadowoleń i przykrości wypływających z moralnego ubóstwa ludzi. Był on człowiekiem ze wszech miar dobrym a nawet czasem zbyt wielkim altruistą. Zrobił wiele dobrego dla towarzyszy i dla przeciwników. Z pewnego punktu widzenia miał on życie ciężkie. Śmierć jego jest przedczesna.

«Jeżeli chodzi o dobra materialne — nie zostawił nam nic, zostawił nam jednak bezcenny skarb dóbr moralnych — Ideję!...

«A teraz, po tym żalobnym przystanku, niechaj życie podejmie swe prawa i swój przebieg».

Tak pisze człowiek o człowieku, szermierz o szermierzu dobrej sprawy; to są pochwały, jakie syn silniejszy od swego ojca — czego każdy ojciec sobie życzy w stosunku do syna — może złożyć w hołdzie swemu rodzicielowi. I kończy słowami walczącego bez uczucia strachu, słowami Goethe'go:

«Naprzód, przeskakując groby — naprzód... ciągle naprzód!»

#### IV

#### PIERWSZE EKSPEDYCJE KARNE

*Pierwsza zdrada. Popioły zdrady. Przyszły dowódca i złodziej ogrodowy.*

Nazwano go Benito na cześć Benita Juareza, słynnego rewolucjonisty meksykańskiego, który dowodził powstaniem przeciw Maksymiljanowi Austrjackiemu.

Później, znacznie później urodziła się dziewczynka, Jadwiga, a przed nią chłopiec nazwany na cześć Arnalda z Brescii — Arnaldem. Ten ostatni, kiedy rewolucja październikowa w 1922 r. powołała Benita do Rzymu, został naczelnym redaktorem «*Popolo d'Italia*». Ale naówczas Arnaldo był spokojnym grubaskiem, krótkowidzem, bardzo przywiązanym do starszego brata, który go tyranizował ale i zabawiał, poszturchiwał i pieścił. Kochał on Benita ale i bał się tego despoty protektora. A Benito umiał protegować i bronić się od czasu kiedy, jako siedmioletni malec, był zmuszony do tego. Jakiś starszy odeń chłopiec zawołał go, gdy przewalał się radośnie po wymłócce, wsłuchując się w monotony śpiew młocarki:

— Pokaż mi swój nowy wózek!...

A kiedy malec w zaufaniu podał mu zabawkę, ten znienacka uderzył go wózek w twarz i uciekł, zabierając mu go. Benito wrócił do domu okrwawiony i rozplakany.

— Pobił cię... kto taki? Starszy od ciebie chłopak?

A ty pozwoliłeś mu uciec? — pytał go ojciec... — Naucz się bronić jak mężczyzna, a nie płakać jak baba... — dodał potem, wymierzając mu sążniste policzek.

Łzy oschły natychmiast, a chłopiec zaczął się zastanawiać nad słowami ojca. Cały ten dzień spędził, ostrząc kamień, i około kolacji odszukał swego napastnika, który już zapomniał był o wydarzeniu.

— Uderzyłeś mnie wózek... a teraz masz za to!...

I tłukł go w głowę śpiczastym kamieniem dopóty, dopóki nie wytrysnęła krew.

Teraz, kiedy o tem wspomina, słowom towarzyszy źle i dumne zacięcie warg, znać rozsmakowuje się w poczuciu obelgi i zemsty zarazem. W życiu duchowem tego człowieka stanowi to epizod wielce znaczący. Pierwsze rozczarowanie dzieciństwa jest w gruncie rzeczy wygnaniem z Raju czystości, gdzie każde dziecko jest aniołem, jest ono poznaniem Dobra i Zła.

Nie widziałam nigdy Mussoliniego przygnębionego po doznanej porażce. Trzęsie on głową, śmieje się tym dziwnym i serdecznym śmiechem, któremu całe ciało odpowiada i pobudza do drżenia pleców; jest pewniejszy siebie niż przedtem, nieugięty jak rycearz, niedbały, jak dziecko dostrzegające, że runął zamek mozolnie wznoszony z kart, i cieszące się, że może rozpocząć pracę na nowo. Człowiekowi temu, oswojonemu z życiem politycznym, szalony ból sprawia jedynie zdrada, i wówczas broni się przed tem uczuciem, wkładając maskę cynizmu.

Stroni on przed przywiązaniem i przyjaźnią, aby nie dać nikomu broni, którą ugodzić go można w jedyny punkt do zranienia odpowiedni. Kiedy przeżuwa «popioły zdrady» — jak sam powiada — wówczas błędnie, kruszy się duchowo, jest straszny. Mimo to, w sprzeczności ze swą naturą, przebacza wiele, nawet zdradę, tym, którzy choć raz przyjaźń i miłość mu okazali. Temu zaś, kto mimo błędów pozostał mu wiernym naprawdę, zdolny jest prze-

baczyć każdą winę (słowo *wierny* jest jednym z pięknych słów Wodza, słowu temu nadał on instynktownie istotny sens starożytny, niemal feudalny, i wymawie je ze szczególnym akcentem).

«Nie trzeba znosić przemocy, od nikogo i za żadną cenę. Kto ją znosi, jest lajdakiem». Policzek ojcowski utrwalił to poczucie w jego głowie znacznie silniej niż wszystkie przekonywania.

Faszyzm w gruncie rzeczy stał się zastosowaniem tej zasady na szeroką skalę, dokonaniem przez zdolnego ucznia. Nie chodzi tu o Świętą Ewangelię Chrystusa a tem mniej o utopję Tolstoja, natomiast chodzi o praktyczną podstawę dla społeczeństw minionych i dla tych, które przypuszczalnie nastąpią. Państwo jest zbiorowiskiem jednostek, i nie można wyczekiwać wszystkiego od rządu-ojca, lecz należy mieć siłę, o ile się chce, aby ono było silne.

Gwałt nie może być rozumiany jako metoda. «Gwałt może być jedynie aktem chirurgicznym, nigdy zaś prowokacyjnym; odpowiedzią — nie atakiem, epizodem nie systemem» — będzie on starał się ciągle powtarzać swym zwolnikom. A gdy weźmie w swe ręce ster rządu, po upadku poprzedniego gabinetu, natychmiast postara się o zapobieżenie wszelakiego rodzaju prowokacjom, aby nie wywoływać reakcji.

«W wypadkach zbiorowego fermentu bez wahania należy aresztować na lewo i na prawo — pisze on w swem rozporządzeniu do prefektów miast. — Lepiej zamknąć dwadzieścia ptaków w klatce, niżli jutro mieć choćby jednego zabitego. Zamknięci wyjdą na wolność po kilku dniach».

Ten sam kodeks rycerski, który nakazuje honorowe odparcie obelgi w stosunku do nieprzyjaciół, przewiduje jednocześnie solidarność i pomoc w stosunku do przyjaciół. Jest to poniekąd inna cecha, bardziej subtelna, tego samego wychowania w zasadach surowości bojowej i arystokratycznej. Dobra materialne, wygody życiowe a wreszcie instynkt

samozachowawczy nie mają znaczenia w obliczu najwyższej wartości moralnej, jaką jest honor.

Dzieciństwo ludzi nieprzeciętnych nie bywa szczęśliwe; obcą mu jest zwykła równowaga ludzi przeciętnych; wrodzona potrzeba przewagi stanowi tu udrękę, walczy z obowiązkiem uległości narzuconym przez wiek.

Niekiedy ten ustawiczny niepokój parł młodego chłopca i podszeptował mu uciążliwe prace lub dziwne jakieś zadania, jak na przykład wtedy, gdy biegł przez półtora kilometra bez nabrania tchu poto tylko, aby wyrwać łopatę z rąk starego Filipa i zacząć, bez słowa wyjaśnienia, kopać zawzięcie przez sześć godzin z rzędu. Stary chłop naturalnie nie przeciwiał się temu; usiadł i filozoficznie palił swą fajkę. A chłopiec, wyczerpany wreszcie uciążliwą pracą i uspokoiony fizycznym wysiłkiem, rzucił wkońcu narzędzie i odszedł bez słowa, tak jak przyszedł.

Ileż to policzków, ile uderzeń pięścią otrzymali pewnego razu jego brat, Arnaldo, i towarzysze złodziejskich wycieczek po cudzych sadach, kiedy zemknęli podczas jednej z takich wypraw przestraszeni pogroźkami i kamieniami, rzucanymi w ich stronę przez właściciela sadu. Jeden z tych malców, wdrapawszy się na drzewo, strącał towarzyszom zakazany owoc — jabłka — i zagnęła, przejęty lękiem, spadł z gałęzi i stłukł sobie boleśnie nogę. Mały Benito, nie dbając na przekleństwa chłopca i na dubeltówkę, którą ten miał w ręku, wziął na ramiona kulejącego towarzysza i zaniósł go co prędzej do domu. Był on już wówczas Wodzem, który umie karać, lecz umie jednocześnie brać na siebie odpowiedzialność za czyny dokonane.

## APOLOGJA ZYGZAKU

*Styl w człowieku a człowiek w dziecku. Jednolitość kompozycji a styl dynamiczny. «Z ulicy do władzy». Plotka a Historia. Szalas na Alpach.*

Widzę, że zbaczam, że przeskakuję i że nie podlegam klasycznym zasadom jedności czasu, miejsca i akcji. Dziki syn kowala z malutkiej wioski w Romanji nie miał naówczas jeszcze lat dziesięciu, a tymczasem ja opowiadam różne wydarzenia, jakie miały miejsce co najmniej w dwadzieścia lat potem. Ktoś jednak mówi, że dobry temat jest pewnego rodzaju wieszakiem, na którym można zawiesić najrozmaitsze rzeczy, a ktoś inny twierdzi, że troska o kolejność i o jednolitość całości sprawia bezgranicznie więcej kłopotów piszącemu, niż przyjemności temu, kto czyta. Dziecko takie, jak Mussolini, ma w sobie w zarodku pełnię przyszłego człowieka, a nić chronologiczna wydarzeń życiowych jest rzeczą bez wartości wobec takiej niezniszczalnej jednostki, jak tkanka nerwów. Jeżeli nawet pozornie zaszły w nim zmiany, w rzeczywistości jednak, ulegając pewnej ewolucji w zakresie doskonalenia się, nie zmienił się on. Ten tylko pendzel odtwarza rzeczywistość, który umie oddać możliwie najdokładniej kierunek i istotną tkankę przedmiotu traktowanego. A jeżeli tym przedmiotem jest Mussolini, który o sobie samym mówi «jestem człowiekiem, który idzie», niemożliwą jest rzeczą pisać o nim tak,

jak się pisze o jakimś starym, astmatycznym filozofie. Pośród niewydanymi książkami jego literatury potencjalnej najbardziej «niewydaną» jest jego autobiografia, której tytuł iedynie znamy: *Z ulicy do władzy*.

Prostolinijny w zakresie faktów a obfitujący w ideje syntetyczne, pozwala już jako wstęp do tej niewielkiej książki wyobrazić sobie i snuć fantazje na temat tego, co «byłoby», gdyby książka taka stała się rzeczą dokonaną.

Zresztą książka, napisana przez kobietę, bez skrupułów zatrzymuje się, aby obserwować pejzaże i widnokreśli ducha wzdłuż dróg ledwo wytkniętych przez pewnych ludzi w błyskawicznym momencie akcji. Książka napisana przez kobietę zajmuje się z ciekawością każdym szczegółem i nie gardzi ploteczką.

Zbyt wiele historyj czytałam, zbyt wiele kronik zajmowało mię, abym mogła pogardzać historyczną plotką. Jedynie fizjognomja naczelných wykonawców zdolna jest utrwalić w nas pamięć o wielkich wydarzeniach. Historia Rzymu jest historją ze wszech miar żywą — od miłosnego grzechu i legendarnej bójki pomiędzy założycielami wiecznego miasta, aż do walk pomiędzy Sullą a Marjuszem i aż do niszczyteli rzymskiej potęgi. Dżengis-Chan i Elżbieta, wielkie postacie historyczne, nie rozciekawiają nas do tego stopnia, jak naprzykład królowie Francji, gdy w pamiętnikach Villehardouina i Saint-Simona znajdujemy nawet jadłospis ich wieczerzy.

Istotna jednolitość ducha bohatera opowieści czy biografji, nie zbaczając z zasadniczej linii, pomimo najbardziej zajmujących przygód, stwarza w gruncie rzeczy harmonijną jednolitość otoczenia i atmosfery, w której dzieją się wypadki, i z której wynika cały szereg linii zasadniczych naszej epoki, rozjaśniając całość bezgranicznem umiłowaniem Włoch i nieugiętą wolą zrealizowania przeznaczeń kraju.

Pewnego razu, gdy skromny automobil w okresie jego debiutu automobilistycznego odmówił mu posłuszeństwa

w chwili wspinania się na dość strome wzgórze, Mussolini, naówczas poseł, z grupą przyjaciół jął piechotą zdążać ku imponującemu zwałowi majestatycznych Alp poprzez rozsypy skalne i trawy, aż do pasa łąk zieleniejących u stóp śniegów.

«Chcę się dostać tam» — powiedział, siadając na ziemi, u stóp drzewa i wskazując ręką na ledwo widniejący szalasy — schronisko pasterzy i stad — na wysokości trzech tysięcy metrów — najwyższy punkt zamieszkały — «aby wypocząć».

«Nie zdążymy się tam dostać dzisiaj... Nic to... Wróćę umyślnie... Pragnąłbym tam się dostać i przeżyć na tym szczycie... choćby godzinę...»

W tym migawkowym skrócie wahania poprzez błyskawiczne zbadanie swego sumienia, dokonał on przeskoku z «na zawsze» do «lat dziesięciu», do «miesiąca» do «dnia» a wreszcie — przez skrupuł prawdomówności — do «jednej godziny».

Opowiem więc wam życie tego poprzednika czasu i ludzi śpieszącego się — poprzez załamania, pauzy i zaćmienia — od «lat dziesięciu» do «jednej godziny».

## VI

## WPLYWY OTOCZENIA I TYPY

*Narcyza i Janina. Instynkt krwi. Tutankhamen. Pałac Chigi i biurokracja.*

Znaleźć można wśród ludu jedynie pewne typy w pełni ich oryginalności; w klasach wyższych oryginalność jest zazwyczaj oszlifowana przez wychowanie i obyczaje, a nie należy szukać typów oryginalnych wśród drobnego mieszczaństwa, która ma za boga to «co ludzie powiedzą», a za dogmat — przywycczajenie.

Drobni posiadacze, rzemieślnicy i najemnicy, którym nie grozi deprimująca nędza, lecz przesładuje ich ciągła potrzeba zaostrzająca pomysłowość i hartująca charakter, zachowują łatwiej różnorodność i wyrazistość typu, zwłaszcza w głębi dzielnic, we wsiach rozległych, gdzie łokcie nie trą się bez przerwy we wzajemnem przepychaniu się.

Charakterystycznym wielce typem był sam starszy pan Mussolini, gospodarz i rzemieślnik, zajęty polityką i troskami ideowymi. Inne typy, może nawet bardziej osobliwe, otaczały to zajmujące dziecko.

Naprzykład Fortunat, drobny posiadacz, garbus zakonchany w pięknej Teresie, co przez zemstę, spowodowaną drwinami młodej i ponętnej gosposi, stał się powodem podwójnej tragedji. Garbus ten sprowadził męża pięknej Teresy, gdy ta ostatnia w ciemnym kurymarzu pod schodami gruchała w miłosnych objęciach wioskowego skrzyпка a jed-



nocześnie czeladnika kuźni i przyjaciela Mussoliniego ojca. Od dziewięciu lat gorzała im w żyłach ta namiętna miłość, i od lat dziewięciu ponawiały się miłosne spotkania z taką ostrożnością, że nikt nie byłby się spostrzegł, gdyby nie czuwała niespokojna i żądna zemsty zazdrość garbusa. Mąż i kochanek w identyczny sposób pozbawili się życia; pierwszy w Wielką Niedzielę został znaleziony na podłodze swej pustej i biednej kuchni zaryglowanej sumiennie, owinięty od stóp do głów w czarny płaszcz; a drugi dwa dni później, jak tylko dowiedział się o tej śmierci, skończył śmiercią samobójcy na marmurowej płycie cmentarza w Medjolanie.

W ciągu nocy dziecko, o którym mowa, budziło się często z powodu krzyków sąsiadki, Narcyzy, bitej w nieludzki sposób przez swego męża, pijaka, który pałał żądzą ku jej córce z pierwszego małżeństwa. Pewnego dnia odurzony alkoholem pijak bez namysłu przeskoczył poręcz balkonu i rzucił się z drugiego piętra na bruk, zabijając się na miejscu. Narcyza, krzycząc przeraźliwie, z małym dzieckiem u piersi co tchu biegła po schodach, a gdy dopadła trupa, jeszcze ciepłego, kopiąc go nogą i pochylając się nad nim, dała upust zadawnionej nienawiści.

«Nareszcie nie żyjesz... nie żyjesz, nareszcie będę mogła napluć ci w twarz!»

Namiętności i tragedje, w których tkwią głęboko prymitywne instynkty bestjalskie, nie mogły naturalnie wzbudzić w uważnem i myślącym dziecku zbyt pochlebnego mniemania o bliźnich. Lecz dla formującego się charakteru ludzi nie są tak niebezpieczne przykłady namiętności, choćby nieokielznanej i surowej, uwydatniającej zwierzęce wartości życia, jak przedwczesne wpływy sceptycyzmu i niedołęstwa, jak obojętność, która wszystko sprowadza do jednej miary, pozbawia ukochania wszystkiego i zatrzuwa zdradziecko pełne mocy soki życiodajne.

W przeciwstawieniu do tych przykładów gwałtu, w pełnej jaskrawości barw, w pośrodku tego środowiska znajdo-

wała się ciekawa i skomplikowana postać — pełna niedopowiedzeń i zagadkowa postać starej Joanny.

Była ona niegdyś piękna, wzbudzała ongi romantyczne miłości a — jak mówiono — trzy kolejne małżeństwa legalne nie wyczerpały listy jej zdobyczy na polu miłosnem. Po tragicznej śmierci pierwszego męża, który powiesił się na gałęzi morwy; po zagadkowej i nagłej śmierci drugiego męża, pomiędzy nią a trzecim mężem trwała ciągła, starannie ukrywana walka, głucha i zawzięta.

Nie kłócili się pomiędzy sobą, chyba tylko przypadkowo; być może, że mąż obawiał się jej; to pewne, że nie chciał z nią jadać przy jednym stole. «Najlepiej jest jeść we troje — mawiał on — ja, mój pies i kij, naturalnie dla odpędzenia psa w razie potrzeby». Ale gdy atak dolegliwego kaszlu wstrząsał piersią Joanny, albo też atak reumatyczny przesładował starca, naprzemian to on, to ona zacierali ręce z zadowolenia. «Idzie już Fra del, aby cię zabrać!» (imię grabarza gminnego) — mawiali sobie wzajem — «Idź tam przede mną», albo coś podobnego w aluzji do cmentarza, położonego na wzgórkach.

Dzieciak często przestawał z Joanną; olśniewała go ta kobieta dziwna i rozkazująca, co wzbudzała uczucie niezrozumiałego strachu w innych; a i ona lubiła go może, przeczuwając, iż zacieżył nad nim szczęśny los.

I dziś jeszcze mówi on o dziwnych tajemnicach, o jakich dowiedział się od starej Joanny — czarownicy. Tajemnice te — kto wie, może są to fragmenty jakichś bardzo starych cywilizacyj zaginionych, przetrwałe podświadomie w sumieniu prostego ludu? — Opowiadają one o złowieszczym wpływie księżyca zależnym od jego faz i przemian; dlaczego nie należy narażać się, śpiąc, na wpływ promieni księżycowych; tłumaczą alegorje snów i przepowiednie noworocznego poranka, uczą przygotowywać magiczne podobizny klejone; tłumaczą dlaczego woły nie dają się prowadzić kobietom, dlaczego i dlaczego... Albo też opo-

wiadają o tem, jak zając zużył swe przednie nogi, biegnąc bez znużenia ku świeżutkiej trawce a potem, nie mogąc się oderwać od tego przysmaku — ciągnął, ciągnął, wydłużając swe tylne łapki...

Malownicze i mityczne, a czasem wprost dziecinne, wszystkie te pytania uczyły go odczuwania oddechu budzących lęk sił nieświadomych, co jak fala uderzają o brzegi duszy i zawierają w sobie przedziwne siły boskie i ludzkie.

»Krew mi to mówi, i muszę słuchać głosu mej krwi» — zwykł mawiać ten świątły bojownik — «to trudno... jestem, jak zwierzęta: odczuwam czas idący z dali. I jeżeli słucham mego instynktu, nie mylę się nigdy».

Później mistrz innego rodzaju, Vilfred Pareto z katedry uniwersytetu w Lozannie, potwierdził mu tę «wartość imponderabiliów» nawet w tych wypadkach, kiedy chodzi o dociekania naukowe oparte o człowieka, a jednak często zbliżające się z jednej strony do zwierzęcia a z drugiej do Boga.

I rzeczywiście posługuje się on danymi nieuchwytnymi, aby przewidzieć wypadki; może dlatego właśnie rzadko się myli. Logika sama w sobie nie wystarcza, fantazja wprowadza często z drogi, należy więc mieć wyobraźnię twórczą, właściwą artystom. Człowiek, przygotowujący czyn, według najbardziej ścisłych rozumowań, ale w momencie kulminacyjnym zamykający oczy i dający się opanować instynktowi, jaki wypływa z dalekich jakichś głębin ducha, jest nie tylko taktykiem lecz ujawnia zdolności strategiczne, jest mężem stanu szczególnie czujnym i szczególnie intuicyjnym.

Pewnej nocy, w zaciszu swego mieszkania położonego wysoko, gdzie odgłosy Rzymu docierają, jak zmacona fala morza, Prezydent odczytywał, według zwyczaju, tuziny pism różnych krajów. *Times* i inne dzienniki angielskie i amerykańskie zawierały wówczas cały szereg fotografii i wiadomości o królu Tutankhamenie i o daremnej walce lorda Carnavarona z egzotycznymi przekleństwami Egipcjan.

Nagle podbiegł do telefonu, zaczął dzwonić niecierpliwie i wydawać szereg rozkazów suchych i zwięzłych. Świeżo dobytą z czeluści tysiącletniego grobowca mumja, podarowana Prezydentowi kilka tygodni przedtem, stała w rogu salonu Zwycięstwa, w Pałacu Chigi, obok jego monumentalnego biurka, spowita jeszcze w niezliczone opaski jedwabiste i zamknięta w malowanych pudłach.

Zatelefonował o pierwszej w nocy, potem o drugiej, a wreszcie co dziesięć minut ponawiał pytania, czy rozkazy jego zostały dokładnie wykonane.

Łatwo zrozumieć zamieszanie, jakie nastąpiło w spokojnym świecie biurokratycznym woźnych i odźwiernych ministerstw wiecznego Rzymu, tego niewzruszonego Rzymu, w którym czas ma wartość czysto wschodnią i historyczną... Kto o nim myśli?... Lecz cień Benita, z powodu historii o nim krążących w tych pierwszych miesiącach 1923 roku i różnych legend, zaciążył nad tym światem, budząc strach.

Przecież to on właśnie wprowadził rejestr w przedpokojach biur, ten rejestr z podpisami obecnych urzędników, który o godzinie 8 minut 30 znika ze swego miejsca i daje możliwość stwierdzenia tak zwanych «durniów», poświęcających się gorliwie popychaniu biurokratycznej maszyny, i tych «spryciarzy», którzy ją wyzyskują. A pewnego ranka — jak mówiono — po ceremonji podpisu świadczącego o obecności, około dziesiątej komandor X., schodząc po schodach ministerstwa i promieniejąc z zadowolenia i ze swego krągłego brzuszka, natknął się na młodego człowieka, wchodzącego właśnie.

— «Co pan robi?... Wychodzi pan z biura natychmiast po przyjściu?...»

— «A co panu do tego... Proszę myśleć o swoich sprawach!...»

— «Właśnie mnie to obchodzi... Jestem Mussolini. Powracaj pan do mego gabinetu, aby się wytłumaczyć... I wstydz się pan!...»

To też w ministerstwach co prędej zdecydowano, że należy słuchać rozkazów. I o godzinie trzeciej, tej nocy świętej duchom faraonów, pośpiesznie zarekwirowany w składach Ministerstwa Wojny furgon zatrzymał się przed wejściem do jednego z etnograficznych muzeów rzymskich. I jak w pospolitym romansie brukowym zajęczały dzwonki, rozbrzmiał odgłos pośpiesznych kroków woźnych, pobudzili się zagnała urzędnicy i dyrektorowie.

«Mamy rozkaz natychmiastowego umieszczenia tutaj tej mumji...»

Egipcjanie mieli zwyczaj umieszczania czaszki ludzkiej na widocznym miejscu podczas uczt, jako przestrogi dla radości niepomiernej i jako amuletu przeciw daremnemu smutkowi a jednocześnie przeciw zwierzęcym orgjom, równie podobnym śmierci. Lecz kto nie jest zbyt miłośnikiem wesela, ani też ascetą, kto nie jest sceptykiem ani trapistą, kto pracuje w przestrzeni dla przyszłości, ten nie może być narażonym na nieuchwytnie, złe wpływy z zaświata, nie powinien być niepokoiony przez ponury symbol znikomości życia i marności ludzkich trudów.

## VII

## ZNANI I NIEZNANI PRZYJACIELE

*Jean Valjean i Cosetta. W kolegjum. Drzewa i rzeka. Pływanie i jazda galopem. Apoteoza. «Moje pory roku». Biedne dzieciństwo.*

Powiew ducha przybiega z dali i rozsiewa pyłek zapładniający na powierzchni wód i Bożej ziemi. Zniszczony i zaplamiony egzemplarz «Nędzników», w taniem wydaniu włoskiem, drukowanym na dwóch kolumnach, wprowadził osoby Jana Valjean, Monsignora Biskupa i Cosetty do skromnego domostwa w Dovia, umieszczając je wśród swojskich postaci tego dzieciństwa.

Z oczyma otwartymi szeroko z podziwu, jakże przysłuchiwał się ten dzieciak przygodom odczytywanym na głos w oborze, gdzie według wiejskiego zwyczaju zbierają się co wieczora wieśniacy, podczas gdy woły, przeżuwiają moczolnie i co chwila poruszają się, brzęcząc łańcuchami... a mała staroświecka lampka, napełniona oliwą, chwiejnym płomykiem tworzy i wyolbrzymia cienie na ścianach i na szczerbionych belkach pułapu. W tem ciepłe obór starsze kobiety przędą konopie, a młodsze szykują wyprawę, podczas gdy mężczyźni palą fajki i piją lekkie wino, robione na użytek domowy z pozostałości wyciśniętych już winnych gron; młodszy wśród mężczyzn ośmielają się czasem na przekomarzanie z dziewczętami. Jest to tradycyjny wiejski sposób

miłosnych umizgów, podstawą których jest poszturchiwanie się; im silniej kto szturcha, tem bardziej kocha wybraną.

A te powroty do domu o północy, w samotności pełni księżycowej, rozsiewającej srebrzyste promienie po zwalach śniegu albo też w ciemności zupełnej, ledwo, ledwo rozproszonej przez słaby, lękliwy poblysk światła ręcznych latarni... Bardziej zasiedziali prowadzili dyskusje w dalszym ciągu, namiętne słowa komentując nieszczęścia katorżnika i miłość Marjusza, gdyż czas im na to pozwalał, albowiem noce zimowe są długie, a praca w polu krótka. Snuły się widziadła poety wraz z cierpieniem i nadzieją, a otaczała je retoryka, prosta choć napuszona w dobrej wierze, tych wyznawców przewodnich prądów wieku; z tego to powodu słowa, choć emfatyczne, osiągały serc, a serce dziecka stało otworem, przenikały weń te głosy ludzkości i poezji.

Matka nie była zadowolona. Czula ona, że to dziecko potrzebowało innych wpływów, pożywienia duchowego innego i silniejszego, a jednocześnie hamulca odpowiedniejszego, stałego i mniej przykrego, niżli ten, jaki wieś mu mogła zaofiarować, tak jak koń rasowy wymaga doświadczeńszych jeźdźców. I nalegała dopóty, dopóki nie zdołała przezwyciężyć wstrętu ojca-rewolucjonisty do szkół księży, stanowiących jedyne możliwe ośrodki wychowawcze w małych centrach prowincjonalnych. Benito został wreszcie oddany do kolegjum księży salezjanów w Faenza.

Wspomnienia, kreślone w więzieniu, w kilkanaście lat potem opowiadają nam o tem w ten sposób:

«Mój ojciec, z początku wręcz przeciwny, zgodził się wreszcie. W ciągu tygodni, jakie poprzedziły mój wyjazd, lobuzowałem się bardziej, niż przedtem.

«Czułem w sobie jakiś dziwny niepokój, przeczuwałem mgliście, że kolegjum i więzienie są prawie synonimami, i dlatego właśnie chciałem użyć swobody na przestrzni dróg i pól, wzdłuż rowów, pośród winnic peł-

nych dojrzałych winogron: były to ostatnie dni mej wolności.

«W połowie października wszystko już było gotowe: ubranie, bielizna i pieniądze.

«Nie przypominam sobie, czy przykro mi było pozostawić rodzeństwo; siostra Jadwiga miała naówczas lat trzy, a brat Arnaldo siedm. Natomiast boleśnie odczuwałem przymus rozstania się z czyżykiem, którego trzymałem w klatce nad oknem.

«W przeddzień odjazdu pokłóciłem się z jednym z mych towarzyszy zabaw i, chcąc uderzyć go kulakiem, uderzyłem w mur, raniąc sobie kłykcie palców. Wyjechałem z ręką obwiązaną. W chwili odjazdu rozplakałem się. Na wózku, zaprzężonym w osła, zasiadł ojciec, a obok niego ja, walizki znalazły miejsce pod siedzeniem. Ledwośmy przejechali około dwustu metrów, osioł potknął się i upadł.

— Zły znak — mruknął ojciec, lecz podniósł osła, i pojechaliśmy dalej. Podczas drogi milczałem. Patrzyłem na pola napoły obdarte z przeslicznej zieleni, gonilem wrokiem lot jaskółek i bieg wód rzeki. Przejechaliśmy przez Forli. Miasto wywarło na mnie wielkie wrażenie, jakkolwiek byłem już w niem, lecz nie zachowałem żadnych wspomnień z tej wizyty. Wiedziałem jedynie, że się zgubił, i że znaleziono mnie po kilku godzinach dręczących poszukiwań siedzącego spokojnie przy warsztacie jakiegoś szewca, który dał mi — czteroletniemu dziecku za ledwo — w hojnym podarunku pół zapalonego tokańskiego cygara.

«Najpotężniejsze jednak wrażenie wywarł na mnie wjazd do miasta Faenza, kiedym zobaczył przerzucony przez rzekę Lamone most żelazny, łączący miasto z przedmieściem. O ile mi się zdaje, około drugiej po południu zapukaliśmy do bramy kolegjum ojców salezjanów. Otworzono nam. Zostałem przedstawiony ojcu cenzorowi, który przyjrzał się mnie uważnie i powiedział:

— Robi on wrażenie bardzo żywego chłopięcia...

«Potem ojciec uściskał mię i pocałował: był wzruszony. Kiedym posłyszał za plecyma zamykające się ciężkie wrota wejściowe, wybuchnąłem płaczem».

Najboleśniej odczuł mus pozostawienia drzew i rzeczulki rodzinnej, specjalnie drogich jego matemu sercu. Pewnego dnia, w rzadkiej chwili wynurzeń, Mussolini zwierzył się jednemu ze swych przyjaciół, że widzi zawsze w najpoważniejszych momentach swego życia, radosnych czy smutnych, jak tylko przymyka powieki, jakby w ekstatycznej wizji: «drzewa, tyle drzew i rzeczulkę...»

Piękna była ta rzeka, kiedy w letnie południe przepływał ją z towarzyszami, przebijając wartki prąd silnemi ramionami i pierśią, a piękniejsza jeszcze, gdy o poranku dosiadał ojcowego konia, aby zaprowadzić go na poisko; pędził wówczas galopem przez łąki i pola, tchnące świeżością rosy porannej, podniecając rumaka do biegu uderzeniem stwardniałych bosych pięt, grzejąc nagi grzbiet w słońcu, bez koszuli, szczęśliwy i dumniejszy, niż król.

Gdy 21 kwietnia 1923 roku po raz pierwszy święcono w Rzymie *dies sacri natali* łacińskiego cesarstwa, miast międzynarodowego 1 maja, olbrzymi pochód przeciągnął przed ruinami i przed łukami cesarów, przed łaźniami Marka Aureliusza, Karakalli, przed grobowcem Nieznanego Żołnierza i przed Pałacem św. Marka, co ongi należał do papieskiego Rzymu i do zwycięskiej na morzach Wenecji, a po upływie wieku odebrany został niedawno Austrii.

Przed młodym Naczelnikiem, ubranym w czarną koszulę, ozdobioną kolorami Wiecznego Miasta na wstędze, przewieszanej przez ramię, przeciągnęła pochodem młodzież narodu, podczas gdy on pochylał się co chwila, aby pogłaskać swego przeszlicznego rumaka.

Kto wie, czy przypominał on sobie wtedy tego dzikiego dzieciaka, galopującego na zjeżonym spotniałym koniu, i czy wówczas, poprzez czarniawą falę ludzi, pogładających nań spojrzeniem fanatycznego uwielbienia, widział z cichem west-

chnieniem, srebrzysty, wartki prąd rzeczulki pomiędzy drzewami?... Duszy naszej, młodszej od ciała, przynależy miara wieczności, a chwile najbardziej odległe wydają się jej nieraz bliskie, podczas, gdy najbardziej zadziwiające widowiska widzi ona jakgdyby we mgle snu. Trzysta tysięcy ludzi oklaskujących, miast czworga dzieciaków — zmienia się teatr, rozszerza się scena, lecz dusza bohatera chwili pozostaje bez zmiany, nacechowana stygmatem powołania tego, który urodził się, aby panować... Gest wyciągniętego ramienia jawił się twardy i spokojny w rzymskim pozdrowieniu dla kohort milicji i orłów o skrzydłach rozpiętych na chorągiewkach. Zachwycali się wszyscy obecni marsową postacią Prezydenta; a pewno któraś z głów myślących, wśród tysięcy rozkolysanych w powiewie zbiorowego entuzjazmu, gubiła się w niejasnych, prawie podświadomych dociekaniach: kim jest ten człowiek? Posel do parlamentu i pierwszy minister państwa konstytucyjnego i może zanadto parlamentarnego — czy też dowódca wojsk?... Jego Ekscelencja Rząd — czy też Dyktator?... Przywódca partji, naczelnik urzędników, czy też dowódca band zbrojnych?... «Kapitan ludu», jak dalecy przodkowie, czy też pradawny typowy kondotjer italski?... Co sądzi, co czuje, co rozumie lud, gdy, bez hasła sztucznego, nazywa go nazwą rzadką w życiu, wykwitłą na wargach rzesz pod wpływem serca, nazwą Dux — Wódz?

«Bardziej od ludzi wywierały na mnie zawsze wpływ rzeczy, pory roku i widoki» — spowiada się Wódz głosem powolnym, basowym i zadumanym, kiedy pogrąża się przez chwilę w autoanalizie z tęsknotą instynktowną człowieka dojrzałego za tem dzieckiem, którem był niegdyś.

«Moje wzgórza bezdrzewne i moje pory roku!... Całe noce spędzane w szopach na sianie i pod stogami, podczas młocki, kiedy przychodzili chłopci, aby poruszać olbrzymi walec, i pocili się i pili, pili, aby pocić się znowu i pracować... Wreszcie ojciec mój udał się do Medjolanu,

do niejakiego inżyniera Riva, i sprowadził pierwszą młocarkę parową... Medjolan, inżynier Riva, maszyna! A ja tymczasem nie widziałem na oczy lokomotywy!... Nazwy te i rzeczy były dla mnie jakąś bajką, a miejscowości przybierały charakter mityczny. A potem wyrobnicy, obawiający się stracenia zarobku i nie pozwalający na używanie maszyny, i te wszystkie walki, jakie podjął mój ojciec, aby móc ją wynająć...!»

Potem śnieg i długie wieczory zimowe, i burzliwe budzenie się wiosen, niepokoje i straszne wezbrania rzeki w jesieni, kiedy rzucał się na brzeg, aby wpijać wzrok w nadbiegające, rozhlukane fale; te księżycowe wieczory letnie, kiedy miesiąc wschodził za wieżą kościoła *delle Camminate*, i te wszystkie zjawiska natury, które znajdowały oddźwięk w dziecku prostym i rozumiejącym mowę ziemi, jakgdyby stanowiło istotną część jej samej.

«A wśród stworzeń ludzkich kto mię uczył tklivości? Nikt. Biedny, biedny mój dom! Biedne i ciężkie życie moje! A matka moja dręczona tysiącem strapień!»

Dopiero po dwudziestu latach życia zakosztował po raz pierwszy kawy. Mleko w jego rodzinnych stronach było zbytciem prawie nieznanym. Mięso jadano tylko w uroczyste święta i nie każdej niedzieli, lecz podczas okazji specjalnych, gdy naprzykład przybywała do miejscowości muzyka, i poszczególne rodziny zobowiązywały się do goszczenia jednego lub dwóch muzykantów, naprzykład w dniu św. Dymitra, w drugą niedzielę sierpnia, kiedy trzeba było zaofiarować przybyszom potrawę mięsną, oprócz zupy i wina.

Dlatego to tak się gniewała matka, kiedy zbliżały się wybory, i powtarzały wiece, a ojciec, zajęty bez przerwy zapraszaniem, mówieniem i słuchaniem, nie zważał na biedę i na wydatki i sprowadzał do domu niespodziewanie pięciu lub sześciu gości.

«Z wyjątkiem tych dni — opowiada obecny współbiednik głów koronowanych — potrawy były mało wyszukane:

zupa, warzywa gotowane i chleb. Prawie co wieczora na wieczerzę jadło się salatę polną, zbieraną przez babkę i starannie gotowaną a potem kraszoną paroma kroplami oliwy. «Wyborne to — dodaje Mussolini prawie z żalem — ale niestety często bardzo głód nie bywał zaspokojony. — Nie wiem, czy zauważyliście, że nie posiadam mej podobizny z okresu dzieciństwa?... Nie istnieje nawet fotografia całej naszej grupy. Pierwsza moja fotografia pochodzi z dwudziestego roku życia».

Podczas jarmaków we Forli, z jakim pożądaniem patrzył on na budy wędrownych fotografów lub wystawy zakładów fotograficznych, w których znajdowały się podobizny dzieci takich, jak on, uwiecznionych na kawałkach lśniącego kartonu! Na taki zbytek nie można było sobie pozwolić.

«Biedna matka moja, ileż to strapień rodzinnych miała ona! Wieleż to razy nie mogła zasnąć, i słyszałem, jak schodziła z łóżka i spacerowała po ceglanej podłodze tam i nazad, szukając ukojenia dla nerwów rozstrojonych; nieraz dziesięć albo dwadzieścia razy wstawiała z łóżka podczas jednej nocy. A potem rankiem budziła się zmęczona. A trzeba było sprawować obowiązki szkolne!» W sowach znalazło to dziecko najlepsze przyjaciółki. Każdego roku drżał z niecierpliwości, aby pójść z długą trzcina pod arkady mostu, gdzie się one gnieździły, i na lep jemioli chwycić małe sowieta. «Miałem w mem życiu — powiada on — te mizerne radości, alem nie doznawał nigdy prawdziwej pogody ducha i słodkiej, tklivości jaka innym dzieciom przypada w udziale. Możecie ździwić się, że dlatego w szkole, w kolegium a nawet do pewnego stopnia i teraz w życiu pozostałem zamkniętym w sobie, często najeżonym i prawie odludkiem?»...

U salezjanów istniały trzy stoły; średni, specjalny dla szlachty i zwykły, ogólny. Naturalnie Benito należał do tego ostatniego, najbiedniejszego. We wzruszającej prośbie, jaka

pozostała w aktach prefektury we Forli, matka, jako nauczycielka gminna, opisując swą biedę i trudne warunki życia, prosiła o wyasygnowanie jej małego zasiłku (nie przyznanego jej zresztą), aby móc utrzymywać na studjach syna, który «według zdania osób kompetentnych — jak pisze matka ze słodyczą i godnością — zdaje się wiele obiecywać po sobie».

Cierpiał on z powodu tego wszystkiego; na przedwczesne upokorzenia jego wrodzona duma odpowiadała poczuciem potrzeby odwetu i wybuchami niespodziewanymi. Trzymali go w kolegium dlatego tylko, że był zdolny, że uczył się dobrze, i że Pani Rosa, płacząc, wstawiała się za nim. Lecz dwukrotnie był wydalony. Nie znośli, aby ktokolwiek mógł być zdolniejszym od niego i mógł przewyższyć go na jakimkolwiek bądź polu. Czasami przez długie miesiące pogrążał się w spokoju, a potem, z nagłą przychodziła nań pora, podczas której znać soki życiodajne burzyły się w żyłach, a całe jego jestestwo dostawało się w moc burzy przemożnych instynktów. Podczas takiego okresu wystarczyło uderzenie pięścią, spojrzenie nie dogadzające mu, drobiazg najmniejszy, aby ogarnął go jakiś szal straszny, aby naokół siebie teroryzował współtowarzyszy grozą pięści. Potem prosił o przebaczenie.

W domu jednego z współtowarzyszy, którego kiedyś pobił, i do którego zaprowadziła go matka z przeprosinami, zobaczył po raz pierwszy w swem życiu, coś, co napelniło go zadziwieniem i zachwytem. Była to książka Dantego ozdobiona rysunkami Gustawa Dorégo. Jeszcze dotychczas, zda się, ma w głębi oczu oszolomienie spowodowane temi nadzwyczajnymi wizjami.

Innego razu, z powodu jakiegoś poważnego przekroczenia, kara wydalenia została zamieniona na dwunastodniowe pozbawienie rekreacji. Przez cztery godziny codziennie, w kącie przy drzwiach, klęczał pod nadzorem wychowawcy, podczas gdy inni zabawiali się wesoło. Nie pa-

*Handwritten text in Italian, likely a letter or petition, mentioning 'Eccellenza Signor Prefetto' and discussing financial matters related to a student's education.*

*Handwritten text on the left side of the page, possibly a marginal note or signature.*

Pani Rosa Mussolini, z domu Maltom, d. 20 września 1895 r. zaniosta prośbę do prefektury w Forli, o subsydjum na studia dla swego młodocianego syna, Benita, który, zdaniem nauczycieli, «zdaje się obiecywać wiele po sobie».  
(Fac-simile autografu dotąd nie wydanej).

mięta on już dobrze, ale wydaje mu się, że aby zwiększyć karę, posypywano podłogę, na której klęczał, ziarnami kukurydzy. Prawdopodobnie po dwunastu dniach na kolanach porobiły mu się głębokie rany.

«Mussolini, masz sumienie czarne jak piekło... — powiedział mu do ucha ojciec rektor — idź, wypowiadaj się jutro...»

Lecz dusza malca w fazie rebelji nie dała się przestraszyć słowami rektora. Aby uwolnić się od obowiązku spowiedzi, niezręcznie narzuconego, malec spędził całą noc w chłodnym podworecu, przetrwał długie godziny ciemnoty nocnej skulony za jednym z filarów. Dwa olbrzymie psy czekały bez przerwy, a dziesięcioletnie chłopię drżało ze strachu: gdyby te psy były go dopadły, rozszarpałyby go były na kawałki. A jednak pomimo przerażenia dotrwał do końca.

«Nie... nie... zanadto mię upokorzyli... chcę odwetu...»

We Forlimpopoli, gdzie udał się później, profesor Carducci, brat słynnego poety, Giosuè Carducciego, dyrektor instytutu, lubił go bardzo. Starał się panować nad nim przy pomocy rozumowań, przekonać go dobrocią. Rozumie się, że czasem, w miarę jak wzrastał i gromadził doświadczenia innych i uczył się opanowywania własnej natury, zadanie to stawało się coraz łatwiejszem.

«A jednak — mówi Benito zadumany — moja prawdziwa historia jest zawarta w okresie tych właśnie piętnastu lat. Skrytykowałem się wówczas i czuję, że wpływy, jakich doznałem wtedy, były decydujące. Wewnątrz mnie wszystko już było w zarodku».



*Przyjaciele chłopca-samotnika. Faszyzm a obrona słabych. Droga do Rzymu. Masonerja i wezwanie Boga w parlamencie.*

W ciągu «uwieżenia» w kolegjum Św. Franciszka Salezego w Faenzy dwie wiadomości sprawiły bezgraniczne cierpienie wrażliwemu chłopcu. Pewien wieśniak w chwili szału zawziętości złamał kamieniem nogę koniowi, i trzeba było tego konia zabić. Pani Rosa musiała użyć całego swego wpływu, aby ojciec tą samą strzelbą, dymiącą jeszcze po strzale, który śmierć zadał pokornemu przyjacielowi rodziny, nie wymierzył sobie sprawiedliwości, mszcząc zabitego. Benito zaś stracił, z powodu zaniedbania ze strony tych, którzy w domu pozostali, ulubionego czyżyka i sowę, którą również kochał, tę dumną i złośliwą panią nocy, którą z wielkim trudem udało mu się wydostać z gniazda, aby ją potem ulaskawić i zadomowić, przynosząc jej smakowite owady i nowonarodzone krety; ptaki pozostawione bez pożywienia zdechły.

Nie można powiedzieć, że rozczulał się on zbyt w stosunku do zwierząt, jak ludzie o słabym poczuciu ludzkości, oschli względem bliźnich i względem idei. Zwierzęta, dzieci, kobiety i wszystko to, co jest słabe, bezsilne i bezbronnie naturalnie poddane jest opiece silniejszego, może pod wpływem tego głębokiego instynktu, jaki poprzez wieki odnawia zastępy zakonów szlchetnego rycerstwa — te zakony, wśród których, ze względu na datę, faszyzm jest ostatnim.

Kiedy wrócił do domu, nie chciał spojrzeć w twarz starej wieśniaczki, co spowodowała mu to straszne zmartwienie.

Lecz aby go pocieszyć istniały inne rozrywki; surowa twarz młodzieńcza nauczyła się chylić nad księgami ojców — nad łaciną. A pamiętniki Cezara, mądrość Tacyta, poematy Eneasza i cała ta bajeczna niemal rzeczywistość «w s i b a n d y t ó w» zgubionej wśród pagórków Lacjum, tej wsi, która stała się potem stolicą świata, dawczynią praw i światła, olśniewały go urokiem mitu.

Rzym jest obecny i żyje wiekuiście w wiernym sercu swej Romanji. W tej prowincji, jak i w Veneto, jako też i w innych częściach Północnych Włoch «drogę mleczną» nazywają po dziś dzień «drogą do Rzymu» i zapewniają, że ona właśnie prowadzi do metropolji. Przedziwne wspomnienie węzłów dalekich, które upadek zerwał ongi pozornie, umiejscowiło się w tej smudze świetlnej, co idzie od jednego do drugiego horyzontu na niebie!

W książkach szkolnych, na marginesie zeszytów lub też na korze drzew — jak Medor z Angeliką ze słynnego poematu Arjosta — a czasem na ławkach w szkole i na meblach w domu, wielu młodzieńców kreśli zawzięcie przedziwne rzeczy: buntownik urodzony rysuje karykatury; przyszły buchalter kreśli swój podpis z odpowiednim *esem flo-resem*; człowiek sentymentalny wypisuje słowo — *mama*; człowiek namiętny wyrzyna jakieś hieroglify miłosne, a dziewczęta mozolnie splatają tajemnicze widziane w snach monogramy na ślubną bieliznę.

Rzym był dlań matką i kochanką; pisał on to słowo z zapalem wszędzie i niezmiennie od dziesięciu do szesnastu lat. Być może, że był to jakiś «głos», jak te głosy, które słyszała Joanna w ogrodzie warzywnym w Domrémy. Jak pasterka z Lotaryngji, tak i wiejski chłopiec z Romanji miał nawoływać do broni i cudów dokonać «z niezmiernego miłosierdzia» dla Włoch.

Jako dziecko i jako chłopię był on niereligijny,

a i dziś jest daleki od jakiegokolwiek formułki, od jakiegokolwiek świętoszkowskiej praktyki wyznaniowej lub antywyznaniowej. Żadna z sekt nie podoba się temu fanatykowi jedności Ojczyzny, a dwa najpotężniejsze ciosy wymierzone masonerji międzynarodowej i tajemnej były wymierzone przez tego samego człowieka w dwóch momentach i sytuacjach politycznych zasadniczo różnych, w ciągu pięćdziesięciolecia istnienia jedności włoskiej: w 1910 roku socjaliści a w 1923 faszyci zostali zmuszeni do wyboru pomiędzy masonerją a partją, na której czele on się znajdował. Lecz jeśli nie lubi on stowarzyszeń antyklerykalnych, nie żywi jednocześnie specjalnych względów dla organizacji klerykalnych i o ile tylko może — a może często — zadaje bolesne ciosy księżom politykującym. Ciosy te pamięta dobrze Don Sturzo. W polityce ludzie sprytni, często przeciętni, knują wykrętne intrygi, osiągając niejednokrotnie chwilowe powodzenia; umysły wyższe zaś upraszczają problemy i działają *ab imo*. Mussolini rozgraniczył umiejętnie kwestję klerykalizmu i religji, stając na gruncie katolicyzmu u boku Kościoła i starając się o wpojenie w naród odnowionego i prawdziwego uczucia religijnego; stworzył on warunki niezbędne dla współpracy z Kościołem, podczas gdy przedtem zdecydowana nieprzyjaźń i unikanie ze strony Państwa, przeciwnego lub neutralnego w najlepszym razie, oddawały w ręce Kościoła ster władzy w zakresie tak delikatnym bez jakiegokolwiek kontroli. Z tego zamieszania naturalnie korzystały zawsze elementy klerykalne, wytwarzając naogół siebie atmosferę prześladowania wiernych.

Antyklerykalizm Mussoliniego jest jasny, prosty, głęboki i skuteczny.

Wprowadził on ponownie krucyfiks i poranną modlitwę do szkół początkowych, a we wszystkich rodzajach uczelni nauczanie historii religji; zresztą już w samej chwili obejmowania władzy, dzięki niemu, słowo Bóg rozbrzmiało donośnie jednocześnie z wezwaniem podniosłem o pomoc

Bożą w «głuchej i szarej» auli nowego parlamentu, w tej auli, która nie słyszała dotychczas o podobnym wzniesieniu ducha aż ku Najwyższemu Światłu.

Plemię uginające się pod brzemieniem tysiącleci, wzbogacone skrzyżowaniem ras podczas niezliczonych inwazyj i doświadczeniem wieków — to plemię rozproszone po wszystkich zakątkach świata — nie może odczuć własnej jedności, jeżeli nie zdoła wzmocnić w sobie poczucia wszechogółu i wieczności!... Czyż jakikolwiek naród może zahartować się w przeciwnościach, jeżeli rozpraszać się będzie stale w wadnym hedonizmie egoistycznego głodu i pragnienia, jeżeli symbol najpodnioslejszego nabożeństwa — Ojczyzna — nie jest zbieżny z najdosłowniejszym szczytem, jakim jest Bóg? Tak... poznaliśmy z doświadczenia tę tak zwaną «solidarność świecką» ludzi i narodów opartą na wyrachowaniu «dobrze zrozumianego interesu ogólnego». Jakież doświadczenie z tego osiągnęli ludzie i świat, i narody i Włochy! Interesy materialne «dobrze rozumiane» są zawsze korzyścią przyziemnie konkretną i uchwytną. Próżno przemawiać językiem uczucia do wyrachowania. Słowa ducha winny być mówione do konchy usznej a nie do pępka, gdyż funkcja musi być zawsze dostosowana do tych, władz do jakich się zwraca.

On wie, że «niepokój», jakiego maleńki uczeń ojców Salezjanów doznawał w kościele — jest siłą i podłożem tajemnego, jednogłośnie oddźwięku, którego podniosłość i głębokość Mussolini poznał.

Siła tego imperjum Rzymu katolickiego i powszechnego, którego obywatelem jest Chrystus, jak również obywatelem nazwał się Św. Paweł, jest siłą jedności narodowej i ekspansji powszechnej, siłą, której nie wolno pomijać.

Kto tak, jak murarz Benito Mussolini, żył i pracował zagranicą, nie jako turysta, bywalec hotelów i salonów zbytkownych, lecz wśród warstw najuboższych *humus'u* cudzoziemskiego, wie o tem lepiej od Włochów zamkniętych w granicach Włoch.

Im bardziej żywa się on z maluczkimi i z oddalonymi tem bardziej dostrzega, że nazwa Włochy — to światło wchłaniane przez potężniejsze promienie — ginie i jednoczy się w chwale starszego słowa: Rzym. W ten sposób promień którejs z najstarszych gwiazd błyszczy jeszcze dla odległych, gdy źródło promieniowania zostało już wchłonięte przez nowe konstelacje.

## IX

## PODNOSZENIE SIĘ DUCHOWE

*Pochwała pierwszego ucznia w klasie, Crispi i Mussolini. «Uczy-  
nić z własnego życia własne arcydzieło».*

Opuściwszy kolegum ojców salezjanów, młodzieniec wstąpił do Instytutu nauczycielskiego w Forlimpopoli, nie odczuwając przykrości z powodu zmiany, albowiem zasmakował on w rozkoszy wiedzy, która daje chwile niezwykłego upojenia.

O, boski wieku młodzieńczy, kiedy dzień każdy odkrywa przed oczyma nowe wizje, a każda odpowiedź na dręczące «dlaczego» przynosi nowe fale pytań; kiedy trawiona żądzą istota przystaje przed każdym z wielu progów wiedzy z radosną chciwością przekroczenia ich. Przedziwny wiek, przed którym stoi długie życie, nie pozbawione proporcji w stosunku do długości sztuki. Po każdym długim i pełnym chwały południu zapada długa noc, niosąca sen odżywczy — rozdawcę snień. Każdego dnia wzmaga się duma z poczucia własnego niehamowanego wzrostu, a w dreszczach niepokoju ducha, którego nie zraniły jeszcze pręty klatki, marzy o rozrośnięciu bez miary. Jakże silnie uderza serce ludzi, których młodość minęła, na dźwięk słowa: młodzieńczość!

Jednym z najbardziej podniosłych wrażeń jego życia były uczucia doznane podczas czytania w klasie przez brata poety komentarza do *Davanti San Guido* (Przed Św. Guido-

nem). Wzruszył się, widząc, jak stary profesor, którego tak kochał, płakał, czytając przepiękne strofy, echa innego, samotnego dzieciństwa.

A pewnego dnia w odwiedziny do brata przyjechał i Poeta.<sup>1)</sup> Uczniowie wyszli na jego spotkanie z muzyką na czele — muzyka, jak powiada Mussolini, fałszowała że aż miło. Zapamiętał on z tego spotkania grzywę rozwianą, dwoje oczu żywych i jaśniejących. Usłyszał potem frazes nacechowany prostą, ojcowską troskliwością: «Nakryjcie głowy chłopcy... słońce grzeje...»

Pomimo wybryków niespokojnego temperamentu, wzbudzał on na tyle zaufanie w profesorach, że jednomyślnie został wybrany, aby wygłosić wspomnienie w teatrze w Forli o Józefie Verdi'm. Był to wielki triumf.

Uczniowie leniwi, niezdolni lub niechętnie uczący się, stwarzają stronnicze legendy o tak zwanych pierwszych uczniach w klasie. Przecież i w życiu istnieją zadania i przyrzęsy, hierarchie, jakim poddać się należy, i systemy, mniej lub więcej widoczne, kar i klasyfikacji. Uwaga i wytrwałość, które pozwalają tak zwanym «wykuwaczom» na posuwanie się naprzód po ich znojnę drodze, stanowią te właśnie cnoty, bez których zdolność wydaje mierne owoce, a nawet talent wybitny nie zdoła osiągnąć szczytu rozwoju, jeżeli wogóle mówić można o talencie bez jakiegokolwiek formy energii przy pracy. W szkole, jak w życiu, tylko dziesiąta Muza zwycięża, lecz przyznać trzeba, że energje szkodliwe lub powierzchowne przy skłonnościach do oszustwa i pewnej dozie bezczelności — nawet poza szkołą — doprowadzają do poważnych rezultatów.

W wypadku, o którym mowa, wymówki, jakie pedagodzy mogli poczynić niespokojnemu lecz pilnemu uczniowi Mussoliniemu, nie są zbyt różne od tych «uwag charakterystycznych», jakie wymowni instruktorzy szkoły wojskowej

<sup>1)</sup> Giosuè Carducci.

w Brienne wypracowali w stosunku do młodego wyspiarza, i nowego poddanego Jego Królewskiej Mości Chrześcijańskiej; «nadzwyczaj pilny w nauce, nie okazuje zaufania towarzyszom, nie przyjaźnił się z nikim, wydaje się on bezgranicznie ambitny».

Jako uczeń nie umiał zamknąć swej osobistości, już skryzalizowanej, w granicach ćwiczeń i zapytań, interesował się każdą kwestją dla niej samej i rozpatrywał ją z punktu widzenia człowieka a nie ucznia.

Później, gdy doszedł do władzy, została wmurowana do gmachu Instytutu pamiątkowa tablica, lecz gdy mieszkańcy Forlimpopoli w 1923 roku, protestując przeciw zamiarom rządu zamknięcia Instytutu, posługiwali się jego wspomnieniami, Prezydent odpowiedział uprzejmie lecz niewzruszenie, że miłe wspomnienia przeszłości nie mogą przesądzać przyszłości. Należało wykonać prawo a nie uważać prawa za pewnego rodzaju gumę, którą każdy może rozciągać według upodobania przy systemie niezliczonych wyjątków osobistych.

Lud, jak dziecko, szuka tego, kto mu ustępuje, lecz gardzi nim.

Powróciwszy do domu z dyplomem nauczyciela, młody Mussolini zwrócił się do magistratu w Predappio z prośbą o zaangażowanie go na miejsce pisarza gminnego naówczas wakujące, głównie dlatego, aby pozostać przy chorowitej matce. Młody wiek — miał on wówczas osiemnaście lat — jako też i opinja wywrotowca niezbyt pochopnego do uległości, oraz sukcesy na polu krasomówstwa, jakie odnosił w kolegjum, stanęły temu na przeszkodzie.

Kiedy jako redaktor wyjechał z Medjolanu z redakcji «Popolo d' Italia», aby stanąć w Pałacu *del Viminale* w Rzymie, dnia 31 października 1922 roku, pozostaliśmy w pokojach redakcyjnych, my współpracownicy i paru wiernych przyjaciół, aby wysilać się na komentarze a w gruncie rzeczy, aby dyskusją wypełnić — o ile to było możliwe — tę nagłą lukę wytworzoną przez triumfalny odjazd.

Pierwszym aktem Prezydenta, przed podjęciem nowych ciężkich zadań, było zdanie w pewne ręce misji, jaką on sam do tego dnia spełniał, lecz Arnaldo Mussolini, pomimo oficjalnego listu, w którym brat powierzał mu naczelne kierownictwo pisma, i który on odczytywał z wzruszeniem, nie odważył się odrazu na zajęcie redaktorskiego fotela, a jeśli później zasiadał na nim, czynił to zawsze z widocznym uczuciem oddania względem nieobecnego. Prezydent, podczas krótkich swych wycieczek do Medjolanu, nie będzie nigdy narażony na poczucie obcości przy tym ukochanym warsztacie pracy; książki, papiery, przedmioty pozostały bez zmiany tak, jak były przezeń pozostawione.

W tych pierwszych chwilach po jego odjeździe, Arnaldo, czując potrzebę zwierzenia się, mówił do nas w zaufaniu: «Mój biedny ojciec zda się przeczuwał tę przyszłość... Kiedy odmówiono Benicie miejsca pisarza gminnego, tyle lat temu, skrzyczał publicznie burmistrza i radnych: «Będziecie się wstydzili tego kiedyś, jak wstydzi się dotąd rodzinną miejscowość Franciszka Crispiego, że nie chciano mu dać posady sekretarza gminnego!»

Prawie prorocze porównanie a jednocześnie dziwne zestawienie, gdyż wówczas, około 1900 roku, Franciszek Crispi był źle widziany i lżony przez socjalistów i demokratów. Rzeczywiście ten syn kowala z Romanji ma istotne cechy wspólne z Crispim: dumę charakteru i niepokonane poczucie władzy Państwa i godności narodowej. Jest on jego wielbicielem i określa go w ten sposób: «Wszystkie w nim cechy są cechami wrodzonymi a nie nabytymi. Umysł władczy, pogardliwy i gniewny — o szczęśliwych cechach złego charakteru — nieprzejednany i popędliwy; posiadający zmysł polityczny, patriotyzm i zdolności. Takim był on w dwudziestym roku życia i takim, może jedynie złośliwszym, został w pięćdziesiątym roku; życie zrobiło go mniej ustępliwym i giętkim, lecz doświadczenie i wiek nie zdołały go wydoskonalić i odmienić».

W tem uznaniu, wespół z krytyką, tkwi bezwiedna spowiedź.

«Dziś nie umiem napisać listu po angielsku, lecz za miesiąc będę umiał i obiecuję, że napiszę», w ten sposób naprzykład, w listopadzie 1922 roku, pożegnał się w Lozannie z Lady Curzon i jej mężem, ministrem angielskim, którzy wzięli to za madrygał dyplomatyczny, uśmiechając się uprzejmie w odpowiedzi.

Uśmiechnęli się nieco inaczej w cztery tygodnie później, kiedy pomimo nawału pracy i odpowiedzialności, młody premier znalazł czas i ochotę, aby odnowić swą znajomość z angielszczyzną, której nauczył się kilka lat temu w więzieniu, i zgodnie z obietnicą przesłał pani Curzon uprzejme wyrazy szacunku w jej rodzimym języku.

«Uczynić z całego życia własne arcydzieło» — mawia on nieraz.

Artysta pożąda mniej i więcej zarazem: pragnie on uzewnętrznić swe najistotniejsze, najlepsze «ja» w dziele sztuki z taką doskonałością, aby czas i ograniczenie w przestrzeni pozostawiły je wiekuiście niezmiennem. Ale polityka jest sztuką zastosowaną do czynu i «uczynić z całego życia, własne arcydzieło» stanowi nielada program wzniesień duchowych zawrotnych i całkowitych, wobec których błędną poszczególne ambicje.

## X

### PIERWSZE KROKI

*Nauczyciel z Gualtieri a «socjalizm klusek». Święte wiosny.  
Rój pszczół bez królowych. Kłopoty i konsul.*

Zaledwie uchronił się od życia siedzącego i wkroczył na drogę nieustannego ruchu, powiew przeznaczenia owionął młodzieńca i przerzucił go w centrum niemal olbrzymiej płaszczyzny - ogrodu Włoch. Zewnętrznym powodem tego faktu była naturalnie konieczność uczenia alfabetu dzieci trzech klas początkowych w małej mieścinie Gualtieri, w pobliżu Reggio Emilia; w rzeczywistości zaś chodziło o zapoznanie się z ruchem socjalistycznym, w danej prowincji szczególnie rozwiniętym i ważnym w następującym okresie życia narodowego.

Oto, co czytamy we wspomnieniach skreślonych w więzieniu:

«Gualtieri Emilia jest miasteczkiem położonym na brzegu Padu pomiędzy Guastalla, miastem dość dużym, i Borghetto. Zabudowania są odległe od brzegu rzeki około kilometra, a wzdłuż brzegu wznoszą się nasypy wysokie, broniące przed zalewem; po tych nasypach biegną drogi. Przyjechałem tam w pewne popołudnie mgliste i smutne. Na stacji czekał już ktoś na mnie. Zapoznałem się w ciągu pierwszego dnia z wybitnymi osobistościami miejscowymi i ulokowałem się w pensjonacie, gdzie za całkowite utrzymanie miałem płacić czterdzieści lirów miesięcznie. Pensja

moja nauczycielska wynosiła pięćdziesiąt sześć lirów miesięcznie. Sytuacja oczywiście nie nazbyt wesoła. Następnego poranka udałem się do szkoły oddalonej od miasteczka o dwa kilometry w miejscowości, zwanej Pieve Saliceto. Miałem około czterdziestu uczniów o charakterze naogół łagodnym; pokochałem ich szybko. Rozkład godzin szkolnych nie miał przerwy lecz o pierwszej nauczanie kończyło się, i powracałem do domu, mając do całkowitej dyspozycji godziny popołudniowe i wieczorne. Pierwsze dni minęły monotonnie, potem rozszerzył się krąg znajomości, a niektóre z nich zacieśniały się nawet. Każdej niedzieli tańczono; chodziłem i ja na tańce.

«A tymczasem miesiące mijały».

Bardziej niż Marx i ekonomiści, zwolennicy kolektywizmu według modelu niemieckiego, zajmowali go naówczas Baubeuf i inni filozofowie komunizmu idealistycznego, łacińskiego typu, Proudhon i nasz Buonarroti, nie mający nic wspólnego z rodziną wielkiego Michała Anioła. Byli to nie wynalazcy teorii, ale odkrywcy psychologii i metod; jego zaś zajmował człowiek polityczny, zatem człowiek z krwi i z namiętności a nie to coś bezkrwistego i oderwanego, co nosi nazwę człowieka ekonomicznego. W oczekiwaniu rewolucji godził się na to, aby żyć intensywnie i nawet wesoło. Uczył się wtedy gry na skrzypcach i tańczył na klepiskach, w wyszynkach wiejskich i w izbach z zapalem młodzieńca zręcznego i oboczego, który z natury swej żyje rytmem, melodją i muzyką. Wstręt budziło w nim mieszanie tego, co święte, z tem, co świeckie: szklanka wina wychylana jednocześnie z podniosłem odwoływaniem się do bohaterskiej solidarności, wypływającym z nawyku do retoryki. W dziennikach, na wiecach i kongresach, w artykułach i w przemówieniach będzie on atakował bez przerwy socjalistów-reformistów, a gdy później obejmie kierownictwo dziennika «Avanti» i stanie na czele socjalizmu rewolucyjnego, od 1912 do 1914, powróci w nim ponownie fala głębokiego wstrętu do leniwego,

opasłego, materialistycznego dobrobytu, przybranego w gladiatorские pozy idealizmu wywrotowego. Polemizując wówczas z posłem Zibordim i z Kamilem Prampolinim, przywódcami reformistycznych fortec kwitnącej Emilji, nieprzyznawał on temu rozbudzeniu sumień i tej organizacji mas wartości, jaką rzeczywiście posiadała. Z tego czasu pochodzą określenia, w których Mussolini daje upust swej niechęci, a więc: «święty z Reggio» — «socjalizm klusek» — «poseł Barbera» (słynne wino piemonckie — barbera). W ten sam sposób, w dzienniczku z Forli «Walka klas» wystąpił potem przeciw kanonizacji «Świętego Józefa z Genui» (aluzja do Mazziniego), kiedy zwolennicy wielkiego genueńczyka zarzucali mu *ipse dixit* ich Mistrza.

Mussolini nie jest człowiekiem humoru, ani też człowiekiem dowcipu w sensie francuskim; prawie zawsze spojrzenie oziębiające, lodowate, zmraża słowa w ustach tego, kto przy nim pozwala sobie na opowiadanie tak zwanych kawałów; jego koncepcja życia jest nawskroś dramatyczna z pewnym odchyleniem ku tragedji, kocha się on w kontrastach światła i w silnych wzruszeniach. «Trzeba dramatyzować życie» — mówi. A jednak utalentowany artysta, Medard Rosso, ma rację, zauważając, że śmieje się on dobrze: rzeczywiście, gdy się śmieje, śmiech ten jest serdeczny i pełen zadowolenia, jak śmiech dziecka. Wyrosły z ludu lubi poemat epicki, tragedję i farsę, rozumie dość trudno półcienie i półśmiechy. Nie znosi układnych faryzeuszowskich twarzy i fałszywej, monumentalnej powagi. Jeżeli napotyka którego z tych ludzi, co chronią się zazwyczaj za zasłoną oszustwa i szarlatanerii, z powodu małoduszności własnej i aby tem bardziej zwieść innych, wybucha oburzeniem i szyderstwem. Jego pomysły satyryczne cechują niektóre z pamiętnych artykułów polemicznych, na przykład Wywiad z Prudenzjem Turatim, ogłoszony w *Po-polo d' Italia* w 1915 roku.

Garibaldi, wojownik i idealista, człowiek gwałtownej

akcji, o prostej a mądrej szczerości, był bohaterem drogim jego sercu. I pewnego dnia, kiedy w Gualtieri miała się odbyć inauguracja biustu Garibaldiego i, w ostatniej chwili, mówca nie przyjechał, wyszedł z tłumy z marynarką na ramieniu i zwrócił się do zakłopotanych władz miejscowych: «Mowę o Garibaldim?... ja ją wam wygłoszę». I wypowiedział mowę przeszło półtoragodzinną ku zdziwieniu obecnych.

Gdy w kwietniu 1924 roku dawni uczniowie w Gualtieri zobaczyli go przejeżdżającego automobilem do Rzymu, po plebiscycie pięciomiljonowym, uwielbiając go z podziwem i z uniżeniem, przypomnieli sobie o dyktandzie kaligraficznym w ostatnim dniu nauczania: *perserverando arrivi* (dążąc wytrwale, dojdiesz).

Poszedł sobie tak, jak przyszedł; jeszcze biedniejszy, gdyż płaszcz pozostał jako zastaw u właścicielki pensjonatu. Wyemigrował z kraju do Szwajcarii, do Francji, do Niemiec, aby zakosztować w pewnym stopniu tych dróg krzyżowych, przez jakie przechodzą nasi emigranci w Europie, w Ameryce i w Afryce.

Podczas gdy inne państwo emigracyjne, Anglja, wywozi zazwyczaj arystokrację zdobywcą, posiadaczy i techników, i gdziekolwiek obywatel angielski się znajduje, czuwa nad nim zazdrośnie i troskliwie matka-ojczyzna, Włochy posiadają ul niewielki, w którym roje rozradzają się szybko, i z którego wylatują pszczoły ciągle i przypadkowo. Alpy, łańcuch gór Apenińskich, lodowce wieczyste — oto znaczna część włoskiej ziemi, której boskość wymaga duchowego uwielbienia ale nie nadaje się do uprawy zboża. Włochy musiały gorzko zapłacić za pozostawienie bez opieki i bez przywódcowych na emigracji tych Świętych Wiosen życia, za opuszczenie tych pszczoł roboczych pozbawionych królowej, naokół której rój się grupuje.

Z jednej strony nowe burżuazje przemysłowe Północy, żwawe, pracowite i prawie bez skrupułów, jakie zastąpiły

nieruchliwe i drobne burżuazje prowincjonalnej inteligencji — *noblesse de robe*, prawie patrycjat, co dał odrodzeniu państwowemu Włoch przedziwne energje idealne, a z drugiej zaś burżuazja adwokatów i rolników, krusząca zaciekle na Południu wielkie posiadłości ziemskie — walczyły w Rzymie po odrodzeniu politycznem Włoch, w słynnym turnieju pomiędzy Cavallottim i Crispim. Lecz w tymże Rzymie obydwie chciwości rozsiadły się po zawarciu mniej lub więcej wygodnego kompromisu, przyswajając sobie system wyzyskiwania podwójnie ciężący na barkach narodu.

Trzydzieści dni warku maszyn parowych,  
Lecz do Ameryki przybylim wreszcie.  
I nie znaleźlim ni słomy, ni siana,  
Jak bydło spać leglim na gołej ziemi,  
Jak bydło bez stajni odpoczywalim.  
A długa i szeroka jest ta Ameryka,  
Wokrag zamknięta przez rzeki i góry,  
A pracą i zmysłem my Italczycy,  
Stworzyliśmy wszędzie miasta i wsie.

Ta melopea smutna, jak śpiew żalobny, i słodka, jak kołysanka, rozbrzmiewa do dnia dzisiejszego po naszych wsiach o przedwieczery, kiedy dziewczęta powracają z pól, roznosząc w przestrzeni naiwną dumę narodów twórczych i niezapomnianą nostalgję do ziem wygnania.

«Nie narażać się na kłopoty» — oto istotna treść stosunku do rzesz włoskich, jakie emigrowały z Włoch w cztery strony świata, stosunku narzucanego ze sfer zwierzchniczych Rzymu trzeciego, lecz niezmiennego pomimo zmian rządów.

A przykładowi podłości, danemu zgóry, odpowiadało szyderstwo nieubłaganego sarkazmu zdołu. Wobec niechętniej i zazwyczaj spóźnionej obrony ze strony funkcjonariusza, który reprezentuje oficjalnie ojczyznę, przejawia się to, co emigrant w swym żargonie nazywa «k o n s u l e m», sprawca błyskawicznej zemsty — «nóż» — którego złowieszcze dzieje utrwalają legendę o Włochu zagranicą.

## XI

## GŁODÓWKA

*Urny wyborcze w Predappio i pięćdziesiąt lirów matki.  
Autograf. Wilk samotnik.*

Podczas gdy w Gualtieri *perseverando arrivi* kończył rok szkolny, w Dovia pan Aleksander Mussolini został uwięziony za współudział w rozbijaniu urn wyborczych. Uwolniono go potem z wielkim rozgłosem, lecz w czasie tego powtórnego okresu więzienia, smutniejszego, jako że był starszym, opanowała go melancholja, i nabawił się bólu zębów; może dlatego, że jak sam mówił, sypiał ongi pod gołym niebem, narażony na wpływ księżyca, którego promienie powodują próchnienie kości.

A Pani Rosa pozostała sama z dwojgiem małych dzieci i z udręką w sercu, myśląc o mężu chorym w więzieniu i o synu ukochanym na włóczędce po świecie.

Nie rozpaczajmy — my matki, mówiące zawsze «tak» nawet wtedy, kiedy wargi poruszają się, aby powiedzieć «nie». Te nasze dzieci niespokojne i niepokojące, które, dla gry w karty z przyjaciółmi lub aby urządzić wycieczkę na wieś z ukochaną, piszą nam mniej więcej tak: «Mamo, zabiję się, jeżeli nie przyslesz mi pięćdziesięciu lirów na zapłacenie honorowego długu. Żegnaj mi, kochana Mamo, nie zobaczysz mnie już żywego!» — te dzieci, powtarzam, zmuszają nas do wylewania łez gorzkich, lecz nie jałowych. Inni ludzie, ludzie zrównoważeni, przerabiają szlam nanie-



siony przez wzburzone rzeki, aby zapładniać pola, bez tych jednak istot obdarzonych zbyt wielką siłą, aby znaleźć dla niej ujście normalne, nie mielibyśmy zdobywszy i odkryć, ani też chwalebnych awanturniczych zamysłów.

Dzięki tym groszom matczynym, syn mógł zobaczyć inne horyzonty, zakosztować innej wody i smaku innego chleba.

«Wakacje letnie były już bliskie. Powziąłem zamiar wyemigrowania do Szwajcarii, aby tam poprobować szczęścia. Zatelegrafowałem do mej matki, aby od niej otrzymać pieniądze niezbędne na podróż, i dostałem natychmiast 45 lirów. Dziewiątego lipca wieczorem przyjechałem do Chiasso. W oczekiwaniu pociągu, jaki miał mię zawieźć do centrum Szwajcarii, kupiłem *Il Secolo* i wyczytałem ze zmartwieniem i z osłupieniem wiadomość o aresztowaniu mego ojca. W Predappio i w Orte wyborcy ze stronnictwa socjalistycznego i ludowego rozbili urny, aby uniemożliwić zwycięstwo klerykałów; władze sądowe wydały kilka rozkazów uwięzienia, i jeden z takowych wymierzony był przeciw memu ojcu. Ta wiadomość postawiła mię na rozdrożu: wracać czy jechać dalej? Postanowiłem jechać dalej i po południu 10 lipca wysiadłem na stacji Yverdon, mając w kieszeni 2 liry i dziesięć centymów.»

Na szczęście tu, gdzie urywają się z nagłą wspomnienia kreślone w kilkanaście lat potem, możemy posłużyć się cennym listem, dotychczas niewydanym, a napisanym w zamęcie wydarzeń i głębokich nowych wrażeń.

Lausanne, 3, 9. 1902.

Mój przyjacielu!

«To, o czem teraz ci piszę, jest pamiętnikiem. Wspomnienia smutne zrozpaczonej młodości, która widzi, jak wszystko zanika — nawet ideały!

«Nie opowiadaj nikomu o tem, co zawierają te stro-  
nice: tylko jedna kobieta zna me cierpienia, ty będziesz

drugą istotą po przeczytaniu. Przeklnę cię, jeżeli to, co ci piszę, zużyjesz, jako przedmiot do rozmów. Moje zastrzeżenia co do utrzymania mych przygód w tajemnicy nie wydadzą ci się chyba niezrozumiałą przesadą. A teraz zaczynam.

«Wyjechałem z Gualtieri — żegnając tylko moją niewiastę — rankiem 9 lipca. Była to środa, z Parmy do Medjolanu i z Medjolanu do Chiasso ledwom nie skończyłem z pragnienia. Chiasso, pierwsze republikańskie miasteczko, gościło mnie do godziny kwadrans na jedenastą wieczorem. Czytając *Il Secolo* niespodziewanie dowiedziałem się o aresztowaniu mego ojca, wmieszanego w zaburzenia wyborcze. Areszt ten zmartwił mnie. Gdybym był się o nim dowiedział w Gualtieri, miał jechać do Szwajcarii, byłbym wrócił do domu. Znalazłem sobie towarzysza podróży, niejakiego Tangherone z Pontremoli, zmieniłem pieniądze włoskie i wsiałem do pociągu, który miał się zatrzymać dopiero nazajutrz rano w Lucernie. Dwanaście godzin jazdy pociągiem. Wagon nasz był przepelniony Włochami. Czy uwierzysz? Stałem prawie przez cały czas przejazdu przy oknie. Noc była wspaniała. Księżyc wznosił się poza wysokimi górami o szczytach uśnieżonych pośród srebrzystego drżenia gwiazd uśniechniętych. Jezioro Lugano miało w swej głębi czarowne refleksy, jak wygładzona metalowa powierzchnia, chłostana przez promienie światła nieznanych a bajecznych. Gottard stanął mi przed oczyma, jak zadumany i skupiony w zamyśleniu olbrzym, a wąż stalowy, niosący nas w zawrotnym pędzie wśród ludzi nieznanym, korzystał z przejścia mozolnie stworzonego. W wagonie wszyscy spali, ja tylko rozmyślałem. O czem myślałem tej nocy, która dzieliła dwa okresy mego życia?... Nie wiem, nie pamiętam. Tylko rankiem, może poprostu ze zmęczenia fizycznego, kiedy przejeżdżaliśmy przez niemiecką Szwajcarię, i deszcz listopadowy, chłodny, jak późne żegnanie nieszczęśliwca, powitał nas — wspomniałem z bó-

lem w sercu zielone pola Włoch, obdarzane pocałunkami ognistego słońca... Czyż to był pierwszy objaw nostalgji? Być może. W Lucernie zmieniłem pociąg, biorąc bilet do Yverdon, zachęcony przez mego towarzysza obietnicą znalezienia zajęcia u jego krewnego, kupca towarów łokciowych. Przyjechałem do Yverdon w czwartek, dziesiątego lipca, o godzinie 11, po 36 godzinach jazdy pociągiem. Oszołomiony i zmęczony wstąpiłem do jakiegoś biednego wyszynku, gdzie miał sposobność mówienia po raz pierwszy po francusku. Posiliłem się. Udaliśmy się potem do owego kupca Włocha. Nagadał mi jeno dużo i zaprosił, abym zjadł coś u niego. Zgodziłem się. Nowe gawędy bezcelowe. Wreszcie zaofiarował mi pięć franków. Aby nie sądził, że dał mi jałmużnę, zostawiłem mu prześliczny nóż arabski, kupiony 1 kwietnia z naszym dobrym rudasem Romanim w Parmie.

«W piątek przez godzinę stałem przed posągiem Pestalozzi'ego, urodzonego w Yverdon, a przez dwadzieścia trzy godziny leżałem w łóżku. W sobotę, razem z pewnym malarzem bez zajęcia, udałem się do Orbe, pobliskiego miasta, aby tam pracować, jako wyrobnik. Znalazłem pracę i w poniedziałek czternastego rano zacząłem przez jedenaście godzin na dobę zarabiać na życie po 32 centymy za godzinę. 121 razy w ciągu tego czasu wdrapałem się na drugie piętro z noszami pełnymi kamieni i cegieł. Pod wieczór spuchły mi muskuły rąk. Zjadłem parę kartofli upieczonych w popiele i rzuciłem się w ubraniu na łóżko: t. j. na wiązkę słomy na podłodze. O godzinie 5 we wtorek byłem już na nogach i rozpocząłem pracę. Dławiła mnie straszna złość bezsilnych. Chlebobdawca doprowadzał mię do wściekłości. Na trzeci dzień powiedział mi: «Zanadto dobrze jesteście ubrani!...» Powiedzenie to miało być bardzo znaczące. Miałem ochotę zbuntować się i rozbić łeb temu dorobkiewiczowi, który oskarżał mnie o lenistwo, podczas gdy czułem w kościach ciężar kamieni... Chciałem rzucić mu w twarz: «Łajdakul!... łajdakul!...»

«A co dalej...? Rację ma ten, kto płaci. Nadszedł sobotni wieczór. Powiedziałem mu, że pójdę sobie i że chcę zapłaty. Wszedł do swego gabinetu, ja zostałem w sieni. Wyszedł wreszcie po chwili i z nieukrywaną złością rzucił mi w rękę 20 lirów z centymami i powiedział: «Oto, co się wam należy, a i to ukradzione pieniądze...» Skamieniałem! Cóż mogłem mu zrobić? Zabić go? A cóż mu zrobiłem? Nic. Dlaczego? Byłem głodny i bez butów. Parę, prawie nowych, trzewików zostawiłem w kawałkach na kamieniach budowy, co rozdzierały podeszwy i ręce. Prawie bosy pobiegłem do jednego Włocha i kupiłem sobie parę butów o podeszwach nabijanych gwoździami. Związałem manatki i następnego ranka, w niedzielę dwudziestego lipca, w Chavornay wsiadłem do pociągu, zdążającego do Lozanny. Jest to miasto sympatyczne lecz nie ładne. Od wierzchołka góry rozciąga się aż do wybrzeża jeziora Lemanu wraz z czarującym przedmieściem Ouchy. Pełno jest w niem Włochów (6.000) naogół źle widzianych, i znajduje się tam Komisja Wykonawcza Socjalistycznej Partji; wychodzi również tygodnik «Przyszłość Robotnika», który redaguję wraz z adw. Barbonim. Opowiadajmy jednak pokolei. W Lozannie żyłem dość przyzwoicie w ciągu pierwszego tygodnia za pieniądze zarobione w Orbe. Potem zostałem bez grosza. Pewnego poniedziałku jedynym przedmiotem metalowym, jaki miałem w kieszeni, był niklowany medal Karola Marxa. Rano zjadłem kawałek chleba i nie wiedziałem, dokąd udać się na nocleg. Zrozpaczony przysiadłem na piedestale pomnika Wilhelma Tella, wznoszącego się w parku Montbenon — kurcze żołądka nie pozwalały mi się poruszać. Musiałem mieć wówczas straszliwe spojrzenie, gdyż przechodnie, zatrzymujący się przed pomnikiem, patrzyli na mnie podejrzliwie, prawie ze strachem. Oh!... gdyby wówczas był przyszedł De Dominicis, aby prawić mi swe morały, z jaką rozkoszą byłbym go obdarł ze skóry! O 5 wyszedłem z Montbenon, kierując się ku Ouchy.

Przechadzałem się długo po Quai (przepiękna ulica nad brzegiem jeziora), aż wreszcie zapadł wieczór. W zmierzchu, ostatnie gasnące światło dnia i ostatnie dźwięki starych dzwonów przykuły moją uwagę. Ogarnęła mnie jakaś bezgraniczna melancholja, i pytałem się, na pobrzeżu Lemanu, zali warto żyć jeszcze jeden dzień... Myślałem... a jakaś przedziwna harmonja słodka, jak matczyzny śpiew nad kolebką dziecka, maści nagle bieg mych myśli. Obracam się. Czterdziestu muzykantów gra przed wspaniałym hotelem *Beau Rivage*. Oparłem się o sztachety ogrodu, wpijając wzrok w ciemną zieleń świerków, i słucham. Melodja pociesza mózg i brzuch. Lecz pauzy są straszne, kurcze kłują boleśnie me kiszki, jak gorejące szpilki. A skroś alei parku idą rzesze zadowolone i wesole, słysząc szelest jedwabi i szeptu w niezrozumiałych dla mnie językach. Tuż obok mnie przechodzi jakaś podstarzała para. Pewno Anglicy. Chciałbym prosić ich o *l'argent pour me coucher ce soir*. Ale słowa cichną mi na wargach. Kobieta gruba, bezkształtna i prawie łysa błyszczy od złota i drogich kamieni. Ja zaś nie mam ani jednego solda, nie mam łóżka, nie mam kawałka chleba!... Uciekam, przeklinając. Oh, święta to idea — anarchja myśli i czynu! Czyż nie jest prawem powalonego gryźć tego, kto go dusi?...

«Od 10 do 11 leżę pod olbrzymią lodzią. Powiewa wiatr od Sabaudji, i jest chłodno. Powracam do miasta i spędzam resztę nocy pod Grand Pont (most łączący dwa wzgórki). Rankiem przeglądam się przez ciekawość w szybach jakiegoś magazynu. Jestem nie do poznania. Spotykam wreszcie ziomka z Romanji. Opowiadam mu pokrótce moje kłopoty. Śmieje się. Przeklinam go. Wsuwa rękę do kieszeni i daje mi 10 soldów. Dziękuję mu i biegnę co prędzej do sklepu piekarza, aby kupić bochenek chleba. Kieruję me kroki do lasku. Wydaje mi się, że znalazł skarb. Kiedym odszedł daleko od centrum miasta, z wściekłością zgłodniałego cerbera zacząłem szarpać zębami chleb. Od 26 godzin nic nie jadłem.

«Czuje, że w żyłach rozpoczyna mi krążyć życie. Odwaga powraca, gdy umyka głód. Postanawiam walczyć z losem. Kieruję się ku willi Amina, Avenue du Léman. Mieszka w niej nauczyciel włoskiego, niejaki Zini. Zanim wszedłem do przedsiönka miłego domostwa, oczyściłem sobie trzewiki, poprawiłem krawat i kapelusz. Wchodzę. Widzę profesora Ziniego o rozczochranej, siwej grzywie i fenomenalnym nosie. Wita mnie, gdy tylko przemówił po włosku, słowami: «Codzienne nachodzenie... codzienne... Święty Boże, święty... itd... Czegóż chcecie? Nie wiem, nie mogę wiedzieć. Zobaczę... zobaczymy... Zwróćcie się do Borgatta, rue Solitude. Ah, gdybym mógł... ale... może być...»

«Idź do diabła razem z tym, kto cię spłodził, paplać!» Z takim pozdrowieniem odszedłem.

«W przyszłym liście opowiem ci resztę.

«Wyda ci się to powieścią, a było i jest rzeczywistością.

«Otrzymałem twą pocztówkę. Przyślij mi odę i wiadomości o przyjaciółach.

Twój przyjaciel

*Benito Mussolini*».

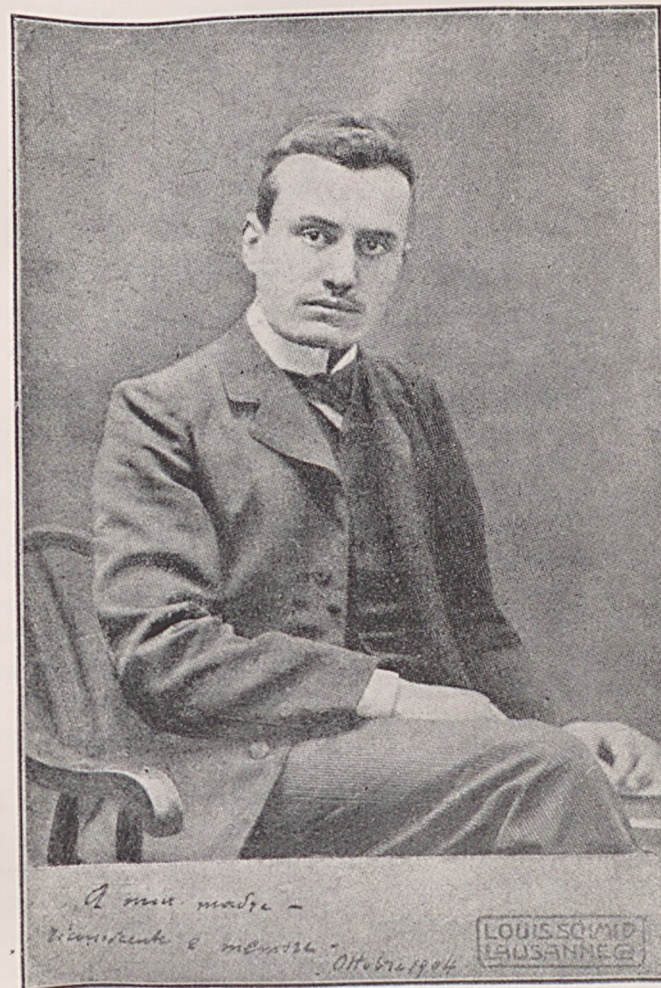
Kiedy Mussolini mówi o innych, albo opisuje obrazy natury, wybuch uczucia wydaje się do pewnego stopnia emfaticznym, lecz próżno doszukiwać się akcentów wyrzutu, właściwych na przykład «pełnemu goryczy» Gorkiemu, gdy opowiada on podobne epizody autobiograficzne. Młody ten Włoch przeczuwał wtedy — tak samo, jak świadom jest tego dzisiaj — że, aby skryształizować się i dojrzeć, należy przebyć podobne próby. Jedynie ciężar, jaki człowiek jest zdolny dźwigać na swych barkach daje miarę jego wartości i zwiększa siłę silnych, jeżeli to prawda, że nagrodą wypełnionego zadania jest świadomość mocy sprośnięcia większemu jeszcze wysiłkowi.

Bez grosza w kieszeni, w przedwieczorz, uciekał on pewnego razu przed pokusami, niebezpieczeństwami i smutkami miasta, przez przedmieścia Lozanny, przez wieś, której pola schłodne i równusieńko pokrajane, jak one przegrody z arki Noego, porośnięte są, zda się, trawą sztuczną, wśród tych *châlets*, co są, jak wielkie kałamarze, i wydaje się, że zrywając dach, znajdzie się w ich wnętrzu atrament. A wówczas przed jednym z tych domów-zabawek jakaś rodzina jadła spokojnie obiad. Trzebaby posłuchać, jak on to opisuje zwięzle, gdy zgadza się na opowiadanie. Ojciec rodziny bez marynarki, dzieci siedzące, jak dudy organów, i matka, napelniająca miski; lampa w pośrodku stołu, a naokół to uczucie prawie religijnego i skupionego szczęścia, jakie poprzedza pierwszą łyżkę smakowitej zupy. Włóczęga o wychudłej, zapadłej twarzy przybliżył się, jak ten wilk z bajki, milcząc, z oczyma szeroko otwartymi.

«Macie chleb? Dajcie mi»...

On należał do tej rasy, co daje i rozkazuje, nie żąda. Zbudziła się w nim nagle chęć rzucenia w twarz tego kęsa podawanego mu z niechęcią, prawie ze strachem i bez zachęcającego spojrzenia lub uśmiechu życzliwości.

Lecz żołądek jest, jako ten pies warczący.



1904 — Młody rewolucjonista w Lozannie.  
(Fotografia dotąd nie reprodukowana, z dedykacją matce).

## XII

### NAUKA W JEDENASTU ROZDZIAŁACH

*Most w Lozannie w 1902 roku i «w dwadzieścia lat później».  
Wstręt do zamknięcia. Łaski i niełaski bożyszczu ludowego.*

Mussolini jest bezsprzecznie arystokratycznym plebejuszem. Widziano go w okresie służby wojskowej, jak smakowicie «wykańczał» blaszankę, z której wyciągnął przed chwilą niewinną myszkę ugotowaną, ale w restauracji kręci nosem, jeżeli znajdzie szklankę źle wytartą. Nędzne wynagrodzenie tak zwanego *magull'a*<sup>1</sup> nie wystarczało mu na opłacenie znośnego legowiska, a więc wybierze raczej chłód nocy na powietrzu, aniżeli trochę słomy w izbach brudnych i nieznośne, niepożądane zetknięcie z bliźnimi.

Jest w Lozannie most, mający w jego życiu historyczne znaczenie. Pod tym mostem, na gołej ziemi, sypiał w ciągu nocy. Pewnego razu, podczas deszczu, skorzystał z olbrzymiej paki wyrzuconej przez pobliską drukarnię, aby schronić się w jej pustym wnętrzu. I wtedy to, gdy zbudził się, doznał wzruszenia pierwszego aresztu pod zarzutem włóczęgostwa; sąd go uwolnił potem, po całodziennym i całonocnym pobycie w więzieniu. Był to pierwszy rozdział tej lekcji w jedenastu paragrafach, którą otrzymał w więzieniach Szwajcarii, Niemiec, Francji, Austrii i Włoch, od 1902 roku w Lozannie, aż do 1919 w Medjolanie.

<sup>1</sup> Ten kto nosi kosze z cegłami.

Równo dwadzieścia lat potem, w 1922 roku, Naczelnik Rządu Włoch udał się do Stanów Konfederacji helweckiej i z Genewy, gdzie oczekiwano nań, sprowadził do Lozanny Lorda Curzona i Monsieur Poincaré, reprezentantów Anglii i Francji, aby z nimi omówić losy Europy. Dwa czy trzy miesiące przedtem, rząd Republiki szwajcarskiej skasował rozporządzenie zabraniające pobytu na terytorjum szwajcarskiem «niebezpiecznemu rewolucjonście» Mussoliniemu. Jeden z wyższych urzędników policji zwrócił się doń z zapytaniem co do zarządzeń w zakresie służby policyjnej; czy był z niej zadowolony?

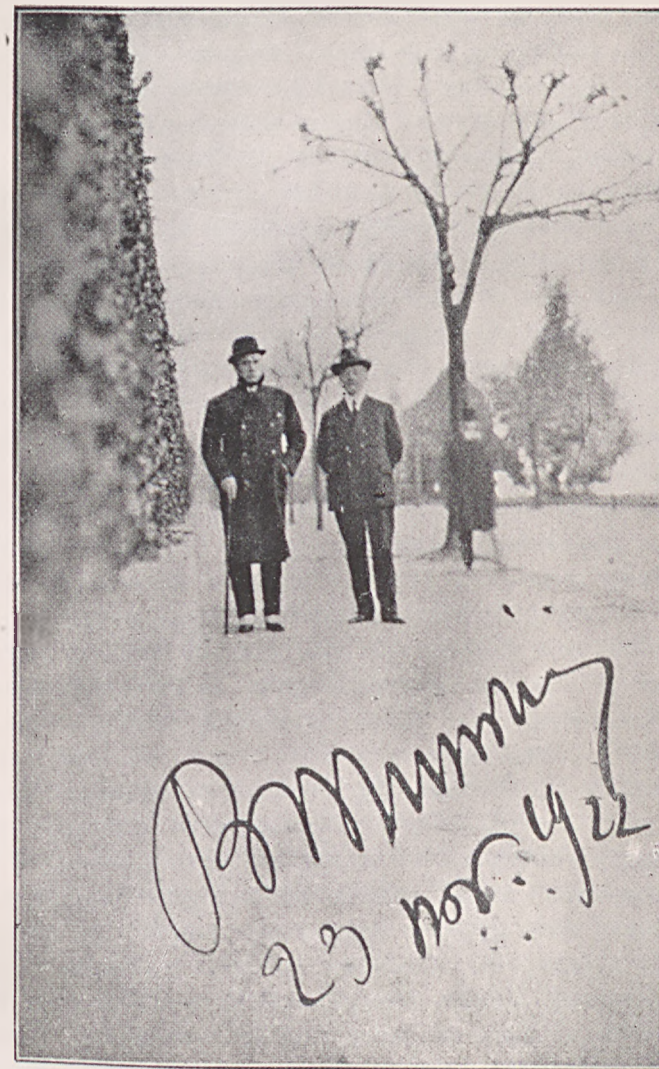
«Très satisfait, Monsieur le Commissaire». Uśmiechając się, wskazał palcem na most, który zobaczyć można było z okien zbytkownego hotelu. «Vous souvenez-vous, Monsieur le Commissaire? C'est là que votre police m'arrêta, il y a vingt ans.»

Komisarz policji, kłaniając się, odpowiedział filozoficznie: «C'est la vie, Monsieur le Président.»

Ilu rzeczy nauczyło go to życie! Przedewszystkiem jak należy kochać Włochy, albowiem miłość ojczyzny poznaje człowiek dopiero wówczas, gdy jest zdala, kiedy odczuwa w całej pełni przedziwną nostalgię do tej dalekiej matki, kiedy zapala się w jego sercu ukochanie gwałtowne dla braci, dla tej krwi z krwi, których chciałoby się widzieć, godnymi tej nazwy.

Nauczył się on, jak niewiele człowiekowi potrzeba, jak można obyć się bez wielu rzeczy, jakie uczucie szczęścia i wolności daje możność pozbycia się ciężaru rzeczy zbytecznych. Uczucie to pociąga nieprzezwytczenie natury czyste i silne ku sportom ciężkim i prawie prymitywnym, jak alpinizm, i nawet budzi tęsknotę do życia wojskowego w tych, którzy brali w niem udział naprawdę.

Prezydent ma obecnie mieszkanie pełne podarunków, nie wzrusza go to jednak. Te potwory z «muzeum potworności», mieszczącego się w jednej z sal Pałacu Chigi, gdzie znaj-



Rok I (1922) — Mussolini w dwadzieścia lat potem w Lozannie jako prezes rady ministrów.

dują przytulisko podarunki wątpliwego gustu, jak również przedmioty bezcenne niemal, ofiarowywane mu przez przyjaciół i wielbicieli — ubogich i bogatych ze wszystkich okolic Włoch — mają dlań identyczną wartość — żadną, w sensie istotnym, a wielką, jako dowody uczucia i uwielbienia. Urzędnik celny z prowincji Apulji śle mu obraz ociekający jeszcze — jak zapewnia obdarowany — oliwą do palenia; skromna jakaś *manicure* obdarza go specjalnem mydłem do golenia, a szewc z prowincji zapadłej przysłał mu parę trójkolorowych trzewików. Jakiś robotnik, w chwilach wolnych od pracy, na skorupie jajka wydmuchanego umiejętnie przez dwie małeńkie, prawie niedostrzegalne dziurki, wyrysował piórem najbardziej znane gmachy, Włoch od bazyliki św. Piotra do kościoła św. Marka w Wenecji, i przysłał mu to swoje arcydzieło, a jednocześnie portrety, portrety i portrety bez końca i bez miary. Papierosy ze Wschodu pełne aromatu, jakkolwiek nie pali; słodycze i likiery wszelakich gatunków, aczkolwiek je niewiele a mniej jeszcze pije; wina, owoce, ryby, dziczyzna, najwybredniejsze potrawy i przysmaki, wszystko to idzie do przytulku dla ślepych albo też do schronisk dla sierot po zabitych podczas wojny. Ta sama obojętność spotyka prześliczną grupę porcelanową z Kopenhagi albo też cenny dywan z Afganistanu. Piękno, o ile materjalizuje się w danym przedmiocie, nie wzbudza w nim wzruszeń. «Piękne, piękne, bardzo piękne!...»

Wspaniałe płaszcz toreadora, koloru ogniście czerwonego o złocistych haftach, na poręczy krzesła przewieszony leży obok prześlicznej damascenki perskiej, obok krzywej tureckiej karabeli o rękojeści wysadzonej drogiemi kamieniami, obok szabli ostatniego sułtana Albanji; przedmioty sportowe i wojenne — na te ostatnie spogląda z większą sympatją — leżą pomieszane w nieładzie. Ten asceta przy ambicji, jaka go trawi, żądny nie posiadania ale mocy jedynie, nie przywiązuje żadnej wagi do wartości przedmiotów i do wartości posiadania. Pewnego razu sekretarz Mussoli-

ni'ego spostrzegł w wagonie wpiętą w pokrycie walizki przelśliczną szpilkę złotą z szafirem rzeźbionym.

«Panie Prezydencie, a jeżeli zginie... przecież to ma znaczną wartość?»

«Naprawdę?... Nie przyjrzałem się tej szpilce... Podarowali mi ją, nie pamiętam nawet, kto taki...»

W jedenastu aresztach niespokojny młodzian nauczył się wielu rzeczy. Nietylko kilku języków obcych, literatury niemieckiej i geometrii arabskiej, ale też nauki cierpliwości fizycznej i moralnej, w ciągu długich lecz nie jałowych, denerwujących chwil oczekiwania. I być może nauczył się siły skupiania się w sobie. Bezcenne zdobycze, drogo jednak zapłacone.

Utkwił w mej pamięci pewien przedwieczerek wiosenny, kiedy wraz z naszym redaktorem naczelnym, we trójkę czy we czwórkę, wracając z *Popolo d' Italia*, przechodziliśmy przez ogród publiczny w Medjołanie, i nagle rozległ się głos: «Zamyka się, zamyka, panowie...». Stróż ogrodowy przy furtce potrzasał kluczami, nawołując publiczność do wyjścia. Nagle redaktor pobladł i ruszył pędem ku furtce. Ktoś z nas starał się go powstrzymać. W odpowiedzi rozgniewany szarpnął się, jak zwierz rozjuszony, jak ten zwierz, co przyczuwa i wietrzy zastawioną pułapkę.

«Nie... nie... nie znoszę wrażenia zamknięcia. Te sztachety, te wrota... wy nie wiecie co to znaczy więzienie! Duszę się poprostu na myśl... jedenaście razy w zamknięciu, toć to cierpienie, jakiego zważyć z ramion niepodobna...»

Podczas wojny jedyne przewinienia dyscyplinarne były powodowane właśnie tą nienawiścią do pozostawiania w zamknięciu, i nawet podczas bombardowania, wbrew rozkazom, pozostawał poza podziemiami i rowami ochronnymi. Na Capri — jak sam zapewnia — z tego właśnie powodu nie zobaczył Lazurowej Groty ku zgorszeniu rybaków. W pociągu lub w samochodzie, kiedy przejeżdża przez tunele, pochmurnieje nagle. «I dlatego właśnie wstręt budzi we

mnie masonerja. Nie znoszę wprost wszystkiego tego, co zamknięte i podziemne, co miast odbywać się w świetle słońca, szuka cienia piwnicznego».

*Magutt* z Lozanny ma prawo być twardym względem innych i nietylko twardym ale i wymagającym, i szorstkim, gdyż przekonał on się, że nędza, głód i cierpienia nie są siłami niepokonalnymi, wie on, że można przetrwać. Ale wie jednocześnie, że ciężko jest wytrwać. Dlatego też ciężkie i bezwzględne wymagania zastosowuje do niewielu tych, których szanuje i których uważa, jak samego siebie, za elementy niepodatne wobec pokus bogactwa i używania. To są właśnie oznaki jego rzadkich łask.

Względem innych — wszystkich innych — niestety względem całej ludzkości niemal — jego pogarda jest wyrozumiała i radykalna.



*Murarz i student — podwójne wcielenie. Zazdrość architekta w stosunku do wyrobnika. Vilfred Pareto i «l'homme qui cherche».*

Rzemiosło włóczęgi wymaga również swego okresu praktyki, a tyle już rzeczy niezbędnych dla tego rzemiosła wiedział nasz młodzieniec. Na własnej skórze doświadczył, że 15 centymów własności niezaprzeczalnej dawały prawo — naówczas — do dwudziestoczterogodzinnego spokojnego pobytu na terytorjum Rzeczypospolitej szwajcarskiej. Ten, kto wykazał się posiadaniem tej sumy, musiał nazajutrz poddać się ponownej kontroli. Lecz mając franka całego, osiągało się nieograniczone prawo do pobytu. Frank więc przedstawiał tak zwany *shibboleth* świętej wolności, droższej od powszedniego chleba.

Zresztą zaczynał robić karierę. Nic był już *magull'em*, stał się chłopcem murarskim a potem rzemieślnikiem wyspecjalizowanym przy murowaniu framug okiennych, które wymagają dość dużej zręczności. — Cegły muszą być ustawiane równo, z uwagą, w rozmaitych kierunkach. A jednocześnie obramowania z cementu naokół ram okiennych nie są łatwe, a i tynk musi być odpowiednio przygotowany. Inną jego specjalnością było ustawianie wiechy na wierzchołku budynków ukończonych.

Ileż to razy w redakcji *Popolo d'Italia*, w nowym domu przy ulicy Lovanio, pozostawiał w połowie rozpoczęty artykuł polemiczny, aby wpatrywać się przez okno w pracę murarzy, krzątających się na rusztowaniach budującego się naprzeciw domu.

«Oto są budowniczo... Patrzcie, ci robotnicy w bluzach... jak ja im zazdroszczę. To są prawdziwe cegły, prawdziwe kamienie, prawdziwe mury, prawdziwe wapno, rzeczywisty dom. To, co ja robię, smarując papier czarnymi znaczkami, to jest papierowa robota. A kiedy skończył, muszę odrabiać od nowa. Tymczasem oni... nie, dwa miesiące temu nie było na tem miejscu, a teraz wyrósł dom; pokrywają go dachem. Szkoda, że nie jestem wśród nich, aby móc odczuć to zadowolenie z ukończonej pracy, ukończonej naprawdę...»

Zima szwajcarska jest długa, a kiedy śnieg leży, murarze nie pracują, a jeść trzeba, często nawet więcej, niż w innych porach roku. Na szczęście zdołał znaleźć zajęcie u handlarza win, Włocha, na *Rue du Pré*; placu była niewielka, lecz miał zapewnioną miskę zupy i kawałek chleba dwa razy dziennie, i możność noclegu na poddaszu, gdzie pomimo zimna sypiał z zadowoleniem. «Ileż on je!» — mówiła przerażona gospodyni domu. — «Za wiele je ten chłopiec.»

A chłopiec miał dwadzieścia lat i czuł dwanaście godzin codziennej pracy. To też mścił się, jak mógł, wiedząc o tem liczeniu kawałków chleba zjadanego, pocieszając się zawartością beczulki doskonałego wina podczas tajemniczych przygotowań i butelkowań w piwnicy. I znajdował w tem rzeczywiście pewną pocięchę.

Bosy, bez czapki, ubrany jedynie w parę spodni i starą koszulę wełnianą, pchając przed sobą wózek wypełniony fiaskami i butelkami wina, przechodził wczesnym rankiem *Grande Rue*. Ze schludnych domów, z pensjonatów dla cudzoziemców i studentów wychodziły gospodynie szwajcarskie, odbierały odeń butelki i fiaski, liczyły pieniądze, płaciły, dodając 50 centymów rytualnego napiwku

dła chłopca, który szedł dalej zmieszany, kłaniając się i mówiąc: «*Merci, Madame!*» Przypuszczam jednak, że bardziej zmieszane bywały one.

Było jednak serce, w którym znajdowały bolesne echo te smutne przygody, jakich domyślało się ono raczej, lecz o jakich mu nie opowiadano. Ten syn, który bez wahania zwracał się do matki, aby przysłała mu parę biednych soldów na rozrywkę, teraz, gdy chodziło o rzeczywisty głód, uważał sobie za punkt honoru i za najwyższą dumę nie zwracać się do niej. Lecz matka domyśla się tego, o czym nieobecny nie chce jej powiedzieć. Zachorowała i wzywa go do siebie. Wzmocze swe siły, czerpiąc ich zaród z nieustraszonych oczu, co w oddaleniu wyblakły i powlekły się cieniem, lecz oprócz cienia znalazł on w tych oczach, co spojrzwały w oblicze losu, nowe jakieś przedziwne błyski.

Gdy tylko matka wyzdrowiała, syn wyruszył zpowrotem do Szwajcarii do swej podwójnej pracy.

Pomiędzy profesorami najgłębszy i najbardziej trwały wpływ wywarł na nim Vilfred Pareto. Jego to teorię «imponderabiliów», która głęboko w nim utrwaliła się, przeniósł ten uczeń z pola nauk ekonomicznych do polityki a nawet rozciągnął ją na całą swą koncepcję życiową. Pareto nauczył go tego niezwykle charakterystycznego sposobu zgłębiania problematów przez ciągłe i gorliwe badanie doświadczałne, bez opierania się na jakiegokolwiek teorii a czasem korzystając z jakiejś teorii po to jedynie, aby użyć jej, jako tymczasowego wytłumaczenia szeregu wypadków. Przywódca faszyzmu, dziś jeszcze chwali się, że faszyzm «nie posiada tego całego magazynu doktryny teoretycznej, gdyż każdy system jest błędem, a każda teoria klatką».

«Jestem człowiekiem, który idzie» powiada o sobie, a niedawno, w latach od 1910 do 1914, podpisywał swe artykuły bardzo charakterystycznym pseudonimem: «*L'homme qui cherche*».

To ciągle poszukiwanie, nigdy nie zaspokojone, jest wła-

ściwe stylowi Mussoliniego tak w życiu, jak i w jego pracy politycznej.

«Wiecie? Zdecydowałem, że nie pozwolę na postawienie mej kandydatury na posła» — zapowiedział mi stanowczo w przeddzień wyborów w 1919 roku.

Wyliczył naówczas nieodmienne powody tej decyzji. Daremnie usiłowałam protestować i powróciłam do domu niezadowolona, usiłując po drodze wytłumaczyć sobie, że i tym razem redaktor musi mieć rację.

Nazajutrz, w redakcji, zapowiedział mi również zdecydowanie, tonem który nie zostawiał pola do dyskusji, że jego nazwisko będzie na czele listy wyborczej w Medjolanie. «Jako — zawołałam zadowolona, ale zmieszana — przecież wczoraj powiedzieliście mi, że...»

Wyprostował się z dumą. «Wczoraj było wczoraj. Dziś zaś, to inny dzień».

## DOOKÓŁA SAMOWARU

*Rosjanie i Rosjanki na uniwersytecie — Madame la souspréfète i taroki. «Benituszka», czyli piekielna noc.*

Nietylko jeden z profesorów, ale cały ten kosmopolityczny świat uniwersytecki wywierał nań znaczny wpływ w tych latach: nietylko nauczyciele, jak to zresztą zawsze bywa, ale i współpracownicy wpływają na siebie wzajemnie.

A wśród współpracowników przebywał chętnie w towarzystwie Rosjan, a przede wszystkim Rosjanek; cygańskie to i różnorodne otoczenie, nacechowane genialnością i dziwactwem, uroczystą filozofją i podniosłą retoryką rewolucyjną, robiło wrażenie olbrzymiego kotła pełnego zmaconej piany i przebogatych pokarmów życiowych warzonych razem. «*Aller au fond des choses, aller au fond des choses*» — brzmiała ciągle ta nieustanna zwrotka naokrąg samowaru, z którego toczyły się strumienie herbaty, podczas gdy każdy z obecnych wypijał niezliczoną ilość szklanek i wypalał nieskończoną ilość papierosów. Pięć, dziesięć, albo też dwadzieścia osób stłoczonych w atmosferze pełnej dymu, w ciasnym pokoiku biednej kursistki — silącej się na śmiałość w przeciwieństwie do niepewnego spojrzenia i chwiejącego głosu, nie przestawało, w ciągu całych niemal dni a zwłaszcza w południe i wieczorem, aż do późnej nocy, dyskutować bez końca; — wieczne Bizancjum, wieczyste sofistyczny i rozgadany Wschód.

Pobył w tem otoczeniu nie przyczynił się niewątpliwie do zapisania go w złotych księgach prawomyślności władz lokalnych i zagranicznych. Dwadzieścia lat potem, doszedłszy do władzy, odnalazł, nie bez zadowolenia, w archiwach policji politycznej papiery dotyczące inwigilowanego młodzieńca, trzymanego pod nadzorem z tej i z tamtej strony granicy, śledzonego na każdym kroku, z powodu każdej znajomości, każdej mowy wygłoszonej i każdej zmiany w życiu. Utrudnił sytuację i wzmógł podejrzenie głośny i niefortunny jego występ krasomówczy.

Bardzo mi przykro, że muszę tu rozwiać pewną legendę. Obdzierać z szat legendarnych jakąś głupią prawdę, jest to rzemiosło ze wszechmiar idjotyczne, lecz prawdomowny historjograf ma przed sobą dość ciężkie obowiązki.

Nieprawdą jest, jak to się mówi, że podczas pierwszego swego występu oratorskiego ten młody Dawid rewolucji zwyciężył w Szwajcarii Goljata Jaurésa.

Zmierzył się natomiast na jednym z wieców z innym z «mistrzów» reformizmu ówczesnego, z Belgijczykiem Vanderveldem, i został pobity.

Pogodna i głęboka doktryna Emila Vandervelde — przedstawiciela drobnej burżuazji flandryjskiej, dobrotliwego i elastycznego, będącego straszakiem międzynarodowych sfer rewolucyjnych, oparta była na dwóch czy trzech podstawach: współdzielczość z pewnym odcieniem korporacyjności, parlament, kultura i szczypta republiki antyklerykalnej. Wiele domów ludowych, jak naprzykład wzorowy *Vooruit* w Gandawie ze strumieniami piwa, sznurami kiełbas, bibliotekami, cechami zawodowymi i uniwersytetami dla wszystkich, propaganda wyborcza z milionami głosów, z milionami kapitału — a w ten sposób triumf socjalizmu pewny i łatwy, przy pomocy rezolucji uchwalonej przez posłów do parlamentu większością jednego głosu.

W krótkich słowach prototyp belgijski tego «socjalizmu klusek», budzącego nieprzewyciężony wstręt

w młodym nauczycielu z Gualtieri, i jego apostoł, Vandervelde, przybywający do Genewy, aby mówić o Chrystusie, nie mógł podobać się Mussoliniemu. Temat ten, temat propagandy ewangelicznej, ukochany przez «świętego z Reggio Emilia», od chwili pojawienia się broszury o «Kazaniu na Boże Narodzenie», która maluje Chrystusa jako wywrotowca i podkreśla komunizm apostołów, był wówczas tematem znienawidzonym przez Mussoliniego. Zapoznawał się on wtedy właśnie z filozofją Fryderyka Nietzschego i Jerzego Sorela, którzy wywarli najgłębszy wpływ na jego ostateczne skryształowanie się duchowe. Uczył się on wszystkiego: języków — niemieckiego, hiszpańskiego, nieco angielszczyzny i przede wszystkim francuskiego, nauk ekonomicznych i socjalnych, przyczem urozmaicał sobie czas grą na skrzypcach. Z wielkim zapałem pogłębiał również swój zakres wiadomości z filozofji greckiej i filozofji niemieckiej. Na cześć zwiastunów nowych horyzontów filozoficznych we Francji, na cześć Babeufa wyśpiewał czternaście wierszy ponurych i twardych, stanowiących jakby dalszy ciąg «*Ca ira*» Carducciiego — bunt Czwartego Stanu po buncie Trzeciego.

Hej, triumf termidora!... Zginęła przeklęta  
Ta buntowników rzesza. Pogląda zoddali  
Posepny książd na plebsu krew, co zgrozą święta  
Na kata mieczu znagła w słońcu się rozpali...

A z zemsty urodzonej na wygnaniu — w dali,  
Idzie już głuchy, twardy gniew — nienawiść święta!  
Minęły już epickie piękne dni, azali  
Minione chwile «strzałów armatnich» kto spamiętał...

Uśmiecha się nam Babeuf, a w śmiercią zbielonych  
Oczach błysk Słońc Idei promieniem rozbłyska,  
Wizją idących wieków i snów wymarzonych —

Rodzi się myśl — podpora w chwili złudzeń skonu,  
Kiedy zwyciężon mściciel pomstę straszną ciska,  
Wzywając piekielnego z Ardennów Legjonu!...

Pod koniec prostego i jasnego wykładu Vandervelde'go Mussolini zażądał, nie bez zgorszenia, głosu do polemiki i otrzymał go. Mówił przeciw Ewangelji i przeciw Galilejczykowi — patrz Carducci i Nietzsche — przeciw temu, kto spowodował zapadnięcie się wspaniałego gmachu Imperjum rzymskiego skutkiem naporu tyłanicznego «moralności niewolników», która osłabiła od wewnątrz nową ideologją siłę przeciwstawienia się barbarzyńcom z poza granic cesarstwa. Pod wpływem znajomych Rosjan przeważnie zbliżył się do Buddy poprzez Schopenhauera, mistrza Nietzschego, który z kolei był jego mistrzem. A kim był ów Mesjasz z temi swemi mowami i opowieściami w porównaniu z doskonałością doktryn, wypracowanych przez Buddę w czterdziestu tomach, w ciągu czterdziestu lat pokuty, rozmyślań i prac apostołskich?

Spokojny i kostyczny Vandervelde przyznał mu rację. Chrystus zaiste nie wytrwał czterdziestu lat w spokojnych ascetycznych ćwiczeniach, ale *cher camarade* zapomniał najprawdopodobniej o tym «małym incydencie zawodowym» jaki mniej więcej w trzydziestym trzecim roku życia popsuł Chrystusowi karierę rewolucyjną. Tłum zaczął się śmiać jednogłośnie, a śmiech ten zmieszał Mussoliniego do tego stopnia — być może, że stało się to również pod wpływem mimowolnego śmiechu jego pięknej towarzyszkii, Rosjanki, Heleny M., — iż Mussolini poprzysiągł sobie nie tykać Ewangelji i Biblii. To też, przez ostrożność, nie powołuje się nawet na cytaty z nich czerpane.

Wydalony wkrótce z kantonu genewskiego, jako niebezpieczny wywrotowiec, zamieszkał on w Annemasse, poza granicą francuską, aby tam udzielać lekcji i zajmować się murarstwem, stosownie do pory roku i potrzeb. Lecz przede wszystkim nauki starej Joanny posłużyły mu do zapewnienia sobie cennych wielce sympatyj i życzliwości pani podprefektowej z Saint Julien. «Proszę się nie przerażać nagle wezwaniem, osoba bardzo kochana, która zachoruje,

wyzdrowieje szybko» — przepowiedział, naśladując odpowiedź szacowną wróżby z kart. Przez wdzięczność pani podprefektowa protegowała proroka wygnanica, albowiem rzeczywiście po powrocie do domu została wezwana do łóżka umierającej matki, która bardzo szybko wyzdrowiała.

Tymczasem Helena M., studentka, Rosjanka i rozwódka, przebywała w dalszym ciągu ze swą wierną towarzyszką, Sirotiną, nad brzegami Lemanu. Mussolini wybrał się z wizytą na piechotę, unikając niebezpiecznych kontroli policyjnych na kolei; chęć zrobienia drobnego despektu policji wpłynęła w znacznej mierze na tę wizytę.

«Benituszka, Benituszka» — zabrzmiały wesole głosy kobiece, dzieląc z nim charakterystyczne i dziwaczne pożywienie, nacechowane biedą i zbytkiem jednocześnie — brak chleba, a natomiast biszkopty, szynka i herbata.

«Pozostańcie tutaj dziś wieczorem, my poprosimy o gościnność jednej z naszych przyjaciółek».

Po długiej przechadzce czyste białe łóżko wabiło ku sobie; kiedy już zasypiał, posłyszał, przez cienką drewnianą przegrodę, dzielącą od sąsiedniego pokoju, następującą rozmowę, prowadzoną przez gospodynię z mężem umyślnie obudzonym: «Rosjanki wyjechały, a tymczasem w ich pokoju ktoś się rusza: musi to być złodziej!»

«Ależ nie... śpij spokojnie...» — odpowiadał mąż zaspany.

Biedaczysko Mussolini nie wiedział, co z sobą zrobić; te roztrzępane Rosjanki zapomniały zawiadomić gospodarzy o jego pobycie. Ma się rozumieć, jeżeli złapią go zadenuncjowanego, jako złodzieja, i spostrzegą, że mają do czynienia z wydalonym, który wrócił na terytorjum kantonu bez zezwolenia, zamkną go do kozy na całe miesiące!... Zmęczenie przemogło jednak wszelkie obawy, wygodne łóżko dało mu tę przedziwną rozkosz snu krzepiącego. Niestety, we śnie, poruszając się, zbudził ponownie zaniepokojoną gospodynię; to też posłyszał znowu poprzedni dialog parali-

żujący go niemal grozą policji. Wreszcie gospodarz wstał z łóżka, pobiegł do pobliskiego komisariatu policji, naturalnie zamkniętego o tej porze, i wrócił, przeklinając głupie strachy niewiast.

«Benituszka» tymczasem nieruchomy w łóżku, okryty zimnym potem strachu, oczekiwał końca tej historii. Nareszcie o świcie, zadowolone i różowe, powróciły Rosjanki.

«Benituszka, Benituszka, vous avez bien dormi?...»

«Ach, jakaż ciekawa, zajmująca przygoda...» wykrzykiwały, klaszcząc w ręce, podczas gdy on opowiadał przebieg tej nocy pamiętnej...

«Byłaby jednak bardziej zajmująca, gdyby was byli aresztowali...»

Przypuszczam, że Mussolini, jako naczelnik rządu, zdołał zawrzeć traktat ze Związkiem Republik sowieckich, pomimo niezliczonych dyskusji nad każdą klauzulą, jedynie dzięki znajomości, datującej z tego czasu, dziwacznej i przebiegłej duszy rosyjskiej. Nie może poznać cudzoziemskiego narodu ten, kto nie kochał kobiety tego narodu. Poeta Elegij rzymskich w ten sposób się latynizował.

Odjeżdżając pierwszym pociągiem rannym po tej pamiętnej nocy, Mussolini wrzucił w Lozannie do skrzynki pocztowej bilecik zaadresowany do Dyrektora policji kantonowej, zawierający jego podpis i datę pobytu.

## NIEKTÓRE SPOTKANIA

*Socjalizm naukowy. Angelika Bałabanoff. «Więcej niż księżniczka, więcej niż cesarz, więcej, niż kondotjer».*

Z Annemasse udał się on do Zurychu, gdzie otoczenie niemieckie z metodyką swą oraz Kulturą naukową racjonalistyczną i pozytywną wpływało na podatny do asymilacji żywioł rosyjski. Przy parze słabej herbaty i przy mownych słowach uwielbiano w tem otoczeniu Marxa i Bebla, Liebknechta i Lassalle'a, miast Proudhona, Herzena i Bakunina. Właśnie przy tłumaczeniu Liebknechta i Lassalle'a zacieśnił on przyjazny stosunek przyjacielski z inną Rosjanką, Angeliką Bałabanoff.

Ta ostatnia, niewielkiego wzrostu i ułomna, była nadzwyczaj inteligentna; inteligencja jej była nacechowana charakterystycznymi błyskami i zaćmieniami. Niewiasta ta, poświęciwszy się Marxowi i marksizmowi, rozumianym, jako pewnego rodzaju religija fetyszystyczna i monomanjacka, przysięgała na słowa mistrza w wielu językach z tym entuzjazmem, udzielającym się a właściwym wierze niewyrozumowanej i zaraźliwej, jak szkarlatyna. Wyobrażam ją sobie, jako opętaną biczownicę podczas procesji Średniowiecza albo też w Grocie w Lourdes, przywołującą cud wyzwaniem i rodzącą go w rozgrzanej atmosferze swych szaleństw i żarliwości bezmiernej.

Widziałam tę kobietą podczas bankietu na cześć po-

sła Morgari, który groźbą wygwizdania spowodował zaniechanie oficjalnej wizyty w Rzymie ze strony Cara i Carowej, winnych rzezi w Petersburgu w 1905 roku. Zobaczyłam wówczas tę niewiastę — podobną do błędu drukarskiego, uczynionego w tej niebiańskiej drukarni, w jakiej drukują słowiańskie teksty — przeobrażoną całkowicie przez cnoty duszy i dar słowa. Mówiła po włosku płynnie, skutecznie i gorąco, a oczy jej wilgotne i promienne rozszerzały się, zajmując niemal całą szarawą, niepozorną twarz. Głos jej krzykliwy i nieprzyjemny, rozgrzewając się później i nabierając charakterystycznych gardłowych dźwięków podczas przemówienia, przenikał do głębi trzewi słuchaczy siłą sugestji mistycznej i poniekąd historycznej. A gdy kończyła swe przemówienie, wzywając Matkę Rosję, «Święta Rosję», która cierpi i pragnie, rzuciła się na krzesło, pobladła, we łzach, a wokół my wszyscy obecni płakaliśmy bladej i wzburzeni.

We Włoszech kobiety zazwyczaj, nawet rewolucjonistki, są ciche i ostrożne, natomiast towarzyska Bałabanoff wykazywała pewną dozę kokieteryj w swej bezczelności. Szpetna, dzięki magnetycznemu wpływowi swego krasomówstwa i pewnemu rozgłosowi swego nazwiska, chwaliła się dość dużą ilością partnerów podczas swych rozjazdów propagandowych po wsiach i miasteczkach Włoch. Przypuszczam, że przesadzała, inaczej źle sądziłoby należało o gustach estetycznych socjalistycznej młodzieży.

Biada człowiekowi o jednej tylko idei, zwłaszcza jeżeli jest kobietą! Angelika Bałabanoff, niepozabawiona wykształcenia, mająca olbrzymie przygotowanie filozoficzno-ekonomiczne i socjalne, nie miała jednak kultury, jeżeli kultura jest zdolnością pozwalającą na krytykę, na rozbiór i na wybór myśli i rozumowań innych ludzi przez własne rozumowanie. Podczas przechadzek za miastem, kiedyśmy stawali na rozdrożu, nie wiedząc, dokąd pójść, mówiła bez zająknięcia się: «Na lewo, właściwe drogi zawsze idą na lewo».

Gdy spostrzegła na wierzchołku pagórka przepięknie położone miasteczko, zapytywała natychmiast, czy zarząd miejski znajduje się w rękach księży. Była pozbawiona dowcipu i poczucia piękna — co było szczęściem dla niej, gdyż inaczej rzuciłaby się była w najbliższą studnię, widząc samą siebie. Nie miała również zbyt częstej styczności z wodą.

Młodzieńcowi z Romanji zaimponowała swemi wybrykami, brakami i nadmiarem fanatycznego temperamentu.

Utrzymując przez długie lata znajomość, zawsze na stopie wzajemnego szacunku pomiędzy towarzyszami, kiedy w 1913 roku stanął na czele dziennika «*Avanti*» powołał ją na stanowisko wicedyrektorki. Klócili się bez miary. Ona uważała, że redaktor jest za mało rewolucyjny, a po kłótniach przez całe dni nie rozmawiali ze sobą, podczas gdy stosunki były utrzymywane jedynie w formie not służbowych piśmiennych i nieraz pieprzonych, jak naprzykład:

«Wczorajszy wasz komentarz do wyborów jest słaby; należy silniej podkreślić zwycięstwo pierwiastków skrajnych».

«Wy nic nie rozumiecie, zajmujcie się waszą pracą».

Wkońcu redaktor wydalil ją z redakcji.

Angelika Bałabanoff w socjalizmie włoskim przedwojennym odgrywała rolę wielce wybitną, należąc do zarządu partji; odznaczała się znamienną działalnością przeciw «zbirowi burżuazjnému» w imię Absolutu. Wydalona wreszcie z granic Włoch za propagandę rewolucyjną i antywojenną przez cierpliwy rząd ówczesny, w towarzystwie Lenina i Trockiego odbyła tę sensacyjną podróż przez Niemcy w specjalnym pociągu, udzielonym przez przewidującego Kaisera, aby w Rosji stać się solą w oku jeszcze cierpliwszego Kiereńskiego. A kiedy trójca ta obaliła go, Angelika Bałabanoff, skuliwszy swą szpetną postać na poduszkach imperatorowej, stała się wielką osobistością w rządzie bolszewickim.

Aż wreszcie — działo się to w 1924 roku — zbliżała się Wielkanoc, i kry puszczały na rzekach, stała się żyrondystką

i wydalona z Rosji, jako «niebezpieczna antyrewolucjonistka», powróciła na wygnanie ponowne zagranicę. Biedna Angelika! W tym samym czasie przejeżdżał przez granicę rosyjską w kierunku Moskwy pierwszy ambasador króla włoskiego, akredytowany przy Republice sowieckiej — «Dyktaturze Proletariatu» — z nominacji Benita Mussoliniego, «Zdrajcy Proletariatu». Jeżeli cios ten nie zabił jej, pieni się pewno na tę myśl dotychczas.

*Maxima debetur reverentia* dla katakumb i zbiorowisk niespokojnych młodości. Gdyby jakaś wróżbiarka znalazła się była w biednym pokoiku Angeliki w Zurychu, zasiadając pomiędzy łóżkiem a komodą, obok stolika z samowarem, byłaby prawdopodobnie wygłosiła jej taką przepowiednię.

«O, kobieto, siedząca obok mnie na krześle zniszczonym — większa niż księżniczka i władczyni — w Kremle pozłocistym zasiądziesz na tronach pluszem i adamaszkim zdobionych, a księżniczki i gubernatorowie drzeć będą przed twą władzą. A ku młodemu profesorowi w okularach, przez cię pozdrowionemu, towarzyszowi ubóstwa i współwynawcy większemu niż cesarze i króle, obdarzonemu nadludzką władzą, skierują się błagalne prośby królów i cesarzy, daremnie żebrzących o zachowanie życia, podczas gdy wokół rzesze niezliczone — dzięki niemu — trwać będą w delirjum nadziei, cierpienia i oczekiwania cudu. A młodzian poblady, obok ciebie siedzący, zajęty tłumaczeniem na włoski Engelsa i Marxa za marne wynagrodzenie, tobie i twoim przeciwieć się będzie ze wszystkich swych sił, a potem, jako równy z równymi, traktować pocznie, więcej niżli prawodawca, więcej niż kondotjer — obwołany przez cały naród zbawcą i Wodzem.»

*Maxima debetur reverentia* Bonapartemu porucznikowi i Rastignac'owi studentowi. Skończą oni na szubienicy albo w pobliżu tronu. A może pisany jednemu z nich los pułkownika, drugiemu zaś pisarza hipotecznego, a dokonają żywota, tłumacząc w zaciszu prowincjonalnem *De bello gallico* i ody Horacego.

## SMUTNA WIELKANOC

*Krąg się zaciska. La «baccana della brolanda». «Roślinka sprawiedliwości». Andrzej C. z Turynu. Od zabójcy do profesora.*

Była to Wielkanoc.

W sobotni poranek wielkanocny znalazł się na terytorjum Lucerny, zmuszony do przymusowego powrotu do kraju.

Powodem rzeczywistym wydalenia z kantonu genewskiego była stała propaganda rewolucyjna, pretekstem zaś stała się bójka z jednym z towarzyszków pracy ze Szwajcarii włoskiej, reformistą i szefem oddziału. Pobili się może z powodów politycznych, może o zarobek murarza a może o piękną «*baccana della brolanda*», jak w żargonie emigrantów nazywają gospodynię tanich robotniczych stancji? Jednym słowem krąg kantonalnych wyroków wygnańczych zaciesniał się naokół niego coraz bardziej.

Policjanci eskortujący go nie chcieli w ciągu Wielkiejnocy znajdować się zdala od rodziny. I dlatego spędził przymusowy etap w więzieniu. Jakiś stary nędzarcz, Niemiec, w lachmanach będących siedzibą intensywnej hodowli pcheł, iskał się i drapał bez przerwy w oczekiwaniu wyjazdu do Niemiec. Policja aresztowała go za włóczęgostwo i za brak dowodów legitymacyjnych. Siedział spokojnie, z obojętnością człowieka nie mającego już nic do stracenia, bez nadziei i bez strachu. Wieczorem, późno, cela

otwarła się, i nowy gość, Włoch, rzucił się na pryczę, szczękając zębami. Po chwili skinął na przyglądającego mu się młodzieńca.

«Włoch jesteś? Skąd?»

«Z Romanji».

«Dobrze. Można ci zaufać. Ludzie z tej ziemi nie zdradzają. Źle się czuję».

«Dlaczego? Co tobie? Mówili, że wydalają cię z powodu braku paszportu?»

«Tak... podejrzewają mnie, jednak bez dowodów... o współudział w bójce, jaka miała miejsce osiem dni temu. Spadło na mnie nieszczęście. Spotkałem dwóch bijących się na noże. Wtrąciłem się do bójki, zostałem raniony, bronielem się i... zabiłem.»

Długi dreszcz wstrząsnął jego ciałem:

«A tamten, co robi... Patrzy na nas?...»

«Nie... Oповідаj».

Miał odpowiedzi obnażył bok; olbrzymia głęboka rana otwierała się, jak szerokie, nieforemne, otwarte usta, krew spływała ze strupa wzdłuż biodra.

«Ależ to straszne... Stracisz przytomność... Cierpisz bardzo?...»

«Cierpię piekielnie, ale choćbym miał zemrzeć z utraty krwi, muszę milczeć, bo inaczej: szubienica. Lepiej cierpieć niż dyndać. W kantonie, gdzie się to stało, wieszają... Chcę wrócić do domu. Dopomóż mi!»

Nie posiadali nic, nawet scyzoryka. Wreszcie Mussolini z wielkim trudem zdołał wyrwać gwóźdź z ławki. Zaostrzył go na murze. Gwoździem wyciął kawał swej koszuli, inny kawał z koszuli swego towarzysza. Opatrzył ranę, jak mógł najlepiej. Krew przestała płynąć na chwilę.

A nazajutrz rozdzwoniły się rozgłośnie dzwony wszystkich kościołów. Wielkanoc i Boże Narodzenie — oto symbole rodzinnego, słodkiego spokoju. A Wielkanoc zwłaszcza w krajach północnych jest jednocześnie świętem wyzwolenia z dłu-



giego więzienia zimowego. Tymczasem on tę smutną Wielkanoc spędzał gorzej niż w samotni, bo w cuchnącem więzieniu, wśród wyrzutek i parjasów społecznych.

Zabójca jęczał i majaczył na deskach legowiska więziennego, gorączka dręczyła go bez przerwy, a spieczonemi wargami wołał ciągle o wodę. Jak tylko rozlegały się w kurytarzu odgłosy kroków, zrywał się i odejmował rękę z biodra.

Razem z miską zupy, jedynego pożywienia, w podwieczerek przybył do celi nowy towarzysz niedoli mówiący po włosku. Patrzył pilnie na wszystko i milczał, spokojny a czujny.

«Miej się na baczności! — szepnął Mussolini rannemu. — Nie jest to Włoch, jak my, wracający do kraju. To Włoch z Tessynu. Posadzili go tu pewno, bo jest on «roślinka sprawiedliwości».

Idealisci lub zbrodniarze, a wreszcie buntownicy przeciw ustanowionemu porządkowi, bronią się przed wspólnym nieprzyjacielem — policją — wspólną bronią, żargonem. Dla członków najniższych warstw społecznych nie jest tajemnicą, że «roślinka sprawiedliwości» oznacza szpiega i żandarma.

Ranny pochylił głowę z tą niewrażliwością fizyczną i moralną, jaka tkwi u podstawy stoicyzmu zbrodniarzy. Mussolini zaś napadł na przybysza.

«Co ty gadasz o powrocie do kraju? Nie jesteś Włochem... Pochodzisz z Airolo...»

A widząc, że tamten pobladł, wznowił atak.

«Znam cię... Nie przecz!... Nie przypominasz sobie? Pracowaliśmy razem, byłeś kamieniarzem w Giubasco. Teraz jesteś szpiegiem... Pięknie, trzeba ci pogratulować tego ślicznego rzemiosła...»

Zarzuty były prawdziwe, okoliczności zaś wymyślone z wielką pewnością siebie. Podejrzany stracił odwagę, nie śmiał szpiegować, zostawił ich w spokoju. Nazajutrz Mussolini uzyskał możliwość przedstawienia swego protestu dyrektorowi więzienia.

«Jesteśmy wydaleny a nie skazani, a nawet nie aresztowani. I cóż pan chce osiągnąć, panie Dyrektorze? Dlaczego nasyła pan nam szpiegów? Proszę nas odesłać do kraju. Nie ma pan prawa trzymać nas w więzieniu. Wyślij pan staro do Niemiec, a nas do Włoch».

Natychmiast dozorca więzienny zabrał Włocha z Tessynu, a potem zawiadomiono Włochów, że wyjadą we wtorek.

Zaimprovizowane bandaże przesiąkły krwią, nieszczęsny zabójca ledwo trzymał się na nogach, zaskorupiała krew oblepiła się w spodniach, a rana krwawiła wciąż bez końca... Posiadali obydwaj jedynie brudną chustkę od nosa. Mussolini wcisnął mu ją wgłąb rany w chwili odjazdu i podtrzymał go, prawie niosąc, na schodach i przy wsiadaniu do wozu więziennego a potem do pociągu. Ranny cierpiał strasznie, sprawiało mu wściekły ból najłżejsze dotknięcie rany. Mimo to nie wydał najmniejszego jęku.

Na stacji Tessyńczyk pojawił się znowu i kręcił się koło nich a potem wsiadł do tego samego wagonu. Dwa dni i dwie noce trwała ta jazda w pociągu towarowym, w dziewięć osób w przedziale, bez możliwości siedzenia nawet na ziemi. Dręczył ich straszliwy głód i pragnienie, pomimo dwóch talerzy zupy i kawałka chleba, stanowiących jadło przepisowe. Tymczasem rana krwawiła coraz bardziej, i z trzewika przepelnionego jęła się sączyć krew na podłogę.

— «Umrę po przyjeździe do Włoch — szeptał bez nadziejnie umierający... — Ty zaś we Włoszech odzyskasz wolność?...»

— «Niewątpliwie, nie mam żadnych porachunków ze sprawiedliwością we Włoszech...»

— «To szczęśliwie, ja natomiast mam trzy lata więzienia. Lepiej to, niż szubienica... Lecz tym razem koniec ze mną... Jak tylko przyjedziesz do Włoch, napisz do mej matki. Jestem z Turynu, nazywam się Andrzej C. Jeżeli będziesz mógł, pojedź do niej. Musisz mi przyobieczać... Przysięgnij... Biedna staruszka... napisz jej ty przynajmniej, jeżeli zdechnę...»

Podczas gdy przez zakratowane i zaplombowane okno przedziału widniały przebajeczne widoki Gottarda, ranny szeptał mu straszne zwierzenia.

Skazany zaocznie na trzy lata więzienia, uciekł do Szwajcarii wraz z siostrą, którą wyzyskiwał, i razem z nią zabił nożem dwóch wyrzutków społecznych — jak mówił — którzy ją obrażali i grozili jej. Siostrze udało się przedostać na terytorjum francuskie, on zaś, ranny, został schwytyany daleko od trupów skostniałych, na jakiejś łące. Władze nie mogły udowodnić mu winy.

Wraz z krwią uchodziło zeń powoli życie.

— «Umrę w Como, napisz do mej matki...» prosił.

Zacni towarzysze w Bellinzonie oczekiwali przy wyjściu na rewolucjonistę wydalonego i zaprowadzili go do jednego z «towarzyszów» intelektualnych, profesora Józefa Rensi, który go przyjął serdecznie i pożywił.

Późną nocą, kiedy poczciwy profesor zaprowadził go do sypialnego pokoju, gość ze zdziwieniem rozejrzał się naokół, dotknął prawie z niedowierzaniem czystego i wygodnego łóżka pokrytego kołdrami i pogładził czyste prześcieradła. Jakież to wszystkie było dziwne po cuchnącem legowisku więziennem... Nie położył się jednak; myśl o tem, że nie uwolnił się całkowicie od żyjących i dokuczliwych pozostałości więzienia, powstrzymała go od tego.

Westchnął głęboko i siadł na wyplatanem krześle, oczekując ranka.

## XVII

## CZERWONY REKRUT

*Pod dozorem, ale w dobrem towarzystwie. Strzelcy, gimnastyka i śmiech z Pian della Sernaglia. Wielka i święta boleść. «Przeciw barbarzyńcom z Północy». Poeta fortepianu i wieczyste prawdy piosenki.*

Po urągawisku, jakie przez policję doszło do wiedzy władz kantonu genewskiego, władze zurychskie chciały się upewnić, czy też «*le nommé* Mussolini Benito, syn Aleksandra, socjalista rewolucjonista» nie drwi i tym razem z wydalenia.

«Odpokutujecie jeszcze za to niegodne postępowanie — zaprorokował on, zgrzytając zębami, gdy zmuszono go do poddania się upokarzającym pomiarom antropometrycznym.

«Drogi panie, powinien pan być bardzo zadowolony — pocieszał go doktor specjalista — przecież zaledwo osiemdziesiąt osób wybitniejszych ze świata polityczno-rewolucyjnego w całym świecie dostało zaszczytu znalezienia się w naszych archiwach.»

Nie wszystkie policje są jednakowo wykształcone psychologicznie, jak ten pan Bourget. Tajne papiery policji włoskiej dotyczące Mussoliniego zawierają taką charakterystykę przyszłego szefa rządu: «Brak ochoty do pracy».

Z takimi precedensami, gdy znalazł się po poborze do wojska, w jedenastym pułku strzelców w Weronie, przyjęcie nie musiało być nadzwyczajne. Do uratowania go przy-

czynili się jego porucznik i jego zamilowanie do biegu i do gimnastyki. Zwłaszcza w skokach na wysokość był celującym, jak włócznik starożytny. Zdobył sobie, pewnie dlatego zaufanie i sympatię młodego porucznika, nazwiskiem Anselmi, któremu pułkownik zalecił czuwanie nad tą niebezpieczną jednostką. Wkrótce nawet stał się przyjacielem zacnego oficera. Na Pian della Sernaglia, przed bitwą pod Vittorio Veneto, kiedy pozostał oddzielony od reszty wojsk rzeką wezbraną, ze swymi śnialkami, bez żywności, ten porucznik, który był już naówczas pułkownikiem, wykazał niezwykle bohaterstwo, broniąc się wytrwale i zawzięcie z garstką śnialków, otoczony przez nieprzyjaciela, przez długie cztery dni, prawie bez amunicji, zrzadka dostarczanej przez aeroplany przelatujące nad pozycją heroicznym wprost lotem skazańców na śmierć. Pułkownik Anselmi nakreślił jedną z najbardziej wspaniałych i legendarnych stron wielkiej epepei wojennej włoskiej, napisał serdeczną bohaterską krwią jeden z wierszy przedmowy do zawieszenia broni.

Są rzeczy, których opisać nie sposób. List lakoniczny a ostrożny rodziny — «weź pod uwagę, że matka źle się miewa», potem dwa wiersze napisane jej drżącą ręką, potem błyskawiczne wezwanie depeszą «przyjeżdżaj», a potem droga i ostatnie chwile.

«Matko, twoje dziecko cierpi a ciebie, ciebie już niema... Matko!...»

Strzelec ten tak pisał w owe dni do kapitana Simonetti'ego z jedenastego pułku strzelców:

«Predappio, 26 lutego 1905.

«Szanowny Panie Kapitanie!

«W imieniu mego ojca, mej siostry i mego brata dziękuję Panu najserdeczniej a jednocześnie dziękuję wszystkim Panom Oficerom i moim towarzyszom broni za dobre

i szczerze słowa skierowane do mnie. Z dziesiątków listów, otrzymanych w tych dniach, wiele spłonie w ogniu, gdyż znalazłem w nich jedynie powtórzenie zwykłych i banalnych słów okolicznościowych. Pański list, Panie Kapitanie, będzie jedną z najdroższych pamiątek mego życia. Teraz, jak Pan powiada, nie pozostaje nic innego, jak iść za radami mej matki i czcić jej pamięć, spełniając obowiązki żołnierza i obywatela. Kobietom przystoją płacz i jęki — ludzie silni winni cierpieć i umierać w milczeniu, raczej niż płakać — winni działać dobrze, czcić rodzinę i Ojczyznę, nie płaczem nieukojonym ale dzielnymi czynami. Dobrze jest wspominać i czcić bohaterów, którzy krwią przypieczętowali jedność Ojczyzny, lecz lepiej jeszcze pracować nad tem, aby stać się godnymi ich potomkami i umieć przeciwstawić niezwyciężoną barjerę piersi, gdy barbarzyńcy z Północy zechcą sprowadzić Włochy do znaczenia «nazwy geograficznej». Takie są moje uczucia.

«Zechce Pan, Panie Kapitanie, przyjąć moje pełne szacunku pozdrowienia.

«Oddany mu

*Benito Mussolini.*»

«Jedność ojczyzny», często z zaciśniętymi zębami albo zastrzeżeniami myślowymi, była jednak dogmatem szanowanym przez nas, socjalistów ówczesnych, jako etap na drodze ku jedności Międzynarodówki.

Lecz w tym wypadku ojczyzna — w 1905 roku — nazajutrz po pierwszych wielkich strajkach ogólnych — nie jest koncepcją historyczną, przeżytkiem niemal, ale czemś, co żyje i jest rzeczywistością, której bronić należy ze zgrozotą pełną podświadomego przeczucia o zbliżającym się niebezpieczeństwie. I tylko ten, kto naówczas był socjalistą, może pojąć w pełni proroczą herezję tego zdania — «przeciwstawić mur piersi niezwyciężony barbarzyń-

com z Północy». Wiemy przecież, do jakiego stopnia socjalizm włoski naukowy, i przepojony marksizmem, kłonił się kornie przed tymi właśnie «barbarzyńcami z Północy», i to nas może bardziej zadziwiać, niż wojowniczy nacjonalizm słów.

Schorowany i potrzebujący opieki, samotny pan Aleksander Mussolini uzyskał dla syna zwolnienie z wojska. Przyjaciele domu zaś starali się o przykucie młodzieńca do rodzimej ziemi i do życia domowego, posługując się nawet pośrednictwem amora.

W pobliskiej miejscowości mieszkała prześliczna panienka; mówiła po francusku i w dniu świąteczne nosiła rękawiczki. Miała kibić wiotką, jakto naówczas nazywała moda, i oczka pełne wyrazu, jakie dotychczas są modne. Królowa, wespół skromnych nauczycielek miejscowych, za kogóż miała wyjść zamąż jeśli nie za niewiadomego księcia, co rozlewał litry wina na prostych stołach wyszynku ojcowskiego? Nie przemówili do siebie ani słowa, ale, jak miejscowi trubadurzy, w narzeczu śpiewając pochwały Melisandy i Giaufrégo, twierdzili, byli sobie wzajem przeznaczeni. A Melisanda, spotykając go, czerwieniła się i patrzyła nań, rozumie się, z intencją zewszeczmiar uczciwą. Zamiast małżeństwa zrodziła się piosenka. Brzmiała ona:

«Dziewczyno, nie spoglądaj na mnie!»

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad wiekuistymi prawdami, zawartymi w piosenkach? Przysłowia często przeczą sobie, natomiast w piosence tkwi mądrość ludów i narodów. Piosenka mówi nam o rzeczach dawnych, banalnych i podniosłych, jak te pocztówki, z podobizną dziewczyny o wyróżwionych wargach, co tak podobają się rekrutom i na których zgrubiałymi palcami piszą oświadczenia miłosne; jak te lalki z dawnych czasów o oczach niebieskich i złocistych włosach, te lalki, którym dziewczęta dają prawdziwe pocałunki z prawdziwymi łzami. Taka piosenka, nieraz głupia, której życie trwa rok a czasem miesiąc

zaledwo, stanowią temat ogólny, na którym każdy haftuje sobie to, co mu się podoba.

«Dziewczyno, nie spoglądaj na mnie!» — mogła mieć ten sam los. Mężczyzna, któryby chciał a nie chce, «stara się przestrzec» niewiastę najbardziej nęcącym portretem; «jestem ponury i nieszczęśliwy, jeżeli spojrzysz na mnie, spłomieniejesz cała». Od czasów Ewy znamy balladę o «fatalnym zakazie», a będzie ona za dziesięć tysięcy lat ciągle nowa.

Na nieszczęście Tosti umarł albo może oddawał się całkowicie królewskim łaskom angielskiej Wiktorji... i Mussolini — nie zdołał wyrwać miłosnych westchnień z piersi dziewcząt trzech kontynentów.

Natomiast proza jego była znakomita. Pisał do doktora Wyss'a, socjalistycznego posła z Genewy, protestując przeciw bezprawnemu, zamaskowanemu wydaleniu go z granic Konfederacji helweckiej.

«Przybyłem do Szwajcarji jako dziewiętnastoletni chłopak. Pracowałem uczciwie, zarabiając na utrzymanie w Lozannie. Powróciłem do Włoch, aby odwiedzić matkę, potem z przyjacielem moim, Donatini'm, wygnańcem politycznym, zamieszkałem w Annemasse. Mieliśmy zamiar założyć tam czasopismo międzynarodowe poświęcone kulturze socjalistycznej... Podczas ostatnich lat przyczyniłem się, dokładając z własnej kieszeni, do utrzymania «Proletarjusa» w Nowym Jorku, «Przyszłości Robotnika» w Lugano i «Straży Przedniej» w Medjolanie; pisałem dużo i przemawiałem na wiecach. Mogę wezwać każdego policjanta, aby wykazał dowodami, czy są w mych artykułach ustępy, które pozwalałyby uważać mnie za anarchistę.

«Podczas czterdziestu dni pobytu w Genewie, największą część tego czasu spędziłem w bibliotece Uniwersytetu. Dossier mnie dotyczące jest paką kłamstw. Zostałem wyrzucony, jak wścickły pies, co może zarazić wścicklizną wszystkich.»

Ten dualizm zaznaczający się pomiędzy stylem poetyc-

kim a stylem prozy Mussolini'ego znajdziemy zawsze; żelazna kontrola mózgu dławi wzruszenie serca, nieco naiwnego i sentymentalnego. Gdyby nie był on naturą namiętą, impulsywną i pełną przeciwieństw, nie miałby tej siły, jaką opanowuje samego siebie i tłumy, którym dał impuls zapалу. Uczucie skłoniło go do podjęcia ciężaru dawnych przyjaźni, do szlachetnego uznania i wdzięczności za jakiś dawny gest przychylny, nawet wówczas, gdy przyjaciel zdradził go albo stał się niegodnym przyjaźni. Uczucie skłoniło go do podjęcia solidarności nieraz takich, jakie powaliłyby i zgniotły kogokolwiek innego, z tą wspaniałomyślną i przebaczącą wyrozumiałością a jednocześnie przez wstręt do obrony samego siebie. Odplacono mu złem, lecz w tem tkwi jego siła. Lud rozumie te uczucia prymitywne i naiwne niemal i wie, że gdzie się znajdują, istnieją również inne proste a solidne uczucia, tak samo, jak wiemy, że gdzie rośnie błękitny kwiatusek niezapominajki, ziemia jest żywniejsza i wilgotna. I lud wierzy, kocha, ufa i oddaje się temu, kto właśnie posiada te władze prostacze.

A również izarę tragedje, przeznaczone dla słynnego aktora Talmy, służą do przygotowania męskiej, błyskawicznej i pewnej siebie prozy Biuletynów. Bez żyłki imaginacji uczuciowej, choćby nawet zdrenowanej i odpowiednio skierowanej, nie można odnaleźć tajemniczych dróg wspólnoty z najogólniejszymi cechami ludzi.

## XVIII

## O MACHIAVELLI'M I O WINIE

*Podwójne życie. Sławni goście. Czuwanie i wino grzane.  
Preludium al Machiavelli.*

W ciągu dnia zajmował się wyszynkiem wiejskim. W nocy zaś przy zamkniętych żaluzjach i zaryglowanych drzwiach spraszał sławnych gości zasiadających pomiędzy nim a ojcem, przed kominem zadymionej kuchni; książki nieśmiertelne zalegały na tatuowanych scyzorykiem stołach, pokrywając ślady szklanek i butelek.

I choć owi goście nie byli przyobrani w kurjalne szaty, a nawet z wyglądu podobni do tych, co ongi zabawiali się w szynku przy szklance rubinowego wina grą w kości, nie gardzi nimi Messer Mikołaj Machiavelli i tłumaczy powody postępowania książąt i wyjaśnia chciwemu słuchaczowi matematykę praw, jakie rządziły rzymskim cesarstwem — największem po cesarstwie bogów — i stroniczne rokosze Florencji, przedstawiając tę teorię Państwa, jaka wyrasta ponad praktykę, przezysta i pozbawiona czynników ludzkich.

Czytają pokolei nagłos. A ktoś w sercu swem myśli o opanowaniu zmiennego serca ludzi, aby skierować je ku rzeczom wielkim. O, cnoto mądrych! Albo też deklamują zapamiętałe namiętne przekleństwa Carducciego, rzucone podlej ojczyźnie, a ktoś w sercu swem zaprzysięga, że przyjdzie chwila, w której obudzi się z gnuśności tytan. O, słodka cnoto poetów!

Dymi aromatyczną parą pomiędzy ojcem i synem duży kociołek miedziany. Sam pan Aleksander własnoręcznie odmierzył nieznane nikomu przyprawy gotowanego wina. Trzyma w tajemnicy zazdrośnie ten sekret. Czerpakiem do-  
bywa z kociołka nektar rodzimych wzgórz zmieszany z zamorskimi korzeniami. A mieszają się z grzanem winem gorejące strofy i zdania wielomówne.

Często bardzo ojciec i syn, miast pójść do prozaicznych, wyziębionych łóżek, zasypiali z głowami opartymi na rękach i budzili się rankiem zadowoleni.

Schopenhauer i Nietzsche, Max Stirner, Eleatycy i Machiavelli — młody dwudziestoletni chłopak spijał ten aromatyczny sok pesymizmu zdrowego i wielkiego tak, jak inni raczą się miodem łatwego optymizmu. Dzięki swej naturze realistycznej i wrodzonej skłonności do tragizmu, poszukiwał tych duchów, które rozdarły najróżowsze kłamstwa i zgodziły się na akcję silną według koncepcyj zachodnich, nie pomijając jasnego poczucia powodów i celów właściwych koncepcjom wschodnim. Działanie, opanowanie i nadzieja *quand même* poza rozpaczą — ta ewangelja przedziwna czynu gorzkiego a niezbędnego, sprawiedliwego, jeżeli nawet nieuczciwego — były jego pokarmem. Tak właśnie, jak u Greków przewidujących i jasnowidzących poza granicami jakiegokolwiek złudzenia, a mimo to stałych i spokojnych w pogodnej równowadze.

Słowami nie utrzymuje się Państw. Kiedy w 1923 roku uniwersytet w Bolonji ofiarował Prezydentowi dyplom *honoris causa*, zdecydował on, że musi nań zapracować tak, jak zawsze w całym swym życiu. I to hasło potężne nieprawej córy Romanji, która w sercu swym przechowała dumę i zdolności kondotjera Sforzy, wyryte na szpadzie ofiarowanej mu przez Czarne Koszule z Imola, skierowało go ku wielkiemu historykowi i komentatorowi Katarzyny z Imola.

Majowy numer czasopisma «*Gerarchia*» w 1924 roku

zawierał «*Preludio al Machiavelli*», według zamierzeń autora «komentarz z roku 1924 do dzieła «*Principe*» Mikołaja Machiavelli'ego» — dzieła, które on chciałby nazwać: Przewodnikiem dla statystów.

Nie jest to jakaś dysertacja scholastyczna, lecz pewnego rodzaju nawiązanie kontaktu ścisłego pomiędzy doktryną sekretarza Rzeczypospolitej florenckiej z 1500 roku i praktyką rządzenia przeżywaną przez obecnego Pierwszego Ministra Królestwa Włoch, od 1900 roku; rewizja współrzędna obserwacji i adnotacji na temat ludzi i rzeczy, mająca często charakter dramatu.

«Jeżeli polityka jest sztuką rządzenia ludźmi, to znaczy zdolnością kierowania i wychowywania ich namiętności ich egoizmów i ich interesów, oraz korzystania z nich stosownie do potrzeb natury ogólnej, przekraczających za-  
zwyczaj życie indywidualne, i wywierających wpływ w przyszłości — jeżeli to właśnie jest polityką, to bezwątpienia najbardziej podstawowym elementem tej sztuki jawi się człowiek.»

Dzisiejszy komentator nie uważa, iż należy osłabić sąd, jaki o tym podstawowym elemencie wydaje jego dawny poprzednik. Przeciwnie nawet, musiałby go wzmocnić. To, co nazywano utylitaryzmem, pragmatyzmem, cynizmem machjawelskim, wypływa logicznie z zajętego początkowo stanowiska, z głębokiego pesymizmu i z jeszcze głębszej pogardy w stosunku do ludzi; pogardy wspólnej tym, którzy siłą rzeczy musieli się często i wiele stykać z bliźnimi. Machiavelli nie ludzi się. Antyteza istniejąca pomiędzy władcą a ludem, pomiędzy państwem a osobnikiem, jest czemś fatalnym. Władca — a więc według koncepcji Machiavelli'ego — Państwo, reprezentuje organizację i ograniczenie w stosunku do atomizmu socjalnego indywiduum, pchanego ciągle odruchem własnego egoizmu, do wymknięcia się z tego ograniczenia. «Dąży on do niesłuchania praw, nieplacenia podatków, niepełnienia powinności wojennej. Niewielu znamy takich — świętych czy bohaterów — co

poświęcają własne «ja» na ołtarzu Państwa. Wszyscy inni są stale w stanie zamierzonego buntu przeciw Państwu. Rewolucje wieków XVII i XVIII usiłowały rozwiązać ten problemat niezgody, jaki jest podstawą wszelkiej organizacji społeczno-państwowej, tworząc władzę, jako emanację swobodnej woli ludu. Jeszcze jedno kłamstwo, a może tylko złudzenie, przybyło. Przedewszystkiem lud nigdy nie został określony ostatecznie.

«Przymiotnik «suwerenny» przydany ludowi — temu zbiorowisku abstrakcyjnemu, którego rozmiary nie są znane — jest tragicznym żartem. Lud nie jest w stanie wykonywać swej suwerenności, może w najlepszym razie zaznaczać ją przez systemy reprezentacyjne, bardziej mechaniczne niż moralne. To też i w krajach, w których mechanizmy te są w szerokim użyciu, zdarzają się godziny uroczyste, kiedy zdiera się korony ludowej suwerenności — znośne w czasach normalnych — i nakazuje się suwerennemu ludowi przyjęcie rewolucji albo pokoju, albo też rozkazuje się marsz ku brzemiennej w niewiadome rezultaty wojnie. Pozostaje wówczas temu ludowi jedynie prawo lakonicznej odpowiedzi przyjęcia i posłuchu, naówczas właśnie, kiedy miałby on potrzebę istotną własnej suwerenności.

«Referendum ludowe jest wskazane, gdy chodzi o wybranie miejsca na umieszczenie fontanny, ale gdy interesy najwyższe całego narodu są rzucone na kartę, nawet najbardziej demokratyczne rządy powstrzymują się od poddania decyzji sądowi ludu».

Intuicyjne, mniej obfitujące w spostrzeżenia i w doświadczenie rozmyślania te nie różniły się jednak wielce od ważkich rozmyślań statysty. Mussolini należy do uprzywilejowanych istot, którym życie przynosi w darze olbrzymie korzyści duchowe, albowiem od pierwszej chwili są one przygotowane na przyjęcie tego daru.

## XIX

## BURZE MŁODOŚCI

*Piękny typ nauczyciela. «Czyś zadowolona, że walczę za nasze Friuli?». Kwiat i kościół. Oneglia, młocarki i pierwszy proces w ojczyźnie.*

Rok przeżyty w Tolmezzo, w Krainie, wydaje się pauzą w wybuchach instynktów młodzieńczych, słumionych życiem prostolinijnego postępu wzwyż. Moszcz fermentujący gwałtownie stanie się dobrem winem, a zresztą Friuli jest ziemią, zdolną wzbudzić wszystkie najelementarniejsze porwy. Mieszkaniec tej ziemi, silny, uparty i szorstki przetrwa próbę, czy chodzi o pracę czy o wypitkę, o bójkę czy o miłość. A te kobiety z Friuli wspinające się po rodzimych górach, wysokie i proste, dźwigają na głowach ciężary, jak pradawne kanefory, robiące pończochy na drutach aby nie tracić czasu, niosąc stosy cegieł albo idąc kopać szmatek ziemi, na której kartofle walczą o życie ze skałą bezlitosną. Rozwichrzone główki wychylają się z pod fałdów ich spodnic, a ostatnio narodzony spogląda z kosza noszonego na plecach i zwanego gerla. Mówi się tam zazwyczaj o ciężarach poważnych, jakich mężczyzna nie tyka nawet palcem: są to «ciężary dla kobiet». Ludność tej ziemi ma jakiś instynkt wędrowniczy. We trzy lub we cztery, nie zostawiając w domu dzieci, włóczą się młode kobiety z Friuli po całym świecie, sprzedając tasemki, wstążki, guziki albo też warzających wyrzynane z drzewa podczas długich wie-

czorów zimowych. Mężczyźni zaś emigrują również na własną rękę, pozostawiając jedynie stare kobiety dla opiekania się dziećmi i młodemi żonami w ciąży — jako wyrobnicy albo murarze, sprzedawcy gotowanych gruszek albo pieczonych kasztanów. Często nawet w Ameryce można natrafić na te specjalności.

Od tych mrówek ludzkich, nawykłych do powstrzymywania się od picia i znojnego ciułania ciężko zapracowanych groszy podczas letnich okresów, trudno wymagać wstrzemięźliwości w długie wieczory zimowe, kiedy przebywają w domu i piją, aby się rozgrzać.

W Tolmezzo, gdzie powrócił w 1907—1908 roku do zawodu nauczycielskiego, i w całej prowincji, gdzie udawał się na wiece i odczyty, zanim jeszcze został Wodzem i człowiekiem znanym, był uważany za «typ, o jakim trudno zapomnieć». Opowiadają tam wieśniacy moc anegdot o nim. Widziano go często idącego piechotą z miasteczka do miejscowości, gdzie nauczał. Krokiem przyspieszonym przebywał odległości, bez palta, pomimo chłodu dającego się we znaki, bez kapelusza, zaczytany w książce lub dzienniku, który wiatr usiłował wyrwać mu z rąk. Czasem stawał na moście na Tagliamento, i wpatrywał się długo w wodę. A te psoty wesole, straszące nocnych włóczęgów, kiedy okryty prześcieradłem błędził w ruinach feudalnego zamczyska, udając duchy. Pewnej nocy zasnął na cmentarzu pomiędzy grobami, i rankiem słyszano go, jak deklamował wielkim głosem: «Nareszcie obejmuję cię, ty ziemio moja!...»

Młodzież szkolna — 30 czy 40 dzieci, które uczył alfabetu — sprytna i łatwo pojmująca to, co niezbędne, głucha w stosunku do innych nauk, polubiła go, aczkolwiek bała się jego spojrzeń błyskawicznych, wybuchów nagłych i gwałtownych i bicia pięścią w katedrę. Wybuchy te spowodowały denuncjację przeciw niemu wniesioną do Rady szkolnej; oskarżono go, jako bluźniercę. Inspektor szkolny

uwolnił go od następstw tej denuncjacji, dzięki charakterowi kulturalnemu i historycznemu jego bluźnierstw. «Okazało się rzeczywiście, że pan nauczyciel, Benito Mussolini, często zapomina się w słowie, lecz przedmiotem tego bywa zawsze Budda albo też Mahomet».

Wspominają go do dziś dnia, nazywając «tyranem». A i dziewczęta z Friuli oceniały go tą miarą. Ładne są te dziewczęta, ładne i łaskawe, bardzo łaskawe w stosunku do niego. «Zoventut, zoventut, come a Udine» (Młodzieży młodzieży, jak w Udine) — śpiewano podczas wojny i inwazji — nie znajdziesz na całym świecie piękniejszej».

Biada, biada, gdyby nie istniał hamulec towarzystwa żeńskiego w życiu człowieka, którego przeznaczeniem jest wznosić się coraz wyżej, a więc odosobnionego całkowicie, obcego otoczeniu, w jakim żyje. Nawet mijający szybko flirt staje się tem krótkotrwałem a mimo to bliskiem obcowaniem z bliźnim, dopóki nie nadejdzie okres miłości. A charakter duszy hartuje się dopiero w tym ostatecznym harcie sentymentu; jeżeli w stali pozostała jakieś żdźbło albo kropla powietrza, rozpadnie się na kawałki pseudo-wielki człowiek. Generał Boulanger, wojownik z tektury, niedoszły wódz ludu, po długich latach przejażdżki na białym koniu wśród oklasków rączek wyperfumowanych i odzianych w wykwintne rękawiczki, miał skorzystać z chwili, w której mógł osiągnąć wszystko, co chciał, stracił tę chwilę i skończył, jak rozplakana romantyczna modystka, samobójstwem na grobie kochanki. Lecz wojownik rasowy, kierowany instynktem, dąży ku kobiecie, jakiej mu trzeba, która mu pomóc może i nie może zaszkodzić — Józefina, kreolka o dystygowanych manierach, o nadzwyczajnym takcie i doskonałych stosunkach rodzinnych i towarzyskich, lub też piękna Walewska, oddana bezgranicznie. Albo wreszcie miłostki bez znaczenia w wigilję bitwy.

Bowiem tylko delikatność kobieca może zaszcześcić i utrzymać w wojowniku tę szlachetność, która jest również



siłą. Przywołuje ona wspomnienie, nigdy nie zatarte aczkolwiek uśpione, macierzyńskiej pieśczęoty względem dziecka dorosłego, jakim jest mężczyzna, i jest największym, najgłębszym i najcenniejszym, jedynym wreszcie żywym punktem stałego kontaktu, jaki człowiek rozkazodawca może utrzymać z ludźmi.

Można też spotkać w tej części Włoch młodzieńca mającego około dwudziestu lat o typie niepodobnym do przeciętnych typów z Friuli.

Wśród tych rozrywek napotyka poważnych albo nawet warjackich, człowiek studjów, mąż polityczny znajdował czas, aby pracować poważnie. Pobierał lekcje łaciny i greki od światłego prałata Candotti, wygłaszał odczyty i organizował wiece.

Za śmiałą krytykę instytucji państwowych mówiono nawet o możliwym areszcie do tego stopnia, że uciekł w góry i przez osiem dni krył się w zakątkach odludnych, dokąd poczciwy jakiś kolega nosił mu stale pożywienie i wino. Popularność jego wzrosła do tego stopnia, że podczas uroczystego obchodu na cześć Giordana Bruno, kiedy oficjalny mówca jąkał się, nie znajdując słów, obecni chórem jęli domagać się, aby przemówił. «Chcemy, aby mówił nauczyciel!»

Mówił przez półtorej godziny, a kto słyszał go wówczas i dziś, utrzymuje, że może nigdy w życiu nie wygłosił tak szczęśliwie pomyslniej improwizacji i nie został nagrodzony takim entuzjastycznym chórem oklasków.

Może właśnie dlatego nie pozostawiono go na tem miejscu na rok następny. Mam powody do przypuszczania, że z tej zmiany był bardzo zadowolony narzeczony córki gospodyni. Przez zazdrość podniósł raz rękę na swą przyszłą żonę w obecności nauczyciela, który, nie wiele myśląc, wpadł pomiędzy tych dwoje i rzucając na winowajcę ciężkim stołem z masywnego orzecha, nauczył go pięścią respektu dla niewiast.

Jako żołnierz w szarozielonym uniformie przemaszerował w 1915 roku przez Tolmezzo. Dzienniki pisały o nim, to też podczas marszu znalazł na placu ową niewiastę, która przyniosła mu chleba, owoców i wina.

«Dokąd idziesz teraz Benito?»

«Dokąd mam iść? Na wojnę, jak wszyscy. Jesteś zadowolona, że będę się bił, broniąc twego — naszego — Friuli?»

«Bardzo. Przygotowałam ci pokój, ten twój dawny pokój. Jak tylko dowiedziałam się, że tędy będziesz przechodził, pomyślałam sobie o tem natychmiast. Przyjdiesz? Po tylu forsownych marszach odpocznieś przynajmniej tej nocy».

Zawahał się przez chwilę.

«Nie... jestem żołnierzem, jak inni. Daj mi ten trójkolorowy kwiat, jaki masz na piersi. Zachowam go na pamiątkę... Do zobaczenia!...»

Położył na ziemi płaszcz żołnierski a głowę oparł na stopniach świątyni, na stopniach wytartych tysiącami nóg wiernych.

Długo trwała ta pielgrzymka po pobycie w Tolmezzo w 1908 roku. Znalazł się w Oneglia, jako nauczyciel francuskiego języka w prywatnym instytucie imienia *Ulisse Calvi*. Podczas wakacyj, powróciwszy na łono rodziny i oddając się ponownie polityce, miał wytoczony pierwszy proces z powodu przestarzałej kwestji młocarek. «Czerwone» młocarki socjalistów czy też «żółte» republikanów? Walka była zacięta i pełna zasadzek. Każda z maszyn stała się fortecą, siła nie wystarczała, należało zastosować całą strategię i przebiegłość. Kto pierwszy jawił się na placu, ten stawał się panem sytuacji. Został zaaresztowany na czele wyrobników rolnych strajkujących i nie pozwalających na puszczenie w ruch maszyn właścicieli ziemskich; był aresztowany i zamknięty przez dziesięć dni w więzieniu za groźby i wymysły pod adresem dzierżawców.

Jeden z przyjaciół opowiada, że przybiegł właśnie w chwili, kiedy przed Mussolinim, zajęтым czytaniem, sta-nęli żandarmi.

«Pozwólcie mi dokończyć rozdziału, a zaraz pójdę z wami», powiedział, prawie nie odrywając wzroku od lektury.

Malarz, Piotr Angelini, inny jego przyjaciel nieodstępny, który szedł za nim po aresztowaniu, niosąc swą szkatułkę z farbami, powiada, że nie widział nic bardziej interesującego. Była to scena z Rewolucji francuskiej z tym ko-rowodem ludzi wzmagającym się co chwila, podczas gdy bohater szedł spokojny i pogodny, zamknięty w swej aureoli godności do tego stopnia, że nikt z tłumu nie śmiał zakłócić tej chwili jakimkolwiek okrzykiem.

## XX

## SZKIC O FRYDERYKU NIETZSCHEM

*Filozofja siły. Ideja państwa. Słowa wróżebne.*

«*Wille zur Macht*» pisał on wówczas w poważnym szkicu o Filozofji siły, wydrukowanym w dzienniku republikańskim «*Il Pensiero Romagnolo*» — wola władzy, jest kardynalnym punktem filozofji nietzscheańskiej, lecz wydaje się nam niesłusznym sprowadzenie do tej jedynej definicji wszystkich idei Nietzschego. Nie można zdefiniować tej filozofji, albowiem piewca Zaratustry nie pozostawił nam żadnego systemu, a to właśnie, co jest kruchem, bezpłodnym i negatywnym we wszystkich filozofjach, polega na «systemie» tej idealnej konstrukcji, często nawet arbitralnej i nielogicznej, która może być tłumaczona najrozmaiciej, jako spowiedź, jako *mit*, jako tragedia albo jako poemat».

Należy podkreślić słowo «*mit*», charakterystyczne określenie Vilfreda Pareto, używane przezeń, aby zaznaczyć swe stanowisko względem prądów ideologicznych pozbawionych solidnego wnętrza absolutnej prawdy, relatywnych i tendencyjnych a potrzebnych, rzeczy można, podobnych do zmiennych pozorów zewnętrznych, za którymi goniąc, może człowiek zdobyć konkretną, aczkolwiek niewielką część rzeczywistości wewnętrznej.

Chwali on filozofa za to, że utrzymał się w granicach tej względności i tej tendencyjności, jakie są udzielone ludziom.

Nietzsche, mówi on w dalszym ciągu, Nietzsche nie dał nigdy formy schematycznej swym rozmyśleniom. Był on zanadto Francuzem, zanadto południowcem, zanadto człowiekiem strefy śródziemnomorskiej, aby wcisnąć świeże kombinacje swej potężnej myśli w ramy ciężkiego traktatu scholastycznego. Potem przechodzi do rozpatrywania idei ogólnych.

Dla Stirnera, dla Nietzschego i dla tych wszystkich, których Türk w swoim dziele *Der geniale Mensch* nazywa antyzofami egoizmu, Państwo jest uciskiem zorganizowanym na szkodę osobnika. A jednak i dla tego stada jasnowłosych zwierząt, wydanych na łup, istnieje zasada solidarności, która rządzi stosunkami.

«Instynkt towarzyskości jest, według Darwina, właściwy naturze ludzkiej. Niepodobna wyobrazić sobie człowieka mogącego żyć w oderwaniu całkowitem od całego szeregu związków istniejących pomiędzy stworzeniami żyjącymi. Nietzsche odczuwał «fatalność» tego prawa solidarności ogólnej i aby znaleźć wyjście z tej sprzeczności, nadczłowiek Nietzschego — nietzscheański bohater — z wewnątrz oswobadza swą wolę władzy ku zewnątrz, a tragiczna wielkość jego poczynań daje poetom — przez pewien czas jeszcze — treść godną poezji. Lecz z następstwem wojny i zdobyczy zewnętrznych rozszerza się krąg solidarności pozytywnej pomiędzy panującymi a negatywnej w stosunku do uciśnionych. Nietzsche ponownie wpada w sprzeczność; albo nadczłowiek jest «wyjątkiem» i nie poddaje się prawu, albo też decyduje się na ograniczenia w stosunku do swych praw indywidualnych i wówczas powraca do stada. Stając przed tym dylematem, Nietzsche wyobraża sobie, że społeczeństwo ludzkie ginie z hałasem, jak olbrzymi fajferwerk. W orgji palingenezy końcowej jedyny ma odwagę pozostania jedynym w stosunku do wszystkiego i do wszystkich!

«Jest to zatem pewnego rodzaju chaos, w którym, jak

w gigantycznej Charybdzie, idzie pod wodę organizacja państwowa kasty arystokratycznej. A epilog taki jest spowodowany faktem, że człowiek, o ile nie może deptać, poświęcać i niweczyć swego bliźniego, zwraca broń przeciw samemu sobie i znajduje w swym dobrowolnym wykluczeniu ze sceny świata przepaść i szczyt własnego ideału, albo też staje się czemś przeciętnym a więc filantropem, humanitarystą, altruistą... I wówczas to obraz wartości moralnych «odwraca się», i urastają ascetyczne ideały religii buddyjskiej i chrześcijańskiej. Moralność niewolników, koniec końców, zatrzuwa radość starym kastom; słabi triumfują nad silnymi a błądzi synowie Judei rozwalają Rzym.

«Gdzie indziej Nietzsche mówi nam o Chrystusie spragnionym miłości — miłości ludzi — o Jezusie, co przyjmuje najwyższą hańbę ukrzyżowania na Górze Kalwarji, aby dać dowód nieśmiertelny ukochania przez się rodzaju ludzkiego. Jest to Jezus Piotra Nahora; Jezus, doskonały temperament wizjonisty, wprowadzony w ten przedziwny świat misterjów i doktryn religij wschodnich przez Kuwcamithrę, ascetę indyjskiego; Jezus obdarzony nadzwyczajną energią nerwową, dzięki której może zasugerować rzesze maluczkich, dążących ku niemu nad brzegi Jordanu; Jezus, który idzie na śmierć-poświęcenie pogodnie i ludzko, w najgłębszej świadomości, że tego wymaga Wieczysta Mądrość. Lecz w tym Zbawicielu uosabia się — według Nietzschego, zemsta duchowa niewolników... Rzeczywiście, z upadkiem Rzymu znika społeczeństwo władców, może jedyne od czasu, gdy ludzie pozostawili swym następcom pamięć wydarzeń, jakie zaszły na powierzchni naszej planety.

«Aby zrozumieć ten zajadły antychrześcijańizm nietzscheański, należy zaznajomić się nieco z «wewnętrznym światem» Nietzschego. Był on w gruncie rzeczy antytezą psychiki niemieckiej. Powaga niemiecka i merkantylizm angielski były równorzędnie niestrawne dla autora Zaratustry. Być może, że jego antychryst jest ostatnim przejawem tej gwał-

townej reakcji przeciw Germanji feudalnej, szkolarskiej i chrześcijańskiej.

«Istnieje jednak głębszy jeszcze powód tej kampanji antychrześcijańskiej Nietzschego. Dzięki chrześcijaństwu triumfuje moralność wyrzeczenia się i pogodzenia się z losem. Miast prawa silniejszego, jakie stanowi granitową podstawę cywilizacji rzymskiej, pojawia się umiłowanie bliźniego i litość. Umiłowanie bliźniego wydało 20 wieków wojen, okropności inkwizycji, płomieni stosów a przede wszystkim — o tem nie zapominajcie — współczesnego Europejczyka, tego potworka nadętego swą własną beznadziejną przeciętnością, o duszy pozbawionej możności «silnej woli», niedość reakcjonisty, aby stanąć w obronie feudalnej przeszłości, i niedość rewolucjonisty, aby doprowadzić do ostatecznych następstw rewolucji, ograniczonego w każdym czynie i pełnego dumy z powodu systemu reprezentacyjnego, który nazywa największą zdobyczą wieku, z chwilą, gdy pozwala on na szeroką politykę, opartą na podstawie klienteli wyborczej i zaspokojenia skrytych próżności.

«...A wreszcie w naukach ewangelicznych jest koncepcja, która musiała budzić odrazę w Nietzschem: koniec świata.

«Gdy to przygnębiające pojęcie staje się prawem moralnym, życie nabiera charakteru «wegetacji». Ustaje wszelka pobudka, żądło doszukiwania się, bolesne lecz zdrowotne, łamie się, a człowiekowi pozostaje jedynie pogodzenie się z mimetyzmem podłych, którzy udają zabitych, aby pozostawić innym tragedję niebezpieczeństwa. Przy każdej nowej zdobyczy jawi się niebezpieczeństwo i tragedja, albowiem, jak poetycko określa Nietzsche, człowiek jest tą rzeczą, która musi być pozostawiona w tyle, człowiek jest mostem, nie celem... Powinien on czuć się błogosławionym, albowiem jego zmierzch i jego wieczór znaczą drogę nowym świtom... powinien on zawrzeć w harmonijnej jedności to, co w człowieku jest fragmentem i tajemnicą, i strasnym przypadkiem...

Odkupić przeszłość w człowieku, jest to stworzyć od nowa wszystko to, co było, dopóki wola nie powie. «Tak chciałem, tak zechcę».

«Ta wola władzy, jaka przejawia się w nowych wartościach moralnych, artystycznych lub społecznych, daje cel życiu. I tu właśnie Nietzsche brata się duchowo z Guyau. Autor «*Irréligion de l'avenir*» pozostawił tę głęboką maksymę: «*La vie ne peut se maintenir qu'à la condition de se répandre. Vivre ce n'est pas calculer, c'est agir*».

«A Nietzsche powiada: «*Tworzyć! oto wielka nagroda, oto jedyna pociecha w życiu*».

«Umarli wszyscy bogowie a teraz chcemy, aby żył nadczołowiek!»

«Nadczołowiek — oto wspaniały twór nietzscheński. Jakaż pobudka wnętrza, jakiż wewnętrzny bunt podsunęły samotnemu profesorowi języków starożytnych na uniwersytecie w Bazylei to wspaniałe pojęcie?

«Może *tedium vitae*... naszego życia, tego życia w środowisku społeczeństw cywilizowanych, gdzie triumfuje niepodzielnie przeciętność beznadziejna nad rośliną-człowiekiem.

«Nietzsche zwiastuje zorzę bliskiego powrotu do ideału, lecz do ideału zasadniczo różnego od tego, w jaki wierzyły pokolenia minione. Aby go zrozumieć, wynijdzie nowy rodzaj «wolnych duchów» zahartowanych i wzmocnionych w wojnach, w samotności, w wielkim niebezpieczeństwie, duchów, co zapoznały się z wiatrem, z lodami i ze śniegiem wysokich szczytów górskich i co zdolne będą zmierzyć pogodnym okiem całą głębię przepaści — duchów obdarzonych pewnego rodzaju podniosłą przewrotnością, duchów, które uwolnią nas od miłości bliźniego, od słabości woli, powracając ziemi jej cel a ludziom ich nadzieje».

Tak pisał młody Mussolini.

W typie arystokraty lubieżnego i okrutnego, jaki dla

Gabrijela d'Annunzio, stał się typem nadczłowieka, odżywa cudownie księżę Odrodzenia — nie powiem Valentino, gdyż styl ponury i nieubłagany Cezara Borgii nosi cechy hiszpańskie — mam na myśli raczej Zygmunta Malatesta albo Ludowika Moro. Oto Włosi czystej rasy, hedoniści odtworzeni w naszym społeczeństwie plutokratycznym i niwelującym w postaciach Andrzeja Sperelli i Klaudjusza Cantelmo.

Właśnie ten hedonizm stanowi zasadniczą różnicę pomiędzy nimi a nadczłowiekiem nietzscheańskim, pojętym przez Mussolini'ego. Ta charakterystyczna wielce antyteza odzwierciadla dwa duchy narodu, czternasty wiek, namiętny a surowy, i wspaniały wiek szesnasty — pełen okazałości i sielanki wiek siedemnasty i osiemnasty; tragiczne i dumnie wzniesione głązy Etrurji — Dante i Michał Anioł — z jednej strony, a z drugiej Rafael i Ariosto.

Oh, młody Mussolini na darmo śpiewa hymny na cześć czystej radości i uciechy! Sam ton tego wezwania, namiętny, zanadto rozgoryczony i srogie, jest fałszywy i zgrzyta w obliczu prawdy istotnej, zawartej w tragicznej jego duszy.

Nie jest on uczniem helleńskich Charyt, lecz Rzymianinem z krwi i kości, dla którego jest zniewieściałością wszystko to, co miękkie i co wesołe, a który słabością gardzi, jako niegodną rasy zdobywców i panów. Surowy i szorstki, pomimo sporadycznych usiłowań buntu, jest w gruncie rzeczy katolikiem, ascetą-wojownikiem, dla którego zdobycie jest zapłatą samą w sobie, i który uznaje w wyrzeczeniu się po zdobyciu przywilejów najwyższych arystokracji, jakimi byli, są i będą *gens* i baronowie, *ras* abisyńscy i *samuraje* japońscy, dopóki pozostaną niemurszali w swych życiowych zasadach.

Nietzsche protestant, syn pastorów i z pochodzenia Słowianin, pozostający pod wpływem krańcowych mistycyzmów, nie wyłączając sadyzmu ikonoklastycznego i sa-

tanizmu, przechodzi wszelką miarę w heretyckich paradoksach przeciw miłości bliźniego i na korzyść wzniosłej przewrotności, które młody uczeń z jego to właśnie ewangelji żywcem czerpie.

A te momenty są łatwo rozpoznawalne, albowiem zamarły one w otoczeniu tkanek myśli żywych, brzemiennej w bogate następstwa i przyszłe dzieła.

*Woła los! Dwa socjalizmy. Wielka i dostojna dusza włoska. Klopstock, Schiller i Platen. Jan Huss i Klaudja Porticella.*

Ten kraniec Włoch, do jakiego należy Tolmezzo, cierpiał niezmiernie na skutek odcięcia od ojczyzny, to też poza granicą czyniono wysiłki, aby przyłączyć go pramacie-rzy. Może w niektórych częściach półwyspu nie pamiętano o tem, ale w Veneto i we Friuli usiłowanie to odnawiało się stale.

Jeszcze jako dziecko, przyzwyczajone do tego samego zawsze widoku, od pięciu do sześciu razy na rok przejeżdżałam tamtędy. I każdego razu, widząc *Pontebba* przechrzczoną na niemiecki *Pontafel* bez znaczenia, śmieszny rów i dwa pale czarno-żółte na moście, odczuwałam zawsze odruch buntu i zimny dreszcz w sercu. Przecież i tu i tam jednakowe widoki, jednakowe domy i jednakowi ludzie.

Nieco dalej, ku północy, wznosiły się łańcuchy gór, i płynęły rzeki, potężne barjery na austriackiem terytorjum po obu jego stronach. Dla nas żadnej obrony, poza mostem długim na cztery kroki, żadnego oporu naturalnego, aby powstrzymać inwazję, gdyby ten kudłaty *kaiserlich* z kociółkiem na łbie pozwolił sobie na przekroczenie mostu.

«Gdy zemrze stary *Franz Joseph*, to wtedy cała ta sztuczna Austria się rozleci», słyszałam ciągle z tej strony

mostu a częściej z tamtej. «Biurokracja i wojsko, cementujące ongi ten zlepek, psują się i są zużyte. Jedyne siła inercji «starego» działa jeszcze».

Powtarzano te zdania tyle razy, że przestałam w nie wierzyć, przestałam wierzyć nietylko w rozlecenie się Austrii ale i w śmierć cesarza. Walilo się wokół wszystko, starzeli się wszyscy, marli naokół niego, a on pozostawał, uparty i nieśmiertelny, jak przesąd. A jednak po długiem wyczekiwaniu sprawdziły się i śmierć jego i upadek Austrii.

Socjaliści z poza granicy powierzyli Mussoliniemu urząd sekretarza Izby Pracy w Trydencie. Po przebyciu zagranicą krzyżowej drogi emigracji, nie otoczonej odpowiednią opieką, przeżywszy mękę rozdartych na kawaly ziem granicznych, dla zdobycia doświadczenia natychmiastowego i możliwości obrony przyszłej, musiał on przeżyć bezgraniczne i ciężkie trudy i żale bezbronnej ludności włoskiej, oderwanej od naturalnych ośrodków, od kultury, od interesów, od uczuć ich własnej narodowości. Los wołał.

A socjaliści byli wówczas benjaminkami «ojcowskiego rządu» w prowincjach włoskich, poddanych Austrii. *Lizusy*, jak nazywał ich z szyderstwem lud w Trieście.

W ciągłym niemal, gwałtownym konflikcie narodowości, który groził rozepchaniem obręczy jednoczących imperjum, socjalizm stanowił element antynarodowy i bezcenny dla skomplikowanej gry politycznej dworu austriackiego: podziałowi pionowemu grup etnicznych przeciwstawiano przeciwwagę poziomą amalgamatu nowego, klasowego i, z auto-definicji międzynarodowego, tworząc w ten sposób równowagę podstaw zachowawczych. *Divide et impera*. Ale Cezary Battisti w Trydencie, jeden z pionierów idei socjalistycznej, nie poddawał się oszukaństwu *allddeutsch* partji organizowanej i opanowanej przez Wiedeń. Koniecznem jest — dowodził on — z punktu widzenia historycznego i moralnego, aby nie mieszano faz ewolucji. Przedewszystkiem musi zatriumfować zasada narodowa dziewiętnastego

wieku, a potem lud załatwi się sam z mniejszościami egoistycznymi, aby zatriumfowało wreszcie prawo dobrobytu większości. Lecz przedewszystkiem należało przyłączyć się do pnia! Kwestją duchową były rasa, język i kultura, a kwestja ta musi panować i panuje nad walką materialną na rzecz brzucha.

Rozumie się, że partja oficjalna socjalistów austriackich, gorąco niemiecka, patrzyła nań z niechęcią, a wydawał się on jednocześnie podejrzanym partji socjalistycznej włoskiej, która chłodno odnosiła się do włoskości. Bohater w ciągu życia, przed swą bohaterską śmiercią na szubienicy, zasłużył sobie przez męki i cierpienia na tragiczne wyniesienie na stryczku. Nie było to przypadkowe, ani też nieoczekiwane, lecz zdobyte ciężko przez długie lata to męczeństwo święte i ta aureola, do jakiej męczeństwo samo nie daje prawa. Szyderczy uśmiech kata Langa obok pełnego świadomości oblicza Battistiego, oto rzeczywistość antyteza, zrealizowana w sztuce przez Leonarda da Vinci i przezeń wyidealizowana; antyteza pomiędzy człowiekiem-zwierzęciem a człowiekiem-bogiem. Przypomnieć trzeba, że w lipcu 1916 roku, *Avanti* wydrukował, jako komentarz do stracenia Battistiego, następujące zdanie: «Umrzeć dla własnego ideału jest zbytkiem burżuazyjnym».

Zbytek burżuazyjny, zrozumiany jako przeciwstawienie plebejuszowskiemu, a więc zbytek duchowy i arystokratyczny... był pojęciem znakomicie dostosowanym.

Wówczas, pod koniec 1908 roku, kiedy Mussolini przybył do Trydentu, piękna głowa ciemnowłosa, przypominająca głowy spiskowców romantycznych z okresu Mazziniego, wznosiła się jeszcze dziarsko na solidnych barach górala. Młody sekretarz Izby Pracy, nie znając dobrze stosunków miejscowych, zbliżył się zrazu do grupy «Przyszłości», nazwanej tak od tytułu dzienniczka wydawanego przez nią, grupy austrofilskiej, która otrzymywała we Wiedniu pokarm duchowy a może i inny. Ale spostrzegł

się prędko i przeszedł do redakcji dziennika «Lud», wydawanego przez Cezarego Battisti, i skorzystał natychmiast z jego pomocy, aby poświęcić się pracom naukowym nad geografją Trydentu, pracom, uważanym dzisiaj za podstawowe.

Otrzymał sto dwadzieścia koron miesięcznie i był szczęśliwy pośród nawału pracy, złożonego z polityki, propagandy, polemik, artykułów, paru lekcji języka francuskiego, gry na skrzypcach i innych zajęć nieprzewidywanych. A że pracy było mu znać za mało, dodał do tego wszystkiego studja osobiste i napisał Szkic o poezji Fryderyka Klopstocka. Przeczytanie całej Mesjady w porównaniu z którą Raj utracony Milтона jest pracą łatwą i wielce zabawną, było rekordem. Chciał przygotować cały tom szkiców pod tytułem: Studja krytyczne nad literaturą niemiecką, którego częścią miał być szkic wyżej wspomniany i drugi pod tytułem: Postacie kobiece w Wilhelmie Tellu Schillera.

Strona sentymalna, która w uczniu Machiavelliego i Nietzschego uzupełnia i miarkuje uczuciami ludzkimi drażliwy pesymizm mistrzów, skłaniała go do zachwycania się poezją optymistyczną i idealistyczną Schillera. Pewnego razu, gdy leżał ranny w szpitalu, jakiś ksiądz przyniósł mu w symbolicznym darze «Joannę d'Arc» tegoż poety. Pamiętam, jak przerzucał kartki, uśmiechając się rozjaśnionymi oczyma i wołając: «Znam to... znam...». Odnalazł przyjaciela.

Pogarda życia i pragnienie wolności — zauważa on w swym szkicu — są charakterystyką zarówno Berty, jak i Gertrudy, «bohaterki płonącej miłością ojczyzny, które porównać można jedynie z Adelajdą Cairolą i Ludwiką Michel».

Do tego samego cyklu należy krytyka o «Platenie i Włochach», zawierająca namiętne i zazdrosne niemal poczucie narodowe, tkwiące w głębi duszy nieprzejednanego rewolucjonisty, międzynarodowca.

«Pogarda dóbr ziemskich, zamiętanie samotności, tęsknota do śmierci i wzniesienie się ponad pojęcie ojczyzny — stopcie wszystkie te elementy w duszy poety, a stanie się «śródziemnomorskim» w znaczeniu nietzscheańskim tego słowa.

«Nie należy się dziwić, że Platen ukochał Włochy, tę ziemię śródziemnomorską. A idąc za maksymą Leonarda da Vinci, chciał poznać dokładnie i zbliżyć przedmiot swego ukochania. Przebiega zatem cały półwysep małymi etapami, przemieszkując długo w małych i dużych miastach, rozweselany ziemią, słońcem, powietrzem i morzem.

«Wszystkie zakątki Włoch odwiedził Platen nie z zainteresowaniem zewnętrznym turysty albo też z jednostronnym zainteresowaniem badacza, lecz z ciekawością poety w znaczeniu najbardziej podniosłem tego słowa. Włochy są dla Platena «ziemią obiecaną», na której wszystko jest święte, i nie tylko opisuje miejscowości, ale obudza pamiętki, łączy przeszłość z teraźniejszością, żyje przeszłością i ożywia ją. W poezjach Platena i w epigramatach odnajdujemy nazwy wszystkich naszych miast».

Jeżeli znajduje się przedpiekle przeznaczone dla książek martwych w chwili urodzenia, dla tych duszyczek, które rozwiały się bez chrztu rozgłosu i reklamy, to w takim razie *Historja rewolucji francuskiej* Carlyle'a, spalona w jedynym manuskrypcie przez roztargnionego przyjaciela autora, znalazła pewno rozczulającą towarzyszkę w «*Historji filozofji*» Benita Mussoliniego, grubym rękopisie, spalonym z zazdrości przez pewną młodą kobietę z ludu. Wyczytała ona w tym rękopisie wiele imion cudzoziemskich a przypuszczała, że były to imiona kobiece; zemściła się tedy na całej tej domniemanej «miłosnej korespondencji».

Autor wykazał z filozoficznym spokojem, iż przyswoił sobie treść filozofji zanatomizowanej przez badanie bez zastrzeżeń à la Nietzsche.

Takie przynajmniej mogą być domniemania, o ile się sądzi po stylu i idejach obecnych autora i po wspomnieniach rzadkich, tu i ówdzie przejawionych na temat treści tej pracy, która wymagała znacznych trudów.

W ciągu tych lat, studjując problemat religijny ściśle związany z historją filozofji, napisał książkę o Janie Hussie, która została nie spalona, lecz nawet wydrukowana a potem przetłumaczona na czeski język. Zdaje się, że jest to jedyna poważniejsza książka włoska o poprzedniku heretyckim Marcina Lutera.

Czeską, aczkolwiek i rzymską była skromniutka firma wydawnicza Guidona Podrecca, która wydała to dzieło, dziś już zupełnie wyczerpane; nie rozesłała ona wtedy nawet przepisanych prawem egzemplarzy do bibliotek. Niefrasobliwym, jak prawdziwy reprezentant cyganerii literackiej był i autor, któremu na myśl nie przyszło, aby zachować sobie egzemplarz tej książki. Pociągnięcie piórem jest dlań, jak cios szabłą, ma wartość jedynie w znaczeniu czynu, wysiłku i zdobyczy.

Dawny współuczeń jego z Forlimpopoli opowiada, że niedawno zwierzył się Wodzowi w rozmowie:

«Wiesz, zachowałem wszystkie twoje listy, przypominające przeszłość. «Dlaczego?» — spytał Mussolini z błyskiem w oczach. «Przeszłość nie może być celem, lecz jedynie punktem przejścia linii nieskończonej, która nosi nazwę postępu. Zatrzymać się, to znaczy wrócić, my zaś powinniśmy iść naprzód, aby polepszać samych siebie, rozwijać się coraz bardziej, coraz bardziej!»

Dlatego więc Mussolini roznamiętnia się raczej polityką, rzeczą zmienną, wieczyście nietrwałym gmachem z piasku sypkiego, którego każdy osobnik jest ziarnkiem odśrodkowem, a nie doskonałością skończoną i ostateczną sztuki. Dodatek tygodniowy ilustrowany dziennika trydenckiego, pod nazwą «*Życie trydenckie*», drukował w czasie pobytu Mussoliniego w Trydencie parę jego nowel, zaj-



mujących i patetycznych, jeżeli czyta się je dzisiaj. Po-  
dziurawione maski obojętności cynicznej i *blasée* pokrywają  
zapal prymitywny i naiwność pełną namiętności i łez.

«Jestem *«rond de cuir»* w Banca d'Italia i naczelnikiem biura Emisji Międzynarodowych. Mam dwadzieścia dziewięć lat, jestem kawalerem, mieszkam z matką. Ukończyłem studia prawne w Bolonii i otrzymałem stopień doktora; przez pewien czas pociągała mnie adwokatura, ale prędko porzuciłem ją i zdecydowałem się na objęcie stanowiska wyższego urzędnika w banku. Pensja moja wynosi pięćset trzydzieści lirów miesięcznie, co wraz z dochodami z dóbr ojcowskich pozwala mi na życie dostatnie». Tak się zaczyna nowela zatytułowana *Nic nie jest prawdziwe, wszystko dozwolone*. Tytuł w stylu Nietzsche'go poprzedza tytuły Ludwika Pirandelli. Wystarczy ten krótki przykład, aby wykazać daremny trud przybrania się w szaty moralne *rond de cuir*.

Siekaniną bez końca i początku, filmem o znacznej długości, nazwać trzeba romans historyczny, napisany przez Mussoliniego w stylu Dumasa ojca, p. t. *Klaudja Porticella albo kochanka kardynała*, nader jaskrawym. Jest w tym romansie jednak pewna brutalna i gruboskórna żywotność. Autor tego romansu odcinkowego tak samo, jak w artykułach i w czynach, odczuwa instynktownie słowo, zdanie albo wypadek mający wartość mocną i pewną.

Powieść ta stała się rzeczywiście szczęśliwą gwiazdą dla dziennika *Popolo*. Co pewien czas ojciec zniecierpliwiony i kapryśny chciał zamordować tę istotę, której dał życie dla zabawy, a która potem wymykała mu się z rąk i zmuszała go do dalszej pracy. Zamiar ten nie doszedł do skutku, albowiem przychodziły wówczas bileciki Cezarego Battisti, zabraniające mu tego i proszące: «Nie zabijaj jej... Odnawia się abonament... Jeszcze trochę tlenu... kończy się kwartał».

Zmuszony do oszczędzania bohaterki, Mussolini znajdował ujście dla swego instynktu zabójczego w stosunku do osób drugorzędnych. A modystki, rzemieślnicy i chłopcy sklepowi pięknego miasta podgórskiego ze drżeniem co ranka otwierali dziennik, przeczuwając nowe tragedje i wylewając nowe strumienie łez nad nowymi strumieniami atramentu.

Potem spoglądali na wieże zamczyska *Buon Consiglio*, a widziadła feudalnego księcia biskupa i jego kochanki wywoływały w szarzyźnie dnia pracy rozkoszne dreszcze.

## MIĘDZYNARODOWOŚĆ A NARÓD

«*Granica Włoch nie leży w Ala*». *Kajdany i policjant uprzejmy.*  
*Odrodzenie. Książka stłumionej namiętności włoskiej.*

«Piątek rano, około 9-ej.

Drogi Gib!

Piszę ci z mieszkania pięknego (tendencja do ograniczenia, matematyka wyższa), aby dać wieści o sobie (styl kaprański). Mam się dobrze, nie wiem nic jednak o mej niewinnej rodzinie. Więzienie jest miejscem pobytu nader przyjemnym. Naprzykład dzisiaj zabawiam się patrzeniem na deszcz. Połknąłem dwa grube tomy po niemiecku, przeczytałem Maupassanta. Przed niedzielą i *Chmura* również wzniesie się do nieba, i będę pocieszał się *De Profundis*. Baroni pisze mi ze swego zamczyska, że mogłem opóźnić tę kurację... jakgdyby pewne rzeczy zależały od nas, pokornych śmiertelników, rzuconych jak piach, gdy wiatr wieje. We wtorek o 5-ej skończę odsiadanie kary, ale o 4-ej, a więc na godzinę przedtem, w Trybunale rozpoczął się inny proces przeciw mnie. Jestem Cyreneuszem, skazanym na branie odpowiedzialności za przestępstwa innych. Ta dziwna, bardzo dziwna zbieżność nie będzie ci się podobała.

Czy nie wydaje ci się, że należałoby poradzić się wyroczni? Wiem, że ty poradziłbyś mi Apollina z Delf. Ja zaś

wolałbym Sybillę Kumejską. Jeżeli los przedłuży mój areszt do wtorku, staw się na proces. Przypomnij mnie «zapominającej». Nie mogę zdecydować się na posłanie ci białej kartki, więc jeszcze kilka wierszy napiszę. Dzisiaj zajęty jestem troską meteorologiczną, chciałbym wiedzieć, czy obniżenie temperatury panuje w centrum Europy, czy też ogranicza się do Południa jedynie. W tej chwili i ja ofiarowałbym trzydziestu sześciu książąt za niewielki atlas, zawierający linje opadów atmosferycznych.

Tymczasem pozdrawiam cię

*Mussolini* ».

«Do Pana Gib, Kawiarnia Zanella, ulica Carducci'ego.  
Z Królewsko-Cesarskiego Więzienia w Trydencie».

Kończyły się zawsze w więzieniu te wycieczki s wawolnika Mussoliniego, jak nazywały go dzienniki austriackie. «Nie obrażacie mię tą nazwą, albowiem swawolnicy włoscy nosili imię Balilla», odpowiadał.

Był w ciągłej walce ze wszystkimi, z klerykałami, z austrofilami z przekonania albo z tchórzostwa, z ludźmi strachliwymi, dbającymi jedynie o własne marne sprawy materialne. Szczególniej wojował z pewnym szeregiem członków-gospodarzy Izby Pracy, którzy z niezadowoleniem patrzyli na jego sympatje dla ruchu separatystycznego Czechów i Włochów i nawoływali go do propagandy na rzecz organizacji ekonomicznych, skupionych w Wiedniu. Wreszcie znieczepliwony wybuchnął, drukując pamiętne słowa: «Granica Włoch nie leży w Ala».

Za to spostrzeżenie geograficzne, po uwięzieniu, otrzymał nie karę, lecz wyrok wygnania. Poprowadzili go w kajdanach, pomiędzy żandarmami, właśnie na granicę w Ala. Biuro policji było zamknięte o tej południowej porze, a więc ładna postać niewieścia, biało ubrana, otworzyła drzwi przyległego apartamentu barona węgierskiego Von..., cesarsko-

królewskiego komisarza policji i młodego małżonka. Nie wiem, czy głos uprzejmości niewieściej przemówił w owej chwili, lecz to pewne, że baron pojawił się w chwilę później, podpisał papiery, przejął więźnia i kazał mu zdjąć kajdany. Była pierwsza godzina, pociąg do Włoch wyruszał dopiero o siódmej. Przyjrzał mu się oko w oko.

«Jeżeli pozostawię pana na swobodzie przez te sześć godzin, da mi pan słowo honoru, że stawi się pan na pociąg w oznaczonej godzinie? Będzie pan próbował ucieczki? Wystarczy mi pańskie słowo honoru, panie profesorze; proszę wziąć pod uwagę, że nie każę pana śledzić...»

Przychodząc punktualnie na stację pół godziny przed odjazdem pociągu, więzień na słowo honoru znalazł na peronie komisarza, który powitał go znaczącym skinieniem głowy.

Kiedy opowiada swe przygody więzienne, twardnieje i kurczy się, jakgdyby starał się nie poddawać uczuciom bólu. Drży ze wzruszenia na myśl o tym akcie dobrze zrozumianej ludzkości.

«Wyrok (wydalenia), jeżeli nam sprawia głęboki żal, dla niego jest zaszczytem; jeżeli dla nas jest zgubą, dla niego jest chwałą!» — pisał Cezary Battisti w swym dzienniku *Popolo* w Trydencie.

Później stosunki serdeczne pomiędzy nimi rozluźniły się i ochłodziły z powodu źle pojętego uczucia litości, jakie żywił Battisti dla pewnego nędznika. «Uwierzyć nie mogę — pisał wydalony z granic Austrii Mussolini — że moje miejsce w piśmie zajmuje taki marny osobnik, i wstyd mi, że należał do redakcji *Popolo*».

Nie zobaczyli się więcej, aż w 1914 roku, kiedy poseł trydencki do parlamentu austriackiego zdołał uśpić czujność policji cesarskiej i uciec do Włoch, aby apostołować konieczność świętej wojny przeciw niemieckości. W imię tego hasła pogodzili się bez wyrzutów.

Osobnik, który ich rozdzielił, był to ten nędzny Vasilico

Vergani, który smutnie zasłynął później, jako Judasz; w godzinie pobliskiego męczeństwa zdradził, sprzedał i obrzucił wyzwiskami swego dobroczyńcę.

Mussolini, po powrocie do Włoch, nie czując się skrzępowany obowiązkami ostrożności względem Austrii, wydał mały tomik, wydrukowany przez «La Voce» w Florencji pod tytułem: «Trydent widziany przez socjalistę».

My bowiem, członkowie nowej burżuazji, przez paradoks pozorny, za którym krył się życiowy instynkt samozachowawczy, zaciągaliśmy się pod znaki ówczesnych przypuszczalnych nieprzyjaciół burżuazji. «Kto nie był nikiem w tych czasach, stawał się socjalistą» — słyszałam później, jak słusznie zauważył Filip Turati. Był to socjalizm *Schandempörung* — etycznego buntu przeciw parazytymowi sceptycznemu i przyziemnemu małych tyranów południowych i aferzystów północnych — który tajemniczymi drogami duchowymi umiał przenikać do domów takich, jak na przykład ten, w którym byłam zamknięta do piętnastu lat wypełnionych nauką i zabawą wśród tendencji klerykalnych. Karłowate pokolenie epigonów, wyrosłe po olbrzymach epoki odrodzenia politycznego Włoch, zbierało majątki, odrzucając szatę wielkości w aspiracjach i przybierało się w pedantyczny, zimny odruch pogardy dla «retoryki» i «czterdziestego ósmego roku» i w uwielbienie bezgraniczne dla przemysłu i doktryny naukowej pozytywizmu niemieckiego.

Trzeba było odrobić czas stracony, i podczas gdy d'Annunzio rzucał przed oczy nasze błyskotliwe swe wspaniałości, a westchnienie Jana Pascoli przybierało formę melodyj poetyckich, podczas, gdy powtarzano jeszcze wezwania i przekleństwa Carducciego, kultura włoska z żarliwością dziecięcą i płodną uzupełniała swe luki w stosunku do zagranicy.

Ludzie, myśli i pobudki czynów gdzie indziej ożywiały

całe pokolenia — we Włoszech jawiły się współrzędnie, jak obrazy na przezroczach i jak one właśnie, miały bez wywoływania wzruszeń organicznych. Papini i Prezzolini, inicjatorzy przedsięwzięcia, wydawali cały szereg czasopism: *Leonardo* nietszcheańskie, *Il Regno* nacjonalistyczne, założone przez Henryka Corradini, potem *La Voce* eklektyczna bardzo żywotna, wreszcie *Lacerba* do spółki z Sofficim i futuryzmem Marinettiego pod względem kultury antykulturalna i w swej gwałtowności politycznej nieparlamentarna. Tak dotarliśmy do przedednia wojny i interwencji włoskiej. Nie jest bez znaczenia to zbliżenie się Benita Mussoliniego, intelektualisty z niewielkiej grupy socjalistycznej rewolucyjnej, do grupy *La Voce*, dla zrealizowania odrodzenia przez kulturę i przedsięwzięcia społeczne.

Chcieliśmy wszyscy poroztwierać drzwi i okna tego zamkniętego, stęchłego budynku. Turati uważał, że należy to robić powoli, powolutku; Marinetti zaś chciał porozbijać szyby; Mussolini natomiast, zrujnować i rozszerzyć mury, jak to się stało poprzez wojnę.

Przeszedł dreszcz wojny i zostawił ślady na stronicach książki pod tytułem: «Trydent widziany przez socjalistę». «Przypiski i wiadomości» tak brzmi podtytuł na okładce; chce on być obiektywnym i opartym na dokumentach, a brzmi jak dźwięk pobudki wojennej.

Solidarność ortodoksyjna Międzynarodówki została wchłonięta i przygłuszona przez heretycki głos, głęboki głos solidarności rasy i krwi.

Jest to akt oskarżenia przeciw nacjonalizmowi, z nadto rozwodnionemu, ugodowemu i skłonnemu do ustępstw na rzecz burżuazji pod zaborem. Podłość i nierzetelne robienie interesów, a więc zamięłowanie do pieniędzy i do spokojnego życia, są wieczystymi nieprzyjaciółmi rasowego zdobywcy oderwanego od dóbr tego świata bardziej, niż anachoreta w Tebaidzie, ascetycznie rozmiłowanego we władzy dla niej samej, aby zdobyć sobie władzę jeszcze większą,

a nie jak ludzie o przeciętnej ambicji dla zadowolenia i zdobywcy natychmiastowych i hedonistycznych.

Z tych samych powodów wymyśla i burżuazji Królestwa, gnuśnej i nieświadomej walk, staczanych przez braci.

«Oni myślą, że w Trydencie mówi się po niemiecku — wykrzykiwał z goryczą. — Nie rozróżniają Trydentu od Tryrolu, a często bardzo jakaś naiwna dusza pyta, czy Trydent leży w pobliżu morza, jak Triest».

Rozpatruje od pierwszego rozdziału teorię pangermanistów, zwolenników «najczystszej aryjskości», Gobineau i Lapouge'a, Francuzów, Houstona Chamberlaina, Anglika, Woltmanna, semity, Reintera, wiedeńczyka. Ani jednego czystego Niemca nie można znaleźć wśród tych «germanistów» rozsiałych. Słowo jest metalem, którego dźwięk wykazuje szczerść hartu duszy, to też nie dostrzeże się w jego słowach pośmiewiska lub pogardy nawet w stosunku do najbardziej absurdalnych niepowściągliwości. Dobry uczeń Nietzschego interesuje się błyskotliwością wymyślnych idei, nawet paradoksalnych, i pociąga go ta nadczłowieczość, rozciągnięta na całą rasę zdobywców-władców wobec plebsu zwyciężonych-niewolników. Lecz już w tem spokojnym, obiektywnym przedstawieniu syntetycznym dostrzec można bunt przeciw zdefiniowaniu, że my jesteśmy «rasą chaosu» a Rzym «stolicą chaosu».

«Wystarczy przejść się choćby raz tylko po muzeum w Berlinie i po galerji biustów Odrodzenia, aby przekonać się, że zanikł najzupełniej typ wielkich Włochów tego czasu».

Dlaczego przytacza dosłownie to zdanie Chamberlaina, pomimo pewnej charakterystycznej tendencji w tej książce do nieprzytaczania ustępów. Prawdopodobnie burzyło się w nim coś podświadomego przeciw temu oświadczeniu Chamberlaina. «A ja? ja? ja?»

Nie zdarzyło mi się w żadnym z muzeów i miast włoskich, abym nie miała tego wrażenia podziwu, odnajdu-

jąc tak wiernie oddane rysy prastarej rasy w każdej manifestacji od glinianych wyrobów z Veio do marmurów rzymskich, od bronzów Gattamelaty w Padwie i Colleonego w Wenecji — ten ostatni podobny jest do Wodza, jak brat rodzony — aż do dzisiejszej młodzieży. Najprawdopodobniej dzięki zjawiskom przystosowania atawistycznego i psychologicznego, znaczna część młodzieży włoskiej, pod twardym kowadłem wojny i dyscypliny faszystowskiej, została modelowana według typu zdecydowanego i wojowniczego.

W książce tej znajdujemy przestudjowany i udowodniony wpływ wojowniczych teoryj pangermanistycznych na liczne i możne organizacje szkolne i polityczne przedwojenne wraz z uwzględnieniem śmiesznej wprost biedoty środków propagandowych i akcji przeciwstawianej im przez czynniki włoskie. Lecz organizacja — mechaniczne bożyszcze germańskie — czyż może być przeciwstawieniem fatalności, która jest śródziemnomorską boginią? Ludność, szybko wzrastająca, naturalnym i niepohamowanym odruchem garnie się ku dolinom, dokąd nadaremnie schodzą barbarzyńcy, zajmuje chciwie przełęcz alpejskie, boryka się o każdą piędź ziemi, zajmuje ją i głęboko zapuszcza korzenie, aby pozostać. Był on pierwszym, jak mi się wydaje, ten socjalista międzynarodowiec, który miał odwagę, wbrew ogólnej opinji tego czasu, wykazania i udowodnienia, że łacińskość nie traci terenu na granicach Włoch, a natomiast rozciąga swe posiadanie w tempie coraz szybszym.

«Jakie będą wkońcu rezultaty tej walki? Kto będzie zwyciężony? Jaki język, a zatem według pojęcia Giobertiego, jaka narodowość zaniknie?

«W dolinach łatyńskich proces italyzacji trwa niepohamowanie, i oazy niemieckie są zagrożone. Postępy pangermanizmu nie zatrważają, jakkolwiek należy je śledzić. Element włoski, złożony przeważnie z ludu pracującego, zdobywa teren. Niemcy nie umieją się dostosować do na-

szej kultury rolnej i muszą ustąpić. Jedność etnologiczna i psychologiczna włoska wzmacnia się. Chwali *Avvenire del Lavoratore*, dziennik socjalistyczny, albowiem «służy on potrzebom podtrzymywania pomiędzy grupami emigrantów włoskości językowej». I twierdzi: «Jedność materialna i moralna proletariatu austriackiego jest rzeczą niemożliwą do osiągnięcia, gdyż każda rasa, każdy naród wnosi do ruchu robotniczego własną duszę, a również dlatego, że nie można zniwelować tego, co jest zasadniczo różne... Dyscyplina prawie militarna usiłuje stworzyć wątlą międzynarodówkę pomiędzy robotnikami, którzy nie czują braterstwa.

«Robotnicy zorganizowani nie wyrzekają się własnej narodowości. Za potwierdzenie tego może posłużyć następujący przykład. Stolarze włoscy z Bolzano, połączeni w lokalnej organizacji z Niemcami, zażądali przyznania im prawa używania języka włoskiego podczas zebrań zawodowych. Zarząd tej organizacji, złożony przeważnie z Niemców, odmówił temu żądaniu, i wówczas Włosi stworzyli własną autonomiczną grupę, motywując rozdział uchwałą, którą należałoby całkowicie przytoczyć. Piękna nauka dla pewnych liberalów narodowych, którzy w czasie wyborów drukują w Trieście odezwy po słowiańsku, a w Trydencie po niemiecku!»

Ten socjalista, nie znoszący żadnego kompromisu, o ile chodzi o kwestję języka, a zatem o kwestję narodowości triumfującej — według jego najgłębszego przekonania — rewindykuje narzecze łatyńskie, mowę neolatyńską, nieco skażoną naleciałościami dolin górnej Adygi, podobną do mowy, jaką znajdujemy dzięki zjawiskom równoległym we Friuli i w zamkniętych dolinach alpejskich Graubünden, która tam jest nazywana «romancio». Tak samo w Trydencie stanowi ona granicę odwieczną między nami a Niemcem. Przeczy zdecydowanie, aby Salorno, ustalona granica narzecza italskiego, miało być granicą rzeczywistą, już

wtedy odmawiając jakiegokolwiek wartości temu wązowowi w Salorno, stanowiącemu rzekomą granicę językową, o jaką tyle wrzawy i tyle trudności narobili zwolennicy tak zwanego *Süd-Tyrol'u*. I tak jak *Popolo*, organ Cezarego Battisti, powtarzał on również: «Czyż jest kryterjum intelektualnem to, co zmusza posłów tyrolskich do nazywania naszych dolin ziemią do zdobycia, gdy nam narzucają siłą język nieznanany? Przeciw gwałtowi, gwałt».

Co się zaś tyczy przyszłości, na jednej z ostatnich stronie przedstawiał różne możliwości, odrzucając jednak kategorycznie najróżowsze hipotezy pokojowego optymizmu. «Nie żyjemy już w czasach, kiedy zmiana monarchy może spowodować katastrofę państwa. Czem jest państwo w bezpośrednim materialnym objawie? Państwem jest wojsko i biurokracja. A przecież państwo austriackie ma do swej dyspozycji jaknajwierniejsze wojsko i biurokrację cesarską nie z obowiązku, lecz z uczucia».

Fakty wykazały, że miał słusność.

Innym absurdem była nadzieja w ustąpienie dobrowolne.

Austria zdobywa i przyłącza, ale nie oddaje. Austria nie może oddać nam Trydentu. Wydała ona dziesiątki i dziesiątki milionów nie dla wykorzenia pellagry, rozumie się, lecz aby budować koszary i drogi wojskowe. Wszystkie szczyty gór są ufortyfikowane».

I również, kosztem krwi, stwierdziliśmy słusność tych słów.

«Jest jeszcze jedna hipoteza, hipoteza wojny pomiędzy Włochami i Austrią, zakończona zwycięstwem Włochi zmuszeniem zwyciężonej Austrii do oddania nam części ziem zabranych...»

Rzadki znak drukarski w jego stylu wyrąbanym, te punkciki, wydają się głuchem uderzeniem serca, które za-

trzymuje się na chwilę i zaczyna potem bić gwałtowniej. Nawet w najluźniejszym przypuszczeniu nie chce pomyśleć o możliwości porażki włoskiej i zaraz po punkcikach mówi w dalszym ciągu.

«...Nie będziemy tu omawiali innych hipotez. Najbliższa przeszłość Trydentu jest *status quo*».

Jasną jest rzeczą, że hipoteza poprzednia, lakonicznie wypowiedziana, wydaje mu się rozwiązaniem późniejszej przyszłości.

Żyjąc w krajach nadgranicznych, można się przekonać, że walka narodowości nie jest ideologią burżuazyjną, którą zatrzeć mogą inne ideologie proletarjackie, lecz zjawiskiem fizjologicznym, które solidarność klas podnieca.

«O Franza, o Spagna, basta che se magna», (Francja lub Hiszpanja, byleby tylko brzuch był pełen), mówił lud w XVIII wieku, a również i cud odrodzenia politycznego Włoch nie poruszył obojętnych mas ludowych, zwłaszcza rolnych i szczególnie na Południu. Organizacja natomiast prowadzi masy bezkształtne *Lumpenproletariat'u* do zaznajomienia się z idejami ogólnymi i zbiorowiskami abstrakcyjnymi, jak Gmina i Prowincja, rozszerzając świadomość etnologiczną — również przywilej nielicznej arystokracji — na coraz szersze i głębsze warstwy ludu.

Słowo «Ojczyzna», jakkolwiek wymawiane z rzadka jest końcowem koniecznem uświetnieniem tej nauki.

«Sto dwadzieścia lirów wystarczy». Socjalizm czasów bohaterskich i socjalizm brzucha. Dziennikarstwo mlekiem i miodem karmiące na prowincji. Chleba dla wielu, walki i doskonalenie się dla niewielu.

«Oświadczam, że nie przyjmę żadnej podwyżki. Nie chcę stać się kanonikiem organizacji socjalistycznej».

Żył on wówczas we Forli, był sekretarzem socjalistycznej Federacji kolegjalnej, zmuszonym do myślenia o rodzinie — urodziła się już była wtedy pierworodna córka, Edda — a pobierał sto dwadzieścia lirów miesięcznej pensji. Do innych obowiązków, a mianowicie propagandy i organizacji, w styczniu 1910 r. dołączył założenie i wydawanie tygodnika *La lotta di classe* (Walka klas). Nie mogłabym przyjąć, czy nie sprawował również funkcji zecera; to pewna, że robił wszystko inne. Ksiądz powinien według reguły żyć z ołtarza, lecz skromnie. Trzydzieści lirów podwyżki, jaką mu zaofiarowano — byli tacy, co chcieli podnieść mu pensję do dwustu lirów — wydawały mu się piętnem służalczości. Nie było takiej soczewicy na świecie, która mogła była skuć go do sprzedania swej duchowej pierworodności.

«Nie mogę, przez szacunek dla mego mózgu, stać się propagandystą-tragarzem i wędrownym fonografem. Będę odbywał wędrowki po sekcjach, lecz proszę, aby towarzysze mieli pewne względy dla mnie, gdyż, jeźliby propaganda

miała mnie oderwać całkowicie od pracy intelektualnej i narazić na postępowe oglupienie, byłbym zmuszony do namyślenia się nad tym dylematem. Zresztą, lepiej wygłosić parę odczytów pełnych myśli, aniżeli powtarzać różaniec gadaniny, opartej na conceptach oratorskich, na powierzchownej i krzykliwej retoryce.

«Dzisiaj wywrotowcy, stojący na czele ruchu politycznego i ekonomicznego, jeżeli nie są biurokratami, są rzemieślnikami, pobierającymi nieraz kardynalskie pensje, są mówcami, którzy prowadzą wstrętą spekulację przy propagandowej pracy, są rewolucjonistami, nie wierzącymi w rewolucję, są półsumieniami, niedoukami, półludźmi.

«Ideal? Do djabła z ideałem! Nikt weń nie wierzy. A jeżeli znajdzie się jakiś samotnik, wierzący w ideały, to go się uważa za głupca, rozkochanego w księżycu.

«My zaś należymy zawsze do tej nielicznej rzeszy samotników.»

Tragedja, która sprawiać mu będzie cierpienie, dopóki żyć on będzie, zaczyna się właśnie w tych latach. Jest to tragedia pogardy względem ludzi. Roczniki tygodnika *La lotta di classe*, od 1910 do połowy 1912 roku, dają dostateczny materiał dowodowy dla zdania sobie sprawy z tego kryzysu. Smutniejsze są jeszcze, być może, okresy następne, kiedy już nie będzie walczył, kiedy zgodzi się, jak zauważa Leopardi, na wyrok, że ludzie dojrzali stają się wyrozumiałymi, a starzy pobłażliwymi, podczas, gdy młodzi sądzą z bezlitosną surowością, porównyując podświadomie myśli, czyny i charaktery z ideałem przez siebie wytworzonym. Później, kiedy przychodzi wreszcie doświadczenie, oni sami przekonywują się o nieistnieniu tego ideału, i z abсолutu pesymistycznego rodzi się względny optymizm.

Mając dwadzieścia siedm lat, jako sekretarz Federacji prowincjonalnej, walczy rozpaczliwie i daremnie o prze wartościowanie idealistyczne socjalizmu we Włoszech. Od 1898 do 1904 roku przez bunt o chleb, procesy, plebiscy-

towe wybory i amnestje dla skazańców, poprzez wolność stowarzyszeń syndykalistycznych i poprzez rezultaty ekonomiczne strajków, życie socjalistyczne minęło przyładek burz rewolucyjnych i bohaterskich. Dwaj młodzi neapolitańscy o pełnych zdolności umysłach i gwałtownej wymowie, Artur Labriola i Walter Mocchi, usiłowali wszcząć w Medjolanie, po pierwszym strajku ogólnym politycznym nie ekonomicznym w 1904 r., syndykalizm typu Sorela. W gruncie rzeczy, pozbawieni odczucia rzeczywistości, jak wszyscy południowcy, dalecy byli od ciągłej, konkretnej i cierplivej organizacji rzemiosł, pisali «syndykalizm» a wymawiali «rewolucja». Wymawiali daremnie. Wrzaskliwy orszak ludzi, nie znających żadnego rzemiosła, oklaskiwał, jak to zwykle bywa, wszystkie krańcowości gwałtowne, lecz w tej zgrai nie można było znaleźć generałów, zdolnych do stworzenia wojska. Wrzaski oratorskie na wiecach wystarczały dla Artura Labrioli. Ileż to razy w ciągu kilku lat wywołał on cały szereg strajków ogólnych, powtarzających się ciągle, bez celów określonych, bez granic ustalonych, z powodów i pretekstów błahych. Tłumy rewolucyjne wybiegały na ulice pełne kawalerji, zamykano fabryki, sklepy i mieszkania, miął dzień, pięć dni, tydzień, a potem tłum malał, sklepy otwierały niepostrzeżenie drzwi, robotnicy powracali po jednym do pracy, strajk kończył się przed końcem, a burżuazja, przyzwyczajona do tej strzelby ciągle nienabitej, nie obawiała się, jakkolwiek czasem, podczas starć pomiędzy wojskiem a tłumem, pomimo zobopólnej dobrej woli «*ci scapasse il morto*» (zdarzył się zabity), jak mówiono w żargonie. Wówczas strajk był znowu zgalwanizowany na kilka dni, a atmosfera zatruwała się pustemi słowami.

Pomimo wszystko trwa w dalszym ciągu w Medjolanie zdrowy rozsądek serdeczny i bystry. Mocchi rozpoczął w Medjolanie swą wielką karierę impresarja teatralnego, a Labriola zaczął w Medjolanie karierę posła, obydwaj dziś dalecy od Medjolanu.

«Chrzczę was wodą, lecz ten, który przyjdzie, ochrzci was ogniem».

Za rządów Giolittiego, przez organizację polityczną wsi w dolinie Padu, prawo do innej normy życia zostało wreszcie zdobyte. Czternaście godzin pracy normalnej wraz z płacą sześćdziesięciu centymów dziennie nie zezwierało już kobiet w tkalniach. Dzieci nie nabawiały się chorób za trzydzieści centymów przy tym samym rozkładzie pracy. W Anglii doprowadziła do zaprzestania tej hańby poetka, autorka *The Children's cry*. A i we Włoszech kobieta polityczka usłyszała ten głos rasy, którą pellagra, suchoty i malarja podminowywały. Anna Kuliscioff zaczęła studjować, opracowywać i propagować opiekę prawa nad pracą kobiet i dzieci, tego prawa, które, jeśli się nie mylę, Filip Turati w 1900 roku przedstawił w parlamencie i wpłynął na uchwalenie go. Zostały wprowadzone naówczas maszyny, kultura intensywna, wzrost i polepszenie jakości produktu przemysłowego i rolnego w całej dolinie rzeki Padu. Poza tą doliną socjalizm nie wiele zdziałał. Mała własność rolna i system dzierżawy zwany «*mezzadria*» (podział produktów pomiędzy dzierżawcą a właścicielem), stanowiły tamę dla tej działalności. Polepszenie ekonomiczne w ciągu dziesiątka lat stało się celem samym w sobie, zniechęcając początkowych zwolenników *Schandempörung*. Na tłumnym wiecu przed zebranymi emigrantami w Szwajcarji w 1910 roku, jeden z przywódców ówczesnych i dzisiejszych socjalizmu włoskiego wysmiewał pewnego księdza idealistę i sympatyka: «Nie wiemy, co mamy robić z sentymentem, dla nas «socjalizm jest kwestją brzucha, niczem innym, jak kwestją brzucha».

Ten reformizm materjalistyczny, zadomowiony i oswojony, stanowił już część «dawnych Włoch» pasorzytnicznych. Trochę wrzawy ulicznej i wiele intryg kularowych, mowy i artykuły, brak oporu, wreszcie kęs zostawał zdobyty, zaspokajano choć częściowo żądania, rozszerzano prawo wy-



borcze i rozdawano, jeśli było trzeba, miliony kooperatywom, aby nie protestowały. Obwołano «zwycięstwo», a drobne «szacherki polityczne» rządziły, a nowe arystokracje robotnicze zanieczyszczały swą krew podłością przestarzałej burżuazji. Oh... nadzieje Włoch!

Jakiegokolwiek mogą być wyjątki indywidualne, z głębi sumienia zbiorowego coś niewątpliwie odpowiada zawsze głosowi ideału, jeżeli głos ten pochodzi od kogoś, kto ma prawo wymagać odpowiedzi. W ciągu paru miesięcy *La lotta di classe* szlachetnego Don Kiszota z Forli poczęła dręczyć napęczniałą partję naczynem niepokoju. Mussolini powiada, Mussolini twierdzi... Nazwisko to powtarzało się w polemikach, mniej lub więcej braterskich, a dziennik oficjalny *Avanti* był zmuszony do częstego cytowania cząstki z prowincji.

Pierwszym jego buntem było wystąpienie przeciw przyjmowaniu w dziale «stałych ofiar» tak zwanych «resztek wypitki». «Nie chodzi tu o świstek wypełniany tygodniowo. Dla nas dziennik jest partją, jest sztandarem, jest duszą». Partja oficjalna stała się «wielkim trupem na scenie komedji politycznej trzecich Włoch, albo, jeżeli się to bardziej podoba, wielką firmą farmaceutyczną napoły zbankrutowaną».

Ale socjalizm rewolucyjny to inna rzecz, «jest to rzecz szorstka, gorzka, złożona z przeciwieństw i gwałtów, jest to wojna, a podczas wojny biada tym, co żywią uczucie litości! Jest to rzecz straszna, podniosła i poważna. I tylko za taką cenę będzie mógł się on wcielić w życie a nie przetrwać się w źródło uciech dla politykantów i dla ludzi słabych. Nie jest on aferą kupiecką, nie jest grą polityków, nie jest snem romantyków a tem mniej sportem, jest natomiast wysiłkiem podniesienia moralnego i materialnego, wysiłkiem pojedynczym i zbiorowym. Jest on największym dramatem, jaki poruszył ludzkość w celu stworzenia mostu pomiędzy człowiekiem-zwierzęciem a czło-

wiekem wyższego typu, mostu pomiędzy prahistorją a historją, mostu, który pozwoli ludzkości na przejście od walki o byt do porozumienia się o byt. Niechaj przyjdzie zatem przed alfabetem chleb, lecz zaraz po chlebie alfabet. Tylko pod tym warunkiem będzie można wytworzyć element ludzki, niezbędny dla zrealizowania idei przez dzieło oczyszczenia jednostki».

Słodka polemika cichej, idyllicznej prowincji! Z jednego tylko artykułu naczelnego jednego z pism przeciwnego obozu w tej samej miejscowości, bawiąc się, zdołał on zebrać pełny szereg epitetów od «złodzieja» do «utrzymanka», od «gluptasa» do «monomanjackiego kretyna, bez sumienia, zaprzedańca i warjata», aż do finału w postaci «wstrętnego plazu».

«Życie nasze — odpowiadał Mussolini spokojnie i pogodnie — jest stronicą otwartą, na której następujące można znaleźć słowa: nauka, ubóstwo, walka! Nie istnieje nawet cień łaski władczej. Czujemy się silni, albowiem czujemy się czysti. Czujemy się silni, ponieważ nie mamy przyjaciół i dążymy do zwięzienia kręgu naszych znajomości, miast go rozszerzać.

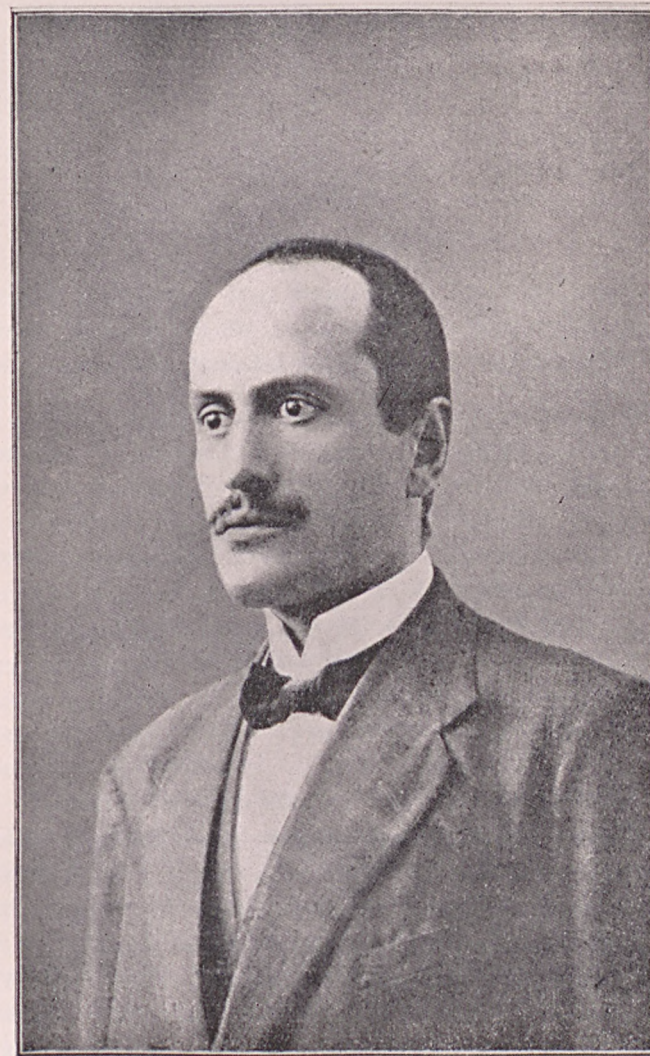
«Nie dążymy do popularności, nie żądamy klientów i głosów.

«Mamy odwagę mówienia prawdy brutalnie, nawet tym, którzy idą z nami».

Ideje dotyczące zrealizowania socjalizmu, przytoczone tutaj i w innych ustępach, pochodzących z tej epoki, są oryginalne tylko dlatego, że odbiegają od zasad marksowskich nawet w założeniu materializmu historycznego i odrzucają fatalizm ekonomiczny antykapitalistyczny. Co zaś do wizji wieków, na jaką on się powołuje, można tu rozpoznać stosunkowo łatwo wpływ przepięknej prozy Wilde'a, pochodzącej z kolei od prozy Ruskina i Morrisa, zwłaszcza w jego dziele pod tytułem: *Dusza człowieka w okresie socjalizmu*. Muszę dodać, że frazesy poe-

tyckie i mniej ściśle wydają mi się podyktowane przez dy-  
letantyzm estetyczny raczej, niż przez prawdziwe przekonanie. Powiedzcie muzułmanom o raju bez hurysk i wojownikom o «porozumieniu w życiu», jakie ma zastąpić «walkę o życie»!

Jest on oryginalniejszym i bardziej przekonującym, gdy rozwija koncepcję, jaka dojrzeje później w faszyzmie: wiele chleba dla ludu, pracy wynagradzanej odpowiednio i miary pewnego średniego dobrobytu i kultury ludzkiej. Niech wyrzeczenie stanie się przywilejem dumy, przez który bohaterowski wolontariat *aristos* wznosi się ku zdobyczom ducha.



1910 — Redaktor «Lotta di classe» w Forlì.

## PROCESY I WALKI

*Heretyk wołający o czyn bezpośredni. Opozycja przeciw wyprawie libijskiej, widziana z okna w Medjolanie. Również z placu we Forli. Poważne przestępstwa i nadzwyczajne słowa.*

Można spotkać się często na łamach «*Popolo d'Italia*» z prośbą, skierowaną do pism i czasopism faszystowskich najróżnorodniejszego rodzaju, aby przysyłały egzemplarze do mieszkania prywatnego Wodza. Wszystkie te pisma są przezeń przeglądane, żadne nie uchodzi jego uwagi, a wiele z nich czyta on nawet. Zna z doświadczenia znaczenie tych zapoznanych kuźni ideału, tych niewielkich ogrodów warzywnych prowincjonalnych, gdzie, pomiędzy marchwią a kapustą, rośnie nieraz i dębczak. My nie mamy we Włoszech Londynu albo Paryża, które wystarczają, aby kierować opinią publiczną.

Zdarzyło się więc tak, że Forli stało się siedzibą antypapieża w stosunku do socjalizmu oficjalnego, rezydującego w Medjolanie i Rzymie. Na kongresie w Medjolanie w 1910 roku wygłosił on mowę «tak heretycką, że muszę się dziwić, iż mnie nie ukamienowano» — jak sam mówi. Treścią mowy była walka przeciw parlamentowi, parlamentaryzmowi i posłom, odmawiająca wszelakiej wartości wyborom, zwalczająca «bloki» tworzone dla zdobycia nowych miejsc w parlamencie. W konkluzji — nieprzejednanie najzupełniejsze, rewolucja natychmiastowa i akcja bezpośrednia.

W Forli przystąpił do dania przykładu.

We wrześniu 1911 roku rząd Jana Giolittiego organizował wyprawę do Libji.

Przypominam sobie dokładnie wrażenie tych faktów wywołane w ozdobnym salonie Anny Kuliscioff, dominującym nad placem Duomo, doliną rzeki Padu i Włochami. Turati miał tam biura czasopisma *Critica Sociale*, i zbierali się tam nieliczni intelektualisci socjalizmu. Hałas, dobiegający z placu, dzwonki żółtych wozów tramwajowych i odgłosy mrówczego krzątania się tłumu, jak przyływ morza, wdzierały się falami i wypełniały salon, robiący wrażenie wielkiego *hall'u* jakiegoś transatlantyku o ścianach oszklonych.

Luk Galerji orkiestrował wrzawę tłumu wewnątrz tego wspaniałego przejścia, nadając mu kontrpunkt rytmiczny, z którego niesforne wyrywały się wysokie nuty ulicznych sprzedawców dzienników. Ponad tłumem, postacie świętych szare i pozłociste, nieumęczenie, w ciągu dnia i nocy, patrzyły na to trzecie piętro, a wysokie wieżyczki i wieżycze zdawały się przebijać olbrzymi lazur nieba, podczas gdy nocą, nowe a kruche konstelacje elektryczne, piorunem blasków, zaćmiewającym błysk gwiazd, z innej strony placu rozgłaszały dobroć jakiegoś nektaru. W połowie drogi, pomiędzy hałasem zawieranych umów handlowych i projektowanych przyjemności a powietrznym milczeniem modlitwy, gabinet *Critica Sociale*, jasny i pełen kwiatów, zdawał się zawierać w sobie część jednego i drugiego z objawów wrzaskliwej rzeczywistości ulicznej z tą wątłą postacią niewieścią, która miała w sobie coś z ascetycznego męczeństwa. Ongi blondynka i piękna a teraz przejrzysta niemal i zawiędła, o obliczu zeschem i włosach koloru złota spłowiałego przez czas, miała w sobie ten jakiś magnetyczny urok może siły władczej woli, pomimo artretyzmu deformującego kości. Umysł jasny i wszechstronny, jak brylant, jak on twardy, mieścił się w tem ciele umę-

czonem przez długie więzienia w Rosji, we Francji i we Włoszech, wycieńczonem podczas czynów rewolucyjnych w ciągu dwóch lat bezgranicznego ubóstwa, spędzonych w zapadłym zaścianku litewskim, dokąd ośmnastoletnia córka urzędnika pojechała, aby się «uprościć» według wskazań ewangelji nihilizmu, żyjąc wespół z ludem w prostej izbie i żywiąc się, jak lud, z zarobku osiągniętego przy praniu bielizny w lodowatej wodzie. Idealistka, pełna stoicyzmu, bez zbytnich słabości i bez zbytnich przywiązań, wrażliwa jedynie na sensualizm i na ideje, pełna mistycyzmu w głębi swej duszy rosyjskiej i zgorzkniała, jak prawie wszyscy Rosjanie, w praktycznych przejawach intelektu, bez próżności a mimo to dumnie ambitna, niezdolna do zmierzenia się wprost, albowiem drogi kręte i poprzeczne wydawały się jej naturalnymi — ta kobieta bezwzględnie nieprzeciętna panowała nad tłumami w cieniu, poprzez parlament i dziennik, pozostawiając mężczyznom, którzy ją otaczali, pozory czynu zewnętrznego i zewnętrznej mocy. W ten sposób, na szerszym polu, Katarzyna z Medyceuszów utrzymała tron francuski, posługując się królami i dworzanami. Katarzyna z rodu Medyceuszów i Cezar Borgia, jak i wszyscy inni genialni twórcy intryg zawitych i intelektualnych, zdołali opanować jedynie ludzi biernych, zazwyczaj przeciętnych, i skazani byli na stwierdzenie wkońcu, iż najumiejtniej przygotowane knowania, snute bez wewnętrznej, głębokiej potrzeby i nie związane z rzeczywistością, spełznąć muszą na niczem. Tak też się stało i z Anną Kuliscioff, metafizyczką polityki, pomimo wybitnych jej zdolności. Tego rodzaju istoty, jak ona, kończą zazwyczaj bankructwem.

Pomiędzy nią a Filipem Turatim i Klaudjuszem Trevesem, podówczas redaktorem *Avanti*, odbyła się dramatyczna wielce rozmowa, wieczorem w dniu ekspedycji do Trypolisu.

«Bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy trzymać z Giolittim! Musimy uczynić Giolittiego zależnym od naszej po-

mocy i zrobić zeń niewolnika polityki liberalnej i filozofii listycznej, aby zmusić go do osłabienia wyprawy libijskiej i ograniczenia jej. Jeżeli go pozostawimy, zagarną go inne grupy parlamentarne, i będzie zmuszony do prowadzenia polityki reakcyjnej i krańcowo kolonialnej».

Tak rozumował Klaudjusz Treves, żywa reinkarnacja sofisty z dialogu Platona. Mowa sprawiedliwa i mowa niesprawiedliwa płynęły z ust jego z jednakową krętą płynnością. Tak właśnie w wyższych sferach socjalistycznych szło się naprzód, wyzyskując przehandlowane głosy poselskie, ofiarowując pomoc i poparcie czasem wyraźne, chętniej jednak zewnętrznie niewidoczne, neutralność przychylnie przeciwną, nieprzyjaźń ulaskawioną i przyjacielskie powstrzymywanie się od głosu. Błękitne oko Trevesa skrzyło się entuzjazmem dla ukochanego Giolittiego, dla przyszłych horyzontów wytrawnych i przebiegłych kruczków, jakie mogły przed nim się otworzyć — rozkosz sztuki dla artysty, jednym słowem. Turati wykazywał niezdecydowanie, lecz ze skłonnością przeciwną. W każdej chwili, kiedy należało się zdecydować i rozpocząć jakiś czyn, sumienie i inercja paraliżowały go w wieczystych hamletyzmach. Przejście tego wzorowego urzędnika *in spe*, który nic nie miał wspólnego ongi z socjologią i naukami ekonomicznymi, zagłębionego w prawie i w literaturze (miał on wśród swych aktywów jedynie dyplom prawny i tom tłumaczeń poetyckich z angielskiego, gdy w dwudziestym piątym roku życia spotkał w Neapolu Annę Kuliscioff podczas ataku pesymizmu i neurastenji), przejście tego syna prefekta z prowincji w naczelnego przywódcę partii młodej i wywrotowej, dzięki woli cudzoziemki inteligentnej i despotki, jest istnym paradoksem w dziejach życia włoskiego.

Turati w gruncie rzeczy, chwając się jeszcze, uważał jednak, że zachowanie poparcia dla rządu było bardziej wskazane, niż zdecydowana opozycja.

Lecz Anna Kuliscioff wybuchła jednym ze swych ty-

powych wielce ataków polemicznych. Napadła i spiorunowała biednego Trevesa potokiem słów ostrych i nieubłaganych. Wysoki ton głosu w rozmienianiu polemicznym przybierał cechy charakterystyczne typowego słowiańskiego piskliwego dyszkantu, spojrzenie żrenic koloru stali przebiegało, a gest towarzyszył słowom. Nie oszczędziła nawet Turatiego: «właśnie, właśnie Filipku... i ty też... nie rozumiem wprost...»

Nazajutrz rano numer *Avanti* zawierał wspaniały artykuł redakcyjny, partja socjalistyczna przeszła do opozycji nieprzejednanej. Treves jest dialektykiem urodzonym, tak, jak rodzą się ludzie mańkuci; wystarczyło zasugerować go tematem, aby napisał artykuł; przekonania urabiają się w nim po drodze, przez grę idei i bieg rozumowania.

Opozycja parlamentarna, która wydawała się straszną w salonie metropolji lombardzkiej, była osądzona inaczej w zakątku prowincji przez młodego człowieka, podpatrującego przyszłość, jaką przeczuwał.

Dla nas, szacownych ideologów pokojowo usposobionych i humanitarystów, każdy gwałt człowieka przeciw człowiekowi, państwa przeciw osobnikowi, klasy przeciw jednostce, musiał wywoływać gest protestu z zasady. Myśliciel z Forli natomiast nie żywił odrazy do zdobywcy kolonialnych i wojny; jeżeli nie godził się na wyprawę libijską, to jedynie z powodów ściśle politycznych. Niestety, przyszłość i fakty potwierdziły jego przewidujące słowa z 30 września 1911 roku: «Włochy rozpoczynają dzisiaj nowy okres historii, okres niepewny i brzemienisty w wiele strasznych niewiadomych. Prawie zawsze wojna poprzedza rewolucję».

Lecz opozycja przeciw wojnie, skoro została zdecydowana, winna była być prowadzona na serjo, «z punktu widzenia rewolucyjnego i bez wybierania ciosów».

Nie ludził się; parę dni przedtem publicznie, na ulicy,

przedstawił tłumowi trudności, wobec działania rewolucyjnego. Pytał, czy chciano tego działania.

«Tak, tak... niech żyje rewolucja!» A kilku chłopów, którzy dostali się na estradę drewnianą, na której dawała koncerty muzyka miejska, uderzało rytmicznie podeszwami drewnianych trepek o deski.

«Kawalerja! Kawalerja!» — rozległ się nagle głos, a tłum wiecujący, jeszcze chwilę przedtem pełen bojowych zapalów rozplynął się nagle, zdjęty paniką, na ostrzegawczy głos, potwierdzony przez tętent koni. Mussolini zaś samotny pozostał na estradzie, wołając «lajdaki» do pleców uciekających.

Dzięki pomocy kilku odważniejszych towarzyszków udało mu się osiągnąć pewne rezultaty do tego stopnia, że zwróciło to uwagę władzy, i został oskarżony o spowodowanie w dniu 24 września 1911 roku następujących przestępstw:

«1. Opór przeciw władzy oraz obrażenia cielesne jej przedstawicieli.

«2. Gwałty wobec powołanych do odbywania powinności wojskowej i opór władzy, oraz obrażenia cielesne i t. d.

«3. Zmuszenie do zamykania sklepów i zakładów przemysłowych i spowodowanie przerwy przymusowej w pracy.

«4. Powstrzymanie gwałtem działalności obsługi tramwajowej w Romanji z uszkodzeniem torów i wywróceniem kilku wagonów towarowych.

«5. Uszkodzenie linii telefonicznej.

«6. Uszkodzenie linii telegraficznej państwowej, przez wywrócenie słupów i zerwanie drutów.

«7. Zmuszenie do zaprzestania pracy przy obsłudze lokomotywy.

«8. Położenie na torze kolejowym słupa telegraficznego, co mogło spowodować katastrofę kolejową pospiesznego pociągu».

Wszystko to miało miejsce we Forli 25, 26 i 27 września.

Jeżeli rzeczywiście kocha się to, co przedtem stanowiło przedmiot naszej niechęci lub nienawiści, to obecny Prezydent musi rzeczywiście głęboko kochać władzę Państwa! Niewielu z ministrów może pochwalić się takim dorobkiem przedministerjalnym.

Jedynie przeciw ostatniemu punktowi oskarżenia wystąpił gwałtownie. Wszystkie poprzednie zarzuty przyjął spokojnie. To, co mu w tym ostatnim punkcie zarzucano, wykraczało poza ramę polityki, było czynem nieludzkim i niegodnym człowieka szlachetnie walczącego.

«Strajk ogólny we Forli był niezależny od mej akcji osobistej. Proletariat tego miasta nie żywi dla mnie sympatji.

«Jeżeli przyznaję, że nie jestem przeciwny sabotażowi, mam na myśli jednak sabotaż ekonomiczny, którego nie można mieszać z wandalizmem. Mogę zgodzić się na przecięcie drutów telegraficznych, jako na akt protestu, lecz piętnuję fakt położenia słupa na torze kolejowym, aby wykoleić pociąg przechodzący, albowiem pociąg był neutralnym. Sabotaż musi mieć, mojem zdaniem, cel moralny.

«Na stacji przeciwstawiłem się tłumowi, aby nie dopuścić do inwazji biura telegraficznego.

«Upadłem i zostałem zraniony uderzeniem szabli. Gwałty zostały spowodowane agresywnym stanowiskiem policji i wojska».

Co zaś do wiecu z dnia 25 września, wygłosił on mowę «historyczną, geograficzną i ilustrującą». Powiedział między innymi: «pomiędzy nacjonalistami a nami, socjalistami, istnieje ta różnica, że oni chcą Włoch rozległych i olbrzymich, ja zaś chcę Włoch wykształconych, bogatych i wolnych.

«Wolę być obywatelem Danji, niż poddanym chińskiego cesarstwa».

«Stanąłem w ten sposób na terenie miłości ojczyzny.

Byłem nieco zanadto nieścisły w mych twierdzeniach, spotkały mnie nawet wymówki za zbytnią względność wobec nacjonalizmu.

«Gdybym był chciał rozwinąć myśl ściśle międzynarodową i rewolucyjną, byłbym uczynił w stosunku do wyprawy libijskiej, to, co chrześcijanie w obliczu upadku cesarstwa rzymskiego. «Czyliż może mnie obchodzić upadek cesarstwa, jeżeli na jego gruzach będzie zatknięty krzyż Chrystusa?» Powinienem być twierdzić: jeżeli rząd włoski zostanie wciągnięty w imprezę, która wymaga krwi i pieniędzy, to siłą rzeczy osłabi możliwość przeciwstawienia się skutecznego naszym wysiłkom, rozsiewaniu naszych idei i ciosom rewolucji. Ale, żem się urodził Włochem i kocham kraj, w którym się urodziłem i którego językiem mówię, jako dobry Włoch wypowiedziałem mą myśl, opartą na danych ekonomicznych i geograficznych, przeciwną wyprawie, jaka może poważnie osłabić interesy narodu, z którymi są związane nierozdzielnie interesy proletariatu. Napisałem i powiedziałem to, co mówię dlatego, że chcę, aby te Włochy, które kocham, mogły spełnić obowiązek ogólnie uznany: wybawienia swych synów od podwójnego ubóstwa — moralnego i ekonomicznego.

«Usiłowanie odnalezienia w artykułach dziennika dowodów przyznania się do urojonego przestępstwa jest co najmniej zabawne, albowiem w artykułach tych przedstawiony był mit o strajku powszechnym i «świętość» nowego gestu zbiorowego.

«Odrzucam oskarżenie o współudział w aktach wandalizmu dokonanych przez tłum.

«A teraz konkluzja.

«Konkluduję, jak ten filozof, co napisał na drzwiach swego domu: — Kto wejdzie, sprawi mi przyjemność, kto nie wejdzie, sprawi mi zaszczyt!

«A więc powiadam wam panowie z Trybunału, że

jeżeli uwolnicie mnie od zarzutów, sprawicie mi przyjemność, albowiem powrócicie mi możliwość podjęcia mej pracy na rzecz społeczeństwa. Lecz jeżeli skażecie mnie, sprawicie mi zaszczyt, gdyż nie stoi przed wami nędznik, lecz apostoł idei, budziciel sumień, bojownik w imię przekonania wiary, jaka zasługuje na wasz szacunek, albowiem zawiera ona w sobie przeczucia przyszłości i wielką siłę prawdy».

Pięć miesięcy więzienia — tyle bowiem otrzymał po odliczeniach — nie wystarcza, aby osiągnąć lilję męczeństwa, lecz nie stanowi też małej kary dla młodości pełnej zapału i pożądania czynu. Tego, kto poznał już więzienie, ryzyko nowego wyroku może napęłnić strachem. Pomimo to Mussolini z wielką pogodą ducha znosił wszystkie procesy.

## NOWY REDAKTOR «AVANTI»

*Kongres w Reggio Emilia. Leonidas Bissolati. Władca czy też poeta sentymentalny? Rocca Gorga.*

Kiedy w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku — w 1892, jeśli się nie mylę — Leonidas Bissolati został powołany do założenia i prowadzenia pierwszego dziennika partji w Rzymie pod nazwą *Avanti!*, przy rozdziale — płaca redaktorska — zauważył z prostotą: «Wiecie przecież, że posiadam około dziesięciu lirów dziennego dochodu, nie potrzebuję zatem pieniędzy na życie!» I pensja redaktora znajdowała się regularnie wpośród ofiar pana NN. na fundusz prasowy. Z taką samą prostotą walczył on później w rowach strzeleckich, jako sierżant wojsk górskich. A w parlamencie odpowiedział dawnym towarzyszom: «Jeżeli trzeba, dla dobra kraju, będę miał tyle siły, aby kazać was rozstrzelać!»

Był to charakter, który mógł rzeczywiście znaleźć taką siłę pod wpływem imperatywu sumienia, lecz czyż był to jednocześnie umysł polityczny jasnowidzący, zdolny do rozpoznania takiej potrzeby?

Wybitna to i kochana postać szlachetnego człowieka, którego porównać można z Massimem d'Azeglio albo z Benedyktem Cairoli z powodu tragicznej nieudolności. Ludzie tacy przynoszą zaszczyt krajowi, jako bussole orjentacyjne i czynniki akcji idealistycznej, a jednocześnie szkodzą mu,

zajmując stanowiska przednie, wykonawcze. Nie należy kusić Boga krucjatami niewiniątek.

W 1909, po aneksji Bośni i Hercegowiny — iskry, która rozpałała nieco później pożar europejski — czy to nie Bissolati właśnie domagał się wydania wojny cesarstwu austro-węgierskiemu jako pedagogicznej demonstracji za to, że cesarstwo pogwałciło zawarte traktaty? A wiedział przecież, że od dwudziestu lat on i jego towarzysze byli przeciwni «nieproduktywnym» wydatkom wojskowym, utrzymując w stanie nieprzygotowania marynarkę i wojsko. Tak samo w 1917 roku pozwolił na zneutralizowanie swego wpływu, przyjmując ministerstwo bez teki, a więc solidaryzując się z rządem, w którym nie miał znaczenia, a który popełniał błędy i manifestował swą słabość.

Równie lojalnym a niezręcznym było jego postępowanie, jako przywódcy w latach od 1909 do 1912. Mussolini, jak zwierz przebiegły, łatwo napadł i rozszarpał na kawały białego gołębia bez skrzydeł.

Pierwszy raz w życiu wyrzucałam sobie, że nie wzięła udziału w zwykłym kongresie socjalistycznym, jaki owego roku miał miejsce w Reggio Emilia. Był to kongres wielce dramatyczny. Podczas gdy zwykle kongresy takie bywały nudne i szare, tym razem Bissolati został wydalony z partji wraz z Bonomim i Cabrinim pod zarzutem «współpracownictwa». Jednocześnie został wydalony Guido Podrecca, przychylnie usposobiony dla wyprawy libijskiej.

Stanowisko Bissolatiego było nielogiczne, upierał się przy współpracy z rządem, współpracy stałej a bezimiennej przez szantaże i przy zupełnym braku odpowiedzialności, a jednocześnie nie umiał zdobyć się na odwagę odrzucenia przesądów apriorystycznych walki klasowej. O antagoniście jaki nieprzewidzianie stanął przed nim, rozmaicie mówiono. Przyjaciele reformiści, rozżaleni z powodu musu głosowania za wydaleniem starego towarzysza, pisali do mnie, opisując w ten sposób postać przeciwnika, do owej chwili prawie



nieznanego: «Dziwny młodzian, wychudły, mówiący gwałtownie, wybuchowo, sucho, ogniście i oryginalnie. Człowiek o wielkiej przyszłości, który stanie się niewątpliwie panem organizacji». Z drugiej strony Anna Kuliscioff w tem swoim charakterystycznym narzeczu medjolańskim, skuzynowanym z Wołgą, złościła się i przeczyła. «Gdzież tam, nie jest on marksistą, a nawet socjalistą. Nie można powiedzieć, żeby był politykiem. Właściwie jest wierszokletą, który przeczytał Nietzschego».

Później, w części, przyznałam jej rację. Wówczas myślałam o rycerzach z poematów bojowego cyklu, wyrosłych wpośród puszczy odludnych, którzy w odpowiedzi na obwieszczenie o turnieju pojawiają się z nagłą w nędznej zbroi, lecz ze szpadą wyostrzoną. Pobjijają najmężniejszych i znanych rycerzy, składają ukłon, nie podnosząc przyłbicy, i znikają, tak, jak Amadio di Gallia albo Huon de Bordeaux, pozostawiając poza sobą zdziwienie ogólne i błysk gromu.

Gdym go poznała, myśl pobiegła ku Hieronimowi Savonaroli, pewno z powodu jego oczu pełnych fanatyzmu i wyrazistego nosa.

Po zwycięstwie w Reggio, kongres, jak wszystkie zgromadzenia przeciętny i obawiający się rzeczywistych wartości, nie śmiał zaofiarować zwycięzcy palmy zwycięstwa. Na miejsce Klaudjusza Trevesa został powołany rewolucjonista mało niebezpieczny, Jan Bacci. Współpracownicy z trudem podniecali go do drukowania artykułów, rozpoczynających się, na przykład, w ten sposób: «Walka klas — krzyż i rozkosz proletariatu», a Klaudjusz Treves zamieszczał w dalszym ciągu swe artykuły pełne wdzięku wśród tej ogólnej nędzy. Wreszcie w grudniu 1912 roku trzeba było zdecydować się na powołanie Mussoliniego.

Rozpoczął on od deklaracji: «Artykuły polityczne w piśmie, które prowadzę, będą pisane przezemnie». Szorstkie były one, apodyktyczne i ostre, jak klinga miecza bo-

jowego, jaskrawo różne od tej szermierki na rapiry, jaką uprawiał jego poprzednik-reformista.

*Que sais-je?* — mówił pirronista à la Montaigne.

Ze ścisłego rozumowania nietzscheańskiego wypływało żelazne nieubłagane stwierdzenie: *Es muss*. Każde słowo zawierało w sobie całą moc człowieka piszącego, gotowego do nadania mu wagi, gdyby trzeba było, własną krwią.

W krótkim przeciągu czasu *Avanti* z czterdziestu tysięcy egzemplarzy dziennie doszedł do stu tysięcy zgorą. Czystsza bez wątpienia była proza Filipa Turatiego, bardziej serafickim był Prampolini, a eleganckim Jan Zibordi, którego zdania były wzorowane na Carduccim. Ale któż mógł się oprzeć urokowi tego nowego sposobu pisania; urokowi tej prozy, krwawiącej namiętnością i pełnej faktów?... Nie był to sposób pisania, nie były to słowa, lecz czyn bezpośredni, prawdziwe obejmowanie władzy nad duszami przez cęgi rzeczywistości i podniosłą nagość słowa.

Partja powinna była odzyskać nerw i ducha bojowego. Aby rozpocząć, należało oczyścić ją od burżuazyjno-demokratycznego nalotu, wprowadzonego przez masonerję. Ta ostatnia, zręczna znawczyni i lowczyni ludzi (niedarmo jest ona odwieczną antagonistką kościoła) niejednokrotnie starała się o wciągnięcie do swych szeregów Mussoliniego, lecz nic pociągającego nie widział on w tej instytucji, która świadczyła o typowej dekadencji zastarzałych włoskich sfer rządzących. Z katakumb męczenników stała się ona kapliczką karjerowiczów... Nic w całej tej instytucji nie mogło się podobać takiemu charakterowi, jakim jest Mussolini. Czyż mógł on się zgodzić na przykład na treść wewnętrzną masonerji, treść ideologiczną, humanitarno-pokojową i demokratyczno-wyrównawczą, na międzynarodowość podejrzanego gatunku, na włoskość krzykliwą i równie podejrzaną, na gruboskórny antyklerykalizm i na równie gruboskórny hermetyzm tajnych rytuałów? Nie, to wszystko, a jeszcze bardziej ta dziecinna niemal atmosfera mroku

i tajemniczości, jaka wzbudza w nim odrazę fizyczną, wystarczała najzupełniej, aby go usposobić negatywnie.

Na kongresie w Ankonie zmusił socjalistów do stwierdzenia, iż nie można współrzędnie należeć do partji i do masonerii. Dziewięć lat potem, w 1922 roku taka sama decyzja zapadła w stosunku do członków faszyzmu. Mussolini jest duchem, który wznosi się spiralnie, a jednocześnie zakreśla równoległe, aczkolwiek coraz rozleglejsze kręgi.

Powtarzały się w owych czasach na ulicach Włoch południowych typowe i bezwstydne epizody. Walczono tam przeciw głodowemu wynagrodzeniu, przeciw przymusowi do normy życia, niestety, zwierzęcego. Socjalizm nie objął jeszcze spojrzeniem biednego, ciemnego i rolniczego południa, albowiem nie było tam zakładów przemysłowych, pełnych rzesz robotniczych, które można zorganizować, możliwości pensyj, mandatów poselskich, a klasa właścicieli, nosząca jeszcze cechy nabyte podczas długiego panowania hiszpańskiego, miast uciekać się do obrony ekonomicznej, zwracała się o pomoc do ojcowskiego rządu, co poskramiał bunt interwencją wojska i żandarmów. Wydarzały się *Jacqueries* średniowieczne, stawały przeciwko sobie z jednej strony nieuctwo i chciwa zarozumiałość, a z drugiej — nieuctwo i fanatyczna rozpacz, która rzucała się beznadziejnie na bagnety żołnierzy. Strzał padał, rozlegał się jęk, a bruk się zakrwawiał.

W styczniu 1913 roku, z powodu jednej z takich rzezi, dzikszej niż inne, redaktor *Avanti* zauważył:

«Jakto, w tych Włoszech, które my uważamy za wielkiego mistrza cywilizacji, strzela się do bezbronnych starców, do brzemiennych kobiet, do dzieci zbłąkanych? A kiedy rolnicy z Rocca Gorga żądają kanalizacji, lekarzy, wody i światła, rząd, któremu brak milionów, posyła żandarmów i zatapia we krwi święty, ludzki i kulturalny protest ludu?»

A następnego dnia pisał w dalszym ciągu:

«Pewnie, że dla tych wszystkich, którzy wyobrażają

sobie socjalizm, jako koncepcję sielankową, arkadyjską, pokojową, dla tych, którzy wierzą w dogmat nietykalności życia ludzkiego, dla tych wszystkich socjalistów, obdarzonych dawną wrażliwością uczuciową chrześcijan, krzyk nasz może wydać się bluźnierstwem. Dla nas życie nie jest jedynem dobrem, nie jest celem samym w sobie, jest środkiem. Sandor Petöfi śpiewał: «Życie mi jest drogie, miłość jeszcze droższa, lecz za wolność oddam jedno i drugie». Kto nadaje absolutną wartość życiu człowieka, skazuje świat na unieruchomienie.

«A więc nie!

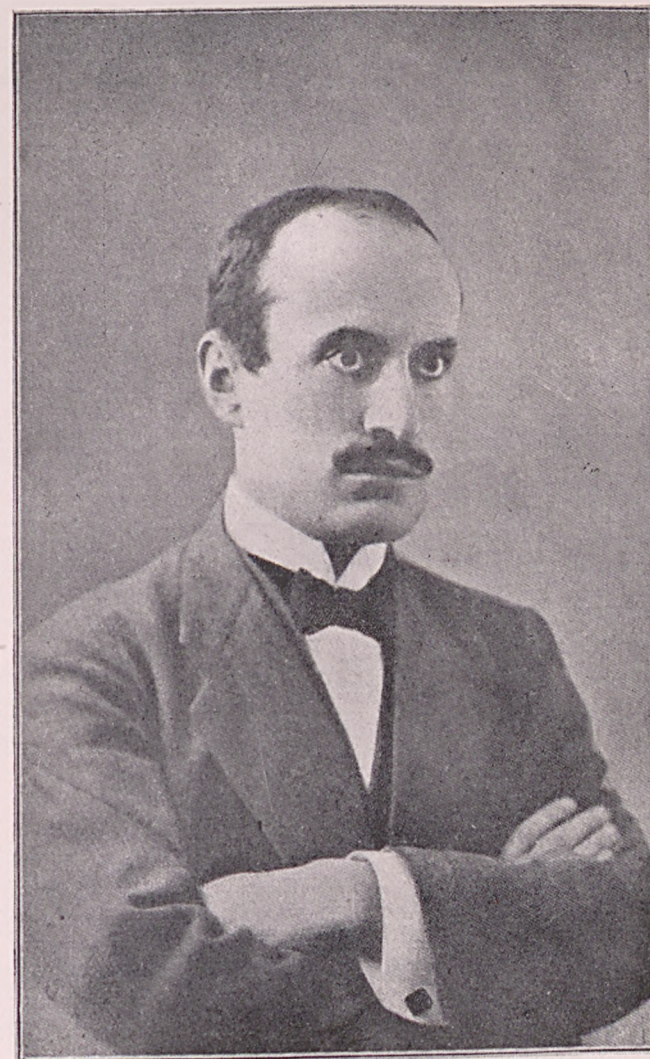
«Krzyk nasz jest logiczny, jest socjalistyczny, jest ludzki...

«Powiedzieliśmy, że należało dać włoskim wsiom (tyśiącom Rocca Gorga i Verbicari, rozsianym na półwyspie) warunki bardziej ludzkie, zredukować powody tego, co nazwaliśmy «klasyczną» włoską rzezią, albowiem dokonywana ona jest i zawsze się dokonywa w stosunku do rzesz bezbronnych, które burzą się nie po to, aby wywracać porządek ustalony, lecz aby otrzymać to, co od wieku należy do bogactw wszystkich krajów cywilizowanych.

«Nasza działalność, która wydaje się oczom powierzchnym działalnością negatywną, ma swe wielkie znaczenie w tem, że zmusza rząd do przedsięwzięcia kroków zapobiegawczych. A jeżeli rząd nie będzie mógł, lub nie będzie umiał, tem gorzej dla niego».

Jest to krzyk ludzki człowieka i patrioty, dokniętego żywo w poczuciu godności narodowej; nie występuje on w imieniu hasła wolności podeptanej, ideologii lub słów dźwięcznych. «Kanalizacji, lekarzy, wody i światła», to są konkretne rzeczy, jakich domaga się ten «solidny, wielki chłop» od rządu dla ludu; warunków bardziej odpowiednich, a nie «wywrotowości wobec porządku ustalonego». I stwierdza prawo do zemsty, «nie metaforycznie przy głosowaniu do parlamentu», lecz «zabijając, aby nie być zabitym».

Jest to już w zarodku teoria faszyzmu o gwałcie uprawnionym wtedy, kiedy jest aktem «koniecznym, lojalnym i chirurgicznym». Jest w tem również cały jego program rządowy. «Lud — powie on w lipcu 1924 roku, w dziesięć lat później — ilem tylko razy zbliżał się doń, nie żądał ode mnie, abym uwolnił go od tyranji, której nie odczuwa, gdyż nie istnieje ona, żądał natomiast kolei, domów, mostów, wody, światła i dróg!»



1913 — Redaktor «Avanti» w Medjolanie.

## PRELUDJUM DO TRAGEDJI

*Sokrates i zaburzenia w Rocca Gorga. Na zgromadzeniach socjalistycznych. Umysłowość skierowana ku tragedji. «Utopia».*

Ile razy czytam apologję Sokratesa, przychodzi mi na myśl Mussolini.

Jest on milczący, zadaje niewiele pytań, drażnią go pytania zadawane przez innych, Chętnie byłby opuścił Ateny dlatego, że zawiele tam pięknych mów wygłaszano. A jednak nigdy, podczas przemówień, w żadnym miejscu i w żadnej okoliczności, nie odczułam takiego oderwania się od własnego ja i takiego natężenia myśli, jakie uderzyło mnie wówczas, gdy prezes sądu udzielił słowa oskarżonemu w Trybunale medjolańskim, pewnego wiosennego dnia w 1914 roku. Redaktor *Avanti* wstał i zaczął mówić.

Chwilę przedtem zakończyli swe mowy niektórzy z najwybitniejszych mówców *forum* włoskiego; słyszałam w życiu mojem tyle podniosłych, mądrych i głębokich przemówień oratorów różnych krajów, a mimo to, mowa, jakiej słuchałam teraz, była «czemś innem».

Zrozumiałam wówczas rzeczywiście, co myśleli stoicy, utrzymując, że człowiek jest w stanie prowadzić życie błogosławione we wnętrzu brzucha słynnego byka falaryjskiego.

«Nie żałuję i nie będę żałował, iż napisałem te artykuły, kiedy telegraf przyniósł mi wiadomości o tych wydarzeniach. Chciałem naówczas, aby opuszczeni mieszkańcy

Rocca Gorga odczuli, że obok nich, Włochów, pozostawionych samym sobie, są Włosi, umiejący zrozumieć ogrom ich nieszczęścia. I chciałbym, aby nad znaczeniem społecznym tych posiedzeń sądowych zastanowili się ci, którzy we Włoszech rządzą, i ci, którzy we Włoszech pozwalają sobą rządzić. Powiedziawszy to, proszę was, panowie przysięgli, o uwolnienie odpowiedzialnego wydawcy. Z chwilą, gdy jesteśmy tu my, winni przestępstwa, niema powodu do skazania tego człowieka. Proszę was jednocześnie o uwolnienie i innych współoskarżonych. W gruncie rzeczy ja jestem jedynym czynnikiem odpowiedzialnym za to, co napisałem, i za to, com pozwolił, aby było wydrukowane. A zatem wszystkie pioruny prawa powinny spaść na moją głowę, nie niewinną, albowiem byłem już sądzonym; według wszelkiego prawdopodobieństwa popełnię ten sam grzech, a nawet gotów jestem przyjąć w tym zakresie zobowiązania honorowe. Wasz wyrok oswobadzający lub skazujący nie obchodzi mię. Więzienie jest w gruncie rzeczy sposobem życia znośnym. Przysłowie rosyjskie powiada, że aby stać się człowiekiem skończonym, należy mieć za sobą cztery lata gimnazjum, dwa lata uniwersytetu i dwa lata więzienia. Kto zbyt często styka się z ludźmi, czuje od czasu do czasu potrzebę samotności. A teraz pozwolę sobie na hipotezę, jakiej nie przedstawiłbym przed urzędnikami z zawodu, albowiem nie mają oni obowiązku być inteligentnymi, przynajmniej do tego stopnia, aby móc zrozumieć bez uprzedzeń całą prawdę i całe piękno twierdzeń, które wydać się mogą paradoksem. Powiem wam, że powinniście nas uwolnić nie dlatego, żeśmy nie popełnili przestępstwa, ale właśnie dlatego, żeśmy je popełnili i że obiecujemy je popełnić w przyszłości. Wyobraźcie sobie na chwilę Włochy, w których 36 milionów ludzi może myśleć w jeden i ten sam sposób, jak gdyby ich mózg został odlany w jednej i tej samej formie... Mielibyście wówczas albo zakład dla obłąkanych albo raczej królestwo nudy i głupoty.

«Cóż znaczą nieporozumienia, przeciwieństwa, walki? Jednomysłność, jednostronność są akefalją, są śmiercią. Panowie przysięgli, oddajcie cześć starożytnemu filozofowi, Heraklitowi, temu melancholikowi z Efezu, który twierdził: «Walka jest początkiem wszystkich rzeczy». A więc pozwólcie nam walczyć, dajcie nam prawo walki, a złożycie najwyższy hołd wielkiemu filozofowi i najwznioślejszej z zasad: zasadzie wolności!»

Należało słyszeć tę improwizację, wypowiedzianą głosem stanowczym a spokojnym, bez wybuchów i bez gestów deklamatorskich.

W sali brudnej i gorącej zdawało się, że powiał dech nieśmiertelności, tej nieśmiertelności, która na chwilę zatrzymała światło, kiedy mały wzrostem, siedmdziesięcioletni starzec pomścił swą karzą honor Prytaneum.

Już znalazłam wówczas nowego redaktora, gdyż przez delikatność zaproponowałam mu mą dymisję jako krytyk sztuki w *Avanti*. Nieraz w sali redakcyjnej dyskutowaliśmy na temat Nietzschego i ruchu feministycznego; spotykałam go również przy okazjach solennych, kiedy decydowałam się na asystowanie przeciętnym i do niczego nie prowadzącym gadaninom podczas zebrań partyjnych, na które i on tylko zrzadka się udawał.

Było to królestwo ubogich duchem, lecz nie ubogich na duchu. Im mniej ktoś miał wspólnego z logiką i z gramatyką, im bardziej był niedorzecznym, głupim, chaotycznym w myśleniu, tem bardziej odczuwał potrzebę i obowiązek wykazania tego zebrany, rozpoczynając swe przemówienie od «więc», wielce charakterystycznego dla tych, co nie umieją mówić. Rzadko bardzo produkowali się nieliczni rozgłośni tenorzy albo też tych dziesięciu najwyżej ludzi, mających coś do powiedzenia, aczkolwiek nie obdarzonych zaletami oratorów. Zdołałam ocenić wówczas głód zdrowego rozsądku i ten bigos, jaki retoryka zjełczała, będąca ideałem nieuków, przyrządza z mieszaniny pojęć

i idei przy nieopanowaniu słowa. Jeżeli zebrani śmiali się lub słuchali nieuważnie, dobywano wówczas najwyższego argumentu. «Tak, jestem prawdziwym proletariuszem, prawdziwym robotnikiem, nie jestem żadnym inteligentem». Boże uchroni mnie od posłyszenia tego słowa, wypowiedzianego z nienawiścią i zawziętością, nagromadzoną przez te usta w sylabach «in-tel-li-gen-tem», wymawianych powoli, z pogardą i z wybuchem złości przy końcu. Od 1910 roku określenie to na zgromadzeniach socjalistycznych było piętnem infamji, którego się obawiano, tak jak określenia «arystokrata» na zgromadzeniach w 1789 roku. Było ono przedsmakiem, jeżeli nie szubienicy, to w każdym razie niełaski. Kto chce kochać ludzkość, niechaj żyje zdala od ludzi; kto chce wierzyć w partję, niechaj nie zbliża się do niej zanadto. Przyjście Mussoliniego w tych rzadkich wypadkach, gdy przychodził, zaznaczało się pewnym odruchem ciekawości. Umiał on otaczać się tą aureolą enigmatyczną, jaka jest darem przyrodzonym i jednym z powodów jego popularności. I wówczas prowadził życie odosobnione i tajemnicze. Dlaczego pozwalać na niepotrzebne zbliżenie się, jeżeli przyjaciele dnia dzisiejszego będą jutro pozostawieni wtyle na stopniu niższym «Równi... nie! Równy z kim, gdy przedstawiam rząd Państwa?», mawia on dzisiaj. Kureczy twarz z niechęcią i gniewem, kiedy wpośród oklasków, skierowanych ku monarsze, ktoś oklaskuje jego osobiście, o ile towarzyszy królowi. Z drugiej strony, kiedy na kongresie w 1923 roku, Konfederacja Generalna Pracy omawiała problemat «współpracy» z rządem, kazał powiedzieć, że z chęcią przyjąłby współpracę poszczególnych jednostek kompetentnych albo też grupy, jedynie na polu techniki, ale nierównorzędnie z Państwem.

«Hierarchie muszą kończyć się ostrzem szpilki. Na drugim stopniu, jeżeli chcecie i kiedy zechcecie», kazał on powiedzieć pewnemu wybitnemu działaczowi, który w tru-

dnych chwilach zaofiarowywał mu poparcie». «Na pierwszym, jeden jedyny człowiek może pozostać, a tym jestem ja, dopóki reprezentuję Państwo, i tylko ja».

Należy przypomnieć sobie, jakim łachmanem stało się «Państwo» wtedy, kiedy na dźwięk nazwiska Giolittiego oczy posła Trevesa rozbłyskały niebiańskim ogniem. Cała ta zręczna polityka polegała jedynie na przekonaniu socjalistów, że wysiłek, mający na celu obalenie straszaka, noszącego nazwę «Państwo», był wysiłkiem daremnym, i że wygodniej było prowadzić politykę rabunku w pogodzie ducha.

Kiedy w 1913 roku Filip Turati wyśpiewywał dytamy na cześć powszechnego głosowania i robił wymówki Mussoliniemu za jego umiarkowany entuzjazm, ten ostatni odpowiedział: «My nie chcemy gloryfikować «tego faktu», albowiem powstrzymuje nas od tego uczucie wstydu». — «Jeszcze gdybyśmy byli zdobyli ten postulat, lecz został nam udzielony, i tylko dusze żebraków mogą wychwalać jałmużnę otrzymaną od pana domu».

Zresztą antyparlamentarysta z temperamentu, pisał jeszcze w *Lotta di classe*:

«Miałem ilość woli jakość. Miałem posłusznego i spokojnego stada, co idzie za pasterzem i rozbiega się na pierwsze zawycie wilka, woliem niewielką grupę, która odważnie i prosto idzie do celu, wiedząc, czego chce, i rozumiejąc ukochanie sztandaru, w jaki wierzy».

«Wybory są środkiem, epizodem tylko tej walki, jaką chcemy prowadzić, mobilizując wszystkie nasze siły, a to nietylko dla zrealizowania programu wyborczego».

Umysłowość, mająca skłonność do tragizmu, gardziła łatwością przedwojennego życia włoskiego. Wierzył on zawsze w głębokie zalety ulicznego czynu w sensie materialnym — konstrukcyjnego, a w sensie moralnym — ożywczego. «Niechaj nazywają nas romantykami, pomimo to wierzymy, że na ulicy, a nie gdzie indziej — skoro dojrzeją

czasy i ludzie — odbędą się nasze decydujące walki». Prawdopodobnie odczuwał w powietrzu tragedję zbliżającą się i rwał się ku niej i przeciw niej, *amor fati*.

We Włoszech — ziemi gorących i gwałtownych stronnictw osobistych — namiętność polityczna rzadko przybiera formy głębokich przekonań idealnych. Ta przyjemna dwulicowość i ten sceptycyzm narodów dawnego pochodzenia — motywy uroku w życiu codziennym, które składa się z łatwości i wyrozumiałości, i motywy wielkości w sztuce — są motywami nieszczęścia w życiu narodu, którego budowa jest niemożliwa bez poświęceń i bez ciągłości w rozwoju danej idei.

My, socjaliści, reformiści przedwojenni, myśleliśmy, że będzie można uzdrowić te stosunki, przepelnione miernotą i przeciętnością, dopuszczając do udziału w rządzeniu krajem paru ludzi o wybitnej kompetencji technicznej i wysokiej wartości moralnej. Dalekovidzący przywódca rewolucyjny odczuwał, że należało zdala od przekupstwa odżywiać czystą wiarę, jedyną rezerwą dni przyszłych.

«Jednym słowem, my chcemy zmusić socjalistów, aby byli socjalistami, a burżuazję, aby była burżuazją. Nie jest to tak paradoksalnym, jak się wydaje. Nie uważamy za konieczne osłabianie antagonizmu pomiędzy jednymi a drugimi, przeciwnie, chodzi nam o pogłębienie tegoż. Antagonizm taki jest dobry. Zmusza nas do pilnowania samych siebie, do polepszania, do zahartowania się w walce, do «przewyższenia» samych siebie; burżuazja pod presją naszą i skutkiem naszego ataku będzie musiała wyjść ze swej gnuśności, odnowić się, aby móc się przeciwstawić, albo zginie. Niechaj pozostaną zatem kanty, niechaj pozostaną nietknięte przeciwieństwa, z tego zetknięcia się dwóch głazów zrodzi się iskra, z sił w walce wynijdą przyszłe wyższe formy równowagi społecznej».

Z akcentem twardym, proroczym, kończył on, wzywając «ten dzień historyczny» i «kąpiel krwi niezbędną dla proletariatu włoskiego». Po tej i po tamtej stronie bary-

kady, w ataku wówczas, jak i dzisiaj, po zdobyciu, przy obrobie są jednakie: metoda, zasady i duch. Trzeba walczyć «na serjo» i «do końca».

W krótkim przeciągu czasu, to apostołowanie nieprzejednanego idealizmu doprowadziło *Avanti* do zdwojenia normalnego nakładu, a partję do zwiększenia szeregów przez nowe, liczne i pełne entuzjazmu zapisy. Ale dziennik oficjalny, organ partji, nawet jeżeli chodzi o partję wywrotową, zmusza do zachowania dyplomatycznych i biurokratycznych ograniczeń. To też redaktor dziennika, «aby czuć się bardziej sobą», założył wkrótce czasopismo *Utopia*, wielce osobiste i szczerze aż do ostateczności.

«Ależ nie! Ależ nie! żadnych ceduł, żadnych zeszytów... wszystko sam będę robił, już mam wszystko w głowie. Nie chcę listy wybitnych osobistości, aby rozpocząć wydawnictwo; lista będzie później, a nie przedtem...» Współpracowało się *gratis* i z przyjemnością, mając jako pierwszego uważnego czytelnika samego redaktora.

Kto starannie przegląda numery tego czasopisma, może łatwo odnaleźć pierwsze załamania ortodoksyjności. Pewne zasadnicze wskazówki są wprost herezjami, nieco skorygowanymi przy pomocy sofizmatów i pewnych formalnych wykrętów, poczynając od charakterystycznego wielce preludjum: «Przedsięwzięcie beznadziejne».

«W pewnej chwili socjaliści stali się ofiarami poważnego błędu. Uwierzyli w to, że kapitalizm stanął już u kresu swej drogi. Tymczasem kapitalizm jest jeszcze w fazie ostatecznej ewolucji. Nie skończyła się serja jego przeobrażeń. Lecz rozdrabnia się on w mnogość kategorii i — tego elementu, który do dziś dnia był zaniedbany — w mnogość przejawów psychologicznych.»

«Zresztą ten sam proletarijat nie przedstawia nam rzeczywistości jedynej, a więc jedyne wyrażenie».

«Istnieje rzeczywistość różnorodna, jak wszystkie rzeczy na świecie, rzeczywistość kapitalistyczna obecna, pochodząca od innej rzeczywistości historycznej — od feudalizmu i jednocześnie stanowiąca jego zaprzeczenie. Treść teoretyczna socjalizmu marksowskiego jest refleksem świata kapitalistycznego Anglii. Lecz — treść teoretyczna może być przywilejem jedynie nielicznych mniejszości, zbytkiem ludzi uczonych którzy są, w pewnej mierze, nazewnątrz rzeczywistości, ale szerokie masy, powołane do stworzenia nowego królestwa, potrzebują nie tyle «wiedzy» ile «wiary». W ten sam sposób można być dobrym chrześcijaninem bez przeczytania i zrozumienia całej teologii, i tak samo można być dobrym socjalistą, nie znając prac i arcydzieł literatury socjalistycznej, będąc analfabetą. *Sans-culottes*, którzy wyruszyli na zdobycie Bastylji, nie mieli teoretycznego wykształcenia.

Rewolucja społeczna nie jest schematem umysłowym lub kalkulacją, lecz przede wszystkim aktem wiary. Wierzę w rewolucję społeczną».

Jeżeli Jan Ruskin przeczył absurdalnej egzystencji człowieka ekonomicznego, to uczeń Vilfreda Pareto i «starej Joanny» stosował do kalkulacji ekonomicznych «elementy nieuchwytnie» psychologii w tym właśnie artykule, który mógłby być napisanym dzisiaj dla *Gierarchii* z wyjątkiem dwóch czy trzech zdań o własności środków produkcyjnych i o ustaleniu jedności proletariatu. Są to dwa punkty, nad którymi w ciągu dziesięciu lat odbyła się praca jego ducha i doświadczenie życia przeszło, wykazując mu, że ten sam atomizm rozkłada całkowicie blok proletariacki i kapitalistyczny. Zresztą, przekonania, metoda, idee faszyzmu dzisiejszego, są w gruncie rzeczy realizacją socjalizmu rewolucyjnego z tamtych czasów w jego żywotnej części.

A wielka część ludu, poza etykietami, odczuwa to i idzie za nim, właśnie dlatego.

## XXVII

## MANE, TEKEL, FARES

*Czerwony tydzień. Zawieszenie broni. Ostatnie dni przedwojenne. Z Austrią — nie! Raczej barykady. Zjazd w Medjolanie i zjazd we Fiuggi.*

Dramat, jaki przeżywał, miał we Włoszech krótki prolog, dziś wydający się heroikomicznym w świetle późniejszej tragedji, jakkolwiek podówczas wydawał się nie pozbawiony wandalizmu i krwawej grozy.

Powstaniu, które się udaje, zazwyczaj odmawia się charakteru rewolucyjnego, jak to ma miejsce z ruchem 1922 r., ale bunt nieudany staje się parodią, jak ten z 1913 roku, kiedy zaimprovizowane komitety wykonawcze w Ankonie, Forli, Rimini i Ravnennie zarządziły obleganie koszar, zabrały kilka kurników, spaliły w kilku miejscach drzwi kościelne i zasekwestrowały po karczmach generałów napotkanych po drogach. W Medjolanie, w Turynie i w Bolonji cały przebieg ograniczył się do strajku, który nie przybrał nawet charakteru strajku powszechnego, ogłoszonego we Florencji i w Rzymie.

Redaktor *Avanti* ogłosił zawieszenie broni, nie okazując żadnej skruchy. Chodziło o manewr mający na celu utrzymanie w stadjum czujności ducha rewolucyjnego ludu i obudzenie chęci do ryzyka wbrew zasadom tego socjalizmu oswojonego, który «z obawy nieudania się, zastosowuje system oszczędnościowy do rewolucji».



Przechwálki, jakie mogły się były wydać nienawistnymi w ustach innego człowieka, nabierały powagi dzięki przykładowi dawanemu przez tego, kto je pisał i wygłaszał. «Socjaliści Medjolanu, stawcie się na placach! Ponieście do centrum miasta nacisk waszej obecności!» Pisał on te słowa i wkrótce potem jeden z pierwszych stawał na posturunku, na tym placu *del Duomo*, z którego odchodził ostatni, wyprostowany, z rękami założonymi, podczas gdy inni chowali się po bramach. Paweł Valera opowiada naiwnie, jak wobec szarzy kawaleryjskiej Mussolini złapał go za marynarkę, w chwili, gdy stosownie do zdrowej tradycji rewolucyjnej, chciał uciec, i jak powiedział mu: «Daremnie usiłujesz uciekać, boć przecież, albo żołnierz nie ci nie robi, albo też wysła cię na tamten świat płatnięciem szabłą, a więc, widzisz...!» Valera stanął przed alternatywą niezbyt przyjemną.

A tymczasem pewnego pięknego popołudnia, kiedy połowa ludności medjolańskiej przechadzała się po ulicach, a ja z rodziną udawałam się do podmiejskiej restauracji na kolację, sprzedawcy gazet zaczęli wykrzykiwać, że w Serajewie skutkiem spisku padł ten, kto był zdecydowanym i zawziętym nieprzyjacielem Włoch, ten, kto przemyślał, jakby «napaść ztylu» i urządzić «przechadzkę wojskową», wtedy kiedy Reggio i Messyna zostały zburzone przez trzęsienie ziemi w 1908 roku.

Myślę dzisiaj o tym przedmierzchu czerwcowym, jako o końcu pewnej epoki. Jakże łatwą była egzystencja na ówczas, jak łatwym i wesołym życie ówczesne! A jednak było coś w tych latach, czego nie można określić, a co niepokoiło najszlachetniejszych wśród szlachetnych ludzi. Ta łatwość właśnie, granicząc z anarchją i zniewieściałością niemal, wzmagająca w duszach wrażliwszych tęsknotę do surowszych warunków życia, do celów niemal świętych.

Słyszałam kiedyś dziecko siedmioletnie, które zginęło później w wojnie w siedemnastym roku życia, jako

ochotnik, mówiące do młodej matki: «Czasy bohaterów i rycerzy były piękne! Wtedy, jakże piękne było życie. Dzisiaj jest ono przechadzką nudną po zbyt wygodnych drogach». Młodość jest bojownicza, urodzona po to, aby wspiąć się na strome szczyty. Na wiadomość o śmierci Franciszka Ferdynanda, ja sama, przypominam sobie, odczułam wybuch wesołości i zadowolenia. Nieprzyjaciel Włoch i pokoju zginął! Powiedziałam wtedy: «Teraz, gdy umrze Franciszek Józef, rozpadnie się Austrja».

Rzeczywista prawda, rzeczywistsza niżli naówczas myślałam. Lecz za jaką cenę? To dziecko zginęło na szczytach gór, za wiarę, jaką serce jego intuicyjnie wyznawało.

Pamiętam inną chwilę tego spokojnego lata. Było to pewnego ranka na Lido w Wenecji, władcem kosmopolitycznym zbiorowisku karnawałów morskich, kiedy doktor zasiadł przy łóżeczku mej maleńkiej córki, chorej na odrę. Zaniepokojona, nie wyszłam z domu tego ranka i nie czytałam pism. Z okna, jak codzień, widać było plażę słoneczną i morze lazurowe i kąpiących się... Doktor, wkładając termometr pod pachę chorej, zwrócił się nagle ku mnie z wyrazem zaniepokojenia, pytając: «A co pani powiada o ultimatum?».

Ostatnie słowa tej epoki.

Potem, przypominam sobie niejasno, biuro kupców zboża, dokąd musiałam się udać tego dnia, telefon i telegraf oblężone, tysiące i tysiące centnarów zboża zagarnięte przez spekulantów. Wydawali mi się oni, jak olbrzymie polipy, wyciągające długie macki wrażliwych drutów telegraficznych i fal powietrznych przez lądy, przez morza, przez kwitnące jeszcze łąki ku zbiorom spoczywającym w śpichrzach. Zaniepokojenie i jakieś delirjum na jawie! Gubiłam się w tem uczuciu, i zdawało mi się, że jestem sama i opuszczona wśród ludzkości ogłuszonej, nieprzeczuwającej i nieświadomej.

29 lipca, kiedy oczekiwano po upływie terminu określonego odpowiedzi na *ultimatum*, sezon światowy na Lido,

w tym wielkim salonie, jakim była ówczesna Europa, doszedł do punktu kulminacyjnego podczas balu wydanego w hotelu Excelsior. Dwie noce przedtem, po zabawie perskiej, urządzonej przez markizę Ludwikę Casati, plac św. Marka, cichy i skąpany w pierwszych błyskach świtu, w różowości mieszającej się z szarzyzną rozbrzasku i marmurów, zbudził się, jakby na urzeczywistnienie czarownego snu maskowego. Na czele zamaskowanych balowników szła markiza z papugą w rękę, w stroju księżniczki z bajki, stroju wymyślonym przez słynnego Baksta dla tej niestrudzonej wynalazczyni wszelakich wykwintów. Ani Carpaccio, ni Paweł Veronese ni Gentile Bellini nie zdołali przedstawić na obrazach wspaniałszego grona wśród zaulków i na kanałach, owianych wielkością stuleci. Nigdy do tego czasu moda nie była tak wystawna i tak wyrafinowana. Historyczne klejnoty Europy i Ameryki północnej i południowej naznaczyły sobie spotkanie pomiędzy morzem i laguną; bogate stroje, piękne kobiety, nazwiska najwspanialsze, potrawy wyszukane, ogniste wina — oto treść. Jakaś starsza pani z Egiptu pokryła swój pomarszczony dekolt potrójnym sznurem wspaniałych pereł. Szmaragdy kupcowej V., właścicielki wielkich pól ryżowych w Lombardji, przypominały rodowe klejnoty i zielone oczy jakiejś córki dożów, władającej sercami imperatorów. A małe rączki wydelikaczone trzymały olbrzymie wachlarze z piór orlich, ostatni wyraz mody. W niespełna rok potem chwiały się orle pióra na zielonych kapeluszach górskich żołnierzy pomiędzy wąwozami naszych Alp, o które walczyliśmy.

Termin *ultimatum* upływał o północy, a tu rozlegały się dźwięki tango. Tej zimy wielkim problematem był wybór pomiędzy tango a furlaną... Kolacje w sali i na tarasie o drugiej w nocy. Futra bogate, klejnoty bezcenne i szampan. Na plaży słodko zasypiało morze. A ja w kabinie telefonicznej przywoływałam desperacko dalekie głosy z redakcyj dzienników miejscowych zaspanych i milczących: nic nie wiadano.

Mane, tekel, fares... Ogniste słowa olśniewały tylko mnie. A innej nocy, na innem morzu, kawalerowie i damy w odświętnych strojach śpiewali przy akompaniamencie orkiestry święty hymn: «Bliżej Ciebie, mój Boże», podczas gdy *Tytanic* pogrążał się w otchłanie, powoli, nieublaganie.

Djabelski rytm najnowszego *tango* «Nieprzez wyciężony» nadawał takt katastrofie piękna, użycia, pokojowej cywilizacji w epoce już pochłoniętej przez odmęt.

Anglicy i Niemcy, snujący się dotąd wśród budek kąpielowych na plaży, znikali szybko, Niemcy i Węgrzy wyjeżdżali hurmem a Rosjanie opóźniali wyjazd. Wielka jest święta Rosja i daleka pomiędzy granicami nieprzyjacielskimi. Francuzi znikli odrazu, najspieszniejsi w odpowiedzi na nie spodziewane powołanie. Włosi natomiast przybywali z miast dalekich rozgrzani i zmęczeni, aby wypocząć u boku kobiet zajętych haftem i rozmową, a wypadki wydawały się dalekimi w ich rozmowach, podczas gdy wygrzewali się na słońcu. «Z Austrią — nie! *Casus foederis!* Wolę zostać dezertorem, niż bić się za Niemców. Co robią w Rzymie? Co się mówi w Medjolanie?».

W Rzymie nic prawie nowego. Natomiast w Medjolanie redaktor *Avanti* nie tracił czasu na zdziwienia. Już dnia 26 lipca w artykule «Precz z wojną!» oświadczał bez wykrętów:

«Włochy, jeśli nie chcą przyspieszyć ostatecznej zguby, mają jedyną drogę przed sobą, jedyne stanowisko do zajęcia: neutralność absolutną. Albo rząd zgodzi się na tę konieczność, albo też proletarjat narzuci mu ją wszystkimi siłami».

Byliśmy dalecy już od tej koncepcji, jakiej Bismarck żądał od Włoch na wypadek wojny francusko-niemieckiej. «Kaprała, czterech żołnierzy i trębacza zwróconego przeciw Francji!».

Mussolini zwołał pośpiesznie i potajemnie «reprezentantów organizacyj ekonomicznych całych Włoch i zarząd

partji, aby powzięto decyzję strajku powszechnego, barykad i wojny domowej, na wypadek, gdyby rząd zechciał maszerować u boku zdradzieckich aljantów». A już 27 lipca groził w następujący sposób rządowi: «Jeśli rząd, nie biorąc pod uwagę jednogłośniego napomnienia opinii publicznej, rzuci się w wir nowych awantur, «zawieszenie broni», zapowiedziane przez nas po «czerwonym tygodniu», skończy się, i rozpoczniemy z tem większą odwagą «naszą wojnę»... Pisał też: «Współpracować w ograniczeniu wojny, albowiem zdaliśmy sobie sprawę, że uniknąć jej niepodobna, oto obowiązek najwyższy, jaki Włochy powinny i muszą podjąć, ale nie należy żądać więcej... Proletariusze są czujni obecnie. Jeżeli Włochy zechcą złamać neutralność na rzecz mocarstw centralnych, obowiązkiem proletariatu włoskiego — powiadamy to głośno już dzisiaj — jedynym obowiązkiem jest zbuntować się! Neutralność nasza winna być absolutna. Nie jesteśmy kumami lub utrzymankami Austrii i Niemiec».

Ostra mowa Ferdynanda Martini na radzie ministrów, dwa czy trzy dni potem, przedstawiała tę samą tezę, opierając ją na bezsprzecznym argumencie, decydującym w polityce wewnętrznej — na stanowisku socjalistów i artykułach Mussoliniego, które kierowały opinię publiczną, w razie potrzeby, na wypadek wojny ku rewolucji.

«Jest rzeczą jasną, że w ciągu pierwszych piętnastu dni sierpnia bylibyśmy zgodzili się na mobilizację powszechną wojska, gdyby rząd był uważał ją za konieczny środek ostrożności, gdy «kroki» ambasadorów austriacko-niemieckich stawały się częstsze i bardziej nalegające», pisał Mussolini kilka tygodni potem, wykazując, iż stanął on — rewolucjonista — na terenie polityki czynnej i konkretnej obrony narodu.

Po ogłoszeniu neutralności w stosunku do Austrii, zna-

komici obywatele rzymscy rozjechali się spokojnie z westchnieniem ulgi na wakacyjne wywczasy.

Na wiosnę, po jednym z licznych kryzysów gabinetu, generał Porro, przed wyrażeniem swej zgody na objęcie teki wojny w gabinecie ministra Salandry, zażądał wyasygnowania znacznych sum, czego mu odmówiono. Sumy, znacznie mniejsze, ustalone po długich targach z generałem Grandi, nie zostały zażądane przed rozpuszczeniem na lato parlamentu w obliczu «Czerwonego tygodnia» i zwykłych kombinacyj kularowych z socjalistami. Nawet i dramaty w Agadir, nawet dwieście milionów otwarcie wyasygnowanych przez Niemcy w 1912 roku pod nazwą podatku nadzwyczajnego wojennego, nie zdołały otrzeźwić nas, socjalistów, dalekich od rządu, z tego zaślepienia, z tego gnuśnego odrętwienia w optymizmie pokojowym, zresztą wybacznego w stosunku do nas, a co gorsza, nie zdołały rozbudzić zrozumienia rzeczywistości w obłąkanem sumieniu sfer odpowiedzialnych. Podczas gdy Belgja podległa inwazji, a «świszki papieru» znalazły się w koszyku na *Ballplatz'u*, dopiero w początku września Ferdynand Martini zdołał przełamać odrętwienie kolegów bawiących na wywczasach. Minister spraw zagranicznych di San Giuliano leczył się na gościec czy też na inną jakąś chorobę we Fiuggi, i dopiero 7 września — powiadam: siódmego września — zbrali się w pięknem miasteczku kuracyjnem dwaj czy trzej olimpijscy bogowie, i pierwszy raz zwrócono się do ministra wojny, który nie pomyślał o tem, aby zarządzić przegląd naszych sił rzeczywistych, odzieży, broni i t. p.

«Czyż naprawdę — pytał Ferdynand Martini, przymykając oczy z nieuchwytną a dowcipną bystrością tokańską — czyż naprawdę wierzycie, że będzie można utrzymać do końca neutralność Włoch?»

A pytanie to dziwiło innych.

Przechodziły tragiczne widziadła Campoformio; najjaśniejsza Rzeczpospolita wenecka zdradzona, sprzedana

przez potęgę francuską potędze austriackiej; przechodziła zjawą ironiczną Messer'a Machiavelli, który nadarmo uprzedzał wiele wieków przedtem o niebezpieczeństwie nieuzbrojonych neutralności.

«Niesumiennosc rządów Europy w okresie przedwojennym — usłyszałam potem od posła Mussoliniego, kiedy doszedłszy do władzy, poznał dokumenty kancelaryj dyplomatycznych — jest historją, hańbiącą ludzkość».

Kancelarje dyplomatyczne! Kiedy ambasador niemiecki oficjalnie przedstawił się na *Quai d'Orsay*, a termin *ultimatum* upływał, świadkowie godni wiary zapewniają, że minister udawał się na wyuczasy, wiceminister był na urlopie, a sekretarz naczelny na wsi. *Monsieur Bienvenu Martin*, gorliwy funkcjonarjusz, grzecznym ruchem starał się wziąć z rąk ambasadora trzymane papiery.

«C'est très bien, monsieur l'Ambassadeur, nous allons classer cela».

«Cela» zauważył ksiączę, nieco zmieszany, była to deklaracja wojny wypowiedzianej Rosji przez Niemcy.

## XXVIII

## PRZEŁOM DUCHOWY

*Przerażenie i rewizja wartości. Neutralność absolutna czy neutralność względna? My, którzyśmy cię kochali, o Francjo! Wojna o zachowanie tego, co było, czy o rewolucyjne odrodzenie duchowe? Historyczna rzeczywistość narodowa i duch socjalizmu.*

Nie zapomnę nigdy tych pierwszych dni gorącego sierpnia w Chiasso, na stacji granicznej, dokąd dzień i noc pociągi wyładowywały tłum zgłodniały i obdarty: mężczyźni, kobiety i dzieci, odsyłani do kraju z Niemiec już walczących, i stłoczeni w wagonach w ciągu ośmiu, dziesięciu, piętnastu dni drogi. Tłum ten jechał w wagonach towarowych, zamkniętych na klucz. Zdrowi i chorzy, niewiasty brzemiennie i młode matki z noworodkami u piersi... Wśród tych ostatnich były pierwsze ofiary. Kilkoro dzieci zmarło na naszych rękach. Dzień i noc, księża i socjaliści, panie i prostaczki, chłopcy, którzy wkrótce mieli stać się żołnierzami i bohaterami, ubiegali się naprzemian, aby karmić, ubierać i leczyć przybyłych. Po bratersku, bracia, aby mniej twardym wydawał się powrót i otwarte z uśmiechem ramiona Włoch... Oh, jakże żywo w sercu miłość ku tobie, ojczyzno słodka, drgała!

1 sierpnia partja robotnicza socjalistyczna belgijska, *Anseele* rewolucyjny w porozumieniu z reformistą *Vanderfeldem*, stwierdziła, iż «słusznem jest prawo obrony ze strony socjalistów rozumnych, celem uniemożliwienia najścia tery-

torjum» belgijskiego. Poseł do parlamentu, socjalista niemiecki, Franck, żołnierz entuzjastyczny, jak inni «towarzysze» germańscy, został zabity podczas najazdu na Lunéville, pozostawiając w testamencie wyznanie, iż «dumnym był, że oddaje życie w walce o wielkość Niemiec». Francuzi bili się wszyscy. Pojęcie narodu wszędzie niweczyło chwiejną koncepcję klasy, jako jednostki i jedności międzynarodowej.

*Avanti* w obliczu «nieoczekiwanego i nieusprawiedliwionego napadu Niemiec, od których zależała i zależy wojna», w obliczu tego niesłychanego i bandyckiego wprost postępowania, sankcjonował najzupełniej proklamację towarzyszków Belgijczyków, uzbrojonych przeciw rozpętanej i zbrodniczej akcji militarystyki pruskiej i pangermańskiej, który jest od 1870 roku do dziś bandytą zaczajonym na drodze cywilizacji europejskiej. Należało iść przeciw niemu na granicę, tak samo, jak pokojowo usposobiony obywatel musi uzbroić się w browning, aby bronić się przed napadem bandyty. Co się tyczy Włoch, możemy przedstawić kilka prostych hipotez. Przedewszystkiem: blok niemiecki przegra, a wówczas Włochy nie mają powodu do obaw. Inna hipoteza. Blok niemiecki wygra na całej linii przeciw Francji, przeciw Rosji i przeciw Serbji. A więc, jeżeli neutralność Włoch jest najzupełniej usprawiedliwiona, jak to nam mówi nasze przekonanie, przez cały szereg racji prawnych i faktycznych, to jednak, gdyby Austria — podniecona ewentualnymi zwycięstwami — zechciała (hipoteza ta wydaje się mało prawdopodobna) urządzić «ekspedycję karną» przez Veneto, jest rzeczą prawdopodobną, że wielu z tych, którzy dzisiaj są oskarżani o brak patriotyzmu, umiałoby spełnić swój obowiązek»...

Wojna i socjalizm dla Mussoliniego, jak powiada manifest partji przezeń napisany «są bądź co bądź głębokimi antytezami nie do uzgodnienia». Należy zatem «nie stwarzać nastrojów ducha niebezpiecznych, należy spoglądać w twarz rzeczywistości i nie karmić się złudami».

«Nastrój ducha», przeciw któremu on występował, był jego własnym nastrojem. Mówiono wówczas błędnie, że jako socjalista Mussolini pragnął neutralności, a jako Włoch — wojny. Można przypuszczać, że Międzynarodówka we własnym interesie byłaby zwróciła się z wezwaniem w imię najwyższej solidarności, aby wepchnąć nas w wir wypadków i przyspieszyć pokój, ocalić wiele istnień i odbudować zasady międzynarodowej sprawiedliwości, podeptane i zniweczone. Lecz właśnie Włoch w onej chwili słusznie wahał się.

Tym, którzy pragnęli przyłączenia Włoch do wojny u boku państw centralnych, stróżów porządku i konserwatywnego społecznego, odpowiada on, że nie jest rzeczą pożądaną wzmocnić ciasne pojęcie narodowe Włoch ówczesnych. Bogactwo materialne ma znaczenie, jako przedsmak innego bogactwa, nie jako rozległość tylko, ale jako rzeczywista wielkość duchów.

Pewnego wieczora we wrześniu, partja socjalistyczna w Medjolanie zastanawiała się nad problematem: Neutralność absolutna czy neutralność względna? Mussolini został wskazany jako główny rzecznik tezy przezeń głoszonej podówczas: neutralność absolutna. Kiedy ukazał oczom słuchaczy bolesną swą mękę wewnętrzną, było to niemal niespodzianką. Widziałam go pogodnym w trybunale, gdy stanął przed ewentualnością wyroku skazującego na kilka lat więzienia. Ale teraz, wymowa jego załamywała się w akcentach gorącego smutku, porwana troską wewnętrznego badania, gdyż chodziło o ideje ogólne, o problemat sumień brzemienisty przyszłością. «Tak, i my powinniśmy powtórzyć za poetą: «My, którzyśmy cię kochali o Francjo!» — zawołał. «I my też mamy w żyłach tę miłość dla Francji!»

Jest w słowie żywym jakiś cudowny, magnetyczny urok, jakieś uzewnętrznienie bezpośrednio podświadomości, żywszej, bardziej przekonującej i prawdziwszej, niżli samo znaczenie słów. Mówiąc, nie można skłamać bezkarnie, aby tego kłamstwa nie dosłyszały uszy uważne. Nie przypo-

minam sobie dziś już dosłownego brzmienia słów redaktora *Avanti*, pozostało mi jednak wspomnienie zdziwienia wywołanego tem obnażeniem jego głębokiej myśli, tem zajęciem stanowiska na terenie narodowym, na terenie interesów włoskich, widzianych z punktu widzenia Włoch. Gdy skończył, reformista przeciwnik, mający z nim polemizować, oświadczył, że zgadza się całkowicie na tezę Mussoliniego. Być może, że wykroczył on wówczas poza granice własnego ówczesnego przeświadczenia, mówiąc, że tylko głupcy nie zmieniają się, a wraz z nimi tylko trupy fizyczne albo umysłowe. Jeżeliby jutro dokonało się jakieś nowe zjawisko, zadecydujemy co do nowych reguł postępowania i norm nowego czynu... Moglibyśmy być zwolennikami czynu wojennego, gdyby stała przed nami jasno groźba natychmiastowego zniweczenia narodów zachodnich ze strony państw Centralnych».

Umysłowość pozytywna i realistyczna, jaka popchnęła go ku rozdzieleniu pojęcia «klasy» w stosunku do rzeczywistości zawartej w pojęciu «klas», doprowadziła go wkrótce do zniweczenia wygodnego mitu «wojny» dla rozpatrzenia i wglębnienia się w nieuchwytną rzeczywistość «wojen».

Nie chodziło tu o przybieranie się w stroje nieśmiertelnych zasad. I socjalizm był dlań metodą i mitem.

Na polu rasy i narodu rodziło się jego wahanie. *Utopia* wydrukowała wówczas list zawierający skargi na triumf Francji i Anglii sprzymierzonych ze Słowiańszczyzną i przewidujący dla Włoch i Europy cały szereg szkód, jakie urzeczywistniły się później w znacznej części. Bezpieczeństwo w basenie Adrjatyku czy też przyszłość na Morzu Śródziemnym? Konsolidacja konserwatywna wielkich plutokracji kolonialnych i imperjalistycznych, czy też pojawienie się olbrzymich zbiorników demograficznych proletarjackich, rewolucyjnych w duchu i w czynie? Pamiętam, pewnego wieczora, przy wyjściu z innego zebrania dość burzliwego medjolańskiej sekcji partii socjalistycznej, posłyszałam, jak wśród cieni miasta uspiętego, redaktor *Avanti* roztrząsał

te wielkie problemy głosem pełnym wzruszenia a jednocześnie z przedziwną jasnością wielostronnego zrozumienia.

Artykuł z 10 października, noszący charakterystyczny wielce tytuł: *Od neutralności absolutnej do neutralności czynnej i działającej*, opisuje rewolucję rosyjską, jaka miała miejsce trzy lata później, przewidując krzywizny rewolucji podobnego rodzaju stosownie do linii potrzeb logicznych nakreślonych, jak orbity niezmiennie gwiazd. «Czyż przypuszczacie, że państwo jutra, republikańskie albo socjal-republikańskie, nie będzie prowadziło wojny, jeżeli konieczności historyczne — wewnętrzne i zewnętrzne — zmuszą je do tego? A któż wam gwarantuje, że rząd, stworzony przez rewolucję, nie będzie musiał szukać — właśnie w wojnie — swego chrztu? A czyż bylibyście przeciwni wojnie, gdyby ona właśnie miała uratować waszą i naszą rewolucję? Nie chcecie uznać różnic istniejących pomiędzy wojną a wojną i usiłować przeciwstawiać się wszystkim wojnom identycznymi środkami, jest to składać dowód braku inteligencji, graniczącego z głupotą».

## CZŁOWIEK SAMOTNY

*Opuszczenie redakcji Avanti. Amor fati. Złoto francuskie a przyszłe lokale redakcyjne. Śmiałość. Wydalenie z partji. Nienawidzicie mnie, albowiem kochacie mnie jeszcze!*

Znalazłam się przypadkiem na jednym z posiedzeń rady miejskiej w magistracie, gdy burmistrz miasta i dobry adwokat, Caldara, socjalista, interwentysta i zwolennik Mussoliniego, (starał się później, aby wybaczone mu to w partji), otworzył w mej obecności jakąś depeszę, pobladł i położył na stole przede mną telegram tej treści:

«Złożyłem nieodwołalnie dymisję z redaktorstwa *Avanti*. Nareszcie jestem wolny. Pozdrowienia. Mussolini».

«Przykro mi bardzo, przykro mi bardzo...» powtarzał Caldara.

Ten *enfant terrible* wprowadzał swych poważnych przyjaciół w zakłopotanie. Przecież to on właśnie starał się o skierowanie opinji publicznej ku «neutralności absolutnej». A teraz, proponował zarządowi partji odrzucenie tej formuły «zanadto obowiązującej i dogmatycznej», wymagając od socjalistów rewolucjonistów takiej rozciągłości umysłowej, jakaby mogła «wskazać i skoordynować, na wypadek przyszłej wojny, postępowanie partji stosownie do wydarzeń». Wobec odmowy, zamiast nawracać stopniowo słuchaczy

z tej samej mównicy, do czego miał prawo, którego nikt nie mógł go pozbawić, aż do czasu zwołania nowego kongresu narodowego, gwałtownie pozbawiał się on, *sponte sua*, atrybutów obrony i ataku! Od jednej tylko osoby usłyszałam wówczas, że zrobił dobrze. Była nią Anna Kuliscioff. «Nie może dotrzeć do serca mas, ten kto nie zdolny jest do czynów zdecydowanych, natychmiastowych, do ciosów bezpośrednich. Rozsądna przezorność nie zda się tu na nic.»

Rozbiegły się najdziwaczniejsze pogłoski. Mussolini wystąpił z *Avanti*, rezygnując z przypadającego nań odszkodowania dziennikarskiego, nie wziął nawet pensji bieżącej i odmówił przyjęcia tego tysiąca lirów, jaki zaofiarował mu zarząd partji, prosząc, aby przyjął pieniądze przez wzgląd na potrzeby rodziny. A jednak zakładał własne pismo. Rozumie się, że «wziął pieniądze od Francuzów». Jakież zdziwienie ogarnęło mnie, kiedy zobaczyła dwa ciasne pokoiki, w których krzątał się pomiędzy czterema krzeselkami poczciwy Aleksander Giuliani, od wielu lat kronikarz *Avanti*, który opuścił dziennik wraz ze swym redaktorem! Pokazał mi on na dużej ćwiartce papieru pisany na maszynie cennik ogłoszeń, stanowiący podstawę materialną przyszłego dziennika, wraz z zadatkami na ogłoszenia i czterema tysiącami lirów pożyczonych na weksel. Dwóch wóźnych trzeba było opłacić bez zwłoki, płacić należało również za papier i za druk, współpracownicy bowiem pozbawieni «świętej iskry» byli tu zbyteczni. Później osoba mi bliska należała do tego sądu honorowego, któremu przewodniczył zaciekły zwolennik neutralności, a który zbadał te pogłoski i uznał je za fałszywe i bezpodstawne. Co do mnie, nie czekałam na zadokumentowane stwierdzenie; moje przekonanie było pewne i instynktowne.

*Il Popolo d' Italia*, «dziennik socjalistyczny» obok nazwy dobrze wróżącej, miał dwa hasła w nagłówku: «Kto ma żelazo, ten ma chleb — *Bianqui*». «Rewolucja jest ideją, która znalazła bagnety — *Napoleon*». Tytuł pierwszego

artykułu brzmiał: Śmiałość! a pierwszy numer ukazał się 14 listopada 1914 roku.

«Powracając do pochodu, który uległ krótkiej przerwie, ku wam, o młodzieży włoska, młodzieży z fabryk i warsztatów, i z uczelni, młodzieży wickiem i duchem, ku wam, co należycie do pokolenia, któremu los nakazał «tworzenie» historii — ku wam zwracam mój okrzyk powitania.

«Okrzyk ten jest słowem, jakiego nie użyłbym w czasach normalnych, a jakie powtarzam dziś głośno, pełnym głosem, bez wykrętów, z wiarą, jest on słowem przerażającym i pełnym uroku, słowem: Wojna!»

Kiedym bawiła w Hiszpanji, widziałam tak zwaną *corrida*. Podoba mi się *boxe*, i gdybym była matroną rzymską, chodziłabym często do amfiteatru. Ale polowanie na człowieka samotnego, przeciwstawiającego się całym rzeszom, jest widowiskiem godnym rzeźni lecz nie areny. To też nie udałam się na wielkie zebranie socjalistyczne, na którym bożyszcze wczorajsze nie zostało osądzone i skazane, lecz zlynczowane i stracone.

Należy dodać, że rzesze przeciwników znalazły się w obliczu dość silnej grupy zwolenników. Kto go widział tego dnia, powiada, że przypomina sobie do dziś bladego heretyka. Tysiąc głosów wymyśla mu, a usta pełne nienawiści syczą świstem i plwają okrzykiem «Hańba». Tu i ówdzie rozpoczynają się bójki; nieśmiałe i odważne wysiłki oklasku zostają przygłuszone wrzawą oburzenia; nadarmo ktoś żąda ciszy dla oskarżonego, aby mógł się wytłumaczyć. Tu i ówdzie zaciskają się pięści niecierpliwe; jakaś kobieta pośród zamieszania policzkuje tych, co najbardziej wrzeszczą. A słowa dobiegają zaledwie, pojedyncze i oderwane: «Byłem i jestem socjalistą... nie można zmienić duszy... Socjalizm wrasta w ciało»... Prawdy te były bardziej istotne, niż on sam to przypuszczał. Nie pozwalają mu mówić dalej. Schodzi z mównicy. Ale gdy ucichły na chwilę głosy, jakby wstydem nagłym zdjęte, powraca i rzuca w twarz

rozgoryczonym ten okrzyk władcy, który wie, że będzie ich miał jutro w ręku. «Wy nienawidzicie mnie, albowiem mnie jeszcze kochacie!»

A zanim burza rozhuczy się ponownie, znika. Skończył się prolog na sali, poto, aby na ulicy zaczął się dramat.



XXX

DNI MAJOWE

*Zwolennicy wojny na ulicy. Nowy rodzaj dziennika. Filip Corridoni. Partja i ugrupowania. Gabrjel d'Annunzio i 24 maja 1915 roku.*

*Abbasso l'Austria  
E la Germania  
Con la Turchia  
In compagnia!*

Zastępy młodych ludzi — nie gromady ale hufce — skandowały gorączkowo te słowa przyodziane w rytm powolny, silnie akcentowany i pełen nawrotów, jak rytm marszu.

Głosy, melodia, odgłos kroków, kadencja — dzięki jakimś tajemniczemu instynktowi — było to bowiem po raz pierwszy — wydawały się zdyscyplinowane według reguł niemal wojennych...

Był to motyw przewodni interwentyzmu.

Galerja Wiktora Emanuela w Medjolanie, portyk, a potem i plac, rozbrzmiał nim nagle, potem rozległ się po ulicach, po zaułkach, po miasteczkach i po wsiach, po przedmieściach i miastach całych Włoch, jako przejaw woli narodu, woli nieubłaganej tego narodu, któremu odejmowano możliwość dokonania czynów bohaterskich.

Krawat o rozwianych końcach i szerokie bary robotnika bratały się z wytartą marynarką krótkowidza urzęd-

xxx

DNI MAJOWE

nika i z wysokim kołnierzykiem i postacią wysmukłą studenta nawykłego do sportów. Byli oni wszyscy młodzi, była to poprostu ta młodzież wieczna a więc idealistyczna i «ta młodzież z warsztatów i uczelni, z wieku i z ducha», do której zwracał się z powitaniem kondotjer *Popolo d'Italia*. Gorączkowali się oni, aby móc «tworzyć» historję, a on później miał ich zgromadzić naokół siebie okrzykiem: «Donas» i nie nadarmo. Byli to młodzi ludzie, którym sądzono było dojrzewać pod ziemią w rowach strzeleckich i w okopach, przez własną krew i własne ciało przygotowywać rolę pod przyszłe zbiorę narodu.

«Rozwichrzony», namiętny i wspaniały dziennik, ten *Popolo d'Italia*. Istota żywa, taka, jaką chciał ją mieć twórca! Ileż to razy w pośrodku nocy widziałam go, jak powracał natychmiast po wyjściu z redakcji, aby zmienić tytuł, aby odmienić nagłówek. Zresztą sama nazwa była pełna szczęśliwego znaczenia, podczas gdy *Avanti!* w gruncie rzeczy był zmałpowaniem niemieckiego *Vorwärts!*, zmałpowaniem niemieckiem nawet w wykrzykniku. Darmo było doszukiwać się naśladownictwa rzeczy obcych, nie przemawiał tam parjas narzekający; majestat ludu został ogłoszony, podział na klasy wchłonięty, Mazzini zastąpił Karola Marxa a antyteza syntezę.

Nie było w tym dzienniku artykułów od wydawców anonimowych i ostrożnych. Wąskie szpalty, zadrukowane szerokimi czcionkami, wiersze interlinjowane, jakgdyby ognistymi interlinjami, a na szpaltach tych okrzyki bitewne, hasła, wyznające miłość lub nienawiść, drukowane olbrzymiemi literami na czele sześciu kolumn, i ten podpis elektryzujący, jakiego oko szukało: Mussolini — krótki i apodyktyczny pod słowami narzuconemi w formie rozkazującej i podnieconej. Nie było tam górnołotnych frazesów, lecz myśli narzucone w logicznym porządku, bez ukwieceń, przez człowieka niecierpliwego i śpieszącego się, który wypowiada myśl w skrótach. Współpracownicy *Corriere della Sera*,

obecni wszędzie i nigdzie w swym dzienniku, jak Flaubert w powieści, i współpracownicy wszystkich innych pism półwyspu, usiłujących, pomimo braku środków, naśladować mniej lub więcej ostrożną powagę medjolańskiego dziennika, gorszyli się tym gwałtownym nowym stylem.

Mussolini tymczasem, przez artykuły i mowy, opanowywał prawie całą arystokrację inteligencji. U jego boku Filip Corridoni w taki sam sposób wzmagał swe wpływy w stosunku do szerokich mas robotniczych w syndykatach.

Filip Corridoni, trybun rewolucji syndykalistycznej i ideowej, przeciwnik socjalizmu utylitarystycznego, indywidualista i antyparlamentarzysta, robotnik samouk, pomimo młodego wieku — dwudziestu siedmiu lat — weteran kilkakrotnych więzień, był krzepkim typem wojownika o postaci niemal archanielskiej, zżeranej przez suchoty. Pomimo choroby, wstąpił do wojska jako wolontariusz i zginął waleczną śmiercią podczas ataku w rowie strzeleckim, zwanym *delle Franche*.

Pierwiastki zjednoczone w obu tych propagandach znalazły wspólny wyraz w organizacji, stworzonej przez Mussoliniego pod nazwą Związki czynu rewolucyjnego (*Fasci di azione rivoluzionaria*). Organizacja ta składała się z luźnych grup, bez metod i programów, z grup połączonych jedynie wspólnym celem natychmiastowym i określonym: wojną! Mussolini zbyt wiele wycierpiał i zbyt wiele walczył w surowych i formalistycznych kadrach socjalizmu, aby nie czuć odrazy do legitymacji partyjnych i pojęcia partji, tak, jak wówczas było ono rozumiane, jako ugrupowanie demagogiczne i polegające na wyborach. To też osiągnąwszy cel zamierzony, Związki te rozwiązały się, lecz później dały początek związkom założonym dla innych celów rewolucyjnych w 1919 roku pod nazwą «Związki walczących» (*Fasci di combattimento*). Te ostatnie były założone w podobny sposób, aby stać się później partją zdyscyplinowaną, lecz nie demokratyczną, ani też opartą na zasadach wyborczo-parlamentarnych.

Dwa miesiące po założeniu *Popolo d'Italia*, w styczniu 1915 roku, te «ośrodki ludzi silnych i pełnych woli» liczyły z górą 5.000 członków rozsianych po całych Włoszech. Założyciel pisał w ten sposób z okazji jakiegoś zgromadzenia: «Myślę, że coś wielkiego i nowego musi zrodzić się z tych hufców ludzi, reprezentujących herezję i mających odwagę wyznawania herezji. Dziś jest wojna, jutro będzie rewolucja.

«Nasz udział w wojnie ma podwójny cel: narodowy i międzynarodowy. Ma on na celu rozbić cesarstwo austro-węgierskiego, oznacza może nawet rewolucję w Niemczech a jednocześnie, jako skutek, któremu nie można zapobiec, rewolucję w Rosji, oznacza jednym słowem krok naprzód w sprawie wolności i rewolucji.

«Wojna jest tygłem, w którym przygotowuje się przyszła arystokracja rewolucyjna. Nasz udział w wojnie jest udziałem wywrotowców, rewolucjonistów, przeciwników konstytucji a nie udziałem ugodowców, umiarkowanych nacjonalistów oraz imperjalistów. Tylko kula, która przebije mi mózg, zmusi mnie do milczenia».

Dnia 11 kwietnia, w Rzymie, po burzliwym wiecu aresztują Mussoliniego i, dla odmiany, spędza on kilka dni w więzieniu. Dziesięć dni później bije się na szpady z pośłem Trevesem, raniąc go lekko. I znowu artykuły, wyzwania na pojedynek, pogrożki, wiece i polemiki oraz nowe pojedynki wypełniają ten okres.

Tymczasem książę Bülow wysuwa się z kuszącego półcienia *Villa delle Rose*, ofiarowując na srebrnym półmisku część Trydentu wraz z miastem Trydentem Włochom. A Giolitti, wbrew przekonaniu ludzi odpowiedzialnych za rządy, wszczyna kroki aby, to słynne «wiele» zostało przyjęte. Gdyby Mussolini był doszedł do władzy, jego bystra umysłowość byłaby zrozumiała oszustwo zawarte w tem zaofiarowaniu a zadokumentowane później przez tajniki archiwów

austrjackich i niemieckich po upadku państw centralnych. Byłby on może poprowadził wojnę przez pakty bardziej określone w stosunku do aljantów, utrzymując w korbach krnąbrnych socjalistów przy pomocy kolejnych ustępstw i represyj. Lecz poczciwy Piemontczyk, jakim jest poseł Giolitti, widział odwiecznego wroga nie w Austrii, sprzymierzonej i skuzynowanej z dynastją panującą, ale we Francji sąsiadującej i republikańskiej.

Cóżby się stać mogło z Europą bez tych wielkich przedmurzy feudalnych i monarchistycznych? Rzecz dziwna, te same powody, które popychały do udziału w wojnie Musoliniego idealistę i rewolucjonistę, odstręczały Giolittiego, drobno-burżuazyjnego konserwatystę. Zbyt długo rządził on krajem przez parlament i prefektów, przez socjalistów, kooperatywy i kuluary, aby zachować wiarę we Włochy i naturę ludzką. Dla swych celów rządzenia, nie podtych i nie przyziemnych, lecz o charakterze przeciętnej «zwykłej administracji», znajdował zawsze odpowiednie instynkty najogólniejsze i ludzi jeszcze bardziej przeciętnych. Serce jego było zbyt zestarzałe, aby odczuć i zrozumieć nowe pokolenie włoskie, nie zrozumiał tej wielkiej godziny, jaka pukała do wrót Włoch. W mniejszym stopniu, lecz tak samo zgrzeszył on, jak w większym stopniu zgrzeszyli Niemcy, prowadząc materialistyczną *Realpolitik*.

Rozpoczęli oni byli tyle lat temu, przeciwstawiając humanistycznemu *Gymnasium* nauczanie techniczne, praktyczne i materialistyczne pod nazwą *Realschule*, jakgdyby uczucia i ideje ogólne nie należały do rzeczywistości, a skończyli z takim samym brakiem wyobraźni a więc wrażliwości podczas wojny. Nie mogli zrozumieć, aby Rosja przywiązywała tyle wagi do swego stanowiska wielkiej matki Słowiańszczyzny i mogła bić się o upokorzoną Serbję; aby Francja nie porzuciła aljanta, a Belgja odmówiła przyjęcia indemnizacji; aby Anglja zdobyła się na obronę Francji i Belgji; aby Włochy, po Lovanium i Reims, nie

zaspokoili się połową prowincji zaofiarowywaną i wreszcie aby Stany Zjednoczone, koniec końców, nie zadowolily się korzystnym handlem.

Dwie drogi miały przed sobą Włochy: postępowanie przykładnie głupie tego Caireliego, który pojechał na kongres berliński, «przedstawiając się z rękoma wolnemi, aby wyjechać z rękoma czystemi», a więc bez niczego, albo też udział zbrojny w wojnie. Targi o cenę naszej neutralności były niemożliwe, nietylko wstrętne.

Jak lekarz czuwa nad kryzysem, stanowiącym ostatni ratunek dla chorego, tak i my czuwaliśmy, z tem uczuciem i z tą nadzieją, nad temperaturą reakcji moralnej we Włoszech podczas zgryzoty i upokorzenia w tak zwanym «tygodniu Giolittiego», w połowie maja 1915 roku, kiedy wszystko wydawało się ocalone, z wyjątkiem honoru. Wszystko stawało przeciw sobie. Włochy nowe przeciw Włochom dawnym, podłym i strachliwym, które chciały rozszerzyć stan swego posiadania a jednocześnie kurczyły go, unikając mieszania się do zatargów międzynarodowych.

Ale Gabrjel d'Annunzio, chorąży Lacjum i Morza Śródziemnego pośpieszył z Paryża, aby z legendarnego punktu *Mare nostrum*, wspominając podniosłemi słowy bohaterski wysiłek Tysiąca, stać się apostołem równie podniosłych bohaterstw. I od ołtarza do ołtarza, z Quarto dei Mille w Genui wstępował na Kapitol w Rzymie, aby zacieśnić braterstwo, które przez wiele wieków i przez najróżnorodniejsze wydarzenia istniało zawsze pomiędzy poetą a wojownikiem. Podczas gdy trzystu pięćdziesięciu posłów do parlamentu — wśród pozostałych stu pięćdziesięciu większość była socjalistyczną — składając bilety wizytowe u szwajcara w domu Giolittiego, tym plebiscytem papierowym głosowało za podłą sprzedajnością i gnuśnością, Włochy, okazując się takimi, jakich nie darmo oczekiwaliśmy, wymiotły nagle i zniweczyły «maleńkie kombinacyjki» wybuchem wspianiałej, nowej duszy.

«Co do mnie, jestem w dalszym ciągu przekonany głęboko, że dla zdrowia Włoch należałoby rozstrzelać, powiadam rozstrzelać, strzałami w plecy, parę tuzinów posłów i wysłać na dożywotnie więzienie i ciężkie roboty co najmniej dwóch byłych ministrów. I nie tylko to. Przekonany jestem równie głęboko, że parlament we Włoszech jest tym wrzodem zaraźliwym, który zatruwa krew narodu. Należy go się pozbyć».

W auli tego samego parlamentu, osiem lat później, po dokonanej rewolucji, stwierdził on, że miał możliwość, a może nawet i pokusę, urzędzenia tam «biwaku dla swych hufców».

15 maja 1915 roku wydrukował słowa krótkie, krwią zabarwione:

«Honor i przyszłość kraju i ojczyzny są w niebezpieczeństwie! Ojczyzna staje na rozdrożu najstraszliwszem w ciągu swej historii!

«Ludu! ty masz głos!

«Wojna albo rzeczpospolita!

Mussolini».

Wkrótce potem, pewnego z tych «promiennych dni» podpis ten, chciwie poszukiwany na szpaltach dziennika, pojawił się pod hymnem: Zwycięstwo!: «Bagnety włoskie, waszej stali oddany jest los Włoch i los ludów Europy!». A poniżej pod datą pamiętną 24 maja:

«Od dziś naród jest powołany do broni. Od dziś istnieją tylko Włosi. Teraz gdy stal czeka, aby zmierzyć się ze stalą, jeden jedyny okrzyk wybucha z naszych piersi: «Niech żyją Włochy!» Nigdy bardziej, niż w tej chwili, nie czuliśmy, że ojczyzna istnieje, że jest ona czemś niezniszczalnym w sumieniu ludzkim. I nigdy bardziej niż w tem początku wojny nie czuliśmy, że Włochy są jednostką historyczną, żywotną, cielesną i nieśmiertelną!

«Więc my, o Matko Ojczyzno, tobie ofiarowujemy — bez strachu i bez żalu — życie nasze i naszą śmierć!».

## XXXI

## W SZAROZIELONYM MUNDURZE

*Wolontariusze. «By nie rozbrajać». Dziennik wojenny. Chwała plemienia.*

Dopiero w sierpniu 1916 roku, a więc zgorą w rok po wybuchu wojny, ktoś przypomniał sobie nareszcie o tych dwustu tysiącach męczenników; była to liczba wolontariuszy nie nienaliczona w żadnym innym narodzie, a specjalnie godna szacunku we Włoszech, w kraju, gdzie obowiązek powinności wojskowej obejmuje szerokie warstwy ludności.

Młodzież i ludzie dojrzały, dzieci i starcy, najpiękniejszy kwiat plemienia i rasy, z uwielbieniem zaofiarowywali Ojczyźnie ramię i życie; byli i tacy, co sześćdziesiąt lat temu uciekli od rodziny, aby zaciągnąć się do szeregów Garibaldiiego, a teraz powracali do twardej służby z jednakiim duchem; byli robotnicy pozostawiający rodziny, i chłopcy co uciekli niemal od spódnicy matczynej... Któryż z punktów naszego nieskończonego frontu nie zakrwawił się tą ich krwią ofiarną?

Pewna część oficerów z zawodu była wychowana w podziwie dla pikethauby i uważała apostołów wojny przeciw Niemcom za elementy godne antypatii i nieufności. «Nie przyszłście tu, aby umierać!»... tak myśleli nawet niektórzy towarzysze broni. Jakiś chłopak, nastrojony odpowiednio przez zwykłych wicherzycieli, patrzył z nienawiścią na tych, którzy «chcieli wojny». Miesiące całe i lata upłynęły,

zanim nareszcie pojawił się cyrkularz z uwagą, iż należy, «aby wolontariusze byli szanowani i otoczeni nawet uznaniem». Dużo więcej czasu musiało upłynąć, i ludzie musieli nabrać doświadczenia po szeregu lekcji dotkliwych, aby nareszcie utworzyły się legje tych wolontariuszy, jakimi byli «śmiałkowie»; są one fenomenem czysto włoskim, który pojawia się podczas okresu powojennego, od Fiume aż do faszyzmu.

Cierpienia wolontariuszy były udziałem redaktora naczelnego «*Popolo d'Italia*», kiedy dozwolonem mu było zakończyć ten burzliwy okres cywilnych starć i stać się zwykłym żołnierzem.

«Radość z powodu odnalezienia Włoch, Ojczyzny — tej matki, jakiej nie zaparliśmy się, lecz o jakiej zapomnieliśmy, aby pobiec z entuzjazmem wyobraźni młodzieńczej za różowemi zjawami kosmopolityzmu proletarjackiego — była tak głęboka i wielka, że nędza ludzi i rzeczy nie mogły jej osłabić».

Żegnając się z przyjaciółmi, w których rękę pozostawił dziennik, pisał:

«Przygotowując się do zimowych niewygód w okopach i ryzyka nieuniknionego, jaki jest losem walczących, chcemy mieć przynajmniej spokój za plecami. Czuwajcie ciągle! Bijcie bez trwogi! Nie pozostawiajcie chwili spokoju hienom!

«My będziemy walczyli: walczcie i wy!

«Program, jaki wam pozostawiam, tkwi w tem haśle».

Włoch nie posiada umysłu abstrakcyjnego, naród o prawdziwej cywilizacji historycznej nie wierzy w oderwane koncepcje cerebralne, lecz w ludzi. Dlatego więc każdy Włoch jest doskonałym żołnierzem i wiernym stronnikiem, byle tylko znalazł prawdziwego Naczelnika; rozfanatyzowuje się w nim, aż do bezgranicznego oddania. Nawet objawy kryminalistyczne, jak «*camorra*», «*maffia*» stanowią dostateczne dowody tej skłonności do ubóstwienia, które tworzy boha-

terów. Czasem ktoś z tych oficerów rezerwy, których wydała tysiącami drobna i średnia burżuazja a czasem zwykły towarzysz broni, zdolny do podjęcia obowiązków moralnych naczelnika, byli twórcami czynów wprost dosięgających granic cudu.

Ten chłopiec, który w czasie pogody pokoju mówił do swej matki: «Mamo, życie jest dzisiaj nudną przechadzką po drogach zbyt wygodnych», dziesięć lat później, matce upominającej go, że «obowiązkiem dobrego żołnierza jest zachowanie siebie i nie ryzykowanie» odpowiadał: «Obowiązkiem żołnierza tak, lecz obowiązkiem dowódcy — nie. Kto dowodzi, ten powinien dać przykład». I, jako żołnierz siedmastoletni, w poczuciu swego obowiązku i godności naturalnej przywódcy, poległ, prowadząc kompanję góralską, która miała przecinać nożycami wały z drutów kolczastych, aby przedostać się do rowu nieprzyjacielskiego i dobyć języka w postaci kilku dziesiątków jeńców.

Istnieje w duszach nieskomplikowanych jakiś instynkt, który nie myli: chłopcy w szkole, jak żołnierze w pułku, dostrzegają rzeczywistość poza maską jakby przez tafelę szkła. Pomimo braku odznak dostrzegli wnet naczelnika.

«Panie Mussolini, zobaczyliśmy, że pan ma wiele *ducha* (odwagi), gdy pan prowadził nas marszem pod deszczem granatów; chcemy, aby pan nami dowodził» — powiada mu po pierwszym chrzcie ognia jeden z towarzyszy broni.

«Napisałem zaraz do wszystkich we wsi, że pan tu jest z nami w rowach, jako żołnierz» — powiadają mu chłopcy z Kalabrii, Toskanji i Sycylji.

«Przez swe postępowanie przykładne, przez istotnego ducha strzelców (*bersaglieri*) i pogodę duszy, pierwszym on jest zazwyczaj w każdym przedsięwzięciu, czy to w pracy, czy też w akcji wymagającej śmiałości; nie zwraca uwagi na niewygody, pełen gorliwości i skrupulatny w spełnianiu obowiązków».

Pochwała zadziwiająca, zdawałaby się być zwiastunką

zaszczytów, tymczasem jest ona jedynie — umotywowaniem nominacji na kaprala. Nie doszedł wyżej poza galony sierżanta. Zasługiwał na to, aby być wolontariuszem, to też potraktowano go stosownie. W sześć dni po zapisaniu na kurs przyśpieszony aspirantów-oficerów w Vernazzo, rozkazem dywizji został odesłany zpowrotem do okopów.

«Wiadomość ta nie dziwi mnie i nie sprawia mi przykrości. Spoglądam na Monte Nero, przybrany w kapłur śniegu i powiadam sobie: «Jutro będę na wzgórzu N. 1270», pisze w Diarjuszu z czasu wojny.

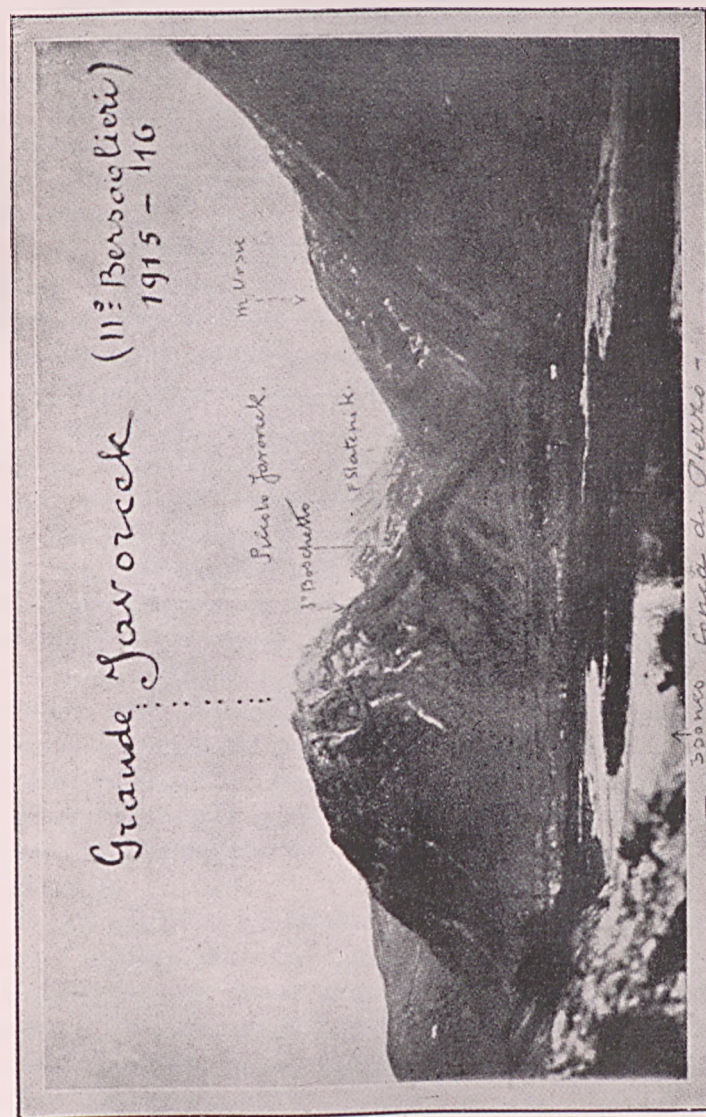
Takimi samymi goryczami był pojony Filip Corridoni. Gorycze daleko większe i podejrzenia drażniące oczekiwały Cezarego Battisti, zanim dostąpił męczeństwa. Karłowate postacie osób przeciętnych, o sercu skrojonem na małą miarę i o umysłowości przyziemnej, nie znoszą obok siebie (gdy intryga lub przypadek wzniesie je na stanowiska, jakich nie są godni), olbrzymich postaci kondotjerów urodzonych, kondotjerów z bożej łaski.

«Zapoznałem się z okopami», powiada żołnierz Musolini z dumą, jaką tylko w tym wypadku dostrzegłam u niego.

Jego stan «służby» znajduje się również w Diarjuszu, jako wstęp.

«Wśród mych aktywów, jako żołnierz, mam pierwsze miesiące okopów strzeleckich w odcinku Górnego Isonzo w jesieni i zimie 1915 roku. Wszyscy ci, którzy ze mną lub po mnie znaleźli się na tragicznych zboczach gór Vrsig, Javoreck i Kuk, pośród mrozu poniżej dwudziestu stopni, jak na przykład w lutym 1916 roku, nie zapomną tak łatwo tych twardych dni. W drugim okresie wojny znajdowałem się w Krainie. Była to strefa stosunkowo spokojna, lecz narażała na znaczne niewygody zwłaszcza podczas zimy. Pierwszy śnieg nawiedził nas 20 września. Później znaleźliśmy się na słynnych wzgórzach Dolnego Isonzo».

Diariusz ten, drukowany przez *Popolo d'Italia*



1915 — Chrzest ognia.

w miarę pisania, a potem dopełniony szczegółami naówczas skreślonymi przez cenzurę, jest siłą rzeczy złożony z fragmentów; fragmentaryczną bowiem była wojna, tak, jak zresztą pewno wszystkie wojny.

Może tylko Homer albo Leonardo zdołali wyobrazić w *Iljadzie* i *Anghiari* piękne pojedynki w ich porządku i z tą jasnością, jaka przynależy umysłom ludzkim, lecz nie rzeczom.

Nie jesteśmy nigdy tak nieszczęśliwi i tak szczęśliwi, jak to odczuwamy, albowiem uczucia ludzkie są ograniczone, a nasza możność odczucia wielce przeciętna.

Spróbujcie spytać młodej kobiety w dwie godziny potem, jak jej pierwotne dziecko rozdarło wnętrzości, czy może opisać cierpienie, jakie odczuła. Jej błady uśmiech odpowie wam, że ledwo, ledwo, z wysiłkiem będzie ona zdolna przywołać wspomnienie. Lud nazywa to «bólami zapomnienia». Natura przezornie daje w cierpieniach, jakich nie może oszczędzić, znieczulenie w postaci osłupienia graniczącego z obojętnością, z zapomnieniem. Doświadczenie jest faktem duchowym a nie produktem starości, i nie wystarcza też wziąć udział w wydarzeniach wielkich, aby wynieść z nich wzruszenia nadzwyczajne. Fabrycjusz Stendhala podczas bitwy pod Waterloo pyta się samego siebie bez przerwy, czy widzi prawdziwą bitwę, a *Wspomnienia Sierżanta Bourgogne* opisują epicką treść odwrotu na polach Rosji ze spokojnym obiektywizmem.

Diarjusz dziennikarza doby obecnej, bardziej nerwowy i prostszy, może być umieszczony obok tych *Wspomnień*, z powodu bezpośredniości wrażeń i ich żywego notowania, a jednocześnie z powodu zwięzłości żołnierskiej opowiadania, bez słowa skargi lub protestu, bez jęków i litości dla samego siebie.

«Popołudnie. Niebo chmurzy się. Deszcz i wiatr.. Obok mnie, Mizzati, Massari i Sandri, pochodzący z Fer-

rary, rozmawiają spokojnie o konopiach, o dostawach, o rynkach zbytu, o burakach cukrowych, jakby nie mieli żadnego innego kłopotu». Odkiedy rodzi się człowiek, wie on, że musi umrzeć, lecz ufa w jakąś nieznaną mu bliżej możliwość ocalenia się, a odczucie czasu jest względne. Ludzie, którzy ocalili się od gilotyny, twierdzą, że utkwili w ostatnim kwadransie oczekiwania, jakby w jakiejś nieskończonej przestrzeni czasu.

Tylko w pewnych istotach uprzywilejowanych odczucia są delikatniejsze i głębsze; wybucha zagnała jakaś tajemnicza zdolność utrwalenia w całej pełni danego momentu w pamięci, przy zachowaniu jasności i przejrzystości obrazu, tak, jak naprzykład nagłe wizje błyskawicy, albo też oświetlenia migawkowe magnezją działają wprost, a dostatecznie, aby dana rzecz utkwiała głęboko, zarysowana na siatkówce lub na kliszy.

Dla innych ludzi fala historyczna przepływa nadarmo, brzeg wąski albo też piach plaży nie utrwalają śladów głęboko. Tak też Barbusse, pomiędzy reminiscencjami z Emila Zoli i wpływami Oktawjusza Mirbeau, podaje statystykę graficzną i fotograficzną okropności wojennych, zabitych, rannych i brudu napotkanego naokół siebie. Nie pyta się, dlaczego człowiek, pomimo ran, śmierci i brudu, pozostaje w swej konstytucji organicznej żołnierzem. Na przeciwległym brzegu znowu inni, jak Eugenjusz Vajna, upajają się goryczą, jak nektarem i znajdują jedyne wyjście z zamkniętego kręgu przeżyć duchowych w idei mistycznej pokuty. Inni jeszcze, jak Renato Serra, poglądną na ludzi, rzeczy i samych siebie z piedestału własnego krytycyzmu.

Lecz oto człowiek, co myśli, pożąda i jest obdarzony wrażliwością nerwową dostosowaną do wydarzeń; inni znoszą wojnę, jako konieczność, on zaś chciał jej skutkiem długiego kryzysu wewnętrznego, skutkiem całego kompleksu ogólnych przesłanek ideowych. A jednak z tego pisarza, polemisty, uczonego, człowieka politycznego, pozostaje je-



1915 — W mundurze bersaljera wśród wyżyn Krasu.



dynie człowiek czynu, żołnierz. Rzeczy można, że duchowo obnaża się on, w swym szarozielonym mundurze.

W pewnem zezwierzęceniu, wypływającym z koniecznego zmieszania najróżnorodniejszych warstw, pisząc ołówkiem na kolanie albo na bębnie, artysta nie abdykuje, doszukuje się najbardziej zasadniczej treści poprzez dreszcze powstrzymywanego wzruszenia. «Nie widziałem wód błękitniejszych od tych, jakie płyną w rzece Isonzo! Rzecz dziwna! Pochyliłem się nad zimną wodą i z umiłowaniem wypilem lyk.

Święta rzeka!»

Tak, jak ulubiony jego mistrz, Nietzsche, i Mussolini poddaje się wpływowi czasu, godziny i pory roku z wrażliwością istot nieskomplikowanych. Ileż to razy widziałam go w ciągu dnia w wyjątkowo dobrym humorze, a z nagłą pod wieczór zachmurzał się głęboko. Tak samo w ciągu poranków wiosennych słyszałam, jak zwierzał się. «Myślałem, że przyjdą dni wiosenne i wówczas, gdy już nie będziemy tu na ziemi! I nie zobaczymy słońca i drzew o ledwo rozwiniętych pędach... będziemy pod ziemią. Gdzie będziemy? Gdzież naprawdę będziemy? Czy napewno pod ziemią? Smutne to jest.»

Niktby nie odgadł, że ta kosmiczna tęsknota jest tak dręcząca, głęboka i stała w tym człowieku czynu.

Podczas wojny zaś wpływ temperatury ma swoistą specjalną wagę, a podczas wojny w górach, na szczytach, wagę absolutną, nawet w stosunku do praktycznych skutków.

«Noc gwiazdna, miesiąc w pełni. Cisza. Widowisko fantastyczne. Jesteśmy wysoko, wysoko! Już ochrzczeni ogniem armatnim.

Tak się kończy pierwszy dzień wojny».

To powtórzenie skonstatowania «jesteśmy wysoko!» wydaje się okrzykiem wyzwolenia moralnego i fizycznego.

Gdzie indziej jawią się niespodziewanie słodkie i delikatne wspomnienia dalekiego dzieciństwa.

«Pada deszcz, jak wczoraj, jak ciągle od miesiąca.

Dziś mamy Boże Narodzenie. Naprawdę Boże Narodzenie. A serce stało się jałowe, jak te skały. Cywilizacja współczesna «zmechanizowała» nas. Wojna zaś doprowadziła do zenitu ten proces «mechanizacji» społeczeństwa europejskiego. Dwadzieścia pięć lat temu byłem dzieckiem obraźliwym i gwałtownym. Niektórzy z mych towarzyszy dzieciństwa noszą dotychczas ślady kamieni, rzuconych im przeze mnie, na głowach. Włóczęga instynktowny, włóczyłem się nad rzeką od rana do wieczora, kradnąc owoce i wykradając ptaszęta z gniazd. Chodziłem na Mszę. Boże Narodzenie z owych czasów pozostało wyryte w mej pamięci. Niewielu było takich, którzy nie chodzili na Mszę w tym dniu: mój ojciec i ktoś jeszcze inny. Drzewa i żywopłoty z głogu po drodze prowadzącej do San Cassiano były martwe i wysrebrzone szronem. Zimno było. Pierwsza Msza zazwyczaj była przeznaczona dla starszych kobiet, wstających wczesnym rankiem, a kiedy dostrzegaliśmy je powracające poza *la Piana*, przychodziła kolej na nas. Pamiętam, siedłem zawsze z tyłu za matką. W kościele było tyle światła, a w ołtarzu, w małej kołysce ukwieconej, Dzieciątko urodzone tej nocy. Wszystko to było malownicze i zadawało całkowicie moją wyobraźnię. Jedynie zapach kadzidła dawał mi się we znaki. Były chwile, w których źle się czułem. Gra organów kończyła ceremonię. Tłum opróżniał świątynię. Po drodze posłyszec można było wesołe rozmowy. A w południe parowały na stole tradycyjne w Romanji smakowite pierożki. Ileż to lat i ileż wieków upłynęło od tego czasu? Strzał armatni przywołuje mię do porządku. Jest to Boże Narodzenie wojenne.

W rowie panuje cisza przepojona tajemną tęsknotą».

Jednocześnie rozgląda się on wokół z sumiennością uczzonego, dla którego eksperyment jest droższy od życia. Chce dostrzec, jak reaguje prastare plemię włoskie na ten brutalny wpływ wojny? Rzeczywistość przyznaje rację temu, kto przykuwa własny pług do gwiazd.

«Ten nastrój duchowy, jaki określa się zazwyczaj



1916 — W okopach Krasu.

nazwą «nastroju moralnego», jest czynnikiem podstawowym zwycięstwa, może ważniejszym, niżli czynniki techniczne i mechaniczne. Zwycięża ten, kto chce zwyciężyć! Zwycięża ten, kto będzie miał do dyspozycji większe duchowe zapasy energii woli».

«Stwierdzam, że «nastój moralny» żołnierzy włoskich jest dobry; żołnierze są zdyscyplinowani, odważni i ochotni. Umiejąc ich wziąć odpowiednio, uważając ich za istoty zdolne do myślenia, a nie za numery matrykuły, można osiągnąć wszystko, poczynając od żmudnej pracy, tak zwanej *corvée*, aż do gwałtownego ataku śmiercionośnego na bagnety. Nastój moralny żołnierzy jest uzależniony od nastroju oficerów dowodzących. Gdyby stary Enotrio Romano (Carducci) powrócił z grobu, w obliczu tych ludzi budzących podziw wytrzymałością, oddaniem się Ojczyźnie i zaciętością, nie powtórzyłby, jak ongi, że «nasza ojczyzna jest podła».

*Cmentarze wojenne. Śmierć Corridoniego. Doberdò. «Panie Kapitanie, powróćmy na przechadzkę pod Galerję». Scena piekielna. Pomrok.*

Pomimo łagodnego powietrza i pracowitego spokoju pól, jakże ponurym był pejzaż Krasu jeszcze w 1922 roku! Od szeregu miesięcy całe tłumy wyszukiwały codzien naboje niewystrzelone, granaty, które nie eksplodowały, i ty siącami składały je w głębokich rowach. «Chłopięta» olbrzymie i pociski 75 kalibru maleńkie, i bomby «tr z p i o t k i»; Mussolini nazywał je po imieniu, tak jak żołnierze podczas wojny, z poufałością dawnego zadomowionego przyjaciela.

Na linji dawnej granicy, młoda uczestniczka tego ob jazdu uklękła i pocałowała zbożnie ziemię przed wyrusze niem dalej, wzdłuż zimnych wartko płynących wód rzeki Isonzo, tak błękitnych, że zdają się pozostawać posmak błę kitu w ustach, jak oksyd miedzi na liściach łóz winnych w winnicach.

Oto nazwa, której dźwięk zatrzymuje bicie serca, oto Ca poretto rozłożone u stóp majestatycznego, olbrzymiego Monte Nero. Na zboczach góry rozkwitają delikatne, różowe cykla meny. Wszystko odradza się. Wiązanki całe tych prześlicz nych kwiatów składamy na grobach cmentarza. Czyż nie obudzili się zmarli podczas najazdu nieprzyjaciela?

Tam, na górze, Mussolini otrzymał chrzest ognia. Po-

wracając ze szpitala po paru dniach urlopu, odbywał on *corvée* i chodząc ciągle tam i nazad zgóry nadół, odnajdo wał cmentarz powiększony za każdym razem. Myślał o tych niezliczonych zmarłych i zaginionych na całym froncie gór skim, którym poprzysiągł, wstępując po raz pierwszy na górę:

«Biedni zmarli, pochowani na samotnych i stromych grzbietach gór! Będę nosił w sercu wspomnienie o was!»

To też pierwszą ceremonją po objęciu władzy była pielgrzymka uroczysta, dnia 4 listopada, do grobu Niezna nego Żołnierza.

«Oto — mówił, zatrzymując się i instynktownie sta jąc w pozycji wojskowej przed jednym z grobów — tu leży mój kapitan. Waleczny!»

Dalej zatrzymuje nagle automobil i spogląda.

«Na tym zakręcie dowiedziałem się o śmierci Corri doniego. Byłem sam. Wraciałem z *corvée* na górze. Zbli żył się ktoś do mnie, kiedym odpoczywał przez chwilę.

— Czy to ty, Mussolini?

— Tak.

— Doskonale. Mam piękną wiadomość dla ciebie. Zabili Corridoniego. Dobrze mu tak. Cieszę się. Niech zginą wszyscy ci interwentyści».

Żołnierz dorzucił jeszcze kilka haniebnych słów pod adresem zabitego. Mussolini wyprostował się i ścisnął ka rabin. Nagle rozległ się odgłos kroków. Przechodził plu ton z sierżantem.

— «Co wy tu robicie, kapralu?»

Karabin opadł, a kapral jął się piąć ku górze.

Zabity... Towarzysz kochany i wierny. Zginął jasno włosy archanioł. Dał się zabić w obronie tych ludzi, któ rzy bezrozumnie wyśmiewają się z niego.

Pozatem, pewien żołnierz z tego samego oddziału dostaje budujące listy od przywódcy socjalistycznego ze swojej wsi.

«Dowiedzieliśmy się, że walczysz na froncie wespół ze

zdrajcą rozgłośnym, Mussolinim. Jeżeli chcesz oddać mi osobistą przysługę a jednocześnie wszystkim towarzyszom, powinieś zdecydować się na zabicie tego zdrajcy».

«I chcecie, abym nie żywił pogardy dla ludzi?» pyta się Mussolini w tych wypadkach...

Ten żołnierz jednak pośpieszył pokazać swemu wielkiemu towarzyszowi z rowów to zdumiewające żądanie oddania «osobistej przysługi».

«Dziwne pomysły miewają ci, którym udało się pozostać spokojnie w domu!»

Poza miastem Gorycją znać jeszcze w całej pełni wojnę.

Hełmy, druty kolczaste, doły po granatach wybuchłych, pudła rozbite, pociski, buty żołnierskie i znowu pociski, pociski wszędzie, gdzie okiem rzucić.

Oh, ponury, ponury Krasie!...

Ziemia jeszcze cała poryta.

A oto jeziorko w Doberdò... plama zapleśniała wśród skał obdartych z roślinności.

«Pomyśleć, że korespondenci wojenni nazywali je «malowniczym»! Czyż widzieli oni to jeziorko choćby raz tylko?»

Pod spokojnym lazurem nieba mierzymy skrupulatnie odległość pomiędzy rowem austriackim a tym, w którym on walczył; obydwa rowy doskonale zachowane... Dwadzieścia metrów. Jeden z rowów najbardziej zbliżonych do nieprzyjaciela.

Ktoś z szoferów poznał swój rów na innej stronie skłonu, nieco wyżej. Opowiada:

«Widzieliśmy obydwa rowy... obserwowaliśmy wasze poruszenia. Wiedziałem, że był tam i pan, powiadali wszyscy, że nie brakło panu odwagi. Ale my wszyscy, prawdę mówiąc, myśleliśmy, że chodziło tu o słynnego bandytę Mussolino».

Mussolini wybucha śmiechem. Oh, nędzna chwała ludzkiej potęgi!

I opowiada również:

«Moją specjalnością było odrzucanie bomb, zanim wybuchną. Była to zabawa niebezpieczna, ale dzięki zręczności udawało mi się prawie zawsze odrzucić je w porę do nieprzyjacielskiego rowu. A potem musiałem uczyć żołnierzy, jak należy postępować z bombami. Trzeba było zapalać lonty, paląc papierosa, bo zapalki gasły natychmiast, a potem trzymać zapalone w ręku przez parę minut. Więc zapalało się lonty od papierosa i to blisko wnętrza, bo inaczej Austriacy mieli czas, aby je nam odrzucić z powrotem. Biedne żołnierzyki, drżeli wszyscy, dzwoniąc zębami, dopóki liczyłem głośno sekundy, aż do sześćdziesięciu. Patrzyłem na nich uważnie: «Nie ruszaj się, uważaj!» Kiedym nareszcie odliczył, dawałem znak, i wówczas wszyscy rzucaли bomby, jak jeden mąż. Pewnego pamiętnego wieczora dostrzegłem w rowie austriackim dwa świecące punkciki. Żołnierze zapalili papierosy najpewniej. Wymierzyłem bombę. Odgłos wybuchu przebiegł, jak powiew wiatru, a punkciki znikły. Nazajutrz opowiedzieli nam jeńcy, że bomba zabiła czy też poraniła czterech czy pięciu ludzi.

Kapitan zapytał mię, dlaczego rzucił tę bombę... «Może zebrali się oni, aby, paląc, rozinawiać o narzeczonych?»...

«Panie Kapitanie — odpowiedziałem — chodźmy zatem na przechadzkę pod Galerję w Medjolanie, to lepiej...»

A jednak, do dziś dnia, jeżeli dostrzeże o zmroku żarzący się punkcik zapalonego papierosa, chmurzy się nagle, i jakiś cień — może daleki wyrzut sumienia — jawi się na chwilę w jego oczach. Opowiada zaś ten epizod ze drżeniem w głosie. Uspokaja się dopiero, przypominając sobie poległych towarzyszy, umarłych w jego ramionach.

«Gdybym był wami, zaniósłbym świecę do Montevergine» — powiadał mu często chłop Kalabryjczyk, widząc w ciągu pierwszych siedmiu dni życia w rowach, jak po raz wtóry ocalał cudownie niemal, podczas gdy pocisk 280 kalibru austriackiego wybuchł w odległości trzech metrów,

wyrywając drzewa z korzeniami, rozbijając głazy i zrywając prowizoryczny dach schroniska. W tym samym rowie pękł mu mały kulomiot w dniu 23 lutego 1917 roku.

— «Panie poruczniku, trzeba zaprzestać! Wypróżniliśmy już dwie skrzynki bomb. Wylot zagrzał się i zaczerwienił, mogą być niespodzianki» — zauważył Mussolini, który umie być ostrożnym, gdy trzeba.

«Jeszcze tylko raz!»

Wyrzucono bombę, a naokół kulomiotu pięciu czy sześciu poległo, ciała ich porżnęło żelazo nietłosne. Mussolini, obsypany stosem odłamów, odrzucony o kilka metrów, opływający krwią, stracił napół przytomność, lecz badał, czy aby nogi pozostały. Położyli go na noszach. Opatrzono mu rany w Doberdò. Opowiadają świadkowie, że, rozwierając źrenice przedziwnie błyszczące w oprawie twarzy wychudłej i zaczerwienionej, powtarzał on: «Widziałem tragedję». Jakiś umierający tuż obok wołał bez przerwy: «Gwoździki!... Gwoździki! Dajcie mi wiązanek gwoździków!»

Do dziś dnia zobaczyć można maleńki kościół w Doberdò, w którym opatrzono mu rany, kościółek zrujnowany całkowicie, bez dachu, o podłodze porosłej trawą, pomiędzy gruzami. Potem rannego odwieziono do Ronchi. Nazwę tę później Gabrjel d'Annunzio upamiętnił na zawsze. Opowiada nam doktor Colvini, lekarz szpitala wojennego:

«Pewnego dnia, kiedy przypadł mi dyżur z kolei, biegnąc, wpada kapitan, doktor Vella, i głosem zdławionym mówi: — Niosą Mussoliniego, rannego. — Poczem znika.

«Nie przypuszczaliśmy, że redaktor *Popolo d'Italia* znajdował się w rowach strzeleckich. Dzienniki socjalistyczne i, niestety, neutraliści klerykalni mówili otwarcie, albo też dawali do zrozumienia, że «pozostał on wygodnie na tyłach wojsk».

«...Twarz blada. Czarna broda okalająca twarz od dwóch dni. Dwoje czarnych oczu wpija się we mnie. To on...

«Przyznaję, że ogarnęło mnie wzruszenie.



1917 — Szpital nr. 44 «di Ronchi» po zbombardowaniu.

Pojawiła się gorączka, 40 i pół stopnia. Istnieje obawa komplikacyj. Trzeba przy pomocy lancetu zbadać piszczel.

«Był ciągle skupiony, milczący, ponury, niemal odpychający.

«Kiedy zaś przenoszono go do sali opatrunkowej, odzyskał werwę i przedziwną żywotność.

«Wpatrywał się w nóż chirurgiczny spojrzeniem stanowczym, a gdy ostrze wgłębiało się w ciało, zaciskał zęby, odpowiadając na ból złorzeczeniem ledwo wysyczanem przez zagryzione wargi. Zaraz potem uśmiechał się, patrząc na nas».

«Umierający», rozbiegło się po Medjolanie. «Może już umarł w tej chwili». Potem dopiero nadeszły wiadomości przerażające. Czterdzieści dwie rany na ogólnej przestrzeni ośmdziesięciu centymetrów; całe ciało pokryte strupami i popalone; wielka ilość odłamków wbita w żywe ciało, jak strzały Św. Sebastjana. Dwie godziny opatrunku codziennie. Wyrwy głębokie wielkości pięści, komplikacja zakażenia, niebezpieczeństwo gangreny, gorączka, cierpienia i delirjum, a wreszcie wrzód. Jakże mógł się uratować?

«Musi Pan cierpieć strasznie w tej bolesnej, nieruchomej pozycji?» — spytał go król, podczas wizyty w szpitalu. Rzeczywiście, pozycja nieruchoma była najboleśniej-  
szem z cierpień.

Lecz pierwsze słowa, napisane do *Popolo d'Italia* podczas wizyty skromnego żołnierza piechoty, którym był wierny Giuliani, ręką trzęsącą się od gorączki, były pełne dumy i ukochania.

«Powiedzcie, że dla triumfu ideałów, wiódących wojska Poczwórnego Porozumienia, przyjąłbym bez wahania los sroższy.

«Jestem dumny, że mogłem w spełnianiu niebezpiecznego obowiązku zaczerwienić mą krwią drogę do Triestu».

«Najstraszniejszą sceną, jaką widziałem w mem życiu, istotnem piekłem — opowiada Mussolini — był atak aero-

planów austriackich na szpital polowy uznany przez nieprzyjaciela, za «szpital Mussoliniego», dzięki fotografii zamieszczonej w *Domenica del Corriere*».

Rankiem dnia 18 marca, po nieprzespanej nocy, gorączkując, posłyszał wybuchające granaty.

Felczer spokojnie zauważył: «Czyż to możliwe, żeby nie dostrzegli Czerwonego Krzyża na dachu? Nigdy dotychczas, w ciągu ostatnich czterech miesięcy, nie strzelali do nas. A więc?!...»

Bomby padają w dalszym ciągu... Piętnaście z rzędu.

«Ładna historia» — powiada ktoś ranny w obojczyk, leżący opodal.

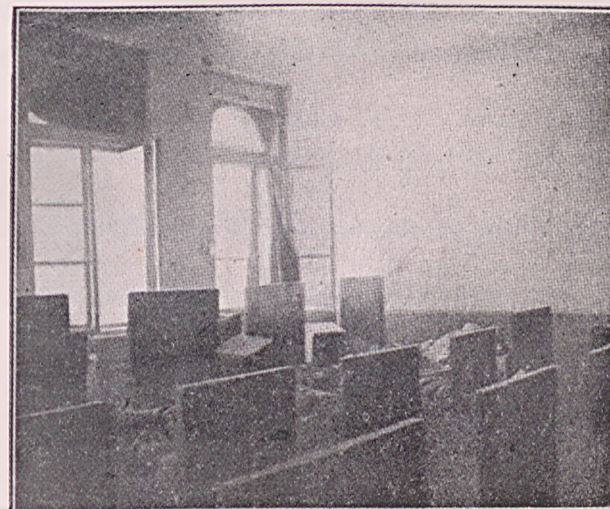
«Ta ostatnia upadła bardzo blisko» — zauważa Mussolini w odpowiedzi i zanim skończył, rozległ się znowu wybuch, jakaś olbrzymia chmura dymu i pyłu oślepiła go zniecka, a wśród tego pyłu i dymu ranni, mogący się poruszać, uciekają, podczas gdy inni przykuci cierpieniem do łóżek daremnie usiłują się podnieść. Ktoś rzucił się ze schodów i ranny ponownie krwią broczy. Krzyki bólu i przerażenia rozlegają się wokół...

Pod wieczór wszyscy odjechali, tylko Mussolini musiał pozostać sam z lekarzami, kapelanem i felczerami pośród wieczornej ciszy, gdyż uznano, że przewieźć go nie podobna.

Wreszcie pewnego dnia rozeszła się szybko po Medjolanie wieść, że miał się lepiej, a potem, że powrócił. Uśmiechał się do przyjaciół poblady, raczej błyszczącymi oczyma na wychudłej twarzy, niż bezkrwistymi wargami. Nie mógł prawie mówić, osłabiony opatrunkami, lecz nie pozwalał chloroformować się podczas nich.

«Bo przecież ja jestem specjalnym chorym».

Chciał wyzdrowieć i wyzdrowiał. Jeżeli nadchodziły dobre wiadomości z frontu, wyciągał z pod poduszki mapę wojskową. Pamiętam go, jak w pozłocistych odbłyśkach zachodu, kazał się przesunąć do okna i z religijnym niemal wzruszeniem zaznaczał na mapie postępy wojsk.



Wnętrze szpitala Nr. 44 «Di Ronchi» po zbombardowaniu.



«Mussolini! To Mussolini!» Podczas próby generalnej w Scala pojawił się, wsparty na lasce. Wyszedł wtedy po raz pierwszy, nie opierając się na kulach. W środowisku towarzyskim i światowym, atmosfera szarozielona, szpitalna i wojenna, izolowała go.

Potem nie pamiętam już nic...

Cios w serce i utonięcie w skłębionych czarnych chmurach.

A dziś serce boli, kiedy powraca dalekie wspomnienie.

*Caporetto, Dnia 22 października 1917 roku.*

## OKOPY MORALNE

*Słowa na wiatr. Vandervelde, Turati i Treves. Tragiczna godzina. Wytrzymałość wewnętrzna. Przewidywania.*

Diarjusz ostatnich dni, spędzonych na froncie, o ile uważnie się go czyta, zmienił ton.

Pod datą dnia 27 stycznia 1917 roku pisze: «Śnieg, zimno, nuda nieskończona. Rozkazy, odwołania. Nieporządek».

A dalej. «Rząd bez siły narodowej». Ileż on to rzeczy zauważył i nie chciał o tem mówić. Już od grudnia w 1915 roku wyzyskał urlop zimowy, aby przestrzec przed «propagandą księży i socjalistów, którzy starali się wpoić pragnienie pokoju za jakąkolwiek cenę».

*Une paix quelconque*, ten sam frazes, jaki poseł Modigliani wypowiedział w trzy lata później w Paryżu. A w 1916 roku z powodu chłopca-interwentysty, zabitego przez ziomeków-neutralistów, upominał.

«Panie pośle i ministrze Orlando, nie czas nie wiedzieć. Pańska polityka chwiejna, falująca, «*montecitoriale*» (od nazwy pałacu, w którym mieści się parlament włoski) musi się skończyć. Naród pod bronią powinien być rządzony przez żołnierzy. Rzym, matka pradawnej mądrości, mógłby nauczyć nas czegoś w tej mierze».

Później, w ciągu dni sierpnia, kiedy widziałam go, jak oglądał mapę siedząc pod oknem szpitala, aby móc śledzić rezultat ofensywy, rozumował w ten sposób:

«Wojna przy pomocy wycieńczenia, powolna agonja wszystkich narodów, taką jest mowa neutralizmu socjalistycznego i taką jest mowa Watykanu. Po upadku Bainsizza, dogmat ten traci swą moc. Kroniki wojenne notują przebiecie na całym froncie; manewr ten nadał wojnie charakter zasadniczo dynamiczny. Panowie z rządu, to jest właśnie chwila; możecie ovladnąć duszą włoską i rozwiązać raz na zawsze to fatalne nieporozumienie i tę sprzeczność, z jakich zrodziła się nasza wojna. Po zjawiskach zewnętrznych, przyjrzyjcie się zjawiskom wewnętrznym. Uczynicie tak, aby powiew gorący nadziei i pociechy przebiegł z miast do miasteczek i wsi, i domostw dalekich. Możecie osiągnąć wydajność największą — moralną i materjalną — narodu, który może, chce, musi zwyciężyć.

«Daremne słowa. Rządzący nami nie są apostołami lecz urzędnikami. Zmarnotrawili skarbiec duchowy z maja 1915 roku i zmarnotrawią również tenże skarbiec z sierpnia 1917 roku.

«Ale naród, który posiada tego rodzaju zapasy energii, znajdzie sam w sobie środki uzdrowienia i wyrzuci precz przeciętnych politykantów, którzy, po trzech latach wojny światowej, w dalszym ciągu stosują systemy rządzenia zbankrutowane i zlikwidowane».

Zwycięstwo na Bainsizza, według zdania osób kompetentnych, było źle pojęte i okaleczone, a nawet przemienione w stałą groźbę, przez wysunięcie naczelnej linii frontu w postaci długiego klina w głąb terytorjum nieprzyjacielskiego. W znacznej mierze wina za tego rodzaju rezultat spadła na brak wojsk, a przede wszystkim na brak materiału i rezerw wojskowych. Rzecz to pewna, że Włochy były pozostawione samym sobie i bez pomocy ze strony aliantów, nawet wówczas, gdy dwukrotnie na front włoski zwały się przemożne siły nieprzyjacielskie.

Podczas lat wojny, mówiono ciągle o tak zwanym jednolitym froncie, lecz bez ustalenia go, a na każde we-

zwanie, aby Anglicy nie bili się jedynie na froncie francuskim, następowała sucha, negatywna odpowiedź premiera angielskiego, Lloyd George'a, nawet wbrew przekonaniu marszałków wojska angielskiego, którzy, według zapewnień, starali się wpłynąć nań w sensie przeciwnym. Jedynie, gdy skonolidowane zostały nasze szeregi nad Piave, trzy tygodnie po Caporetto, zjawily się nieliczne bataljony francuskie i angielskie, wymienione w biuletynie marszałka Diaz'a, i pozostały aż do czasu zwycięstwa.

Ze wschodu azjatyckiego i słowiańskiego płynęły tymczasem nowe hipnotyzujące formułki ocalenia, materialistyczne nie duchowe, aby osłabiać wytrzymałość w stosunku do presji germańskiej, w ten sam sposób, jak idea chrześcijańska stała się od wewnątrz aljantką Germanów, aby zburzyć potęgę Rzymu. Socjalizm, do tego czasu germanofilski i neutralistyczny, polaryzował się ku krańcowemu leninizmowi, wywierającemu znacznie większy urok na masy, niż wątpliwe półsłówka miejscowych przywódców. Strachliwie i bez energii starali się oni zwalczać ten nowy objaw, podczas gdy rządzący — również z lenistwa — łudzili się, że zdolają go oswoić, pozwalając mu na bezkarne rozprzestrzenianie się.

Przypominam sobie, że zaprowadziłam w 1916 roku Emila Vandervelde, belgijskiego ministra Obrony Narodowej, do posła Turatiego.

Kiedy przed wojną socjaliści twierdzili, iż kochają ojczyznę lepiej niż inni i nie mniej, chcąc, aby stała się ona rzeczywistą matką, a nie macochą dla swych synów i aby była moralnie wielką, a nie ciemnięzycielką lub uciemnioną, u niektórych twierdzenie to było przekonaniem istotnym a nie argumentem polemicznym. Interpretowali oni socjalizm nie jako wygodne *alibi* a odrazę do gwałtu, nie jako ucieczkę z powodu słabości fizycznej. Poseł robotnik belgijski, Caspar, jasnowłosy i olbrzymi, jak bóg Thor, pozostawił nas na progu, pokłócił się bowiem w przeddzień z posłem Trevesem: «Je-

żeli takim jest wasz sposób rozumienia solidarności międzynarodowej, to lepiej wybrać Niemców!» Pozostali więc naprzeciw siebie jedynie działacze wytrawni i dyplomaci nie zdolni do gwałtownych uniesień.

«A więc — zapytał w pewnej chwili minister, podczas gdy drżały mu w uśmiechu wąskie wargi i oczka lisie polyskiwały — a więc, *camarade* Turati, *camarade* Treves, na naszym miejscu, wobec inwazji kraju, co byście byli zrobili?»

«Mais j'aurais fait comme vous, mon ami! Naturalnie, na waszym miejscu zrobiłbym to samo!» — odpowiedział z impetem Treves.

Tymczasem Turati niezdecydowany drapał swą brodę szpakowatą. (Później, w poważnym bardzo dla Włoch momencie usłyszałam, jak mówił: «Ah, gdybyśmy byli poszli z Niemcami!»).

«A więc, dlaczego nie chcecie zdecydować się na czyn międzynarodowy na naszą korzyść? Przecież po wojnie będziemy musieli przeprowadzić akcję socjalistyczną w obronie klas robotniczych, nawet niemieckich, w obronie, jeżeli zajdzie potrzeba, nawet Niemiec. Jakżeż będziemy mogli to uczynić, skoro pozostaniemy nieobecni w chwili obrony praw naszego kraju? Międzynarodowcy, o ile chodzi o słuszność, tak! lecz nie antynarodowcy, którzy bronią niesprawiedliwości».

Pani Anna Kuliscioff, słuchając spokojnie i paląc papierosa, strącając paznokciem małego palca popiół do popielniczki, wtrąciła nagle i gwałtownie.

«Oui, mais moi, je dis à mes amis, et jusqu'à présent ils n'ont pas su me répondre: Gdyby Włochy nie były przystąpiły do wojny przeszłej wiosny, w tej chwili Niemcy byłyby zwyciężyły, a cóż bylibyście zrobili w takim razie? Belgja zdeptana, Francja podzielona, Anglja upokorzona, a wszystkie problemy narodowe nierozwiązane... Socjalizm znalazby się uciśnięty w tej atmosferze mroźnego klimatu

Europy austro-germańskiej, imperjalistycznej. A Rosja? — pytała ona z oczyma błyszczącymi, — moja Rosja przykuta do caryzmu na zawsze?»

W ten sposób w nieokreślonych słowach przejawiał się ferment niespokojnych dusz naszych.

Wierny tragicznej metodzie demokratycznej poseł Turati, dopiero po załamaniu się naszego frontu, zdobył się na napiętnowanie tej propagandy «idjotycznej i podlej», jaka, dzięki jego przyzwoleniu, przygotowała to załamanie.

«Cóż znaczy posiadanie tysięcy armat i karabinów maszynowych, jeżeli tej zwiększonej wydajności broni odpowiada zmniejszona wydajność duchowa?...» — «Hasłem stało się: najbliższej zimy nikt nie pozostanie w rowach. Niemcy zaś przed zimą poczynią wszelkie wysiłki, aby zaatakować narody Ententy, wzmagając jednocześnie wewnątrz jej państw nastroje antywojenne».

Tak wyraził się *Popolo d' Italia* 3 września 1917 roku; z proroczym pesymizmem!

Nie chcemy pochwał! — oto napis, jaki widniał nakreślony węglem na jednej z grot Krasu. Bohaterstwa dokonane stawały się motywem do żądania nowych poświęceń od wojsk przemęczonych służbą, bez przerwy niemal, na linii ognia, od tych wojsk, którym nie tłumaczyło się potrzeb i wartości akcji, pozwalając jednocześnie, aby propaganda przeciwna krzewiła się i rozwijała. Załamanie się niespodziane lecz łatwo dające się naprawić, wyłom mniej rozległy, niżli pod Saint Quentin w wojsku angielskim, załamanie, które miało miejsce na przestrzeni niespełna dziesięciu kilometrów, mniej poważne niżli luki wytworzone pomiędzy korpusami francuskimi przed bitwą nad Marną i po Verdun — wytworzyło sytuację, w której żołnierze poczuli się zdezorientowani i jęli się rozbiegać, a wówczas jad nagromadzony oddawna zaczął działać. «Wojna skończona, chodźmy do domu!» — z prostotą mówili żołnierze. Był to przedewszystkiem kryzys dowódców. Jednogłośnie świadec-

stwa — na przykład te, które są zebrane w Diarjuszu żołnierza piechoty przez posła Gasparotto — twierdzą, że gdzie tylko znalazł się dowódca, świadom siły i go-dzien dawania rozkazów, znaleźli się i wykonawcy posłuszni i pilni, nawet jeśli chodziło o pewną śmierć lub o straszne cierpienia. Jeżeli jednak na froncie zabrakło tego materiału, jaki mógł spoić w jedną całość ziarenka sypkiego piasku, żołnierze powracający z frontu znaleźli wewnątrz kraju nowe społeczeństwo włoskie, jednogłośnie i nieustraszenie wskazujące im obowiązek święty: odebrania tego, co stracili, i zdobycia po raz wtóry zwycięstwa.

Ten moralny rów strzelecki, do wytworzenia jakiego wielu przyczyniło się później, a przy którym w miarę możliwości, wszyscy stanęli do pracy, wytworzony był błyskawicznie w pierwszym rządzie przez *Popolo d'Italia*. I przetrwał aż do końca.

Frontem przed nieprzyjacielem — oto pierwszy okrzyk, jaki zaraz po pierwszych wieściach, w dniu 27 października 1917 roku, rozbrzmiał, po męsku tłumacząc nietyle powagę chwili, ile wielkość godziny, jaka wybiła. Wobec biuletynów oficjalnych, rozsiewających wstyd i przerażenie w oszołomionym kraju i w wojsku, oszkalowanem przez nadanie ogólnego charakteru poszczególnym wypadkom, ze szpałt *Popolo d'Italia* rozbrzmiewały słowa nadziei i wiary, słowa podniety i słowa ukochania, słowa obowiązku i konieczności, zwiastujące w szarym zmierzchu chwili triumf przyszłego świtu.

Mussolini przeżywa w szybkim tempie wypadki i życie. W terażniejszości wyprzedza niemal przyszłość, wydaje mu się, że tkwi już w niej. Wydarzenia, które nadchodzą dopiero, są dlań już czemś, co egzystuje, a gdy nadejdą, nie interesują go już, jako rzeczy przeżyte i zgłębione. W pośrodku lata skarży się na dreszcz jesieni, a w styczniu gotów dziwić się: «Jakto? nie czujecie wiosny w powietrzu? Żartujecie chyba!»

W październiku 1919 roku, przyjaciółom powątpiewającym o zwycięstwie, albo też przekonanym o niepowodzeniu wyborczym, twierdził, że staje do walki nie tylko dla honoru partji, lecz z pewnością zwycięstwa:

«Ależ tak!... Zapowiadam wam oficjalnie i uroczysto, że jestem już posłem z Medjolanu. Będę miał... pewno nie mniej niż osiemdziesiąt tysięcy głosów»...

I stało się tak... Osiemdziesiąt pięć tysięcy głosów w Medjolanie i triumfalny jednoczesny wybór w Bolonji... lecz w dwa lata zgórą potem — dnia 15 maja 1921 roku. W 1919 roku zaś padło nań cztery tysiące głosów. Przewidywania Mussoliniego, jak dni biblijne, powinny być interpretowane z pewną rozciągłością w stosunku do czasu.

W ciągu krwawych dni Caporetto «nora» redaktorska *Popolo d'Italia* stała się rodzajem Mekki, do której ciągnęliśmy wszyscy, aby tam czerpać wiarę i pociechę, i nadzieję gorącą. Wychodziliśmy rzeczywiście pocieszeni, uspokojeni i prawie weseli. Z taką siłą przedstawiał nam przyszłość.

Mówił wówczas: — «Na płaszczyźnie weneckiej będzie wkrótce stoczona wielka, decydująca walka. Linje główne dziejów i zasadnicze ich drogi są zawsze jednakowe w zakresie starć decydujących pomiędzy narodami. Błędem aljantów było, iż pozwolili na zahamowanie wojny w fazie walki w okopach. Dogadzało to ociążałowemu duchowi germańskiemu, który jest pozbawiony elastyczności, jest antydynamiczny, bo nie genialny».

«Ze wszystkich stron, z wyjątkiem może frontu rosyjskiego, wojna stała się walką taktyczną, walką, która gra na zwłokę a nie manewruje siłami. Ani jednego strategika wśród dowódców! Ciosy ostateczne zadawane są zawsze na płaszczyźnie, w ciągu walk polowych a nie przez obleganie i osłabienie fortec ziemnych. Z załamania frontu zrodzi się wreszcie wielka bitwa i ona to odrzuci nieprzyjaciela nie tam, skąd przyszedł, lecz aż do środka ziem jego».



1918 — Redaktor «Popolo d'Italia».

A 2-go listopada wypowiedział hipotezy zadziwiające:

«Na wybrzeżu rzeki włoskiej, która mu nada nazwę, dokonamy najważniejszego dzieła naszej historii i historii świata.

«Na płaszczynie Tagliamento odbędzie się nowe wielkie starcie pomiędzy ludami morza śródziemnego, pomiędzy cywilizacją a barbarzyństwem.

«A może, pisane jest w księgach przeznaczenia, że porażka pangermanizmu, rozpoczęta na wybrzeżu rzeki we Francji, zakończyć się musi na wybrzeżu rzeki we Włoszech?

«Dowiemy się tego za parę tygodni albo za parę dni.

«A w oczekiwaniu *sursum corda!*

«Pytania pełne niepokoju, zadawane wczoraj, były następujące: — Czy będziemy mieli węgiel? Czy będziemy mieli drzewo? Czy będziemy mieli chleb?...

«Dziś, nic podobnego. Dzisiaj obywatele pytają się: — Czy będziemy mieli dostateczną ilość żelaza? granatów? ostrzy bagnetów?

«Przecierpimy chłód i głód. Cóż to znaczy? Przecież inwazja nieprzyjacielska, to chłód, to głód, to przede wszystkim upokorzenie! Nie chcemy tego znosić! Chcemy, musimy zwyciężyć i zwyciężymy!».

## ZWYCIĘSTWO I PO ZWYCIĘSTWIE

*Boskie Dzieci. Modlitwa na szczytach. Przy pomniku Pięciu Dni. Miasta Hellady i Stany Zjednoczone Europy. Trzykrotne — nie! w odpowiedzi Bissolatiemu. Trzeba pójść na spotkanie pracy, która powraca. Barometr bolszewizmu.*

«Człowiek umierający na polu chwały w trzydziestym roku życia daje Ojczyźnie mniej, niż dziecko, albowiem przeżył on już znaczną część życia, podczas gdy dziecko miało przed sobą całe życie, a więc oddało wszystko. Dziecko oddaje terazniejszość i przyszłość, to, czem jest, i to, czem mogłoby się stać. Jest, musi być w niem wola wyrzeczenia się, która jest tajemnicą i przywilejem wielkiego umiłowania. Jest miłość, która nie rozumuje, nie mierzy i nie daje się zmierzyć. Miłość, która mówi: — Nie krople krwi, lecz całą krew; nie trochę życia, lecz całe życie, byle tylko Włochy ocalały! — A Włochy ocaleją. Gdy mając lat siedemnaście walczy się, jak walczył Robert Sarfatti, żadnej wątpliwości być nie może».

Młodzieńczyk, któremu słowa te były poświęcone, może najmłodszy wśród ochotników poległych na polu chwały, przyszedł do Mussoliniego z wizytą w towarzystwie swej matki w tym straszliwym styczniu 1918 roku, na parę dni przed śmiercią wśród opustoszałych zagonów płaskowzgórza.

Po tej i po tamtej stronie zarzuconego papierami biurka, mężczyzna i dziecko patrzyli sobie wzajem oko w oko, jakby

chcieli sobie wzajem zajrzeć do dna duszy. A wśród pytań, które starszy towarzysz broni zadawał młodszemu, szczególnie jedno powtarzało się ciągle: «Jaki jest nastrój żołnierzy? Czy nastrój moralny jest wysoki?» i patrzył nań bez przerwy wyczytując w jego twarzy odpowiedź bardziej przekonującą, wyrażoną goręcej, niż gdyby zadźwięczała w lakonicznem słowie.

Ci ochotnicy ostatniego powołania, Boskie Dzieci, jak je nazwała poetka, Ada Negri, których paździenik bolesny wydał, naśladując pełen chwały maj, przemienili naszą gorzką zimę pośród cierpień nieubłaganych, w cudowne lato.

Padł ów młodzian, lecz zginął w pierwszym czynie zwycięskim, w pierwszym akcie odzyskiwania straconej ziemi i straconych pozycji po Caporetto.

I od tego czasu, od końca stycznia, nie ustąpiliśmy na krok, aż do triumfalnego borykania się nad brzegami rzeki Piave w czerwcu, aż do dnia, kiedy w całym Medjolanie, w całych Włoszech okrzyk: «Zwycięstwo! zwycięstwo!» rozbrzmiewał peanem wiekopomnej chwały. A ludzie, nieznajomi pomiędzy sobą, zbliżali się na ulicach, śmiejąc się, płacząc, zadawali sobie wzajem pytania drżącymi słowy na wargach rozedrganych.

W Medjolanie czarny, zwarty, olbrzymi tłum ludzi ze wszystkich dzielnic miasta kierował się bez przerwy do centrum, wypełniał plac, portyki i galerję. Biuletyn zwycięstwa, lakoniczny a pełen radosnej treści, odczytywany na głos co dziesięć minut z parterowych okien jednego z miejscowych dzienników, zanim wydrukowano go, jako dodatek nadzwyczajny, odnawiał za każdym razem wesoły, niemal religijny, szal radości. Za każdym razem poklask wzmagął się dzięki głębszemu zrozumieniu własnej radości, dzięki silniejszemu odczuciu tych zdumiewających słów. A kiedy biuletyn ów ukazał się wreszcie na ulicach, ogłoszony drukiem, aby roznieść wszędy dwa niebiańskie słowa: Zwy-

ci ę s t w o i P o k ó j! wrywano go sobie z rąk i odczytywano na nowo. Spoglądałam oczyma przesłoniętymi przez lzy, z wysokości balkonu na te olbrzymie rzesze, o twarzach wzniesionych ku górze, o oczach rozegzaltowanych i wyrażających jednolity entuzjazm, skupionych w jednym, jedynym punkcie, a żadna z tych twarzy nie była mi obcą w onej godzinie. Wszystkie te oczy błyszczące, wszystkie te ręce wzniesione, wszyscy ci ludzie — to bracia!

Szczęśliwy, kto mógł zoczyć tę wielką chwilę, a szczęśliwszy ten, kto się do niej przyczynił. I również szczęśliwi ci, którzy padli z takim widzeniem w sercu! Albowiem po tej godzinie i po tym dniu każdy następny, siłą fatalności, przynosił jedynie rozczarowanie.

U stóp bronzowych figur pomnika Pięciu Dni, w Medjolanie, zobaczyliśmy tego dnia postać Mussoliniego, potężniejszą i bardziej zwartą od tych figur, opartą o granit obelisku. Był to dzień uroczysty, dzień zwycięstwa. Mussolini stanął przed nami w onej chwili nie jako trybun ludowy, nie jako przywódca stronnictwa, lecz jako żołnierz, który na apel zwycięstwa odpowiadając słowem «J e s t e m», tych, co odeszli, miał w sercu swem żywych i przytomnych. Duszę tłumu, którą chwycił krzepko w garść, rzucił ku mogiłom współtowarzyszy poległych, aby skierować ją potem ku przyszłym podniosłym celom.

Naród włoski, zwycięski w wojnie jak żaden inny, był jak żaden inny zwyciężony przez pokój.

Włochy uważane za słabe jako naród, a w rzeczywistości słabe jako reprezentacja na Kongresie Pokoju, poniosły koszt eksperymentów dokonywanych. Represje w stosunku do zwycięzcy, hojne koncesje i wspaniałomyślność względem zwyciężonych — oto krzywda Włoch po zwycięstwie.

Gdybyż przynajmniej prezydent Wilson, chcąc przetrwać Europę według programu i umysłowości amerykańskiej, nie rozumiejącej Starego Świata, miał być odwagę wyjawienia całej swej myśli i powiedział nam wówczas o Stanach

Zjednoczonych Europy, hylibyśmy naówczas mieli wskazany z wysokiego poziomu cel i podniosłą nadzieję, do spełnienia której należało dążyć. Czemże jest Europa w obecnym obszarze świata, jeżeli nie małą lecz przewspaniałą Helladą? Francja przeciw Niemcom, Rosja przeciw Anglii, jak Ateny przeciwko Syrakuzom, a Sparta przeciwko Megarze. Uprzemysłowiona Ameryka może z nas uczynić to, co Rzym uczynił z Grecji; własną kolonję hedonistyczną, *ville d'eau* pełną dzieł sztuki i rozkoszy życia, dając nam wzamian swe produkty przemysłowe i chleb. Zarówno historia jak i prahistorja są pełne zamartwych cywilizacyj.

Lecz misjonarz przewidującej Ameryki nie wypowiedział ryzykownych słów. Ideologiczne widma czasami zwracają się z niepokojem przeciw temu, kto je wywołuje, a więc chimera jedności europejskiej nie została stworzona. A natomiast Wilson, któremu schlebiał zręczny adwokat, Lloyd George, jego pobratymiec z języka i z tradycji, którego oczarował urokiem *S t a r y T y g r y s*, Clémenceau, zamilkł, gdy należało mówić o wolnem morzu, i ustąpił, gdy chodziło o słynne czternaście punktów. Zbyt wielu jednak Włochów, miał poddać się opiniom lub stronnictwom czy też wybitnym jednostkom strony przeciwnej we własnym domu, wzywa cudzoziemca i udziela mu pomocy przeciw swym przeciwnikom. Godzina jedności narodowej i karność w wielkości mogą darmo czekać przez pięć wieków pełnych poświęceń. *D i a r j u s z* pośmiertny hrabiego Macéhi di Cellere, naszego ambasadora w Waszyngtonie, rzuca złowrogie światło na tę nieubłaganą ostrość ideałów i kanciastą łączność teorii i metody stosowaną jedynie, aby występować przeciw Włochom. Podczas gdy zwarty blok etniczny Niemiec skoncentrowywał nienawiść i złość przeciw sobie, Austria — biedna Austria — o której najzupełniej zapomniano, że była bezpośrednią sprawczynią i bezpośrednim powodem pożogi, wymykała się od odpowiedzialności, rozdrabniając się, jak firma bankrutująca. Gdy delegaci narodów zwyciężonych i osądzono-



nych zjawili się w Wersalu, spotkali się tam ze Słoweńcami i Kroatami którzy mieli swe stanowisko wśród zwycięskich aliantów. Minister wiedeńczyk usiadł przy Słoweńcach i Kroatach i gdy mu zwrócono uwagę, że się omylił, rzekł: «*Tiens*, przypuszczałem, że razem z wami, obok was powinno być moje miejsce». A tymczasem poseł Bissolati zgłosił swą dymisję i pojechał, aby konferować *avec Mister Wilson* przeciw Dalmacji włoskiej.

Nadaremnie Mussolini ze szpalt *Popolo d'Italia* przestrzegał przed zastosowywaniem polityki Cairoliego, która «jeżeli nie była mądra w 1878 roku, byłaby w 1919 roku nie tylko zgubną, ale niewymownie głupią», i twierdził:

«Imperjalizm jest prawem wiecznym i niezmiennym w życiu. W gruncie rzeczy jest on potrzebą, życzeniem i wolą ekspansji, jaką każdy osobnik, każdy żywotny naród ma w sobie. A jedynie sposób, w jaki urzeczywistnia się ten imperjalizm, stanowi różnicę pomiędzy imperjalizmami tak wśród ludzi, jak i wśród narodów. Imperjalizm nie jest, jak się powszechnie sądzi, z konieczności arystokratyczny i militarny, może on być demokratyczny, pokojowy, ekonomiczny i duchowy».

Leonidas Bissolati przybył do Medjolanu aby szukać zwolenników, i wygłosił słynną mowę w La Scala. Udręką i zgryzotą tej chwili było to, że należało wystąpić przeciw przyjacielowi i prosić chłopców, wczorajszych i dzisiejszych towarzyszy broni jego i naszych, aby zwalczając go, uszanowali w nim pięćdziesięcioletniego ochotnika z pułku alpejskiego. Nie był to rytm normalnego życia, który przybierał fazy zgody i niezgody, fazy konieczne i płodne. W tym tłumie pełnym przeróżnych zgryzot i nienawiści nieraz ślepych, już przejawiały się podziały na grupy nieprzyjazne — stawali przeciw sobie jako nieprzyjaciele, z jednaką żądzą zwyciężenia ci, których bratał jeszcze szarozielony uniform i niezatarta we wspomnieniach epopeja cierpienia na froncie. Jak szybko zmieniła się atmosfera upojnego listopada, to odczuliśmy to już w styczniu.

Blady, ze stężałymi rysami twarzy, jak zwykle w chwilach uroczystych, redaktor *Popolo d'Italia* chował się dyskretnie w łoży na trzecim piętrze. Lecz publiczność odczuła jego obecność, wiedzona jakimś magnetycznym instynktem, i rozlegały się często oklaski i nawoływania: «Mussolini! Mussolini! Niech mówi Mussolini!». Powtarzały się one, pomimo że oklaskiwany opierał się co chwila. Wreszcie, wobec podeptania praw włoskich etnicznych i historycznych, boleść i pogarda dosięgły ostatecznej miary; porwał się z miejsca, zaciął szczęki i bijąc trzy razy pięścią w poręcz łoży, krzyknął: «Nie! nie! i nie!...» a z czerwonego pluszu podniosła się chmura kurzu, otaczając dziwną aureolą jego twarz zbolałą. Trzy włosy Bismarcka, błyszcząca łysina Gabrijela d'Annunzio i okrzyk, poparty uderzeniem pięści, Mussoliniego — oznaki drobne i śmieszne w osobnikach przeciętnych — mogą stać się charakterystyką stylu dla osobników obdarzonych siłą.

Leonidas Bissolati, wysoki i chudy, kościsty, u którego jak u Don Kiszota rycerskość mieszała się ze śmiesznością, z długim nosem i okularami notariusza, z poza których ukazywały się mleczno-niebieskie źrenice, był mówcą odważnym lecz niezbyt szczęśliwym; można było poznać w nim człowieka pracy naukowej, oderwanego od życia i odeń dalekiego, któremu dynamizm tegoż życia zdmuchuje teorie abstrakcyjne i bezpłodne. Średniego wzrostu i zwarty, Mussolini, o barach szerokich i grzbiecie przygarbionym, jakby od noszenia znacznych ciężarów, o dumnych oczach, o rzymskim obliczu, jawił się przed przeczystym Bissolatim w postaci przeciwnika po raz trzeci — w Medjolanie, w Reggio Emilia i znowu w Medjolanie — jako mąż czynów realnych.

Jakże długą i bez kresu wydawała się zima w 1919 roku w podwórzu i pokojach redakcji *Popolo d'Italia*, w których byli żołnierze opowiadali różaniec swych przykrych strapień! A iluż ich przychodziło na tę ulicę Paolo da Canobio; wąskie schody, dwa małe pokoiki redakcji i małeńki

gabinet redaktora były zawsze pełne. Jeśli trzeba było, czekali na podworce z tą niewyczerpaną cierpliwością żołnierza piechoty.

«Należy pójść na spotkanie pracy, która powraca z rowów strzeleckich» — powtarzał Mussolini niezmiennie od trzech lat. Od trzech lat nadaremnie twierdził że «należy dać treść społeczną, wewnętrzną wojnie, nie tylko aby wynagrodzić masy, które broniły narodu, lecz by przywiązać je w przyszłości do tego narodu i do jego pomysłowości».

Sfery rządzące jednak nic nie robiły w tej mierze. Roztropna Francja zaofiarowywała zaszczyty i pieniądze; 250 franków dla każdego poilu, odpowiednio pomnażanych stosownie do służby, do odznaczeń i pochwał oraz potrzeb rodzinnych. Natomiast we Włoszech odrzucano nawet propozycje dania dziesięciu lirów odszkodowania za każdy miesiąc spędzony w rowach strzeleckich. A podczas gdy legjony *bleu-horizon*, w obliczu całego świata, przechodziły przez Pola Elizejskie w Paryżu wśród uniesień, a Marsyljanka wraz z hymnami zwycięstwa śpiewała chwałę tych legjonów na tle wspaniałego lazuru nieba, ziewały leniwie puste łuki triumfalne wiekiwego Rzymu. Szarozielony żołnierz gubił się w smutku po dolinach Półwyspu i na dalekich wyspach. A nędzne służusy tylnymi drzwiami wnosyły w pośpiechu i w ciszy resztki wspaniałego festynu chwały.

Brakło nam surowca, lir spadał w straszliwą przepaść, w którą spadły: rubel, korona i marka. W przemyśle wojennym, który zatrzymał z nagłą swój oddech, wyrzucano na bruk robotnice i robotników przyzwyczajonych do wysokich zarobków; tylko mądrzejsi przemysłowcy starali się zastąpić pracą pracę, ale rzesze całe dorobkiewiczów, przywykłych do łatwych zarobków, wołały spekulować i używać bez skrpułów owocu tych nędznych spekulacji. I również dzięki ich działalności życie drożało z dnia na dzień, stawało się trudnym i coraz cięższym właśnie wtedy, gdy miał nastąpić Eden oczekiwany w ciągu czterech długich lat wojny. Roz-

czarowanie osobiste powiększały rozczarowania polityczne. Włosi, jako naród, jako jednostki, przechodzili od sporów do zadawaniu kłamu sprawiedliwości i od przeczeń do upokorzeń.

Niewieleśmy mogli zdziałać naówczas, my, należący do dziennika, a przecież staraliśmy się każdego uspokoić. Dawało się list rekomendacyjny do jakiegoś handlowca, albo do przemysłowca zaprzyjaźnionego; udzielało się informacji, rad, zachęty; urządzało się składki prywatne lub publiczne na rzecz bardziej potrzebujących, dla wszystkich zaś mieliśmy słowo uczynnej serdeczności braterskiej i pokrzepienie w postaci dziesięciu lirów.

«Dajcie mu dziesięć lirów» — odpowiadał automatycznie redaktor, nie odrywając oczu od pracy, gdy tylko pukano do drzwi jego gabinetu. Przypuszczam, że musiał to powtarzać nawet we śnie.

Nie wiem, jak mogły wystarczyć skromne fundusze *Popolo d' Italia*. Wiem tylko, że pochód proszących coraz bardziej się wzmagał. Czasem członkowie administracji pisma przychodzili, aby nas przestrzec, że w kasie niema ani grosza, albowiem ilość udzielonych wsparć tego dnia czy tego miesiąca była zbyt wielka. Ten ciągły pochód twarzy wynędzniałych, o rysach, w których wryło się cierpienie, pozwalał na zrozumienie stanu, w jakim znajdował się kraj, dusze i ciała.

Rzecz zrozumiała, że wśród tłumu potrzebujących często bardzo znajdowali się żebracy z rzemiosła i oszuści. Mussolini niecierpliwił się i gniewał. Częściej śmiał się sarkastycznie. Wychodząc z redakcji, wskazywał często na drzwi wyszynku, mieszczącego się naprzeciwko i pełnego amatorów dziesięcilirowej jałmużny. Rzeczywiście spotkać można było całe kolejki żołnierzy, wyczekujących u drzwi zatłoczonych szynków i innych tego rodzaju przybytków, w których sprzedawano najpospolitsze odurzające napoje.

«Gdybym miał zdrowy rozsądek, tobym zaprowadził

pewnego rodzaju abonament: ode mnie biorą, a tu wydają. Kwitarjusz poprostul...»

Albo też mówił: «Widzicie, jacy są cierpliwi? To jest największa zdobycz wojny, — naród, który się nauczył, jak trzeba czekać».

Po domach chłód, nędza i głód oczekiwały, aby spojrzeć im w oblicza. Chłostani przez deszcz, w szarem błocie, szukali na chwilę znikomego szczęścia.

Lecz gdy rozbłyskało słońce, scena zmieniała się nagle.

«Nie przyjdzie, nie przyjdzie bolszewizm do Włoch! Do tego słonecznego kraju nie może on przyjść!» — wykrzykiwał Mussolini z nagłą z pewnością człowieka umiającego mierzyć puls psychologii ludowej. I wówczas odrzucał z ręcznie kryjący mu uszy kołnierz paltu, co było zawsze oznaką dobrego humoru.

## XXXV

## REDAKCJA POPOLO D'ITALIA

*«Nora», bomby i krzesło dla gości. — Bianchi, Mussolini a system Vilfredo Pareto. — Szpalta hańby. — Najpiękniejszy «błąd zecerski» wieku.*

Gnieździliśmy się wówczas w redakcji *Popolo d'Italia*, żyjąc w serdecznym nastroju braterskiej cygancerji, który wypełniał serca. Cztery maleńkie izdebki, czarne mysie gniazdo w jednej z podrzędnych ulic dawnego środka miasta, ocalałego pomimo ciągłego burzenia i przeróbek. Ileż wesołości, ileż zapachu, ile śmiechu, aby zapłacić samym sobie za te wszystkie kłopoty i tyle pracy!

Podczas świątecznych zgromadzeń redakcyjnych zdarzało się, że niedźwiedź wychodził ze swej nory, w której królował pomiędzy biurkiem a krzesłem i szafką, pełną bomb. Te ostatnie kokietowały zalotnie przez szyby matowe, zawsze rozbijane przez nieuwagę gości, którzy nie mając szacunku dla znikomej przestrzeni, poruszali się gwałtownie. Piec również był pełen bomb. Co pewien czas — zwłaszcza nazajutrz po rewizjach — chłopiec redakcyjny zapalał w piecu, aby ogrzać zziębniętego redaktora, odczuwającego zimno dość boleśnie po miesiącach okopów górskich, i z podziwem patrzył na nas, dobrze poinformowanych i mających wpływ, jakieśmy z pośpiechem gasili kawałki zapalonego drzewa, wołając: «Nieszczęśniku! Zabójco! Chcesz nas wysadzić w powietrze razem z połową Medjolanu!»

Na tak zwanem biurku leżały stosy papierów rozmaitego rodzaju, dzienniki i książki: zielone, niebieskie, czerwone z najróżniejszych krajów; kartki artykułu rozpoczętego, i czyste kartki papieru oczekujące na swą kolej w towarzystwie dwóch rewolwerów i pugi nał; Heine i Carducci niezbędni, oraz szklanka mleka, zastępująca śniadanie lub obiad, zależnie od nawału pracy, albo grożących napaści. Stosy dzienników wznosiły się też na podłodze: były tam dzienniki angielskie, francuskie, niemieckie i włoskie z każdej prowincji. Na ścianie wisiał mały sztandar «śmiałków» — biała czaszka na czarnem tle — obok kasku i skórzaney marynarki do ćwiczeń lotniczych. Pewnego razu redaktor, wbrew obyczajowi, zapalił papierosa i rozmawiając, położył go ostrożnie, aby nie spalić blatu biurka, na pierwszym z przedmiotów, jaki leżał pod ręką. «Redaktorze, czyż pan uważa to za najbardziej wskazaną popielniczkę?» — zauważyłam. Spojrzał na mnie, wziął papierosa i zgasił go. Roześmialiśmy się wesoło. Zaimprovizowana popielniczka była jedną z trzech bomb typu *Sipe*, nader łatwo wybuchających i przygotowanych na wypadek zapowiedzianego napadu band czerwonych, organizowanych przez Izbę socjalistyczną Pracy. Nie napadały one jakoś, a Mussolini w odpowiedzi na nowe zapowiedzi, coraz bardziej alarmujące i pewne, zanurzał spokojnie biszkopty w mleku albo palił papierosy, głaszcząc w roztargnieniu słynne owe bomby. Przypominam sobie, że jeden ze współpracowników, który wszedł do «nory» podówczas i zapytał nas o powód tego wesołego śmiechu, nie dzielając naszej wesołości, jakkolwiek wytłumaczyliśmy mu jej powody, pobladł tylko i znikł. Nie nadawał się on do towarzystwa; rzeczywiście nie wytrzymał długo. Mam wrażenie jednak, że rozmyśla o tych chwilach z tęsknotą.

Drugie krzesło w «norze» miało swą historję i było pewnego rodzaju barometrem. Chwiejąc się pod ciężarem papierów i druków, zarezerwowanych do przejrzenia, nie często

wchodziło w grę. Właściciel «nory» bardzo rzadko zaofiarowywał je przybyszom. «Stojąc — mówił — ludzie nie zawracają głowy gadaniną i wychodzą szybko». W dobie wyborów, kiedy całe rzesze kandydatów zgłaszały się wraz z interesantami «zawracającymi głowę», kazał wynieść to drugie krzesło. Na drzwiach zaś widniał napis:

«Kto wchodzi, sprawia mi zaszczyt.

«Kto nie wchodzi, sprawia mi przyjemność.»

Dowodem wielkiego szacunku i uznania albo też łaski dla przyjaciół uprzywilejowanych było zrzucenie paki papierów i druków ze stosów, nagromadzonych na podłodze. «Niechaj pan usiądzie na tych owocach wiedzy ludzkiej». Nie było to zbyt wygodnem. «Siadajcie i opowiedzcie mi o rzeczach interesujących, jestem rzeczywiście zmęczony».

Oryginalnym sposobem wypoczynku u Mussoliniego był zawsze wysiłek myśli, mięśni lub nerwów skierowanych ku jakiemuś nowemu trudowi. Obserwując go, przekonałam się o względności à la Einstein. Czas nie istnieje, istnieje jedynie energia, która go rozszerza lub wydłuża. Niemożliwym jest, aby dwie godziny, spędzane przez dymisjonowanego urzędnika na grze w domino w kawiarni, przez elegancką damę na ubieraniu się a przez młodzieńca na odczytywaniu dziennika z poziewaniem nieubłaganem, były tym samym okresem czasu, jaki zużywa Prezes Rady Ministrów na obiad, na wydanie telefoniczne rozkazów prefektom, na przerzucenie wszystkich pism włoskich, na powrót do Pałacu Chigi, na podyktowanie treści depeš do ambasadorów państwa, na załatwianie ośmiu «nudziarzy» i na przedyskutowanie z trzema osobami inteligentnemi trzech różnych problemów wielkiej wagi.

«Wypoczywać» to znaczy dlań fechtować się, a jeśli można, bić się na szpady, a jeżeli nie, to krzyżować ideje. A «mówić o rzeczach interesujących», to znaczyło czerpać ze źródeł dalekich od wiotkiego *dziś*, z historii i z pola idei ogólnych.

Kiedy redaktor bywał w dobrym humorze, w tej pierwszej brudnej siedzibie dziennika, otwierał drzwi «nory» i wychodził do «sali redakcyjnej» na rozmowę. Było to zgromadzenie uroczyste. Niektórzy siadali na stole, którego blat, uczerniony atramentem i porżnięty scyzorykami, przypominał ławki szkolne; inni na piecu albo na gzymsie okna, a jeszcze inni na krzesłach. Było ich sześć tylko w całym lokalu łącznie z przedpokojem, i mogły stanąć do konkursu stwierdzającego, które z siedzeń było bardziej podziurawione i rozplecione. Redaktor zazwyczaj stał. Na podwórku — robiącym wrażenie kiszki pionowej, do której czasem wpadał zbłąkany promień słońca — dostrzec można było w oknach widzów, ciekawie przysłuchujących się rozmowom. Kobiety na dachach zaprzestawały rozwieszania bielizny, aby rzucić okiem do tej klatki warjatorów. Biedni ludzie! Nie byliśmy wygodnymi sąsiadami! Co dwa dni niemal powracający do domu znajdowali bramę zamkniętą, a wyłoty wąskiej ulicy obsadzone kawalerją, na podwórku zaś żołnierzy w hełmach, rozłożonych na słomie w oczekiwaniu pożywienia.

Czasem zdarzał się strajk, demonstracja, albo pochód... Czerwone sztandary przeciągały przez bliską ulicę Porta Romana albo kierowały się ku placowi del Duomo, i obawiano się, że spotkają się z «interwentystami», przyjaciółmi *Popolo d'Italia* (*Fasci* — nie istniały jeszcze). Spotkać można było nowozaciężnych żołnierzy. Niektórzy wśród nich, litując się nad koniem niedostatecznie karmionym i bez stajni, dawali mu łyżką pożywienie żołnierskie, mówiąc: «Masz, łyżka dla mnie a łyżka dla ciebie!», i śmiali się radośnie. W gruncie rzeczy redakcja mogła była obronić się bez tej pomocy, ale nie wiadomo było, czy bronili jej oni, czy też pilnowali raczej? Biedne dzieciaki, nie oni byli winni!

Ludzie zatrzymywali się, informowali i wzruszali ramionami. Potem odchodzili z tą fatalistyczną wytrzymałością, jaka stanowi istotny grunt natury ludzkiej, zrezygno-

wanej i przyjmującej nieuniknione wypadki społeczne, jak deszcz i grad. Czasem któryś z kupców biadał nad pustym sklepem, a nauczycielka języków obcych pisała po włosku, pożał się Boże, żądając odszkodowania za stracone lekcje.

Wzamian za te kłopoty i zmartwienia nasi sąsiedzi mogli kształcić się, wysłuchując polemik, prowadzonych przy oknach otwartych. Z głębi «studni» (piwnicy) nazwanej szumnie «Biurem ekspedycji i administracji» wydostawali się na powierzchnię dwaj starcy i trzy panny, cały personal administracyjny w komplecie. Można było dostrzec natychmiast, w jakim stopniu złoto Francji w dobie neutralności i złoto banków podczas wojny i po wojnie oraz złoto przemysłowców metalowych napływało do administracji dziennika.

Wystarczało zresztą zobaczyć schody. Aby zejść czy wejść, należało zapowiedzieć to wprzód, gdyż dwie osoby nie mogły się wyminąć, do tego stopnia schody te były wąskie. Były też połamane, brudne... Kogóż to obchodziło? Panowie ideału, dyskutowaliśmy. Redaktor naczelny ujmował kwestję w zasadniczych linjach, jego zastępca, Michał Bianchi krytykował i komentował, pytając i uzupełniając. Inni obecni — jak w dialogach sokratesowych — słuchali. Zdarzało się nawet, jeżeli problem poruszony był rzeczywiście poważny, a humor redaktora dobry, że chwytął za pióro lub za ołówek i formułował swe zdanie na białych kartkach — obrzynkach olbrzymich bel rotatywy, na których rozlewał się atrament, powodując słuszne przekleństwa współpracowników — podczas gdy zacny Morgani, któremu dokuczały nadewszystko długi, napominał; «Oszczędność, panowie, oszczędność!», i biesił się, gdy zapominano zgasić światło. Z pod ołówka redaktora wysnuwały się formuły jasne i schematyczne. Stawiano naprzykład problemat taki: albo socjaliści, wobec wzrastającej we Włoszech reakcji patryjotycznej, powstrzymają się, albo też zaryzykują rewolucję. W danym wypadku zasadnicze *a* wymaga uzupełniających *b* i *c* albo wtórna *z* podzieli się na *x* i *y*.

Nauczył się od Vilfredo Pareto budować w ten sposób hipotezy polityczne i filozoficzne w ciągu tych dni, kiedy słuchał jego wykładów, zajmując się jednocześnie murarką w Lozannie a zimą spełniając obowiązki chłopca do posyłek u włoskiego winiarza na *rue du Pré*.

«Panów współpracowników uprasza się o nieopuszczanie lokalu redakcji przed przyjściem», tego rodzaju zaproszeniem redaktor rozpoczął tak zwaną Szpałtę hańby, na którą składali się wszyscy, dorzucając słówka i słoweczka, karykaturę swoją lub kolegów, albo cztery wiersze «maltuzjańskie» a wielce aktualne, naprzykład na cześć Leandra, profesora «antydalematyńskiego».

Leander jest tą rzeczą,  
Co ci niesie nietoperza.  
Pięknem rysów nie uderza,  
Lecz gdy mówi, budzi wstręt!

Albo na cześć poety i kandydata na posła w 1919 roku:

Marinetti jest to rzecz taka:  
Futuryzm i pięść w dodatku,  
Dziesięć włosów, chłop niczego,  
Taratà zumsum zumsum!

Kto zaś nie cieszył się względami helikońskich muz, naklejał skromnie jeden z niezliczonej ilości listów, jakie nadchodziły z każdej dzielnicy Włoch.

«Przysłałem wam dwadzieścia pięć korespondencyj w ciągu ubiegłego miesiąca z tej miejscowości, gdzie się nigdy nic nie zdarza, i siedemnaście nowel w ciągu bieżącego miesiąca, lecz poczta jest tutaj w ręku bolszewików, a zatem listy moje nie doszły, i dlatego nic nie wydrukowaliście. Należy protestować niezwłocznie u rządu, odpowiedźcie mi natychmiast».

A potem były również błędy zecerskie. Ozdobiony ramkami zielonemi, czerwonymi, niebieskimi (użyto wszystkich ołówków kolorowych i atramentów w redakcji) tu dokończył żywota ten historyczny błąd zecerski,

ten błąd nad błędami wszystkich epok od czasu wynalezienia druku, ten błąd, który urodził się w naszej redakcji.

Piękne duże *L* zamiast dużego *T* sprawiło to, że Mussolini powitał Wilsona — który nie był zdradził jeszcze swego nastroju nieprzyjaznego w stosunku do naszych najświętszych aspiracyj narodowych — podczas jego przyjazdu do Medjolanu i w jego własnym języku (jedynym jaki Wilson posiadał), że go powitał — powtarzam — uroczyście i weselnie, jako walczący walczącego, w imię «Tradycyjnych Kłamstw Demokracji».

*Welcome to President Wilson, in the name of the Traditional Ties of Democracy, strengthened on the battlefields of all Europe!*

Wiersze te wypełniały prawie całą pierwszą stronę dziennika. Ale złośliwy chochlik, obecny przy kaszcie zecerskiej w godzinie wściekłego pośpiechu i troski, jaką rozumie i zna każdy prawdziwy dziennikarz, zmienił *Ties* na *Lies* (zamiast «węzły» — «kłamstwa»).

Droga sercu naszemu dawna redakcjo bohaterskiego ubóstwa! Nie mieliśmy własnych maszyn, posługiwaliśmy się drukarnią, mieszczącą się na tej samej ulicy i drukującą w ciągu dnia także inny dziennik medjolański, organ polityki neutralnej, zawierający szczegóły reporterskie nader jaskrawe. Musieliśmy rozpoczynać druk późno i kończyć śpiesznie, albowiem rotacyjna maszyna funkcjonowała dość leniwo. A raniem trzeba było się śpieszyć, aby pociągi rozniosły po całych Włoszech pociechę duchową, jaką zawierał skromny świstek papieru, te słowa wiary oczekiwane ze drżeniem przez tyle serc. Całą noc chłopcy redakcyjni biegali tam i z powrotem, biegali również zecerzy, metrampaż, korektor i reporter.

Powiadam «reporter» w liczbie pojedynczej, albowiem Lido Caiani wiecznie chudy i chudniejący musiał zadowolnić się jedynie pomocą jakiegoś chłopczyzny fanatycznego i nieudolnego, który zapowiadał mu: «Wiesz, nic nowego,

na policji, zajdę później». A tymczasem inny dziennik w sąsiedztwie ukazywał się, roznosząc wieści o «nadmierzającym wypadku», stanowiącym ideał każdego reportera w wielkim stylu.

«To darmo... trzeba się wziąć do tego samego!» — wykrzykiwał Mussolini, niosąc próbną stronicę, jeszcze mokrą i świeżo dostarczoną z drukarni. «Nie umieją we Włoszech robić kroniki miejskiej. Nie umieją wymyślić «pięknej zbrodni». We Francji na przykład, aby odwrócić uwagę publiczności od kwestji odszkodowań, Clémenceau wymyślił Landru! Tego Landru, który nigdy nie istniał! To są rysy geniuszu! Dlaczego ja nie znajduję czasu na zajęcie się kroniką wypadków? To było moje rzemiosło, moje powołanie, poto się urodziłem!»

A dodać muszę, że, przynajmniej w dziedzinie kroniki ustnej, każdy z «wypadków lub wypadeczek» opowiadany przezeń od barwy subtelnie różowej, do krwawej purpury, obfitował w szczegóły malownicze, przedstawione z taką mocą sugestji, iż kroniki drukowane po dziennikach razily mnie potem swą bezbarwnością.

## XXXVI

## ELEGJA ZANIKLEGO NIEPORZĄDKU

*Nienawiść do brody i fałszywa powaga. — Wszyscy współpracownicy. — Godziny nocne i głosy dzwonów. — Nowe zadania.*

Na stole zecerów, w drukarni, można było odczytać następujące słowa, podpisane i datowane przez niego: «W dniu, w którym Redaktor złamał numer, dziennik poszedł na maszynę o pierwszej. Jest to rekord godny naśladowania. Mussolini».

Biegał tam i nazad, jak i inni, aby wydawać rozkazy, zastępować metrapaźa, a nawet, w miarę potrzeby, składać własnoręcznie. Filiżanka gorącego mleka albo szklanka zimnego, jakie zmieniały się ze zmianą sezonu, znajdowały się i w drukarni; w późnych godzinach nocy prznosił delikatnie gotowe układy drukarskie i zesuwał je, mierząc okiem długość.

Giuliani, rzeczywista podpora *Popolo d' Italia* — jedyny wśród współpracowników, który nie uczęszczał na wiece i zgromadzenia, nie wyjeżdżał, nie był zamykany od czasu do czasu w więzieniu, jedyny, który nie oddalał się z Medjolanu pod żadnym protekstem — wierny Giuliani, był już wtedy tą stałą gwiazdą, naokół której istniał cały zmienny firmament. Iluż to aspirantów i współpracowników, nie wiadomo skąd pojawiających się co chwila, nalegających nieustannie i dokuczliwych, jak deszcz, lecz odeń mniej czystych, po-

zostawało na resztę życia z nazwą «ten jakiś — nie pamiętasz — ten, co drukował artykuł w *Popolo d' Italia*». Należało słuchać ich wówczas. «Mussolini ma dla mnie wiele sympatji, nie chwalebę się, traktuje mię na ty, słucha mię bardzo uważnie».

«Nie wiecie o tem, że mam pięć tysięcy współpracowników? Wszyscy Włosi, którym zaszczerpiono ospę, są współpracownikami dziennika, a głównie analfabeci» — powtarzała filozoficznie, ofiara tego wszystkiego.

Różne anegdoty potwierdzały te słowa. Jednemu z takich kandydatów poprzedzonych rekomendacjami i zapewnieniem, że był on «wytrawnym znawcą stosunków ekonomicznych», polecił kiedyś opracowanie komentarza do statystyki oficjalnej francuskiej o handlu światowym. Komentarz został opracowany, a w nim Anglja znalazła się na pierwszym miejscu, jako kraj produkujący oliwę (Po francusku *houille* termin zbliżony do włoskiego *olio*).

Inny z tych aspirantów, dobrze wychowany, młody człowiek, nieśmiały i przystojny, zadebiutował, przerabiając cztery razy jakiś skromny wywiad i wydając z własnej kieszeni kilka dziesiątków lir na przepisanie go na maszynie. Nie tracił jednak nadziei. Biedny, kochany Mikołaj Bonservisi o bezgranicznej wierze! Ileż to naśmieliśmy się z tego debiutu, nie przypuszczając, że poniesie rychło męczeństwo w Paryżu, gdzie oddał za ideję swe młode życie, zamordowany przez Włocha.

Redaktor żartował z tego rodzaju wypadków. «Wszyscy ludzie na świecie są głupi, jedni mniej, drudzy więcej (w gruncie rzeczy używał on terminologii żołnierskiej jeszcze bardziej malowniczej). Cała rzecz w tem, żeby nie być głupim, a poważnym i ciężkim. Boże uchroni nas od głupców poważnych!»

Tymi ostatnimi są według jego pojęcia ludzie pełni własnego ja, dobrze myślący, przekonani, że muszą ocalać świat conajmniej trzysta razy na rok. Są to «ludzie z brodą» według wygolonego Mussoliniego, którego twarz we wcz-

snej młodości jedynie była ocieniona parą czarnych wąsików. Nienawidzi, prawie przesadnie tych archaicznych bród monumentalnych, co maskują zewnętrzną fałszywą powagą pełną pychy bezsensowność. Chmurzy się na ich widok. Człowiek posiadający taką brodę jest w gruncie rzeczy typem antysportowym, antydynamicznym, niemal antyżyciowym, przy swej skłonności do skarg i lamentów, do pedantycznych i doktrynerskich narzekań. Życie bowiem pojęte jako królewska tragedia klasyczna, konieczna dla odkupienia, lub jako farsa Arystofanesowa, pełna helleńskiego lekkiego uśmiechu, jest zawsze godne, podczas gdy melodramat burżuazyjny, pełen emfazy, roztkliwiony, musi wywołać odruch wstrętu w duszy rycerskiej i obrazić poczucie etyki i estetyki. Dlaczego przeżuwać «nieśmiertelne zasady w formie jeremjuszowych tyrad i fałszywej dostojności, przy pożałowania godnej banalności frazesów.

«Życie przepelnione jest obowiązkami do spełnienia i bólami do przewyciężenia. Spełniajcie pierwsze i przewyciężajcie drugie, bez łkań i gadanin zbytecznych! Chcemy faktów nagich, doświadczenia i rzeczywistości!» — słyszałam, jak mówił pewnego razu. Lecz zazwyczaj nie zatrzymuje się i nie traci czasu na podkreślanie tych przesłanek koniecznych w temperamentie silnym i skryształizowanym.

Ileż to artykułów, na sześćdziesięciu stronach, wypełnionych słowami bez sensu a pięknie brzmiącymi, kończyło w koszyku! Czasem jednak naleganie i zanudzanie go wywierało pożądaną skutek. Kazał drukować. Przybiegał wtedy z drukarni zacny Giuliani i wydzierając sobie włosy, spocony nawet w zimie, wołał: «Redaktorze, ten kawałek nie zmieści się... Trzeba zmienić stronicę, zmienić szpalte!» — «Musi pojsć, co to za historje!...»

I trzeba było zrobić tak, jak chciał.

Kochana, niewygodna redakcja! Opuściliśmy ją z westchnieniem, czując, że rozstajemy się jednocześnie z częścią



naszej młodości, pozostała w tych izdebkach, w «no-rze» i w podwórku, w tym biurze małym, nad którym, ponad dachami górowała kopuła św. Gottarda i wieża zegarowa, cała z kolumniek marmurowych. Powracając do domów, kiedy miasto spało snem spokojnym, słyszeliśmy rozbrzmiewające gromko dźwięki zegara, płynące wzdłuż pasma gwiazd zawieszzonego pomiędzy dachami nad głową, albo też przebijające się z trudem przez mgłę, co nocą spowija miasto, jak para siarkowa. Powolne, eteryczne niemal i delikatne dźwięki mierzyły ucieczkę czasu srebrzystymi głosami, a czas biegł wśród klęsk i zwycięstw, wieczyste w ruchu, bez sceptycyzmu, wierząc w nadzieję, wbrew nadziei, w imię Włoch.

Pozostawiliśmy tę redakcję, jak student pozostawia skromny pokoik w dniu otrzymania dyplomu, jak dziewczyna porzuca strój codzienny, w jakim zapoznała się z uczuciem miłości. Nowa siedziba redakcji przy ulicy Lovanio, do której przenieśliśmy się w 1920 roku, była czysta i przestronna, zbudowana umyślnie, z własną drukarnią, prowadzoną przez zacnego kapitana Miserocchi. W gabinecie redaktora były meble, dywany na podłodze a nawet fotel!

«Fotel, fotel dla mnie?... Wyniescie go stąd, bo inaczej wyrzucę go za okno. Fotel i pantofle są zgubą człowieka!» — taki był komentarz redaktora zaraz po przeniesieniu się na nową siedzibę. Z większym zadowoleniem objął w swe posiadanie przestronny lokal, jeszcze nie pokryty dachem i bez podłogi, w którym natychmiast zaczęły rozlegać się głosy. «Baczność! Uwaga!» z wtórem kling krzyżowanych.

Redaktor uczył się fechtunku.

Z początku przyglądaliśmy się tej naszej, nowej siedzibie z pewnego rodzaju uprzedzeniem, prawie ze złością tajoną. A jednak w niej właśnie rozpoczęliśmy walkę o charakterze narodowym a nie stronnicy. Tak jest i w życiu. Dojrzałość dochodzi do rezultatów przygotowanych przez okres młodości.

Pogoda bezmyślności obdartych, zaimprovizowanych siewców ma swój czas określony, czas nie długi. Przecież należy zwyciężyć, dojechać do końca, należy zwyciężyć i zwyciężyć, albowiem nie masz litości dla zwyciężonych.

«Można przenieść się z namiotu do pałacu» — powiedział Mussolini w 1922 roku, kiedy na via Paolo da Cannobio wmurowano pamiątkową tablicę — «lecz pod warunkiem, że będziemy zawsze gotowi, o ile zajdzie tego potrzeba, powrócić z pałacu do namiotu».

XXXVII

### IL FASCIO

*Parva favilla. — Fala lenistwa i fala bolszewizmu. — Strajk okrężny, ciągły i mechaniczny. — Przelicytowanie się w czerwoności.*

Pierwszy ogólny przegląd sił bolszewickich we Włoszech odbył się dnia 18 lutego 1919 roku. Tysiące i dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci przy dźwiękach «Czerwonego Sztandaru» z pogrózką na twarzy przeszło po ulicach Medjolanu w cztery miesiące po zawieszeniu broni, kiedy skrzydło naszego zwycięstwa zostało okaleczone poza Adrjatykiem. W miesiąc później, 23 marca tegoż roku, w odpowiedzi na tą wspaniałą paradę nastąpiło zebranie skromne i niepokazne Związku Walczących (Fasci di Combattimento). Zebrało się sto czterdzieści pięć osób w niewielkiej sali, wynajętej od stowarzyszenia drobnych kupców, w pałacu mieszczącym się na melancholijnym placu Santo Sepolcro (symboliczna grobowa nazwa) w środku starego Medjolanu, zdala od centrum.

Pośród tej setki osób, nazwisk znanych można się było doliczyć, co najwyżej, dziesięciu. Dlatego też wielu ludzi zaniepokoiło się, kiedy ruch jął przybierać wcale pokazne rozmiary. Kwoki nie lubią wysiadywać na jajach orlich. Ki-ki-ri-ki zaprzańców są wygodniejsze.

Byli jednak i tacy, którym choć nieobecny na tem pierwszym zebraniu, przypadło w udziale poświęcenie i mę-



1919 — Założyciel związków «Fasci di Combattimento».

czeństwo. I to nietylko metaforycznie, lecz w rzeczywistości! Tysiące młodych ludzi padło bohatersko w obronie tej idei. Przepiękny kwiat naszej rasy. Wystarczy wspomnienie tego szesnastoletniego ucznia, który oparł się żądającym odeń, aby krzyknął: «Precz z Włochami!»... Zabito go.

Niewielu obserwatorów, niewielu uczonych, a nawet rzec można, żaden z jego zwolenników nie śledził bolszewizmu od początku z taką uwagą i z takim zajęciem, jak Mussolini. Kiedy «wielkości» świata oficjalnego — i socjalistycznego — wzruszały ramionami i oczekiwały co chwila upadku tej «przejściowej potworności», on tylko uporczywie twierdził: «Będzie trwał, będzie trwał. Trwa, przetrwa». I bolszewizm trwał rzeczywiście. Nie roztkliwiały Mussoliniego ideologie demokratyczne, nie oslepiały go formy nowego rządu w Rosji, odbierające możliwość dostrzeżenia tych podstawowych wartości, jakie — dla szczęścia i przyszłości wielkiego narodu — mogą wymagać chwilowego ograniczenia wolności. Ale nie jest powiedziane, że historia musi rozwijać się jednakowo w każdym okresie w każdej grupie etnicznej i w każdym klimacie. Doświadczenie powiada nam, że dzieje się odwrotnie.

I właśnie dzięki temu zdrowemu zrozumieniu realizmu historycznego należało nie dopuścić, aby Włochy porzuciły najbardziej podstawową zdobycz własną — wysoki stopień cywilizacji zachodniej — i pobiegły za cieniem zbankrutowanych chimerycznych.

«Jesteśmy nawet Konserwatystami» — miał odwagę stwierdzenia. W pradawnych cywilizacjach zachodnich są rzeczy, które należy utrzymać: wolność osobnika, wolność ducha, co żyje nietylko chlebem, wolność, która nie może być pogwałcona przez dyktatorów z koszar Lenina, tak, jak nie była podeptana przez kaprali z koszar pruskich, albowiem oznaczałoby to powrót do stanu społeczeństwa barbarzyńskiego z jedenastego stulecia».

W tym okresie podtytuł pisma uległ zmianie. Z «Dzien-

nika socjalistycznego» stał się «Dziennikiem walczących i producentów». Wziął się z rozmachem i uporem do rozbicia złudzeń Wschodu, krok po kroku, człowieka po człowieku przez czyn i przez słowo — które jest również czynem — przez propagandę, przez polemikę, gwałtownie. Dowodził, że to, co się dzieje w Rosji sprowadzi za sobą nie realizację komunizmu lecz kapitalizm; że prawdziwą zasługą Mikołaja Lenina było rzucenie niezmiernej Rosji, uwolnionej z więzów autokracji, tej Rosji, która posiada niezliczone bogactwa naturalne, w wir cywilizacji kapitalistycznej, otwierającej wrota kapitalizmowi, który jest — przede wszystkim — formą organizacji produkcji współczesnej. Przepowiadał, że Rosja stanie się ziemią obiecaną, jedną z największych sił produkcyjnych świata.

Lecz walka z bolszewizmem — program negatywny — nie mogła być wyłączną, jedynie idealną racją bytu Związków faszystycznych i nie mogła wyczerpać ich praktycznej aktywności. Nikt bardziej i głębiej od niego nie był zdolny odczuć, że narzucała się poprostu konieczność rewolucji we Włoszech; naród zamknięty w atmosferze zamiętanej, zastarzałej i pełnej miazmatów nie mógł oddychać. Rzeczywistym problemem stawało się pytanie: w jakim kierunku i jak, stosownie do ducha przeszłości i dobra przyszłości miała ona pójść i jak się odbędzie ta rewolucja? Pytanie trudne, a zasadnicze i niezbędne dla Mussoliniego, albowiem we Włoszech istniał jeden tylko temperament, rzeczywiście rewolucyjny i był tylko jeden jedyny możliwy przywódca tej rewolucji. A nim był właśnie on i nikt inny.

I wówczas pojawia się na jego ustach coraz częściej i coraz wyraźniej słowo «arystokracja». Stworzenie pierwszych związków i mowa wygłoszona w chwili ich powstania są odwołaniem się do nowej arystokracji stworzonej przez wojnę i przez nią nobilitowanej, do arystokracji walczących, do «arystokracji z okopów», w której dostrzegął on refleksy

tych kast posiadających najwyższe cnoty kapłańskie i rycerskie, o jakich myślał Nietzsche.

Rewolucja zatem nie mogła być atakiem epilepsji lub tańcem Św. Wita; w jego pojęciu winna ona była mieć wyraźne dążenia, siły i metody. «Już w 1913 roku — mówił on — stwierdziłem, że proletarijat potrzebuje kąpieli w krwi, potrzebuje historycznego dnia! Tysiąc takich dni przeżył, a kąpiel straszliwa trwała przez trzy lata. Te rzesze, których energia została zmarnotrawiona w upodleniu i w obojętności, których winnym był Giolitti, dziś przeżywają jeszcze rewolucją, jaka zaczęła się w sierpniu 1914 roku».

Zbyt prostem i łatwym byłoby przyspieszać i popychać rytm rewolucyjny wszędzie i na każdym miejscu w jednakowym szalonym tempie! Należy umieć powstrzymywać i opóźniać, aby nie dopuścić do ruiny. Jeżeli zaś o rewolucji mówi stado wandejczyków lub pasorzytów, nie należy się trwożyć, że przeciwiać się, uchodzić będziemy za reakcjonistów. Przy reakcji czy przy rewolucji zresztą jedynym kompasem, jaki Mussolini zgadzał się przyjąć dla orientacji było hasło: «Wszystko to, co może uczynić wielkim naród włoski znajdzie we mnie zwolennika i naodwrot, wszystko to, co upadła, co obniża i co krzywdzi naród włoski, znajdzie we mnie przeciwnika».

Odwołanie się do postępu moralnego wydawało się dziwem i pewnego rodzaju zgrzytem w owym okresie powojennym, kiedy wśród socjalistów zjednoczonych, zwolenników trzeciej międzynarodówki, komunistów i apostołów idących za moskiewskimi sowietami, rozpoczynała się epoka przelicytowywania się w «czerwoności». Czerwonymi byli księża z wielebnym Don Sturzo na czele, czerwonymi płochliwi konserwatyści, a według zasad konkurencyjnego mimetyzmu, czerwonymi demokraci i najczerwieńszymi republikanie.

Upodobniało się to wszystko do ulicy o dziesięciu wy-

szynkach chwalących pokolei najlepsze wino w świecie, jedynie tu lub tam posiadane. A propaganda taka wydawała owoce. Socjalistyczne siły w dobie powojennej składały się ze 156 posłów do parlamentu, 2.500 gmin i 36 rad prowincjonalnych zdobytych przy wyborach administracyjnych głosami socjalistów — milion osiemset tysięcy głosów — 3.000 sekcji, 250.000 członków, 3.000.000 robotników zorganizowanych w organizacjach ekonomicznych.

«Ale ja... nie!... — protestował fundator związków faszystycznych, wciskając pięścią kapelusz na swą upartą czaszkę — ja, na Boga, nie przyłączę się do tej licytacji! Masy robotnicze powinny być wychowywane a nie oszukiwane i ludzone błazeństwami i głaskane przez demagogów. Musimy stanąć przed robotnikami w szatach wychowawców, nie poszukujących sukcesów, popularności, głosów i pensji. Cyfry zdobyczy socjalistycznych są wspaniałe, lecz pozostają cyframi; są one, jak ciężar gruboskórca olbrzymiego lecz bez duszy! Co warta jest ilość... gdy motor się zużył!»

## XXXVIII

## FIUME (RJEKA)

*Podpalenie Avanti. Polowanie na inwalidów i amnestja dla dezertarów. 12 września 1919 roku. Poeta i chłop. Lot, wiatr «bora», soldy i rewolwer. Plac Belgioioso w Medjolanie.*

Podczas jednego z tych dni zwykłych strajków — 15 kwietnia 1919 roku — powracałam do domu w melancholijnym nastroju. Zaniósłam kolegom z dziennika, zabarykadowanym w lokalu redakcji, papierosy i termos z gorącą czarną kawą; zwykły podatek na godziny obłęzenia.

Przez pustą ulicę — bramy były pozamykane, sklepy również — naprzeciw mnie szła grupa ludzi — różniących się od zwykłych demonstrantów — ugrupowanych w kolumnę, poważnych. Nieśli on żagwie opalone, a na ich czele szedł mężczyzna o twarzy dumnej, trzymając zakrwawiony hełm żołnierski.

Była to grupa «śmiazków wojennych» i faszystów powracająca z wyprawy na *Avanti*, gdzie zdewastowano drukarnię. Został w niej zabity młody żołnierz z 1915 roku, któremu przypadła w udziale obrona siedziby dziennika przeciw demonstracjom protestujących antysocjalistów. Nie wyrwali oni włosa z głowy współpracownikom *Avanti*, aczkolwiek znaleźli niektórych pokurczonych i pochowanych po kątach i przeróżnych, wewnętrznych skrytkach.

«Boże! dzięki Ci... — modliłam się w sercu — za naszych poległych przyszedł dzień zapłaty».

Fala lenistwa w okresie powojennym była zjawiskiem zmęczenia fizjologicznego, właściwego całej Europie. We Włoszech stan ten został skomplikowany przez cały szereg czynników mętnych. W każdym Włochu istnieje jakiś podkład anarchizmu albo raczej chaotyizmu i indywidualizmu nieprzejednanego. Spotyka się on w osobliwy sposób ze zdrowym rozsądkiem, który nabiera formy zrównoważonej, jakkolwiek głęboko sceptycznej, dzięki zmysłowi historycznemu, wrodzonemu nawet jednostkom nieokrzesanym i nieukom. Cóż trwa? Cóż jest prawdą? Ja tylko coś znaczę, i krótkie życie moje.

Do tego właśnie zmysłu użycia odwoływała się propaganda rewolucyjna fali lenistwa. «Czerwony sztandar zatriumfuje!» slyszeć było można o każdej porze; śpiewały tę pieśń często wśród nocnej ciszy głosy przepite i ochryple. O Włochy, ojczyzno pięknego śpiewu! Bezczelność stawała się dogmatem, wyrazem *chic'u*, piętnem wyższości. Panie, nawet ubogo ubrane, wahały się wsiąść do tramwaju. «Świńska burżuazja!» — wymyślali towarzysze, a tramwajarze patrzyli na publiczność zgóry, znosząc z niechęcią jej obecność, i potracali, deptali po odciskach, że aż miło. Strajk był czemś stałym, co trwało bez przerwy i krążyło; rozciągał się na obsługę publiczną w całym zakresie tego słowa, a specjalnie tramwajarze uprawiali go na szeroka skalę. Rezultaty zaś odczuwało całe społeczeństwo. Wystarczało jakieś nie lub tak, aby zaleźnie od humoru powstrzymać się od pracy, od tej pracy, której znikomą wydajność przypominają sobie dobrze przemysłowcy, a rejestrują ówczesne statystyki. To nie lub tak wystarczało, aby odwoływać się potem do solidarności rzemiosła, lub do pojęć analogicznych, bliskich całej klasie robotniczej. A na wsi było nie lepiej. Przeżytkiem niemal kopalnianym stało się placenie czynszu właścicielom gruntów przez chłopów; tu i ówdzie wybuchał ponury instynkt powstań chłopskich. Groźba rzezi! Jawiła się dzikość nie zwierzęca, lecz

wyrafinowana, połączona z przewrotnością ukazującą w człowieku podkład djabełski. W Empoli kobiety i dziewczęta nawet — jedna z nich nazywała się Bianca Lida Mirancoeli (patrzy w niebo) — prześcigały mężczyzn w haniebnych zbrodniach dokonanych na kilku marynarzach, jedynie dlatego, że ubrani byli w uniformy. Wygnana została z serc litość — boska rosa; — zanikł szacunek, a ojczyznę lżono na każdym kroku! I nie były to przestępstwa tłumu. Odpowiedzialność za to, co się działo, spadała na klasy rządzące, słabe — i przez nieudolność, przez lenistwo i podłość, demagogiczne. Flirtowało się naówczas z socjalistami, otwarcie jednając ich koncesjami. *Realpolitiker* nędznego materializmu Nitti, nie wahał się powtarzać: «Włochy nie chcą slyszeć więcej o wojnie, zapanował nastrój podobny do tego, iaki opanowuje człowieka nazajutrz po pijatyce; każde wspomnienie o orgji wywołuje rumieniec wstydu i uczucie odrazy, czuje się pragnienie słów i czynów czystych». Jeżeli można było zgodzić się na pierwszą z trzech kolejnych amnestyj, jako na odszkodowanie dla ofiar sprawiedliwości, siłą rzeczy wymierzonej w sposób dorywczy przez wyroki niewspółmierne z winą a często nawet zbyt pośpieszne trybunałów polowych i wojennych; jeżeli można było wyrozumieć pewną rozciągłość drugiej kolei, trzecia amnestja która została rozciągnięta na dezertorów wobec wroga, była bluźnierstwem. Zabijała ona poraz wtóry jeszcze okrutniej, naszych poległych, albowiem nadawała rehabilitację dezertorom, nakazując wydawanie im świadectw, że służyli pod bronią «z wiernością i honorem».

A kiedy tłum rozbestwiony zaczął polować na oficerów, inwalidów i żołnierzy, kiedy bijąc tych ostatnich, raniąc i łącz, zmuszał ich do szukania ucieczki po bramach, sklepach i kawiarniach oblegiwanych potem zajadłe, kiedy z piersi inwalidów zaczęto zrywać odznaki ran i z bluźnierstwem deptano krzyże i medale bohaterstwa — cyrkularz ministra wojny nakazał, by unikano noszenia uniformu

w miejscach publicznych i aby wychodzono na ulicę po cywilnemu «dla uniknięcia prowokacji». Taką była opieka, jaką znaleźli obrońcy Państwa u najwyższych jego władz, takim uznanie ich praw, i taką nagrodą za ich cierpienia! Nie należy odnawiać śladów minionego wstydu — myślał pewno minister.

Lecz nad morzem, u stóp Alp Julijskich, jesień przyspieszała już dojrzewanie zbawczego winobrania.

12 września 1919 roku, Gabrijel d'Annunzio przerwał przygotowywania do lotu powietrznego z Rzymu do Tokio, jaki miał mieć miejsce wbrew wszystkim i wszystkiemu, dzięki uporowi, stanowczości i woli poety. Zebrawszy nagle w Ronchi w pobliżu granic Gorycji legjony ochotników, do których przystał wnet cały pułk grenadierów, przekroczył prowizoryczną linię graniczną, ustaloną podczas zawieszenia broni, i zajął nieoczekiwanie miasto Fiume.

*Popolo d'Italia* z entuzjazmem stanął natychmiast u jego boku. Faszizm pojął, że odkupienie rozpoczynało się tam właśnie.

Rozumie się, że człowiek będący u steru władzy musiał potępić czyn poety. Powinien był to zrobić w sposób mniej nędzny a zrobił bez słowa miłości ojczyzny, bez akcentu dostojności moralnego, stwierdzając, że wielki naród był służalcem cudzoziemskiej woli z obawy głodu. W parlamencie, ustami męża stanu, nazajutrz po wielkiem zwycięstwie, wskutek niedostatku i niewoli i lira, ogłaszano oficjalnie, że aljanci Włoch stali się ich panami.

«*Cagoia z T r i e s t u* (obelżywe przezwisko rzucone Nitietemu przez d'Annunzia), myśli jedynie kategorjami strachu», tak odpowiedział na to poeta z Fiume. Z intuicją wieszca odczuł on, że odkupienie i wybawienie Fiume musiało stać się początkiem ocalenia Włoch. I rzeczywiście był to włoski *Saint Graal*, przy którym mistrz gorących misterjów zebrał kwiat włoskich rycerzy naokół mistycznego kielicha, pełnego krwi przelanej przez męczenników. Ten właśnie *Saint*

*Graal* morski pisany miał w gwiazdach szczęśny los i zwycięstwo.

«Nie zająłem Fiume, aby zeń utworzyć bylejaką, jeszcze jedną z wielu prowincyj Królestwa», — mówił poeta, dyktując w Quarnaro Statut, w którym zawarta została wiekuista aspiracja serdeczna ku ideałom sprawiedliwości, miłości i cnoty — jak precudowna wizja Izajasza, wyrażona w dźwięcznej prozie dni naszych. A przez świat przebiegły zagnała dreszcze uczucia solidarności i łączności, jakie rodzi każda wielka sprawa. Sen o nowej Jerozolimie sprawdzał się, pogrzebany lecz nie umarły w sercach szlachejnych.

A pogrzebany po raz wtóry, trwał jeszcze. Po Krucjacie Niewinnych, przyszła Krucjata «śmiałków», po niej Krucjata Dzieci a wreszcie Krucjata Młodzieży nie czeka i nie daremna. Przez dziesięć miesięcy trzymała ona w szachu świat. I jeżeli w końcu przemogły względy rzeczywistości w walce z poezją, to ostatnia zabarwiła, przemieniła i uszlachetniła sobą tę rzeczywistość zwycięską. Miasto pozostało włoskiem, i włoskiemi stały się Włochy. Z Fiume, z tej latarni adriatyckiej, ku której bez przerwy kierował się nasz wzrok, wyszedł gorejący płomień. A z przeciwległej strony zatoki, z mrocznej doliny rzeki Padu, z Medjolanu, *Popolo d'Italia* odpowiadał sygnałami świateł. Niosły się więc tu i tam słowa podniety, marzeń i czynu.

«Komendant jest wielkim poetą, którego uwielbiam całą duszą, ja zaś jestem mocnym, solidnym chłopem, przykutym do gleby rzeczywistości» — mówił dowódca związków faszystycznych.

Składki na Fiume mnożyły się, i na szpaltach dziennika pojawiały się nazwiska i cyfry, jak zew tęsknoty za wielkością. Z dnia na dzień przygotowywał się wspaniały i mocarny odwet przez twarde, nieubłagane słowa wyrzutów pod adresem rządu, który w bezsile swej gotował krwawą zemstę.

Zachowałam w pamięci, wśród wesolych wspomnień

w mem życiu, te ucieczki pośród labiryntu uliczek weneckich, w towarzystwie czterech czy pięciu spiskowców, pomiędzy którymi był i nasz redaktor, udający się potajemnie do Fiume. Należało omylić czujność policji. Jakkolwiek urodzeni w Wenecji, byliśmy dyletantami jedynie wobec jego spokojnej, rozważnej i doświadczonej znajomości rzemiosła uciekającego galernika. Kiedy udawało się nam, po niezliczonym krążeniu wśród labiryntu uliczek, skręcić gdzieś nabok, z tą pewnością, że ślady nasze zostały zatarte, on przystawał podejrzliwie i powiedział: «Patrzcie, oto oni!» I rzeczywiście z za węgła ukazywało się dwóch ludzi o czarnych wąsikach, o chodzie wojskowych, pięknych, młodych, ze zwykłą laską zakrzywioną, przewieszoną na rękę — agenci policji. Przypominałam sobie Jana Valjean'a, ściganego po ulicach Paryża, i Jakóba Casanovę, śledzonego po tych samych uliczkach, a mimo to zleniwiła wyobraźnia nie chciała dramatyzować wypadków tego dnia październikowego, dającego dziwny spokój słońca i lazuru wodzie i powietrzu. Czułam jednak, że w redaktorze rozbudzał się instykt dzikiego zwierzęcia, do dziś jeszcze czyniący zeń śmiałka nieznoszącego opieki.

Tymczasem jakiś komendant marynarki gonił za nim, aby ofiarować mu swój statek do dyspozycji, a wkrótce, pomimo tajemnicy, zaczęto zaofiarowywać mu statki i stateczki, a oficerowie aeronautyki oświadczyli, iż są na jego rozkazy.

Rzeczywiście — 9 października 1919 roku — na zgromadzeniu związków we Florencji, Mussolini, przed rozpoczęciem swej mowy, przeprosił zgromadzonych i uprzedził, że jeżeli mowa jego wyda się nieskoordynowaną, to dlatego, iż «wraca właśnie z Fiume» dokąd udał się drogą powietrzną — «maleńki żarcik uczyniony Nittiemu» — gdzie oddychał «atmosferą cudu i bohaterstwa». W drodze powrotnej, przeciwny wiatr, wiejący w zatoce triesteńskiej, zwany «hora», zmusił pilota do wylądowania nie w umó-

wionem miejscu. Niewiadomo było, czy komenda pulku, która zarządziła pomoc natychmiastową, traktowała go jako gościa czy trochę jako więźnia, dość, że zaofiarowano mu obiad, wznoszono toasty i raczono wahającym się jeszcze lecz wyraźnym podziwem. Pomimo tego sportowego przygotowania, mowa Mussoliniego zawierała szereg myśli podstawowych programu faszystycznego jeszcze nie skonstruowanego naówczas, właśnie w chwili najbardziej ciekawej i w stosunku do oryginalnego swego tworu: do syndykalizmu robotniczego i rolnego, w chwili decydującej, gdy tenże faszyzm starał się o wyszkolenie mas, przetwarzając się w partję. «Jeżeli burżuazja nie umie się bronić, niechaj nie ludzi się, że my jej będziemy bronili. My bronimy narodu. Chcemy szczęścia moralnego i materialnego dla ludu».

Zebranie uległo przerwie śniadaniowej. Mussolini, nieświadący nastrojów uroczystych przy jedzeniu, udał się samotnie do jednej z restauracyj florenckich na placu Vittorio Emanuele. Była godzina pierwsza. O tej porze cała niemal Florencja przechadza się pod portykami i plotkuje. Rozpoznano go. Kilku młodzieniaszków zaprojektowało urządzenie pośmiewiska. Przejdą w defiladzie przed siedzącym, a każdy rzuci weń soldem. Skoro tylko przeszedł pierwszy z podłych spiskowców, okazał się rewolwer służbowy pojawił się na stoliku. Nie wziął on go do ręki, tylko zapowiedział głosem wyraźnym i spokojnym: «Jeżeli jeszcze ktoś odważy się przejść, będę strzelał!»

W ten sposób epizody zimnej i surowej dramatyczności przeplatały się epizodami heroikomicznymi. Nie mogę zapomnieć tych chwil, kiedy zapanował obłęd rewizyj, i kiedy biegaliśmy co prędzej do redakcji, aby wynosić do domu ważniejsze dokumenty. Ja, jako ofiara literatury, wahałam się pomiędzy tajemniczą skrytką według metody Sherlocka Holmesa, a śmiałą otwartością w typie Poe'go.

Te rulony papierów pochowane w komodzie przypominały mi dumne panny de Longueville z czasów Frondy.



«Musimy zmierzyć się z tłumem. Niechaj nikt nie śmie powiedzieć, że w Medjolanie socjaliści napawają nas strachem, i że obawiamy się wyjść na ulicę» — rozkazał redaktor.

Na kilka wieczorów przed wyborami zwołano wiec na placu zamkniętym pomiędzy pałacami wielkich rodzin medjolańskich, na tym placu Belgioioso, który słusznie może być uważany za olbrzymi salon starego Medjolanu. W ogrodach, zamkniętych w podworcach pałacowych, szumią drzewa i śpiewają słowiki w przedziwnym spokoju i skupieniu, wśród odwiecznej architektury. Mównica była na furgonie od strony czerwonego domu Aleksandra Manzoni, a furgon wyglądał rzeczywiście, jak starorzymskie mównice na *Forum*, oświetlony płomieniami pochodni i otoczony zwartą masą «śmiałków» o marsowych obliczach. A co pewien czas z tych szeregów wzbijał się ku niebu, jak nad brzegami rzeki Piave, fajerwerek zielony. Nigdy jeszcze do owej chwili, w okresie powojennym, nie zmartwychwstało do tego stopnia poczucie wojny. Dziwić się trzeba było, że nie przysłonięto latarni z obawy przed aeroplanami nieprzyjaciela. I nigdy może przywódca nie był tak lakonicznym, tak rzymskim w obliczu i w słowie. Z placu zatłoczonego dobiegał pomruk przyciszony: słychać w nim było już sympatię i podziw, lecz jeszcze brakło zgody i zrozumienia.

«Ten to przynajmniej nie oszczędza nikogo». — «Wie, co mówi, ma odwagę. To się nazywa przemawiać» — słyszałam, jak szeptało w tłumie z tem zadowoleniem, jakie budzi spotkanie nagiej duszy.

## XXXIX

## FAKTY I PRZYWIDZENIA

*«Zaczynałem odpoczywać»: jedenasty areszt. Literatura potencjalna, socjologja, dramat i powieści. Czterdzieści metrów «potknięcia się». «Żyj wśród niebezpieczeństw».*

Znajdowałam się w «norze» redaktora w dwa dni po słynnej porażce wyborczej. «Ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu zostało wyłowione dziś rano w Naviglio (kanale medjolańskim). Zdaje się, że jest to ciało Benita Mussoliniego» — wydrukował *Avanti*, a co wieczora pochody defilowały przed domem redaktora, wyśpiewując parodje hymnów żałobnych.

«Dobrze przynajmniej, że będę mógł się teraz ogolić i wyspać!» pomrukiwał pseudo-zmarły. Przechodził jednak z odrazą mimowolną obok resztek afiszów wyborczych, co wyglądały, jak wyblakłe girlandy triumfu niedoszłego, żywe pamiątki porażki, której wspomnienie piecze, jak rozpalone żelazo.

Zastępca redaktora z obliczem zmieszanem wszedł, aby zapowiedzieć: «Benito, przyszli policjanci».

Usłyszeliśmy suchą odpowiedź redaktora: «Nie mam nic do powiedzenia panu» — skierowaną do zmieszanego i zambarasowanego oficera policji, który zaoferowywał swą dorożkę, «aby udać się na chwilę do gmachu policji». Wreszcie oficer pokazał dokumenty. Redaktor wstał, kierując się ku nam: «Do widzenia z panią. Aresztuj mnie».

Serce mi biło gwałtownie z oburzenia i dumy. Ze-

szedł ze schodów i wszedł do dorożki. «Psia... — warknął gniewnie zastępca redaktora, rzucając na podłogę wszystko to, co miał pod ręką — tak traktują człowieka, który po Caporetto ocalił Włochy!»

Misiano, dezterter w obliczu nieprzyjaciela, tego samego dnia został wybrany do parlamentu w dwu okręgach, jednym z nich był Neapol.

Lecz poseł Nitti był pozbawiony odwagi, nawet w zawziętości. Po mizernej zemście, zląkł się skandalu. Naza jutrz o czwartej, kiedyśmy przygotowywali ciekawsze książki, aby je zanieść naszym więźniom, zobaczyliśmy na progu redakcji grupkę osób oklaskujących radośnie powracającego redaktora.

«Właśnie teraz, kiedy w więzieniu zacząłem wypoczywać i uspakajając nerwy!» zauważył wśród przyjaciół radośnie uśmiechniętych.

Jeszcze przed wyjazdem do Afryki, zapoznałam się z melancholją pustyni w tych stancyjkach redakcyjnych na ulicy Paolo da Cannobio w ciągu tygodni, jakie nastąpiły po wyborach i areszcie. Ten lokal małeńki a przepelniony stał się nagle pustym i wydawał się olbrzymim. Później trzódka powróciła doń... Ten, kto przetrzyma, ma zawsze rację. I poza głębokim uczuciem rozgoryczenia, spowodowanym zdradą ze strony najbliższych uczestników w pracy i w walce — bo i to go nie ominęło — przypuszczam, że nigdy nie pracował i nie walczył on tak intensywnie i z zaparciem się samego siebie. Śmiałabym rzec, że cenił niezmiernie ten okres życia ciężkiego i wspaniałego.

Czasami, jak to się zdarza rodzicom, przychodziły nań kryzysy niezadowolenia w stosunku do własnego dziecka. «Sprzedam dziennik, sprzedam...! I tak nie idzie, jak ja chcę. Złości mię tylko i nie staje się takim, jakim ja go chcę widzieć!» Tak samo mawiają matki: «Oddam cię do szkoły, albo zawołam czarnego dziada, aby cię zabrał.» «A wreszcie — mawiał on — wreszcie nie należy zbyt

przyzwyczajając się. Znadto długo już jestem dziennikarzem. A znam tyle innych rzemiosł! Przedewszystkiem mogę być murarzem: znam dobrze to rzemiosło. Teraz uczę się pilotowania. Albo też mogę pokręcić się po świecie, grając na skrzypcach: wspaniałe rzemiosło błędnego grajka! Rodzinie pozostawię to, co uzyskam ze sprzedaży dziennika, a dla siebie, aby wyżyć, znajdę zawsze coś niecoś. Zresztą otrzymałem doskonale propozycje od wydawcy Bocca na wydanie książki pod tytułem: *Mit i Herezja*. Wystarczy mi piętnaście dni wypoczynku w jakimś zaciszu pustelniczem. Rozmawiałem z Tallim, zostanę aktorem i autorem. Mój dramat w trzech aktach «Lampa bez światła», jest już gotowy, muszę go tylko napisać».

Po tem wyszczególnieniu powracał szczęśliwy do redakcji, aby kreślić te ostre kursy wy, jakie poza artykułem wstępnym stanowiły jego nadzwyczajną zabawę w godzinach dobrego humoru. Nikt nigdy nie był dziennikarzem, tak głęboko i poważnie rozmiłowanym w rzemiosło, jak on. A kiedy zabrakło strajków, wieców, demonstracji, pogroźek i napadów, starał się o wypełnienie luki aby «udramatyzować życie» przy pomocy jakiegoś incydentu, naprzykład pojedynku.

Współpracownicy nadaremnie starali się rewindykować wobec niego ojcostwo artykułów, będących przedmiotem kwestji: «Generałowie każą się bić, lecz sami nie biją się.»

«Ale gdzież tam, generał nie powinien być zbyt pokojowym».

Święta Inkwizycja policji za każdą rozprawą ściagała go daremnie po całych Włoszech; znajdował się jednak zawsze jakiś przygodny wóz z sianem, albo zamknięty przejazd przez tor kolejowy pomiędzy jego automobilem a automobilem goniącym, który często kończył w rowie.

Pomimo stałych przykładów niezbyt wielkiej bojowniczności przeciwników, za każdym razem stawał do pojedynku pełen tych uczuć, jakie wywołuje poetyczna przygoda.

A po tych przygodach dziwił się bardzo, że nachodziły nań dni, w których «nerwy są nastrojone według klucza wiolinowego», lub cięższe jeszcze, w których «nerwy znajdują się w stanie powszechnego strajku» dając mu się we znaki.

«Ja, co zawsze czuję w sobie siłę byka, i wiem, że chcąc — a chcę — mógłbym pociągnąć całe Włochy, tak, jak ciągnie się łódź z morza na suche miejsce, dziś jestem obojętny, apatyczny w stosunku do wszystkiego! Nie zrobiłbym kroku, aby ocalić życie! A jednak pięknie było w okopach, kiedy należało tylko słuchać i spełniać rozkazy! «Kapral Mussolini pójdzie po wodę, po pożywienie, po amunicję...» Jak piłka odbijająca się po rzucie, tu i tam. Abdykuje, abdykuje... jestem pozbawiony woli dzisiaj. Kto mi chce rozkazywać?»

Leopardi powiada: «Wiele razy jędrność i siła nadzwyczajna a przejściowa powoduje w ciele i w nerwach jakieś odrętwienie, na skutek którego duch tonie w obojętności względem rzeczy i siebie samego w ten sposób, że albo widzi wszystko zgóry i ledwo, ledwo, albo też nie myśli o niczem i pożąda, i obawia się jaknajmniej. Ociężenie ciała jest czasem takie, że bez sprawienia troski albo zmartwień, osłabia wszelkie zdolności duchowe, osłabia każde pragnienie. Człowiek odczuwa nawet rzeczywistą przyjemność, spowodowaną tem odrętwieniem».

W ciągu tych dni miewał rozmaite przywidzenia, tworzył projekty i zajmował się swą literaturą potencjalną. Przez długi okres czasu widziałam, jak nosił w kieszeni małą kartkę starannie złożoną i dobywał ją z portfela od czasu do czasu, obwieszczając: «Widzicie, tutaj mieści się książka *«Mit i Herezje»*. Mam dziesięć rozdziałów gotowych. To bardzo poważna praca!»

Na kartce można było zobaczyć zaledwo dziesięć tytułów, lecz tak pełnych głębokiej treści, że należało podzielać jego złudzenie. Można było dostrzec jednocześnie, iż

chodzi mu o syntezę duchowego życia ludzi, którzy odważnie godzą się na proces rozłamu, rozdzierający każdą istotę moralną po dojściu do dojrzałości, aby z jej wnętrza narodziła się prawda odnowiona, za którą znowu gonić będą ludzie niebezplodnie. Bajka o ciągłym postępie ustępowała miejsca uroczystej i poważnej wizji ewolucji, złożonej z reakcji i czynów opozycyjnych nie daremnych, lecz pełnych treści i koniecznych.

Dzieło nie zostało wyrażone w druku lecz przeżyte: stało się czynem.

Nie udało mi się skonstatować, do jakiego stopnia dojrzałości literackiej doszły zapowiadane dramaty. To pewna, że nie widziałam ani jednego wiersza na papierze, jakkolwiek słyszałam często ustne rozwijanie pomysłów, budowanie scen, frazesy bohaterów a wreszcie całe dialogi.

Lampa bez światła była tragedją istotki, której urodzeniu przeciwiał się ojciec, mający dziecko zrodzone z nielegalnego związku miłosnego i będący w takim stanie zdrowia, że dziedzictwo przekazane nowonarodzonemu zrobiłoby zeń kalekę. Opór mężczyzny zostaje przewyciężony przez instynkt macierzyństwa kobiety, i dziecko rodzi się ślepe. Następują zobopólne wyrzuty i zarzuty trzech dusz cierpiących niezmiernie.

Mussolini, jako dramaturg, nie jest pogodnym podpatrywaczem życia, dusza jego ma naturalną skłonność do tragedji i do mrocznych konfliktów żądz i namiętności.

«Zaczyna się, panowie» jest dramatem mętów społecznych. Zazdrość a może i kazirodcza miłość starego włóczęgi grajka otacza lubieżnym płomieniem młodą dziewczynę, która mu towarzyszy a nawet jest może jego własną córką. Kocha się w tej dziewczynie młody, uczciwy chłopak, a starzec w ataku zazdrości dusi ją, aby jej nie oddać innemu.

«Powołanie» i «Sekcja spokojnych» są dramatami typu *Grand Guignol*; pierwszy z nich rozegrywa się

w celi młodej mniszki w noc Bożego Narodzenia, kiedy przed nowonarodzonym Dzieciątkiem wspomina ona dziecko swe, owoc potajemnej miłości, opuszczone przed laty, a drugi przedstawia skrzypka zamkniętego w zakładzie dla obłąkanych i grającego coraz szybciej, coraz szybciej, podczas gdy towarzysze choroby kręcą się w jakimś obłąkanym tańcu, ukajającym ich nerwy. Pękają, jedna po drugiej, rozjęzione struny skrzypiec, muzyka cichnie, a wybucha zwierzęca i szalona złość warjatorów rozgniewanych ciszą; jeden z nich wściekły rzuca się na skrzypka i dusi go, W dziale powieści zapowiadał «Roznosiciele ognia», powieść pełną namiętności, oraz «Walkę motorów», ciekawą powieść, osnutą na tle rywalizacji producentów przemysłowych i walki o pierwszeństwo na rynku światowym przy pomocy kapitału, pracy, inteligencji i naturalnych instynktów wojowniczych człowieka. Miała to być powieść pozbawiona pierwiastków intrygi miłosnej.

Zdradzam bez skrępowań tajemnice tej przebogatej kopalni pomysłów niewydanych, aczkolwiek czytelnicy i pisarze, wbrew opinii krytyki, uważającej pomysł za rzecz drugorzędną, często bardzo zakłopotani wynalezieniem interesującego tematu literackiego, mogliby się niemi posługiwać. Gdyby jednak obecny Premier wrócił kiedykolwiek do twórczości literackiej, prawdopodobnie opracowywałby nowe pomysły, porzucając całkowicie stare, od których w gruncie rzeczy lotnictwo już go naówczas odciągnęło.

Umiał już wykonać cały szereg manewrów powietrznych i lądować bez trudu: przygotowywał się do złożenia egzaminu i otrzymania dyplomu, gdy tymczasem pewnego wieczora zabrzmiał dzwonek aparatu telefonicznego, i współpracownicy do późnej pory, daremnie oczekujący na pojawienie się redaktora, otrzymali taką wiadomość:

«To ja! Nic się nie stało! Spadłem z wysokości czterdziestu metrów. Boli mię noga, nic nie zламаłem... To jest... aparat zdruzgotany, ale motor ocalał. Nic... nie należy



1920 — Lotnik.

przesadzać. Polecam wam numer dzisiejszy. Nie róbcie głupstw!»

I powtarzając ciągle: «Nic strasznego, nic poważnego» pogodził się z piętnastodniową bezwładnością i bolesnem cierpieniem. Biada temu jednak, ktoby był śmiały twierdzić, że katastrofa nastąpiła z jego powodu! Jego nauczyciel, lekko ranny, przychodził w odwiedziny, i patrzyli wówczas na siebie z pod oka, jeden przeświadczony w głębi duszy o winie drugiego. Jeżeli mogli jeszcze dyskutować, to niewątpliwie była to «wina» Matki Boskiej z Loreto, patronki aeronautów, której powinni byli zanieść świecę, tak olbrzymią, jak ta część aeroplanu, co ocalała.

«A jednak życie jest piękne! — mawiał rekonwalescent, spoglądając ze swego gabinetu na słońce i na lekkie chmury wiosenne. — Godne jest ryzyka, a nawet trzeba ryzykować, aby zrozumieć całą jego wartość».

»Żyj wśród niebezpieczeństw«, oto słowa Fryderyka Nietzschego, które wypowiedział później w tragicznym momencie rządów, w sierpniu 1924 roku, jako hasło dane sobie samemu i faszystom.

## CZERWONY SZTANDAR

*Dyktatura proletariatu. To, o czym myśleli Lenin i Trocki. Albanja, ziemia stracona. Boże Narodzenie w mieście Fiume. Pogrzeb ofiar zamachu na teatr Diana. Wybory w 1921 r.*

Cienie zmierzchu, szarosrebrzyste i przejrzyście lazurowe wydłużały się już na bruku miasta, a zapach kwietnia mieszał się w powietrzu z echemi śpiewanego wszędzie «Czerwonego sztandaru», i wrzawą przygotowań do «dyktatury proletariatu». A lir spadał do jednej czwartej swej wartości, stając do wyścigu z walutami narodów pobitych, choć był pieniądzem kraju zwycięskiego. Socjaliści podjudzali lud, rozjątrzoną już ciągłym wzrostem cen, przeciw nienasyconym, żądnym z bogacenia się «dorobkiewiczom» i nieudolności rządu. W słowach ich była prawda. Ale socjaliści nie mówili wszystkiego, nie dodawali, że wymagania zmniejszenia pracy a zwiększenia zarobku, że strajki nieustanne i atmosfera niepewności stanowią również czynniki przeciwstawiające się dobrobytowi ekonomicznemu.

Co pewien czas przeróżne ligi wydawały rozkazy, w celu uzdrowienia sytuacji, a więc klucze sklepów miały znajdować się w Izbach Pracy, a towary miały być sprzedawane za połowę oznaczonej wartości. Zmarnowano w tych rabunkach zorganizowanych i prowadzonych pod opieką policji i żandarmerji a dokonywanych przez tłum wyczekujący w ogonkach bez końca, zniecierpliwiony i zły, w ciągu

tygodni czerwca 1919 roku, lipca i września 1920 roku, więcej towarów, niżli wymagało normalne zużycie w ciągu wielu miesięcy.

Był to właśnie okres, kiedy «biedna Austria» i «biedne Niemcy» napełniały świat nieukojonym płaczem, a socjaliści gościli na koszt państwa w instytucjach dobroczynnych dzieci wiedeńczyków. Dziecko jest święte, o tem wiedzą wszystkie kobiety i niektórzy mężczyźni, a więc litość w stosunku do nieprzyjaciół z byłego cesarstwa mogła mieć charakter przypieczętowania zwycięstwa, tymczasem została ona uzewnętrzniona z wyraźną tendencją oszkalowania tegoż. *Popolo d'Italia* przedsięwziął zatem wśród rodzin przyjaznych zorganizowanie gościnności na rzecz dzieci miasta Fiume, zrujnowanego wskutek miłości ojczyzny.

«Dyktatura proletariatu» we Włoszech, pod wpływem rzeczywistych warunków kraju, byłaby najprawdopodobniej skończyła się katastrofą i krwawą rzezią. W owej chwili jednak opór prawie nie istniał, możność owładnięcia sterem władzy była stosunkowo łatwa. Brakło naczelnika, a rzecz pewna, że gdyby po tamtej stronie był się pojawił jakiś Mussolini, ster władzy byłby pozostał w jego ręku przez okres czasu bliżej nieokreślony lecz długi.

Mikołaj Lenin odczuł to.

«A Mussolini? Dlaczegoście go stracili? Żle, źle! I szkoda! To człowiek zdecydowany, byłby was poprowadził do zwycięstwa».

Były to pierwsze słowa zwrócone do specjalnej delegacji złożonej z socjalistów i przedstawicieli Związku Pracy, gdy udała się w 1919 i 1920, aby carowi czerwonemu złożyć szacunek czerwonych Włoch, znajdujących się na drodze triumfu ideałów proletarjackich.

«Mussolini, wiem, wiem!... — przerywał co chwila Trockij, kiedy pewien uczone włoski przedstawiał mu w Pietrogradzie rzeczywiste położenie Włoch. — Jedyną pewną

kartę w rękę zmarnowano. Był to jedyny człowiek zdolny do przeprowadzenia rewolucji na serjo...»

Lecz to, co było i co jest, ma niezłomne podstawy bytu i wyklucza wszelaką możliwość hipotez i różnych «gdyby». Autorytet Mussoliniego tkwi w odwołaniu się idealistycznym i rzeczywistym do posłuszeństwa i do ryzyka, niewspółmiernych z egoizmem rozpętanych chciwości. Przywódca, który prowadzi, a nie daje się prowadzić, nie jest przywódcą demagogji.

We wrześniu 1919 roku Gabrjel d'Annunzio zajął miasto Fiume, w rok później, we wrześniu 1920 proletarjat zajął fabryki i warsztaty. Dwie daty. Wypędzono właścicieli i dyrektorów a w niektórych tylko wypadkach — na szczęście nielicznych — zatrzymano właścicieli, dyrektorów i ich rodziny w charakterze zakładników. I wówczas to z potężnych zakładów przemysłowych wykradano armatki, karabiny maszynowe i strzelby, przenosząc je do siedzib Izby Pracy, kooperatyw socjalistycznych i mieszkań prywatnych, należących do partji. Mimo to Giolitti pozostawał wierny swej polityce wyczekiwania i tolerancji.

«Własność prywatna, podatki, prawa, odpowiedzialność, wojsko, odzyskanie fabryk», mówiła specjalna «komisja przemysłowa.»

«Rok jest trudny. Dajcie możliwość robotnikom rozbicia sobie głów o mur trudności ekonomicznych. Zresztą nie mamy do dyspozycji potrzebnej ilości wojska, trzeba przecież strzec gmachów publicznych i centrów miejskich. Wszystko to, co się stało, dałoby jedynie powód do wymierzenia kar pieniężnych za drobne przestępstwa. Macie tu rozkaz piśmienny za który biorę odpowiedzialność».

Co nocy syreny fabryk gwizdały na alarm. Nikt jednak nie atakował. Władze czuwały nad pokojem trwaniem uzurpacji. Słońce świeciło, powietrze było niemal wiosenne, a burżuazja włoska starej daty, pomrukując, godziła się na fakt dokonany. Tak, jak w powieści Aleksandra

Manzoniego żołnierze Bezimiennego w stosunku do Don Abbondia, wzniecała w tej burżuazji uczucia podejrzania i strachu raczej śmiałość nowych niewygodnych obrońców — faszystów — niż znana chciwość napastników, albowiem upodlenie wyczekiwało od tych ostatnich objawów litości.

Rozpłonęła wówczas w Turynie, w tych Włoszech nawykłych do kompromisu, płomienna i ponura tragedia — parodia sądu proletarjackiego nad studentem, Marjuszem Sonzini, oskarżonym o przynależenie do faszyzmu, schwytanym na ulicy, gdy pod wieczór pewnego dnia powracał do domu, i nad dozorcą więziennym, Scimulą, który nadarmo odwoływał się do świadków swej względności w stosunku do więźniów politycznych i przywoływał postać swej matki i swych dzieci. Huty żelazne, źle prowadzone i nie doglądane przez techników, na szczęście nie stały się miejscem niesłychanej zbrodni, albowiem stop żelaza, w którym, według wyroku trybunału rewolucyjnego, skazani mieli zginąć, nie udał się, i zostali zabici strzałami z rewolwerów.

«Są to ryzyka zawodowe, którym musi się poddać każdy, kto chce należeć do faszyzmu» — komentował ze spokojem *Avanti*.

Są do dziś dnia jeszcze mieszkania, w których — bądź wśród chłopów, bądź wśród średniego stanu, bądź wreszcie wśród rodzin zamożnych — młodzi ludzie trzęsą się, nawiedzani stale przez zimnicę. Torpedy podwodnych łodzi na morzach były może mniej śmiertelne od malarji, gorączki maltajskiej, cholery i tyfusu, jakie panowały w tej opustoszałej a przebogatej ziemi albańskiej, którą przeorała praca naszych żołnierzy, budujących drogi, a przez którą długimi etapami szły nasze wojska na spotkanie bohaterkich resztek wojsk serbskich, szkieletów błędzących, których pokarmem jedynym była trawa, a których pragnienie syciły kałuże wody, zatrutej ściervem zwierząt i trupami ludzi.

Rewolucja wojskowa, tlejąca długo po różnych mia-

stach, wybuchła wreszcie w Ankonie, gdzie należało zbombardować miasto, aby ją stłumić; potem nastąpiło żądanie: «Opuścić Albanję, opuścić Walonę!» — wypowiedziane z tej samej mównicy w parlamencie, z której ogłoszono historyczne zdanie: «W ciągu tej zimy nie pozostanie nikt w okopach». Obydwa te wypadki stały się wstępem do porzucenia tego adriatyckiego wybrzeża, które było przyczyną tylu poświęceń i tylu ofiar ze strony Włoch.

Pewnego wieczora na wsi, redaktor odczytał nam głosem pełnym głębokiego wzruszenia utwór pośmiertny, wydrukowany naówczas a napisany przez zmarłego Edwarda Scarfoglio: «Żal za ziemią straconą». Ogarniała nas tęsknota do tej przestrzeni dalekiej i dziczalej, w której nie powstrzymuje galopu konia i wolności człowieka nie ogranicza, z wyjątkiem pierwotnych praw plemiennych. Oh, Albanjo, stracona ziemiol!

«Takiej stronnicy nie umiałbym napisać», — przyznawał z pokorą szczerą i serdeczną Mussolini.

Jego sposób pisania był inny, nieliteracki.

«Powszechny przejaw ogłupienia narodowego, trwający od 16 listopada i obejmujący wszystkich — od rządu do społeczeństwa — nie należy do najlepszych przepisów taktycznych, jeśli chodzi o uniknięcie zbrojnych konfliktów. Chcąc pokoju za wszelką cenę, można narazić się na wybuch wojny. Mała Serbja nie daje światu takiego widowiska rozkładu moralnego i materialnego, jaki przedstawiają Włochy» — pisał z otwartą szczerością.

W Bolonji, podczas uroczystego posiedzenia inauguracyjnego nowej Rady miejskiej, na skutek spisku uknutego przez prezydenta miasta i większość socjalistyczną wraz z woźnymi; w Ferrarze w pobliżu zamczyska książąt d'Este, podczas innej ukartowanej tajemnie rzezi faszystów, odnawiano najbardziej ponure karty historii walki stronnictw we Włoszech. Na tem uroczystym posiedzeniu w Bolonji, pośród kul rewolwerowych, gdy dwaj faszyci ranni i bo-

haterski inwalida Giordani umierali u jego boku, faszysta Oviglio, spokojnie kładł na stole rewolwer nabity, oświadczając: «Zabijcie mię, jeżeli chcecie. Nie będę strzelał do Włochów».

Jedyny jego syn poległ był na placu boju.

Ten gest wyznaczał drogę nowych Włoch, zdobycie poczucia jedności, a ono otwierało wreszcie zamknięte dotychczas wrota woli narodu dążącego do potęgi.

«Z wyjątkiem płomienia, który d'Annunzio w Carnaro podsyca bez przerwy, i ku któremu kierują się spojrzenia nie zdegenerowanej jeszcze młodzieży, reszta Włoch, burżuazja i proletarjat, rząd i rządzeni, to bagno, niezdolne do życia innego, jak z dnia na dzień» — pisał 15 lipca 1920 roku *Popolo d'Italia*.

A podczas tragicznych dni Bożego Narodzenia 1920 roku i ten płomień zgasł!

Generał Caviglia przeciw Gabrjelowi d'Annunzio, górale alpejscy przeciw legjonistom; czterdziestu młodych Włochów zabitych przez żołnierzy włoskich — oto rezultat tych dni. Po Caporetto były to najhaniańbniejsze chwile w życiu narodu.

Cierpiąc straszliwie, Mussolini zrozumiał konieczność pełną goryczy owej godziny i od antytezy przeszedł do syntezy.

«D'Annunzio i jego legjoniści, broniąc się, przynoszą zaszczyt pokoleniu i rasie. Podziwiam te „głowy żelazne“. Trzeba jednak przyznać, że ma twardej łeb i Giolitti, który nie ustępuje. Powinien on, chce i umie wymusić szacunek dla traktatu podpisanego przez Państwo i uznanego przez naród. Traktaty nie są świstkami papieru, które można wrzucić do koszyka wtedy, kiedy są niewygodne. Istnieje zmaganie się fatalne pomiędzy racją Stanu a racją Ideału!» — powiedział mi wówczas.

A w pięć tygodni potem mówił w ogłoszonej uroczystej mowie:

«Byli tacy, co zarzucali mi, że nie doprowadził do tej



maleńkiej, łatwej i miłej rzeczy, jaka nosi nazwę rewolucji. Rewolucja musi mieć przede wszystkim własną duszę, jasno określoną, albowiem tylko dzięki jasnym idejom można zdobywać ludy. Musi ona mieć cel wyraźny, linię programu określonego, aby nie zbankrutować nazajutrz po zwycięstwie. Rewolucja nie jest tą *boîte à surprise*, jaką można otworzyć według upodobania. Rewolucje są przeprowadzane z wojskiem a nie przeciw wojsku, z bronią a nie bez broni, przy pomocy grup zorganizowanych a nie mas chwiejnych, niezdyscyplinowanych, zwolinywanych na wiece uliczne. Udają się tylko wtedy, gdy otacza je aureola sympatii ze strony większości, jeżeli zaś nie, zmraża je chłód obojętności i muszą bankrutować!»

W *Popolo d'Italia* z 4 stycznia 1921 roku napominał:

«Są to ostatni polegli wielkiej wojny i, jak inni, polegli nie na darmo! Trójkolorowy sztandar włoski pozdrawia ich, a ziemia włoska ich pokrywa. Ochotnicy cywilni i żołnierze armji stwierdzają, że Fiume i Włochy, to jedna nierozdzielna całość, to krew z krwi i kość z kości, to jedna dusza, i że ciemny atrament dyplomacji nie zdoła przynigdy rozdzielić tego, co zostało połączone i przypieczętowane krwią. Chwała Legjonom z Ronchi, chwała Wodzowi, chwała żywym, którzy powracają, i zmarłym, którzy nie powrócą. Oni bowiem stanowią tę świętą załogę góry Nevoso, oni strzegą Alp Dynarskich».

Trzy lata później, prawie tego samego dnia, 16 marca 1924 — fundator *Popolo d'Italia* odznaczony za to łańcuchem najwyższego orderu włoskiego *dell'Annunziata*, podpisał traktat anektujący, bez zastrzeżeń i całkowicie, miasto Fiume. Gabrijel d'Annunzio został mianowany księciem *del Nevoso*, a na owej górze osadzono załogę.

Tymczasem Boże Narodzenie rzuciło grobowe cienie na rozpoczynający się rok 1921.

Stało się już rzeczą najzupełniej naturalną, że rodziny robotnicze zaprowiantywowwały się patryjarchalnie w węgiel

w składach kolejowych; za dnia pracowały dzieci, wieczorem i w nocy ekspedycje nabierały poważniejszego charakteru. Strzały żołnierzy grzmiały co noc, bandy złodziei unikały i rozpoczynały na nowo strategiczne manewry, a tymczasem niedobór kolejowy ciążył na barkach narodu w wysokości miljarða rocznie.

«Piękna zaiste noc, zdawało mi się, że wróciłem do okopów» — mówił w Medjolanie do swego gospodarza pewien oficer angielski, mieszkający w pobliżu towarowego dworca przy Porta Romana.

Tej zimy zwykły rytm jednak został zamacony innemi odgłosami.

Pewnego wieczora zobaczyłam, jak przed hotelem Cavour zbierał się tłum; wybuchła była bomba kilka minut temu i poraniła lekko jakiegoś przechodnia, dwie inne bomby znalaziono opodal. Dwa razy z rzędu znaleziono bomby pod oknami kawiarni Cova. W lutym zaś, pewnego wieczora, kiedy nalewała herbatę gościom, czajnik zadrział mi w rękę, i zatrzęsły się szyby, podczas gdy wstrząśnienie podziemne zdawało się rozwalać dom.

Podbiegliśmy do okien. Pustka na ulicy. Lecz w dwie minuty potem dostrześliśmy biegnący tłum, przejęty trwogą. Cisza była przerażająca, ani jednego krzyku, tylko odgłos szybkich kroków, tylko czasem ktoś chwytający się rozpacznie za głowę... Zdawało się, że wszyscy ci uciekający stracili mowę, pozostawiając przepaść, z której uciekali bez oglądania się poza siebie. Później dopiero rozległ się bolesny, niezapomniany krzyk. Później dopiero dorożki i ręczne nosze jęły rozwozić przez ulice miasta do szpitali ofiary zamachu anarchistów na popularny teatr Diana, gdzie produkowała się trupa artystów operetkowych. Straszne widowisko. Kawalki ciała, nogi i ręce oderwane od tułowi, bryzgi krwi i mózgow, obuwie ze stopami oderwanemi od nóg, pomieszane z kawalkami pluszu, bronzów i złocień...

Dwie siostry, dwie biedne modystki, panny Crippa, żyją

wraz z dziesiątkami ofiar do dziś dnia. Śliczne ich twarze przeżarte cierpieniem, a oba ciała posiadają jedną jedyną ocalałą nogę. Siostry te, świadkowie smutnej epoki, zamarłej we krwi, uczestniczą wiernie we wszystkich uroczystościach faszystycznych.

Siedemnaście trumien kroczyło przez ulice Medjolanu. Na stopniach katedry kardynał arcybiskup Ratti — później Pius XI — błogosławił i udzielał absencji zwłokom kolejno przed nim przechodzącym. A za jego plecyma z wnętrza kościoła płynęły, pełne miłosierdzia mistyczne światła i śpiewy.

Oddziały faszystów, zorganizowane według przepisów organizacji wojskowej, każdy ze swoim dowódcą, różniące się nazwą i posiadające własne proporce, pojawiły się nagle publicznie. Szybko i składnie przechodziły te oddziały noszące nazwy: *Nazario Sauro*, *Cezare Battisti*, *Mussolini*, *Walczna*, *Enrico Toti*, *Kompanja Carroccio*, *Kompanja śmierci* i inne o nazwach historycznych z dni wczorajszych i dzisiejszych.

Sam jeden, przed wszystkimi, szedł Wódz, o twardem obliczu, o spojrzeniu nieustraszonem. Szedł odosobniony, a to sprawiało wrażenie w tłumie poglądającym nań, że kroczy na koniu, jak kondotjer z pomnika w Wenecji, Bartłomiej Colleoni.

Przeciągly i podobny do dalekiej strzelaniny odgłos zapuszczanej żelaznej żaluzji sklepu wydał się wyobraźni strachliwego tłumy odgłosem eksplozji lub utarczki rewolwerowej, i wśród rzesz zebranych przebiegł z nagłą dreszcz paniki, jaka powoduje nieraz największe ofiary ludzkie. Wystarczyło jedno spojrzenie Mussoliniego i jedno słowo rozkazu, aby oddziały faszystów z tem posłuszeństwem, jakie rodzi się ze zdolności do poświęceń, wykształconej przez poczucie i zrozumienie ideału, powstrzymały natychmiast, gestem jakby symbolicznym, nieporządek wyrosły na tle egoizmu i strachu.

W dwa miesiące później, 16 maja 1921 roku, przy niesłychanem zdziwieniu socjalistów, okręgi wyborcze Medjolan-Pawja i Bolonja-Ferrara złożyły Mussoliniemu plebiscytem dowody sympatji przewidziane przezeń, z pewną omyłką co do daty w 1919 roku. Prawo niepozwalało na stawianie kandydatury w większej ilości okręgów wyborczych. Wszedł do parlamentu, jako przywódca partji i grupy parlamentarnej, która odrazu wystąpiła na widowni w ilości trzydziestu trzech członków.

Ale te walki «wyborcze», zwycięskie lub przegrane, nie przygnębiały porażonego i nie upajały zwycięzcy.

*Jak się tworzy obrządek. — Czarna koszula. — Alala i milczenie. — «Przetrawić ponownie rok 1789». — Demi-soldes Balzaka a ras faszystów. — Prastara drwina włoska. — Święty kij. — «Śpiewaj a przejdzie ci».*

Jak się tworzy sekta? Jak urabia się obrządek? Miałam sposobność śledzenia obu tych zjawisk, od początku, a jednak przyznać muszę, że są mi one bardziej tajemnicze dziś niż przedtem. W dwa lata po akcie oficjalnych narodzin, nawet samemu twórcy faszyzm wydawał się «nadzwyczaj dalekim», okrytym mrokiem mitu i legendy. «Zrodził się on z tego wiekuistego i głębokiego pożądanego i potrzeby tej naszej starej, aryjskiej rasy śródziemnomorskiej, która odczuła, że w pewnym momencie były zagrożone najistotniejsze podstawy jej egzystencji. Ja sam — aczkolwiek należy mi przypisać ojcostwo — czuję nieraz, że ten ruch, pełen życia i żywotności, wymyka się z granic zbyt skromnych, w jakich starałem się go początkowo zamknąć. Nie posiada on programu gotowego do zrealizowania w roku pańskim dwuchtysięcznym, tworzy zaś i buduje wspaniałe gmachy swej woli i swych pragnień dzień po dniu».

Podczas pogrzebu faszysty Aldo Sette, młodzieńca z Medjolanu zabitego za to, że był faszystą, zobaczyłam po raz pierwszy hufce faszystów doskonale zorganizowane, jak po przyjsciu na cmentarz ustawiły się w czworobok i uklękły

na dany rozkaz w uroczystej ciszy. Była to chwila podniosłego skupienia, oddania czci najgłębszej zmarłemu. Dźwięk trąbki przerwał ciszę, obecni wstali, wyciągnęli ramię w rzymskim pozdrowieniu w kierunku trumny a potem chórem, jak jeden mąż, odpowiedzieli na apel Wodza:

— «Towarzysz Aldo Sette!»

— «Jestem!»

I nie było oblicza, po którymby nie spłynęły łzy. Potem rozbrzmiały fanfary, śpiewy bojowe, i powróciliśmy do miasta.

Zwyczaj Mussoliniego pozdrawiania wzniesieniem ręki, sprowokował prawie bezwiednie, jak przypuszczam, odnowienie w pamięci, nie jako archaizmu, pozdrowienia rzymskiego, wykonywanego prawą ręką zamiast lewej, wojskowo, z podniesieniem głowy.

Odnaleziono nazwy i zwyczaj tworzenia kadrów starożymskich: legje, oddziały, *manipuli* wraz z nazwami centurjonów, konsulów, wraz z podziałem na *principii* i *triarii*, i szeregi po trzech, żwawe w marszu i łatwe do utrzymania w porządku. Wszystko to stało się nie dzięki poszukiwaniom archeologicznym ale jedynie dzięki atawistycznemu instynktowi, naturalnie i odruchowo. Jakaż różnica w stosunku do poprzednich pochodów czy procesyj powolnych, niesfornych i chaotycznych (nie wyłączając pochodów socjalistycznych), którym nie można było nadać właściwego porządku i odpowiedniej fizjognomji. Zasada fałszywej równości pojęta jedynie mechanicznie — ani Boga, ani pana — zatrula gorliwe wysiłki pierwszego okresu socjalizmu, dążące do wprowadzenia poczucia mniej chaotycznego porządku i hierarchji. Nie trzeba zapominać bowiem, że socjalizm włoski pochodzi w pierwszej linii od socjalizmu niemieckiego i pruskiego. Natomiast w faszyzmie dostrzegłam od pierwszej chwili wznowienie symbolu nie równości, nie istniejącej w naturze, ale rzeczywistego braterstwa. Czarna koszula stała się zaś wzorem uniformy, który pozwala na umieszczenie stosowne dostojników pomiędzy równymi. Dzie-

dziczka «czerwonych koszul» Garibaldiego, ukochanych przez drobnych rzemieślników włoskich po miastach i wsiach, dostąpiła zaszczytu nobilitacji podczas wojny, gdy przywdzieli ją «śmiałkowie wojenni».

Stosunek jej do poprzedniczki jest tym stosunkiem, jaki istnieje pomiędzy niema dyscypliną dzisiejszych bitew a rozmachem romantycznym, indywidualistycznym z 1848 roku: jest ona jednym słowem wyrazem takiej samej odwagi lecz bardziej surowego i podniosłego poświęcenia. A kiedy już używanie czarnej koszuli weszło w życie, regulamin uznał ją i skodyfikował.

Wszystko to, co stanowiło treść, formę i ducha «śmiałkowania wojennego» przyczyniło się potężnie do uformowania faszystów: począwszy od okrzyku «Do nas», wydawanego podczas ataku po wyjściu z okopów, aż do emblematu ze znakiem puginału, aż do pieśni «*Giovinazza*». Pewnego dnia spostrzegłam, że nawet pewien sposób czesania się otrzymał nazwę: *à la faszysta*. Sposób mówienia, spoglądania, chodu, pewne charakterystyczne rysy pozwalały też na rozpoznanie faszysty nawet wtedy, kiedy pozbawiony był odznaki. Wytworzyły się w ten sposób moda i styl a nawet pewien typ fizyczny faszysty.

«Jest to naród, w którym wszyscy mają po dwadzieścia lat bez wyjątku» — powtarzali zdumieni cudzoziemcy w ciągu dni uroczystych parad.

Zaczęły powiewać proporce, wytworzyły się hasła i zawołania, nietylko wiązki liktorskie i puginały, ale orły, topory, kije, but olbrzymi (aluzja do formy geograficznej półwyspu apenińskiego) na lazurowym tle a wreszcie frazes z żargonu żołnierskiego, uświęcony przez Gabrijela d'Annunzio, jako wojownika, oratora i poetę: *Me ne frego!* (kpię sobie). A również okrzyk *Eja, eja, alalà!* pradawny okrzyk wojenny, podjęty i wznowiony przez Gabrijela d'Annunzio, komendanta szwadronu powietrznego, który podczas wojny przedostał się nad Wiedeń, został przyjęty przez faszystów.

Powiada Wódz: «Faszyzm jest tworem typowo włoskim, tak, jak bolszewizm typowo rosyjskim. Żaden z nich nie może być przeszczepiony na obcy grunt i żyć poza krajem, skąd pochodzi».

Ruch dążący do wyzwolenia się od ideologii demokratycznej abstrakcyjnie równościowej i stanowiącej rodzaj łoża Prokrusta dla najrozmaitszych epok i stref historycznych, oraz ruch dążący do realizacji tej ideologii — te dwa idealne bieguny, nawet poza granicami krajów w których się zrodziły, wywierają swe potężne wpływy i służą za kompas orientacji historycznych, usiłując wytworzyć, każdy we własnym zakresie, nową arystokrację — rząd optymatów — zgodnie z potrzebami i koniecznościami różnorodnych indywidualności narodowych. W ten sam sposób genjusz narodowy odmienny wydał, zależnie od miejsca i nastroju, systemy monarchistyczne lub republikańskie. Bolszewizm uczy Rosjan, aby stali się bardziej Rosjanami, podczas gdy faszyzm powołuje nawrót Włochów do właściwego typu cywilizacji, pozostającej poza obrębem imitacji cudzoziemskich. Błogosławiona Francja, która weszła do naszego arkadyjskiego ogrodu w 18 wieku przy odgłosie bębnow i tańców naokół drzew wolności, dokonywując likwidacji dawnych martwych systemów. Ona to w Małym Jarosławcu, poraz pierwszy po upadku cesarstwa rzymskiego, przyczyniła się do przelewu krwi włoskiej, nie kupionej za cenę najemniczą! Ale w następnym już wieku my z poza Alp czerpaliliśmy to, co było pożyteczne i konieczne.

Teraz stajemy się sami sobą!

A i Rosja zaczęła się budzić na duchu i dawać nam dzieła wspaniałe, wykonane według własnego typu cywilizacji przez Puszkina, Gogola, Dostojewskiego i Tolstoja, napoły azjatyckich ewangelistów, w otwartym buncie przeciw Zachodowi.

Od monarchji Faraonów do Rzeczypospolitej Weneckiej — doświadczenie historyczne stwierdza, że oligarchje

arystokratyczne stanowią jedną z doskonalszych i trwalszych form rządu. A wreszcie, pewnego rodzaju oligarchją arystokratyczną w rzeczywistości i w założeniu była również tak zwana demokracja konstytucyjna. W Wielkiej Brytanji przez wiele wieków zaledwo tysiąc rodzin patrycjuszowskich zmieniło się u steru rządu. Demokracja zaś stanowi jedynie degenerację chorobliwą i zabójczą dla oligarchji. Włochy pierwsze wśród ludów okazują, iż chcą i umieją zrzucić jarzmo demokratyczne i demagogiczne z wspaniałym wysiłkiem narodu, który nie chce — nie chce — umrzeć!

«Trzeba przetrwać rok 1789 jak potrawkę z barweny, przyrządzoną według przepisów kucharskich z Livorno» — powiedział mi kiedyś Prezydent, żartując w chwilach dobrego humoru. W 1921 roku, zanim jeszcze Leon Daudet rzucił swą niesprawiedliwą deklarację przeciw «głupiemu XIX wiekowi» (choremu zapewne na zbytek intelektualizmu), pisał Mussolini: «Procesując obywatela, procesujemy wiek XIX. Następstwo, uważane za logiczne i naturalne, typów cywilizacji i typów gospodarki, jest czysto arbitralne. Na polu ekonomji, eksperyment rządu wielu albo wszystkich, zbankrutował: w Rosji powrócono już do dyktatury fabrycznej. A polityka nie opóźni się w naśladowaniu ekonomji. Nie widzę jasno przyszłego losu wyborów powszechnych z dodatkami w postaci proporcjonalności. Wkrótce stanie się on grą przestarzałą. Ludzie, być może, zatęsknią za dyktaturą.

«Jeżeli relatywizm i mobilizm uniwersalny są równe sobie... i jeżeli, jak twierdzi Wahinder, relatywizm związany jest z Nietzschem i jego «*Wille zur Macht*», faszyzm włoski był i jest najpotężniejszym dążeniem woli do władzy indywidualnej i narodowej».

W lutym 1922 roku pisze jeszcze wyraźniej:

«Wojna, ze wszechmiar demokratyczna, która miała zrealizować dla narodów i dla klas nieśmiertelne zasady, wojna prowadzona przez demokrację rozpoczyna wiek an-

tydemokracji. «Wszyscy» — oto słowo demokracji, słowo, które wypełniło sobą cały wiek XIX. Czas już wreszcie powiedzieć: «niewielu, lecz wybranych». Życie powraca do jednostki. W tej reakcji tkwi rewolucja. Jest to rewolucja ocalenia, albowiem zaoszczędza Europie smutnego końca, jaki niechybnie musiałby być nastąpić, gdyby demokracja była pozostała u władzy. Ten wiek tysiącami oznak zapowiada się, nie jako dalszy ciąg, lecz jako antyteza ubiegłego».

Faszyzm, zrodzony z wojny, odzwierciadla w sobie najbardziej podstawowe cnoty bojownicze: odwagę i lojalność, zamiłowanie do ryzyka, poczucie solidarności i dyscypliny, zmysł inicjatywy i odpowiedzialności; odzwierciadla jednocześnie te ujemne strony wychowania wojennego, które w życiu cywilnem mają następstwa poważniejsze, niżli podczas wojny, a więc: łatwą impulsywność i skłonność do gwałtu, słabe poczucie wartości życia ludzkiego, własnego i cudzego. Niepedantyczny i niepogrzebowy, ruch ten, dzięki swemu pochodzeniu, przechodzi lekką stopą po rzeczach poważnych i smutnych.

Jest on uosobieniem zręczności, żywotności i zapału. A przede wszystkim młodzieńczości. Philippe Bridau, piękny Maksencjusz i inni *demi-soldes*, opisani przez Balzaka, mogą w przybliżeniu dać pojęcie o niektórych drugorzędnych przywódcach faszystowskich na prowincji, gotowych do przeniesienia do życia cywilnego hasła: *à la guerre, comme à la guerre* bez zbytnych skrupułów w stosunku do ustroju, wygód i prawomysłności życia burżuazyjnego. Szczerze oddani Wodzowi, wierni rozkazom aż do śmierci, milezący, jeżeli nakazano, mimo to kłótniwi pomiędzy sobą, zazdrośni jeden o drugiego w stosunku do łask najwyższych; zakochani w chwale, lecz skłonni do zastąpienia jej jakąś «błahostką», idealisci egocentryczni, zdolni do poświęcenia samych siebie Włochom, a innych samym sobie; rozgorzali patryjotyzmem, lecz młodzi i nie pozbawieni wrażliwości wobec dóbr tego świata; znakomici wykonawcy, przeciętni stratedzy i stali

*gaffeurs*; ręce zawsze gotowe, serca gorące i mózgi niedość chłodne. Znakomite elementy, jeżeli chodzi o czyn powstańczy, a niebezpieczne, czasem nawet rozkładowe, gdy chodzi o sztukę rządzenia. Należałoby zastanowić się, czy przynieśli większą pomoc Wodzowi w pierwszym okresie, czy też więcej kłopotów w następnym; w każdym bądź razie im zawdzięczamy pierwszy impuls i świętą atmosferę entuzjazmu.

Mesjaniczne tęsknoty powojenne, któremi zawiódł nas Wilson i jego czternaście punktów, oraz Lenin i jego bolszewizm, słusznie obawiające się ideologii a błędnie podejrzliwe w stosunku do ideałów, albowiem należy pamiętać, że ewolucje nie dojrzewają bez przygotowania, uległy radykalnej zmianie wobec faszyzmu, przedstawionego ludowi przez umysłowości proste, posiadające idee jasne i temperamenty gorące. Faszyzm stał się wojną i miłością, nowym fermentem wiekuiestej krucjaty, która co pewien czas staje się zadaniem danego pokolenia; milicją nowego zakonu rycerskiego, co naprawia krzywdy i mści obrazy. Wyrósł on również, jak i zakony średniowieczne, z potrzeb mistycznych i praktycznych, na gruzach walącego się państwa, odnawiając władzę i prawo obrony.

Instynkt sprawiedliwości i najelementarniejszego prawa jednostki posiada w sercu włoskiem podwójne korzenie: dobre i niebezpieczne, albowiem jednoczą się one często z instynktownem podejrzaniem w stosunku do prawa: «Ustanawia je, kto może, a znosi je, kto musi».

Przez odrodzenia historyczne, sekty i stronnictwa, odrodziła się również mściwa, wesola, a czasem okrutna, tradycyjna drwina włoska, czasem delikatna, częściej błazeńska i nacechowana rozwiązłym humorem, a prawie zawsze stanowiąca istotną część zemsty osobistej, poza prawem i przeciw prawu. Dzielni obywatele Włoch i wy, Anglicy, znający *practical jokes*, czytajcie, odczytywajcie naszych i waszych klasyków. W czasach i okresie, kiedy Włochy

były rzeczywiście Włochami, od trzynastego i czternastego wieku, aż po wiek szesnasty, zwłaszcza w Toskanji, wysmiewisko i urągawisko suwerennie panują w opowieściach i nowelach Boccaccia, Sacchettiego, Lasca, aż do komedji Mikołaja Machiavelli'ego i kardynała Bibbieni. Lafontaine we Francji, a w Anglii współcześni Elżbiety, a wśród nich Shakespeare na czele, odziedziczyli te tradycje.

Rozumie się, że prawdziwy duch ewangeliczny byłby odradził wesolym kumoszkom one figle, czynione Falstaffowi, i to wszystko, co stanowi temat komedji i nowel a co może łatwo stać się przedmiotem tragedji, jak się to stało w czasach naszych, niestety. Kiedy rozpanoszy się zamilowanie do cudzych cierpień i zabawa niemi, umiar i poczucie ludzkości zanika. Baudelaire z tego właśnie powodu pisał o śmiechu i o śmieszności stronicę całą o charakterze niemal teologicznym.

Wybitną rolę w tych drwinach odegrywał również kij, jako rzecz konkretna i jako fetysz symboliczny, według tradycji *comedia dell'arte*, istniejącej później w widowiskach marjonetkowych we wszystkich częściach świata od *Guignol'a* do *Punch'a*, a zwłaszcza we Włoszech. *Gioppino* albo *Pulcinella*, *Arlechino*, *Meneghino* albo *Gianduia*, jakkolwiek nazwę noszą ludowe typy z komedji, bawią, lecz dopiero rytm kija sprawia zadowolenie małym i wielkim widzom, gdy rozpoczyna on karną ekspedycję przeciw opieszałości, sofizmatom nigdy nie kończącym się, jak również przeciw podstawowym niesprawiedliwościom wykrętnej i pozornej prawomyślności.

Instynkt ten spowodował ekspedycje karne.

Grupy młodzieży najniespodziewaniej zajmowały automobil ciężarowy albo dwa lub trzy automobile, najniespodziewaniej wpadały do pewnego miasteczka lub miasta i zajmowały Izbę Pracy albo Kooperatywę «czerwoną», która nie sprzedawała chleba tym, co nie należeli do niej albo do partji, lub jakiś klub socjalistyczny, gdzie knowano zemstę

na faszystów. Rozbijano meble i szyby, niszczone rejestry, rozdawano kulaki lub kije, albo udawano się, aby «wyłać» burmistrza czy też lokalnego przywódcę ligi socjalistycznej, stale obrażającego sztandar narodowy, ojczyznę i szkalującego faszyzm.

«Dla faszystów Włochy są salonem, który przebiegają z jednego kąta do drugiego; patrzcie, z jaką łatwością poruszają się z miejsca na najmniejsze wezwanie» — żartował Wódz.

«Aczkolwiek należy napiętnować gwałt, jest rzeczą dla nas zrozumiałą, że aby przesączyć w stwardniałe mózgi nasze ideje, musieliśmy zmiękczać czerepy uderzeniami kija. Ekspedycje muszą mieć zawsze charakter sprawiedliwej odpowiedzi i słusznej represji. My nie tworzymy z gwałtu szkoły, systemu, lub, co gorzej, estetyki. Gwałt powinien być aktem wspaniałomyślnym, rycerskim i chirurgicznym» — powtarzał stale uczeń Nietzschego i Sorela.

«Nie ten małostkowy gwałt indywidualny, sporadyczny i często zbyteczny, ale wielki i piękny, nieubłagany gwałt godzin rozstrzygających!... Zresztą, ilekroć w historii wynikają tarcia się idei i interesów, zawsze w końcu siła rozstrzyga».

Później, kiedy Wódz i inni dowódcy, po dojściu do władzy, zabronili surowo nielegalnych represyj i gwałtów, karząc bezlitośnie każdy występki tego rodzaju, zabójstwo posła Matteottiego rzuciło złowrogi cień przestępstwa na to, co początkowo, w pewnych granicach, stanowiło pewną charakterystykę faszyzmu i co w wyobraźni ludowej nadało mu pewien głęboki urok żartobliwego epizodu. Epizod ten albo romantyczna przygoda, zainscenizowane były zazwyczaj otwarcie, wspaniałomyślnie, w stosunku do tyranów lokalnych, chwytnych i trzymany tytułem pośmiewiska w zamknięciu krótkotrwałym, albo zmuszonych do wypicia szklanki oleju rycynowego. Ośmieszenie wystarczało, aby zniweczyć nadętą zarozumiałość i powagę ich domniemanej wszechwładzy. Sztandar narodowy, oplwany przedtem,

pojawiał się niespodziewanie, powiewając wesolo z okien ich mieszkań, albo też, wymalowany na szybach lub drzwiach, dziwił przechodniów. Czasami malowano go lub tatuowano na ubraniu i na ciele, a w innych wypadkach, godnych potępienia, jakiś bardziej zawzięty przeciwnik bywał obwożony po ulicach miasta z czerepem wygolonym i pomalowanym na czerwono, na zielono i na biało.

Musimy przypomnieć jednak, że aby mieć prawo do obrony tych trzech kolorów w dobie triumfującego czerwonego sztandaru, młodzież ta nosiła je i w sercu i nazewną, pomimo niebezpieczeństwa. A niebezpieczeństwo było poważne, gdyż groziło śmiercią zdradziecką bądź we Włoszech bądź zagranicą.

Rewolucji tej dokonała młodzież dwudziestoletnia ze śpiewem na ustach.

«Mandoliniści» — rzucali nam obelgą w twarz Austrjacy podczas wojny. A na skale w rozpadlinach Krasu znaleźliśmy wypisane węglem te słowa: «Śpiewaj bracie, przejdzie ci». Śpiewaj bracie! Przepięknym był rozkwit pieśni wojennych. Zawierały one patryjarchalną melancholję wsi lombardzkiej, słodczych *Piedigrotta* neapolitańskiej i rebelję ponurą a sentymentalną rzymskich mętów społecznych. Najpiękniejsza wśród tych pieśni i najrozgłośniejsza stała się hymnem oficjalnym faszystów, których Wódz również był zwolennikiem zasady: «Śpiewaj, a przejdzie ci!» O jakiegokolwiek godzinie powraca on do domu — nie dbając o kłopoty, rzuca się z pasją na skrzypce, a kiedy jest najbardziej rozdrażniony, gra najlepiej, zwłaszcza, jeżeli chodzi o muzykę dotychczas mu nieznaną.

Miałam sposobność słyszenia, jak odczytywał z werwą niespożytą poraz pierwszy nuty «Wiosny» Vivaldiego z Wenecji, nadesłane mu w takiej właśnie chwili. Odczuwało się rzeczywiście moc kwietniowej fali bijącej o marmury. Panuje on nad ujęciem i nad wyrazem, lecz jest gwałtowny i w muzyce, nie żywi szacunku dla stylu. Gra na

swój sposób, bądź romans *Tannhäusera* w wieczory księżycowe, bądź Corelli'ego lub Beethovena, a w miarę rozwoju melodji oblicze posępne rozpogadza się i jaśnieje wewnętrzną, zwycięską wesołością.

Jest rzeczą wielce zabawną, że hymn «*Giovinezza*» stanowi najzupełniejszą antytezę «Hymnu robotników», napisanego przez posła Turatiego, aczkolwiek zachowuje ten sam rytm, i niemal te same słowa:

«Przeklętą była włosiennica,  
Prowadząca do bohaterstwa,  
Wyśmiane poświęcenie  
Nowego socjalizmu.  
Powstań wreszcie, robotniku,  
Nadszedł dzień twego powstania!»

Są to te same aspiracje, chodzi tu o powstanie przeciw zdracom tego samego ideału, utwierdzonego obecnie w ojczyźnie.

Zwrotka powtarzająca się «Na cześć Benita Mussoliniego — Eja, eja, alalà» została dodana znacznie później, jak później pojawiła się majestatyczna nazwa: Wódz. Jak i kiedy, tego nikt nie wie, nie należy jednak wierzyć w dary bezpłatne. Faszyzm zrodził się z tendencji do buntu, jak wszystkie stwory żywotne, i, aby nałamać to zjawisko włoskie, jakim jest on, do poczucia i zrozumienia dyscypliny i posłuszeństwa, stanowiących niemal antytezę charakteru włoskiego, aby naczelnik stał się «wodzem, który idzie na czele», a nie niewolnikiem stada, trzeba było dokonać wielu rzeczy.

## XLII

## HIERARCHJE

*Zakon Wielkiego Parasola. Hierarchja i hierarchie. Odpro-wincjonalnić Włochy. Pojedynek we trzech. Rząd, który nie jest neutralnym. Corfu.*

Kiedy jeszcze należał do partji socjalistycznej i był przywódcą rewolucjonistów nieprzejednanych, powiedział na jednym z kongresów:

«Ludzie nic nie znaczą, znikają, znaczą jedynie idee, które pozostają».

Pod szatą idealizmu pozostawała jednak jeszcze resztką materjalizmu, który uważa «ideje» za rezultaty ewolucji mechanicznej. Później nadaremnie starał się Mussolini nadać charakter bezosobowy faszyzmowi przez nowe uszeregowania. Rzesze ludzkie pozostały tak ściśle zespolone z osobą jego, z człowiekiem, że nie można było tego przewyciężyć. Wszelka odpowiedzialność spadała nań, a że był zdolnym do podjęcia tej odpowiedzialności, więc zażądał władzy.

«Czy wy wiecie, kim ja jestem? Założycielem i Wielkim Mistrzem Zakonu Wielkiego Parasola. Wielki Parasol, Panowie, Uniwersalny Parasol!» — wykrzykiwał rozdrażniony, kiedy spadał nań obowiązek naprawiania cudzych błędów i rzucania na szalę ciężaru własnej osobistej powagi.

Pierwszy kryzys nastąpił z powodu «tendencyjności republikańskiej», na którą nie cała partja się godziła. Było to w czerwcu 1921 roku, gdy poważne błędy rządu wcią-



gały, albo przynajmniej zdawały się wciągać w grę powagę Korony, przez dekrety amnestyjne i ofiarowywanie pałaców królewskich byłym żołnierzom. Nawet świętemu nie wolno piec chleba z własnej aureoli. «My jesteśmy republikanami, albowiem widzimy monarchę nie będącego dostatecznie monarchą. Wszystko musi być szare, przeciętne i zrównane. Robi się wszystko, aby pomniejszyć, osłabić, skryć i uczynić przejściową władzę Państwa. Demokracja nie rozumie, że masy ludu gardzą tymi, którzy lękają się być takimi, jakimi być powinni».

Poważniejszy kryzys miał miejsce w sierpniu tegoż roku z powodu «paktu pacyfikacyjnego» pomiędzy faszystami, socjalistami i katolikami z Partji «*dei popolari*», założonej przez księdza Ludwika Sturzo.

Gorzkie wyrzuty kierował Wódz pod adresem tych stronników, których nieobliczalne nadużycia groziły przemianą ruchu uwalniającego od dawnych tyranij, na nową tyranję.

«Naród wyrzekłby się nas! Nie rozumieją oni i nie chcą zrozumieć, że kraj potrzebuje spokoju, aby poświęcić się pracy, i nie zniesie wicherzycielstwa. Aby zapewnić mu przynajmniej pięć lat spokoju — zadowolilibym się pięciu laty — w tej chwili zawarłbym aljans nawet z diabłem!» słyszałem, jak wołał z płomiennem wejrzeniem.

Doprowadziwszy wreszcie do skutku sojusz wyżej wymieniony przez szereg trudności niekończących się choć drobnych, wobec oporu pomniejszych przywódców lokalnych, oświadczył, że zrezygnuje ze stanowiska kierowniczego i stanie w szeregach, jako zwykły członek.

«Człowiek, który stworzył i prowadził pewien ruch, oddając mu kwiat swej energii, ma prawo do pominięcia w analizie tysiąca elementów lokalnych, aby dokładnie dostrzec w syntezie panoramę duchową i materialną całej Europy lub całego świata, a nie nastrój w Bolonji, w Wenecji albo w Cuneol... Jestem naczelnikiem, który prowadzi, a nie tym, który idzie za stadem. Idę — przedewszyst-

kiem — przeciw prądowi i nie upadam na duchu, czuwam zawsze — zwłaszcza, gdy wiatr zmienny dmie w żagle mego powodzenia».

Zbyt rozognione i gniewne były dusze, słowo pokoju nie znalazło oddźwięku wśród mas, lecz posłużyło do zaprzeczenia legendzie o gwałcie dla gwałtu i do wyjaśnienia potrzeby hierarchji w faszyzmie, któremu przywódca wskazywał szerokie horyzonty. Nie był to już ruch wyłącznie antybolszewicki o ograniczonym programie negatywnym i opozycyjnym. Chodziło o to, by działając w narodzie, stał się on elementem czynnym i twórczym w życiu świata.

Dziennik wojowniczy i popularny, zajęty przedewszystkiem faktami, nie mógł pozwalać sobie na roztrząsania zasadnicze o podstawach kultury konkretnej i czynnej, o czem przemyślał redaktor, wspominając z tęsknotą swe czasopismo *Utopia*, o którym mówiliśmy poprzednio. Nie wierny a stały, powraca na dawne brzegi po błędzeniu wśród manowców, spiralnie, wzbogacony nowymi doświadczeniami. Pewnego dnia, kiedyśmy rozmawiali jeszcze w «norze» na ten temat, powiedział mi: — «Powinniście zostać naczelnym redaktorem czasopisma; napiszę wam cały szereg pięknych artykułów, mam je już wszystkie w pamięci». Podczas dyskusji na temat tytułów, ktoś wypowiedział słowo «Hierarchja». Rzuciłam się na to słowo, jak zgłodniały kot na mysz... — «Ten tytuł, właśnie, ten...»

W «Krótkim preludjum» do pierwszego numeru czasopisma, którego losy związały się niepodzielnie z dojrzewaniem duchowem ruchu, tłumaczył on w ten sposób wybór tytułu «Gerarchia»:

«Kto mówi: hierarchja, ten mówi o szczeblach wartości ludzkich. Kto zaś mówi: szczeble wartości ludzkich — rozumie przez to szczeble odpowiedzialności i obowiązków, a więc kto powiada słowo: hierarchja, powiada — dyscyplina. Historia daje nam całą panoramę hierarchij, jakie rodzą się, żyją, zmieniają się, upadają i giną. Chodzi więc

o zachowanie wartości tych hierarchij, które nie wyczerpały jeszcze swego zadania; należy zaszczyć na pniu pewnych hierarchij nowe elementy życiowe; należy przygotować pojawienie się nowych hierarchij. W ten sposób łączy się ogniwa łańcucha pomiędzy przeszłością a przyszłością».

Stawiał później samemu sobie pytania zasadnicze statysty w stosunku do państwa, «które jest już w swem pochodzeniu systemem hierarchij, a którego historia jest w gruncie rzeczy historią hierarchij, co rodzą się, wzrastają i zanikają».

Taktykę samobójczą uprawia to państwo, które zamiast zużyć odpowiednio siły, dążące do skonsolidowania go, traktuje je narówni z siłami rozkładowymi.

«Niewątpliwie faszyzm i państwo, może w niedalekiej przyszłości, zidentyfikują się. Faszyzm może otworzyć drzwi kluczem legalności, ale może być zmuszony również do wywalenia drzwi przy pomocy powstania. Pojedynek we trzech, jaki paradoksalnie jest prowadzony od trzech lat, stałby się pojedyńkiem we właściwym tego słowa znaczeniu: państwo socjalistyczne z jednej strony a z drugiej anty-państwo faszystyczne. Wynik nie może być wątpliwy».

Przedłużeniem logicznym tego obmyślanego programu rewolucyjnego są słowa wypowiedziane przez niego w dwa lata później, po piętnastu miesiącach zmiany u steru rządu, 1 stycznia 1924 roku.

«Zasługą naszą jest uczynienie z rządu rzeczy żywej i twórczej w łonie społeczeństwa narodowego, a nie rządu bez woli i bez formy, co pozwala na obelgi w tym pojedyńku śmiesznym, dzięki któremu opozycja staje się rzeczą świętą i nietykalną, zatrzymując wszelkie swe prawa i przywileje, podczas, gdy rząd ma jeden jedyny obowiązek: stanowienia wygodnego i wyrozumiałego celu. Oświadczam, że teoria ta jest teorią samobójczą, a jeżeli w tej teorii odzwierciedlać się ma doktryna liberalizmu, stwierdzam, że jestem anty-liberałem».

Taki sam jasnowidzący niepokój przejawiał się i w zakresie polityki zagranicznej. Po pobycie w Cannes na kongresie i po podróży do Berlina, przygotował studja niemal prorocze o konflikcie anglo-francuskim i o niebezpiecznym rozbudzeniu się aktywizmu niemieckiego, poza którym widzi już wówczas cień aljansu rosyjskiego, oraz o rozkwicie wojowniczego nacjonalizmu tureckiego. (Dramat w Cannes. Maski i oblicza Niemiec. Księżyc wzrastający.) Od tego czasu datuje ta przemożna troska w dziedzinie problemów międzynarodowych, która nakazała mu później przełamać tradycję i objąć portfel Prezydenta Rady Ministrów wraz z portfelem Spraw Zagranicznych.

Słyszałam, jak mówił:

«Chciałbym zająć się Europą, chciałbym zająć się stanowiskiem Włoch w Europie i w świecie, a tymczasem wymaga się ode mnie, abym przejmował się nieporozumieniami wśród faszystów w Tradate!

«Włochy są zakorkowane na Adriatyku, stanowiącym miskę wody dobrej do obmycia twarzy. Problematy polityki światowej nie mieszczą się w obrębie morza Śródziemnego, które jest za małe, ale coraz bardziej wybiegają na obydwie Oceany. Ale ja tem wszystkim nie mogę się zajmować, rozumiecie, gdyż wybucha konflikt w Peretola, dokąd mnie wzywają, w Gorgonzola albo w Roccacannuccia, gdzie pobito się potężnie, zabito kogoś, a całe Włochy myślą jedynie o tem, cały faszyzm skupia swą uwagę na tym punkcie!»

Zirytowany wychodził ze swej «nory», wymachując laską z trzciny malakkijskiej.

«Trzeba z tem skończyć, trzeba skończyć — powtarza Prezydent dziś częściej, niż kiedykolwiek — z temi nastrojami apteczniemi, strachliwemi i gadatliwemi maleńkich Włoch».

Przemożną siłą Anglii jest fakt, że szerokie kategorie społeczne zadowolają się ogólnymi zasadami politycznymi, mało zajmując się polityką. Jak tylko stanie się faktem dokonany przewaga chwilowa tych lub innych zasad histo-

rycznych, jeden musi myśleć za wszystkich. Całe miliony obywateli idą w jego ślady zdala, podtrzymując go i wiedząc, że mogą zrzucić na jego barki ciężar spraw publicznych, aby oddać się jedynie obowiązkom prywatnym. Rząd faszystowski dąży do dania Włochom i obywatelom włoskim, rozsiانym po całym świecie, tego silnego poczucia włoskości. Będą oni kontrolowani, lecz jednocześnie popierani przez silny rząd.

Zajęcie wyspy Korfu, choć tak błyskawicznie dokonane, było w gruncie rzeczy już ukoronowaniem koniecznym i właściwym tego nowego uczucia szacunku dla godności Włoch.

Owej nocy, 28 sierpnia 1923 roku, czterdzieści statków wojennych, siedm tysięcy żołnierzy i oficerów z bagażem wojennym i amunicją znalazło się u wybrzeży wyspy Korfu, aby poprzeć *ullimatum* przedłożone Grecji.

«Daję wam siedmdziesiąt godzin, aby zająć wyspę».

«To niemożliwe!».

«Tak musi być!»

Mussolini nie spał owej nocy, ani też podczas nocy późniejszych w ciągu września, siedząc wsłuchany w mikrofon, przesyłający mu treść radjogramów morskich.

«Nie mogę pozwolić — kazał powiedzieć wówczas przedstawicielom rządu szwajcarskiego protestującego — nie mogę pozwolić, aby naród, który od siedmiu wieków nie bije się, miał być sędzią w sprawie honoru narodu, który w ciągu czterech lat oddał w obronie tegoż honoru sześćset tysięcy zabitych i czterysta tysięcy inwalidów».

A innym mocarstwom, wzmiankującym niejasno o możliwości blokady morskiej, odpowiedział: «Eksport przewyższa import, sprawicie prawdziwą przyjemność mnie i skarbowi».

A jednak zadowolił się tem zwycięstwem, nie wyzywał go jako nadzwyczajnego zwycięstwa, albowiem «te właśnie są nietrwałe», powiedział, dowiadując się o decyzji Konferencji ambasadorów. A przede wszystkim zwyciężył swą własną naturę, skłoną do «nadzwyczajnych zwycięstw».

## XLIII

## GŁOSY RZYMU

*Stronnictwo i naród. Lud, naród, państwo i cesarstwo. Przed Watykanem. Obywatel Rzymu.*

W redakcji *Popolo d'Italia*, prawie pokrytego naówczas, w 1919 roku, przyplływem wzburzonego morza demokracjonalistycznego, usłyszałam, jak wypowiadał prorocze słowa, przechadzając się, jak niedźwiedź w klatce, w maleńkiej przestrzeni swej «nory», podczas gdy oczy jego zgłębiały pustkę:

«To daremne... włoskość jest kwestją temperamentu! Przyjdzie dzień niedaleki, w którym będziemy w zgodzie nawet z socjalistami, nieprzyjaciółmi dnia dzisiejszego na tym terenie zasadniczym, a w niezgodzie z tymi, którzy są, lub wydają się nam bliscy. Cała kwestja tkwi w poczuciu włoskości lub w braku tego poczucia».

Usłuchał on tej koncepcji, doprowadzając do paktu z socjalistami, i nie porzucił jej wówczas, gdy jako minister i zwycięzca, w cztery dni po wyborach do parlamentu w 1924, napominał z balkonu Pałacu Chigi oklaskujących swych stronników: «Niech poginą stronnictwa wszystkie, nawet nasze, byle tylko naród ocalał».

A wobec 1 maja socjalistycznego i 15 maja katolickiego stronnictwa «dei popolari» uświęcił narodzenie się Rzymu, aby złożyć najwyższy hold miastu, «co dało światu dwie cywilizacje, a wyda i trzecią». Przyjął za własne zdanie tego historyka, który po Tytusie Liwjuszu, Swetonjuszu i Tacycie najbardziej przejął się duchem przeszłości Rzymu —

Teodora Mommsena: «Nie utrzyma Rzymu ten, kto zajął go nie w imię idei uniwersalnej».

Z trzech wielkich imperjów, które dziś stanowią trójnóg ludzkości: brytyjskiego, które posiada jeszcze terytorja, lecz, jak się zdaje, zatraciło ideję, rosyjskiego, które posiada ideję i poszukuje terytorjów na Zachodzie i na Wschodzie, i chrześcijańskiego, które niema terytorjów, lecz posiada ideję, skupiającą 400 milionów ludzi, rozsianych po całej kuli ziemskiej, z Londynu, Moskwy i Rzymu, Mussolini wybiera Rzym i zdaje się twierdzić i wierzyć, że łoż Jezuś utrzymuje się lepiej od innych na burzliwych falach historii. «Przynajmniej, dopóki katastrofa nie będzie ogólna» — dodaje on w chwilach bolesnej zgryzoty: przynajmniej dopóki nie okaże się, że w sierpniu 1914 roku, «zaczęła się nie wojna narodów, lecz postępowy i coraz szybszy rozkład cywilizacji białej rasy, po którym nastąpi zaćmienie i powrót do barbarzyństwa i chaosu, co trwać będzie przez kilka wieków: będzie to jednak drobnym wydarzeniem w życiu wszechświata». Lecz po tej przejściowej melancholji nirwanicznej wschodzi na horyzoncie przejasne słońce wiary człowieka Zachodu i łacińskiej rasy w ten nasz imperjalizm, tak różny od imperjalizmu pruskiego i angielskiego, wiary w Rzym, który należy szanować i chcieć, aby stał się Rzymem nie wielkich pomników, biurokratycznych koszar, Rzymem nie wspaniałych kamieni, lecz dusz żywych, przejętych znojnym trudem przygotowywania przyszłości.

Jak w powieściach romantycznych, miłość pomiędzy Rzymem a faszyzmem rozpoczęła się od konfliktu.

Kiedy w listopadzie 1921 roku odbył się w Augusteum pierwszy kongres narodowy faszystyczny, mniejszość miasta była podzielona na katolików tak zwanych «popolari» i socjalistów ekstremistów oraz dość silną grupkę nacjonalistów. Faszystów wogóle nie było. Większość zaś była opowiedziana, jak i dziś, przez zamilowanie do spokojnego, hedonistycznego życia. Lud rzymski dumny i gwałtowny, filo-

zoficzny i pogardliwy zwykł mawiać: «Jesteśmy Rzymianami, i to wystarcza». A Rzym, wspaniałe bożyszcze, osiadłe na pobrzeżach Tybru i wygrzewające się na słońcu, żąda, aby mu słuźono i czczono go w cichem skupieniu. Ci zaś młodzieńcy, którym wydawało się, że mogą przerobić świat, poco się tam zjechali? Była to prowokacja, i zapłacili za nią śmiercią. Trzej czy czterej z nich zniknęli i zostali znaleźieni później z piersią rozdartą żelazem na rogach ulic dzielnicy Świętego Wawrzyńca; inni, napadnięci, bronili się zaciekle: kongres przemienił się w walkę, Augusteum w oblężoną fortecę, a łożę w biwaki. Nakrzyczano tyle o drzwi wylamane; jednak podczas zimnych nocy jesiennych chłód dojmujący zmuszał młodzież oblężoną do rozpalania ognia, i przecież podczas inwazji, innego rodzaju wandalizmy widzieli ci młodzi weterani.

Wszyscy faszyści zachowali od tego czasu głęboką, niemal barbarzyńską, zawziętość względem Rzymu, podobną do zawziętości kochanka odrzuconego. I kiedy nadszedł 28 października, w rok później, rzucili się na Rzym upojeni szałem, śpiewając. A «Wieczne Miasto», kochające jedynie wtedy, gdy zostanie zdobyte siłą — aby wyrazić swą miłość zwycięzcy, przybrało sztandarami balkony, otwarło bramy i ramiona i wsączyło im w krew miłość i uczucie dumnego triumfu.

«Jest jakaś fatalność na tej drodze: najpierw grupy ludzi, potem lud, potem naród, państwo i imperjum! Oto historja. Nie trwa długo? Wiem. Wszystko to, co ludzkie, trwa krótko. A jednak jest — była — i trwa — doszła do zenitu potęgi, pozostawiła ślad w pamięci ludzkiej» — powiedział Prezydent, jakby mówiąc do samego siebie, jakby śniąc, pewnego wieczora w domu jednego ze swych przyjaciół-pisarzy. A pod jedną ze swych fotografii umieścił tego rodzaju napis: *Pro italico imperio, virtute, disciplina, hierarchia, unguibus et rostris.*

A gospodarz domu, humanista, mógłby był skomentować

z Homerem: «Tak chcieli bogowie, taki los uprzedli bogowie, aby stał się przedmiotem śpiewów dla przyszłych pokoleń».

Nie jest jego zwyczajem używanie koturnowych słów i wyrażań.

«Rząd, powiadacie? Rząd jest jedną wielką biurokracją, dla której ja jestem imperatorem: imperatorem tych *ronds-de-cuir*. Zaoferujcie mi, jeśli łaska, parę półrekawów dla zaoszczędzenia marynarki!»

«Państwo? Pośród ślubów, pogrzebów i ceremonij, państwo jest pochodem sześćdziesięciu czy siedmdziesięciu cylindrów, uroczystych, nieporządných i melancholijnych, jakie zbierają się podczas wielkich okazji».

Błądzi po świecie legenda o Mussolinim, że przestąpił progi muzeum «może ze dwa razy w życiu». — Jest to polemiczny zwrot na rzecz cudzoziemców, pewnych cudzoziemców, aby rozwiać bajkę Włoch pełną muzeów, stróżów ruin i zamartej wielkości. Chodzi on do muzeów na swój sposób, z pewnego rodzaju skrzywieniem pogardy, naprzykład przed gobelinami w Watykanie powiedział: «Materja... ch... zresztą gałgany!» Wszystko to, co jest materiałem, nie wydaje mu się sztuką, a więc zdobyczą i duchowością, podobna mu się jednak fakt, że są robione ręcznie, albowiem są one owocem pracy. Podziwia w Watykanie rozległość. «Ileż pokoi: jakie one są ogromne, jak umiano wówczas budować!»

«Rzymianie, zdaje mi się, że ich widzę» — mówił w sali biustów, gdzie zdawało się, że jest wśród rodziny. Zdaje mi się, że przebywam wśród nich. Rankiem — niezbyt wczesnie — gdyż mieli zwyczaj czuwania długo w noc — budzą się i wydają rozkazy, trochę interesów, potem przechadzka po Forum i łaźnia. Kąpiel, gimnastyka, wiadomości o wojnie, o buntach, o intrygach, o nominacjach, bowiem łaźnie były siedzibą dzisiejszych klubów i kawiarni, były salą fryzjerską i dziennikiem. Życie polityczne intensywne, podobne do naszego, z którego całkowicie była wyłączona

kobieta». «Kiedy matrona wychodzi z domu — odpowiedział Jackowi Boniemu, który cytował przykład Nike-Minerwy składającej głos do urny — fakt ten oznacza koniec i osłabienie: Rzym upada!»

«Marek Tulljusz Cyncero, nieśmiertelny trybun, ten, który ocalił Rzeczpospolitą» — tłumaczył enfatycznie oprowadzacz publiczny grupie Amerykanów. Mussolini spojrział gniewnie na oprowadzacza i na Cyncerona:

«Marek Tulljusz Cyncero! Tak, piękna rzecz! Słynny mówca, ja wam o nim powiem zaraz. Cynceron równał się Aniołowi Brofferio i Felicjanowi Cavallottiemu. Ten sam typ umysłowości: mówca stronnicy, niekarny, oszczerca gadatliwy. Zwykła tendencja demagogji uznającej jako dobrych obywateli jedynie oponentów. Nie! Dobrymi synami są ci, którzy słuchają ojca, współpracują z nim, aby osiągnąć jaknajlepszą sytuację rodzinną, a nie ci, którzy krytykują wiecznie, ganią, powodują skandale i buntują się».

Zatrzymał się, rozmyślając: «Rozumie się, że państwo, nawet aby być silnem i szanowanem, nie powinno gnieść jednostki standartyzowanej, socjalizowanej i tajloryzowanej dla uciechy tych, co fabrykują wykresy statystyczne, jak to ma miejsce w hipertroficznym państwie socjalistycznym i burżuazyjnym! Więcej miejsca i powierzchni powoduje większą możliwość zranienia; mniejsza treść — to zmniejszenie autorytetu. Niechaj państwo nie dostarcza papierosów, niech nie reguluje telefonów i niech nie odnosi listów. Pozostanie wielkiem, panując nad strefą ducha nawet, jeżeli abdykuje z panowania nad materją».

A że porywa go raczej siła, Michał Anioł wywarł na nim szalone wrażenie, owiewając go tym zapalem, jaki z duszy pustynnej się rodzi i obejmuje duszę. Nie chciał widzieć nic innego. «Tak, tak, Rafael jest piękny! Piękny i pusty. Jakżeż można podziwiać go po zobaczeniu dzieł Michała Anioła?»

A z boku, pod podcieniami placu św. Piotra, tam,

gdzie dostrzega się tę ilość pałaców górujących jedne nad drugimi, jak rzeczywiste góry, przyciągał go magnes Bramy Bronzowej (Portone di bronzo) widowiskiem karabinierów włoskich po tej stronie czterech schodków marmurowych a tam żandarmów papieskich, i gwardji szwajcarskiej w kostjumach szesnastego stulecia. Ta bezsiła państwa, to ograniczenie władzy suwerennej, ta wielkość duchowa, jaka umiała narzucić sile szacunek dla zakazu niezłomnego! Cierpiał i cieszył się jednocześnie podczas tego widowiska.

«Przecież sztuka, którą ja uprawiam, jest sztuką nad sztukami», mawia czasem — «najtrudniejszą ze sztuk, opracowuje materiał żywy i delikatny — człowieka». A że wśród wszystkich cnót, jakie sobie można wyobrazić, nie nadaje on żadnego znaczenia logicznej łączności pojęć i czynów, oświadcza więc w konkluzji, triumfując: «W gruncie rzeczy jestem wielkim barbarzyńcą, niewrażliwym na piękno».

Pod tym względem mógłby wydać się żywym potwierdzeniem zdania Wilhelma Ferrero: opanowuje naród ten, kto posiada cnoty i wady przeciwne wrodzonym cnotom i wadom narodu! W rzeczywistości jego prawzór duchowy sięga czasów zamierzchłych w dziejach Rzymu. Architektura interesuje go w tym stopniu, w jakim interesowała Rzymian, dla swej użyteczności, dla pracy, którą zużywa, jako wskaźnik dobrobytu i jako wyraz wielkości państwa. «Per Bacco, pracują» — powiada z zadowoleniem, kiedy spozstrzega budowę. Jest to dlań fakt natury społecznej i politycznej.

Muzyka i wrażliwość na nią, uspokajająca jego nerwy, jest pewno spuścizną czasów bliższych nam i chrześcijańskich. W każdym bądź razie należy ona do tego Mussoliniego sentymentalnego, jakiego nie chce on ukazywać, do tej strony, która dlań jest piętą Achillea, niestwardniałą w wodzie Styksu.

A i teraz Wódz lubi przejażdżki automobilem po uli-

cach Rzymu, zatrzymuje się przed Świętym Piotrem, obserwuje wyraz ulicy, uważnie spoglądając na oznaki, jak słynny *Harun el Raszyd* w Bagdadzie.

We wrześniu 1923 roku, podczas ciężkich dni Korfu, tysiące ludzi, mężczyzn i niewiast, pospólstwa i klas wyższych, wyczekiwało przed pałacem Chigi. Kiedy wychodził strudzony pracą o dziesiątej albo o północy, spotykał w milczeniu witających go zdjęciem kapeluszy i czapek. Lud stołeczny, obdarzony przez historję przedziwnie wyrobioną wrażliwością polityczną, odczuwał intuicyjnie potrzebę bliższego kontaktu z Wodzem. «Posłuchamy Cię. Rozkazuj! Rozkazuj! Byleby były uszanowane Włochy!» — zdawały się mówić te spojrzenia.

«Wiedzą, że dla nich pracuję» — mówił, odpowiadając gestem rzymskiego pozdrowienia i poważnym uśmiechem. I znajdował w tem pociechę.

Patrzył na ten sam barometr podczas tragicznych tygodni po zabójstwie posła Matteottiego.

Parę dni przedtem, na Kapitolu, ofiarowano mu obywatelstwo miasta Rzymu; wzruszyło go to. Tegoż dnia, w sobotę, 7 czerwca, potężna mowa pojednawcza w Senacie odniosła wspaniały triumf: nienawiści rozbrojone, olbrzymia potęga, honory i zaszczyty!

«A na trzeci dzień zakrada się mróz — jak mówi Szekspir — gdy łatwowierny człowiek myśli, że dojrzeza jego wielkość, i od korzeni zaczyna ją toczyć!»

Na trzeci dzień rzeczywiście, we czwartek 12 czerwca, mróz zbrodniczy, czyn djabelski zatrzęsł nim i omal że nie spowodował upadku.

«Rozkaż, aby wykonana się sprawiedliwość i kara» — mówiły doń jeszcze setki twarzy wyczekujących.

Głuchy na wołania strachu albo chwilowych względów czy uczucia, posłuchał tego głosu.

*Medjolan-Angora i Rzym-Konstantynopol. Jedność zagrożona i rewolucja konieczna. Strajk legalny. Pałac Marino i Bolzano. Lot ciemnego orła. Gabrjel d'Annunzio, Jan Jaurès i koń Attyli. Powaga i surowość sztuki krasomówczej.*

«Istnieją dwa państwa w państwie; dwie milicje, dwa rządy, dwie komendy. Ja jestem Mustafą Kemalem Paszą Medjolanu, który jest Angorą, szybką, nieregularną i zwycięską w opozycji do Rzymu-Konstantynopola, paralitycznego i słabego: wiecznego Bizancjum!»

Tego rodzaju porównanie nasunęły redaktorowi wypadki letnie w 1922 roku. Po Nittim nastąpił Giolitti, po nim zaś kinematograf polityczny wprowadził na film posła Bonomiego i ukazywał już zdala Ludwika Factę, zycznego, różowego człowieka, który powiadał: «Żywię zaufanie». Aby zrozumieć proporcję, należy porównać go do Romulusa Augustulusa w takim stosunku, jaki istnieje pomiędzy parlamentem a imperjum. Tego wieczora, kiedy wybuchł strajk kolejarzy w całych Włoszech, minister spraw wewnętrznych i Prezydent Rady Ministrów, Bonomi, znajdował się w teatrze. Eleonora Duse kazała zamknąć drzwi natychmiast po rozpoczęciu przedstawienia, i od dziewiątej do północy posłowie i urzędnicy daremnie ubiegali się o skomunikowanie się z premierem. W sierpniu, nowy strajk ogólny, rozciągnięty na cały naród, nazwał się «straj-

kiem legalnym». Faszyzm rzucił się nań i złamał mu krzyże. Inżynierzy, profesorowie, adwokaci, dziennikarze, posłowie i przyszli ministrowie entuzjastycznie zastępują strajkujących: była to całkowita porażka przywódców strajku. «Założenie rąk» nie jest już tym cudownym środkiem na wszystkie dolegliwości. Zobaczyliśmy studentów przy dziesięcio i dwunastogodzinnej pracy w fabrykach albo na liniach tramwajowych, w dzielnicach zamieszkałych przez wywrotowców, podczas gdy z nadzwyczajną grzecznością sprzedawali bilety. Magistrat miasta Medjolanu, który stał się feudalnym zamczyskiem socjalistów od ośmiu lat bez przerwy, został zdobyty przez faszystów pewnego wieczora szturmem. Tłum sztandarów trójkolorowych przedostał się przez okna, albowiem drzwi były szczelnie zabarykadowane. Radę miejską zmuszono do dymisji ku zadowoleniu nawet tych, którzy trzymają się zdala od polityki. A gospodarka była rzeczywiście nadzwyczajna: od pewnego czasu strajkowała woda, tramwaje krążyły według upodobania prowadzących, światło elektryczne gasło ciągle, a obsługa publiczna, stanowiąca dumę i chlubę każdego prawdziwego medjolańczyka, stała się wprost katastrofalną, podczas gdy ciągle zwiększanie się płac robotniczych i pensyj urzędniczych ciążyło na barkach mieszkańców płacących podatki.

Ileż to przekleństw słyszało się owej zimy z powodu śniegu nagromadzonego na ulicach, tak wzorowo czystych, zanim jeszcze stróże uliczni nie otrzymywali płac ministerjalnych!

Poślizgnął się na tym śniegu Niemiec, Karol Marx w diecezji Świętego Ambrożego, prefekta rzymskiego i biskupa.

Bardziej symptomatyczne wydarzenia miały miejsce w Bolzano nad Górną Adygą. Mniejszości narodowe lokalne przyłączone do Włoch, a przyzwyczajone do władzy austriackiej, nie uznającej kompromisów, nabierały otuchy, widząc

osłabienie władzy włoskiej, i skłaniały się ku lekceważeniu i wyzyskiwaniu sytuacji.

Po trzech latach emblematy królewsko-cesarskie wisiały na dawnych miejscach. Włochy Vittorio Veneto były skromnym i lęklwym intruzem we własnym domu. We własnym domu?... Na energiczne wystąpienie faszystów, poseł Credaro, były minister i królewski gubernator tych prowincyj odpowiedział uwagą, że jest to «dom obcych». W odpowiedzi na to poseł De Stefani i inni trzasnęli drzwiami, oświadczając, iż pozbawiony jest on swego stanowiska za niegodne postępowanie.

«Troska o los ojczyzny zmusza mnie do uporządkowania państwa, do wprowadzenia sił rewolucyjnych w orbitę sił zachowawczych. Nie mogą istnieć współrzędnie dwa czy trzy państwa w państwie» — mówił Mussolini.

W szerokości geograficznej naszego kraju, o klimacie umiarkowanym, i o strzelcach doskonałych, orły nie oddalają się zbyt od alpejskich szczytów i nie przelatują ponad miastem. Mimo to 20 września 1922 roku miasto Udine zobaczyło nad swem zamczyskiem, rankiem, olbrzymiego brunatnego orła (według Homera najszcześniejszą wróżbę) kołującego długo nad miastem, które było ongi stolicą wojny, i śledzonego przez tysiące oczu pamiętających inne, niedawne, żałobne loty. Tegoż ranka Mussolini miał przemówić z tegoż zamczyska do faszystów i ludu, który zbiegł się do Udine ze wszystkich stron prowincji i dzielnicy.

Celny strzał myśliwego z Friuli z symbolu wróżby przemienił ptaka na trofeum: a dziś orzeł rozpościera swe szerokie skrzydła «jak drzwi wspaniałej sali królewskiej» w tym czerwonym salonie Pałacu, z którego dostrzec można Monte Mario i Kopułę Św. Piotra a na horyzoncie subtelną cienką linję pinij na wzgórzach; stoi on na solidnym piedestale ze skały tego Monte Nero, na zboczach którego «strzelec z Krasu» otrzymał niezapomniany chrzest ognia.

Gmina Udine ofiarowała go na pamiątkę człowie-

kowi, w osobie którego łączą się wróżby i przecucia, te przedziwne pierwiastki boskości w życiu ludzkim.

Jakim był już naówczas fanatyzm w stosunku do jego osoby, kto tego nie widział na własne oczy, ten nie uwierzy. Widziałam, gdy poznawano go tak błyskawicznie, z takim wzruszeniem, w wypadkach wprost szczególnych, że stało się dla mnie jasnym, iż lud nosi jego podobiznę w sercu i ma ją przed oczyma. Bowiem podczas chwilowego jedynie kontaktu rozpoznawano go i z okrzykiem «to on» stawano na baczność, wyprostowując się z oczyma pełnymi łez...

«Jesteście termometrem wieku ludzkiego» — zauważałam, śmiejąc się. «To daremne; ktokolwiek ma trzydzieści lat lub mniej, ten was zaraz rozpozna». Rzeczywiście młode pokolenie uświęcało rozpoznawaniem swego wodza.

Urok przezeń wywierany tłumaczy się magnetyzmem istoty wyższej duchowo, poczęści czemś, czego nie można bliżej określić a w pozostałej mierze mocą słowa. Człowiek czynu wie, że słowo jest również czynem, a nawet czynem par excellence.

Jest to słowo, które tworzy, jakkolwiek doktor Faust, nawykły do kontemplacji, nie zdołał go zrozumieć.

«Dante jest wielki — powiada Mussolini z błyskiem religijności mistycznej w spojrzeniu — albowiem rozumie on to, czego wielu z pisarzy nie wie, a mianowicie, że słowa są istotami żywymi. On porusza słowa, rozszeregowuje je i uszeregowuje na nowo, aby wydobyć z nich harmonję dźwięku i obrazu, ale nie zapomina ani na chwilę, że każde słowo jest istotą. Gdy kreślę słowo «gwiazdy», te siedem liter nie stanowią martwych znaków. One tworzą istotę rzeczywistą i organiczną. Słowo jest czarem życia».

Prostą i bezpośrednią jest jego wymowa, nie zaokrągla ramion i nie zaokrągla okresu. W kraju lacińskim jest to osobliwością nielada. Każdy z pisarzy wie, jak trudnym jest przepis Montesquieu: usunąć ideje pośrednie. On go wprowadził w użycie, nietylko pisząc ale i pod-



czas improwizacji, w tysiącach wygłoszonych mów, nieprzewidzianych i nieopracowanych.

Kto widział notatki nakreślone przez Jana Jaurèsa, przygotowywane do ostatniego wspaniałego przemówienia, które doprowadziło do szaleńczego zgromadzenia socjalizmu międzynarodowego w 1914 roku, w przededniu konfliktu światowego, ten zapewniał mnie, że na kawałku papieru widniał jedyny frazes, napisany podczas gdy przemawiał Niemiec Liebknecht: «Koń Attyli nieokiełznany». Elokwencja tego wielkiego mówcy przejawiała się nagle, w skoku, odbijając się od jakiegoś wyobrażenia, jakby od trampoliny.

Kilkakrotnie miałam możliwość zobaczenia notatek Mussoliniego, przygotowywanych w szczególnych wypadkach: są to skojarzenia wyobrażeń, twierdzenia i notatki przeżarte ogniem rzeczywistości, wyrażone krótkimi sylabami. Wyrażenia przyziemne niemal, w zewnętrznym wyrazie stanowcze aż do brutalności, czasem pełne lirycznego schematyzmu, zasadnicze, pozbawione dekoracyjnych zwrotów. Przez skróty i przebłyski wznoszą się do poziomu szczytów duchowych, a obrazy, w jakich czasem się uzmysławiają, wynikają z łańcucha logicznego powiązania nawet wtedy, kiedy pozornie wydawałoby się mogło inaczej (Zabawiał się kiedyś z przyjaciółmi, wyszukując najbardziej utartych powiedzeń w postaci: kija sękatego, ścieżki krętej, kwestji odwiecznej i tym podobnych oklepanych połączeń rzeczownika z przymiotnikiem, których rozwód daremnie jest pożądanym dotychczas). Solidna i potężna architektura niektórych pałaców włoskich, wyrastających z podstaw w formie olbrzymich głazów, ledwo ociosanych, zdążając wzwyż, rozjaśnia się wiotkością kolumn i krytych balkonów.

Wymowa ta, umiejająca zakraść się do głębi serca słuchaczy przez splot pojęć, stanowi niebawale przywilej kondotjera, który tworzy historję i przeżywa, dzięki temu, doświadczenia historyczne przez najistotniejsze własne doświadczenia. Pilot na rzece, noszącej nazwę ludzkości, wie, że

wszystko przepływa, lecz wszystko powraca, a rzeka od tysięcy lat pozostaje jednakowa a różna. Znika złudzenie czasu, a ci, którzy go poprzedzili, stają się jego bliskimi i współczesnymi.

Będąc ruchem klasycznym poza wybujałością romantyczną, faszyzm stara się przywrócić słowu jego wszechludzką, a więc boską wartość prawdy religijnej. «Aby odnowić państwo włoskie, odnalazłem tajemnicę zapomnianego słowa» — twierdzi prezydent. «Od lat, państwo włoskie, zgadzając się ciągle, straciło swą powagę i władzę. Kto chce rządzić, powinien nauczyć się mówić: nie!»

Nawet w jego wymowie, tak znaczy tak, a nie — nie, albowiem, jak powiada biblja, przesada jest właściwością djabła. Przekracza to granice zwykłego sposobu wyrażania się i mody literackiej, dochodząc do powagi rewolucji moralnej. Gdyby nawet można było zaprzeczyć wartości odrodzeniu faszystycznemu, jedynie ta wartość pozostałaby w całej pełni, trwała, niezbyt widoczna lecz istotna. Faszyzm wprowadził uznanie dla prawdy w kraju, w którym panował niepodzielnie obyczaj układności i kombinacyjek, praktykowanych przez rządy krótkotrwale a więc pozbawione poczucia odpowiedzialności. Przecież wychowanie jednostki czy ogółu również odbywa się dzięki słowu. Kto używał wymowy w częstym zetknięciu się z rzeszą ludzką, ten rozumie przemożną, wybuchową siłę słowa.

W przededniu wojny włoskiej, po Caporetto, podczas i po rewolucji, Mussolini zwracał się do Włochów z szorstką prawdomównością, jako człowiek do ludzi, a nie jak do narodu dzieci, pożądanego okłamania. Jego optymizm duchowy nie neguje pesymizmu, przyjmuje go i przewyższa; albowiem to, co gorsze, istnieje, lecz nie może przeważać, bowiem jest materją, a wartości najwyższe ducha posiadają moc zwycięską.

Zrozumiałam poetę co wyśpiewał «Laudi» (Gabriela d'Annunzio) istotnie i głęboko dopiero wtedy, kiedy posły-

szala jego wymowę jasną i przepiękną, szczególnie skuteczna w dwóch kierunkach: na lirycznym terenie wspomnień estetycznych, gdy opisuje piękności przezeń widziane i odczute, oraz wtedy — gdy chce wyrazić swą wolę wielkości. Wtedy przejawia się jego dostojność stanowcza, pełna chłodnej, poważnej gwałtowności. Energja, będąca dziesiątą Muzą, występuje wówczas, jako współczynnik jego wielkiej sztuki. Pośród improwizacji najbardziej wzburzonych dochodzi on do barjery własnego «ja» nad którem czuwa bez przerwy, tego «ja» pełnego woli i zimnego, jak klinga z Toledo, pokryta arabeskami damasceńskimi. Jest to triumf człowieka zdolnego w każdej chwili do wytworzenia swego świata według własnego centralnego ośrodka.

Mussolini — mówca sprawia wrażenie wręcz przeciwne. Gwałtowność żywiołowa, żar potoku lawy nie stworzonego przez wyraz woli lecz przezeń powstrzymanego, oto zasadnicze cechy jego wymowy. Słyszac go mówiącego publicznie, można poznać go lepiej, niż rozmawiając z nim nawet często. Czuje się w nim cierpienie spowodowane musiem gwałtu nad samym sobą: przemawia on jaknajwięzlej, jaknajszybciej, bez rozsmakowywania się w słuchaniu samego siebie, raczej w formie monologu.

Ludzie mu są potrzebni, jako instrumenty. Musi ich zdobywać i przywiązywać do siebie, aby ich powiesć ku wyżynom moralnym, lecz budzi w nim wstręt konieczność otrzymania a tem bardziej żądania zgody tłumu. Potrzebuje popularności, podoba mu się ona i sprawia mu cierpienie jednocześnie.

Z tego przeciwieństwa, w pewnej mierze, rodzi się odwaga dostojna wychowawcy. Wejść do świątyni, gdy inni wychodzą, nie jest płochą żądzą przeciwieństwa. Jak ateński Cymon, tak i inni wodzowie mas czują potrzebę tego samo-odkupienia, aby nie gardzić sobą. «Jestem fa-szystą surowym» — mówi Wódz o sobie. «Będę surowym, będę twardym i nieubłagany dzisiaj w mej mowie» — ta-

kiem jest przygotowanie psychologiczne, jakie w nim przejawia się często z tym prostolinijnym ascetyzmem: «Będzie to mowa twarda».

Ten jego patos, jakby wstydlivosti pełen, unika poklasku, tak samo, jak inni poszukują go. Podczas gdy przeciętni mówcy gorączkują się na skutek sugestji, w Mussolinim obawa wzruszeń działa, jak hamulec stanowczy i stały.

Lecz bezpośredni kontakt z tłumem jest prądem magnetycznym i niweczy obłudę. Lud rozumie, czuje i komunikuje się przez ten kabel podziemny tem głębiej i stalej, im mniej pozwala mu się na wybuchy łatwych poklasków.

## NA BARYKADACH

*Minister bez teki. Strategja potrójnego chwytu. «Żywię zaufanie». Chwila przezwyciężona. Karabiny i garderoba. Przez telefon i przez telegraf. Nie gabinet ministrów ale rząd. Włochy są nasze.*

Chytre lisy dawnego porządku wielokrotnie wierzyły w zapowiedzi potajemne rewolucji, które były jedynie chybionymi spiskami.

Pomiędzy wrześniem a październikiem powracali do domu, przymrużając z zadowoleniem oczy, spokojni i pewni siebie. Zamiast tajemnych szeptów, krzyczy się głośno o rewolucji: napewno chodzi tu o stanowisko ministra.

Postarano się, by je dostał...

Nie za prędko jednak, nie należy się śpieszyć, jest młody, więc może poczekać. Damy mu ministerjum bez teki, czwartą część krzesła ministerjalnego z tytułem i pełnym prawem do godności Ekscelencji. Czegóż więcej może żądać?

«Właśnie... zostaną teraz Wielkim Parasolem w gabinecie! Minister bez teki, jak ten biedny Cyreneusz Bisolati. My jesteśmy nowymi Włochami, jedyną nadzieją ocalenia. Nie możemy wyczerpywać się i rozdrabniać w ten sposób».

Trzeba było jednak zyskać na czasie, więc prowadził szermierkę elegancką i żwawą. Ludzie przenikliwsi byliby zgodzili się na jego propozycje, zresztą umiarkowane i naturalne. Najprawdopodobniej konflikt byłby wybuchł i wówczas z powodu niemożności uzgodnienia temperamentów i metod. Nie wiem, kto by wówczas był złożył dymisję, wiem jednak, kto by nie był ustąpił. Miał przed sobą, a raczej przeciw sobie, umysły ograniczone, podobne do umysłów handlarzy fałszywymi dywanami wschodniemi.

«Chwila odpowiednia już przeszła» — odpowiada, gdy wobec jego propozycji szukają wykrętnych ustępstw. A gdy wreszcie starają się rozpocząć pertraktacje na nowych podstawach, znowu przechodzi czas, znikają chwile bezcenne, i znowu jest za późno.

Mussoliniego nie rozumiano, nie chciano zrozumieć. Kiedy w mowie, wygłoszonej w Udine, wyraźnie wskazał dnia 20 września na Rzym, jako cel konieczny; kiedy 24 września w Cremonie powtórzył słowa: Rzym i rewolucja to nie możliwość, ale konieczność; kiedy po raz trzeci w mowie, wypowiedzianej 5 października w kole *Sciesa* w Medjolanie, przedstawił problemat podwójnych Włoch i państwa w państwie, a 24 października w Neapolu wypowiedział wojnę bez ogródek tym, którzy przygotowują zasadzki narodowi i faszystom, — te słowa, wypowiedziane jasno i wyraźnie, sylaba po sylabie, głosem spokojnym lecz ostrym, były zrozumiane jedynie, jako przenośnia oratorska a nie jako konkretna rzeczywistość.

Uroczyste przemówienie w teatrze San Carlo w Neapolu miało swój epilog na placu del Plebiscito, spokojny i stanowczy, jak proklamacja wojsk maszerujących przeciw nieprzyjaciółom, w postaci rozkazu do wszystkich czarnych koszul, aby wróciły natychmiast do swych siedzib i oczekiwały rozkazów.

«Albo dadzą nam rząd, albo go weźmiemy, zbiegając

się do Rzymu i chwytając za gardziel nędzną klasę polityków panujących».

Na czarnej koszuli wraz z odznaką swego stopnia miał, po raz pierwszy w tym dniu, szarfę o kolorach Rzymu.

«Co robimy tu w Neapolu? Deszcz pada, podczas gdy w Rzymie słońce świeci!» zawołał po jego odjeździe namiestnik Bianchi. Kongres został rozwiązany wśród porządku, pełnego wrzawy, w której brzmiał oddźwięk bitewny, w rytmie bębnow niemal, gdy skandowano słowa:

«Rzym, Rzym, Wodzu, Wodzu, do Rzy-mu, do Rzy-mu!...»

26 października wieczorem, Wódz w Medjolanie przysłuchiwał się w La Scala operze Wagnera, a potem wyklócał się z krytykiem w redakcji:

«Jeżeli pan się zgadza ze mną, proszę wydrukować wyraźnie: — To nie jest dyrygowanie orkiestrą, kapelmistrz wyspuje do kubła nuty i potem wylewa kubel na nas».

A wieczorem 27 widzimy go, nieprzewidzianego i nieoczekiwanego gościa, w naszej łoży, w teatrze Manzoni. Wysłuchuje spokojnie i uważnie komedji wobec zbliżającego się dramatu.

W połowie drugiego aktu, ktoś puka do łoży.

Jeden z kolegów redakcyjnych wchodzi, panujący nad sobą lecz wewnętrznie wzburzony.

«Redaktorze. Telefonowano. Rozpoczęło się!»

Redaktor wstał szybko i spokojnie.

«Jesteśmy u celu. Do widzenia!»

Znikł.

W Cremonie, czarne koszule, przyspieszając o parę godzin wybuch przewidziany w planie, zajęły telefon, telegraf, pocztę, siedzibę prefekta i inne biura rządowe, składając bolesną ofiarę dziesięciu młodych egzystencji.

Okolo północy w *Popolo d'Italia* zaczęto przygotowywać barykady. Gorączkowo odjeżdżały furgony pełne pakietów odezwy, przygotowanej w tajemnicy od paru dni, która miała być rozlepiona nazajutrz w całych Włoszech.

Genjalność planu Wodza, jak każda genjalność, polegała przede wszystkim na niespodziance. Stwarzała ona zamieszanie, aby tem snadniej i niespodziewaniej opanować ludzi i sytuację. Podczas gdy wszyscy oczekiwali napadu na wielkie miasta, według tradycji zagranicznych, działał on według kryterjum dostosowanego do natury włoskiej: obwodami, szeroko raczej niż intensywnie, przez niezliczoną ilość ugrupowań mniejszych po mniejszych miastach. W ten sposób poszczególne ataki były łatwiejsze a w szerokim zakresie ruchu porażki, doznane tu i ówdzie, traciły na wartości, stawały się faktem lokalnym, łatwym do umiejscowienia i nagradzanym zwycięstwami gdzie indziej.

Perugia, centrum geograficzne Włoch, została wybrana, jako siedziba kwadrjumwiratu wojskowego. Zgromadzenie dwustu pięćdziesięciu tysięcy czarnych koszul, z których sto tysięcy zmobilizowano, dokonywało się szybko i sprawnie w punktach wskazanych przez Wodza. Trzema linjami podzielił środek Włoch, biorąc pod uwagę węzły zasadnicze i kierunek w stronę Rzymu. Rzym znajdował się w pośrodku tych olbrzymich cęgów o potrójnym chwycie, jakie zgnieść go mogły. Linja Pisa-Civitavecchia, linja równoległa Perugia-Monterotondo i trzecia, może najbardziej żywotna, wychodząca z doliny Padu wzdłuż Adrjatyku, linja Rimini-Ankona-Castellamare. Wzdłuż każdej z nich ustalił punkty dla rezerw i nazaczył mężów zaufania; każdy punkt stanowił ośrodek koncentracyjny dla grup zbrojnych.

«Los narodu przygwoźdża nas do Rzymu» — twierdzi Wódz. A więc ku Rzymowi należało kierować się z całych Włoch, jako ku celowi najwyższemu.

Posel i prezydent Facta tymczasem «żywił zaufanie». Do tego stopnia, że posel Mussolini przybrał sobie za godło powiedzenie «żywień nieufność» i nie pozwalał sobie na wyrażanie zadowolenia. «Wiecie dobrze, że powinienem być niezadowolony. Muszę być niezadowolony. Biada temu, kto czuje zadowolenie. Wtedy się tyje i zasypia na po-

zycjach. Trzeba czuwać, nieufać i iść naprzód». Inny mąż, który zrobił wspaniałą karierę, urodzony w rodzinie rybackiej w Abruzzo a zmarły na stanowisku wyższym od królewskiego we Francji, zamknął konkluzję swych przekonań politycznych w słowie: «Nie ufaj!» Żywiąc zaufanie, poseł Facta «o wąsach francuskiego żandarma z oleodruku» (jak go wyśmiewał *Popolo d'Italia*) stracił głowę. Biada jagnięciu rozwścieczonemu! Poseł Facta wprowadził stan oblężenia.

Król, który odbył wojnę na serjo, powiadają, że był rozgniewany ustawieniem śmiesznych kopij koni fryzyjskich na pobrzeżu Tybru około Ponte Milvio, tam właśnie, gdzie Konstantyn pobił Maksencjusza. Wszyscy Rzymianie oglądali to widowisko. Wojna jest zawsze straszliwa; wojna domowa zaś jest straszliwa i haniebna, nie wolno zatem inscenizować parodji. Ktoś zapewnia, że kiedy przedstawiono Monarsze do podpisu dekret o stanie oblężenia, król wyraził się gorzko i ostro: «Lepiej od panów znam mój naród. Nie podpiszę».

«Przecież ten wasz Mussolini nie był nawet podsekretarzem stanu! Trzeba, żeby zaczął od czegoś». I w ostatniej chwili ci poczciwi chłopcy, którzy byli mężami zaufania faszystów w Rzymie, upokorzeni faktem, iż są młodzi, dają się przekonać chytrym lisom, zwolennikom promocji stosownie do wieku i «kontynuowania tradycji parlamentarnej» i godzą się na stworzenie gabinetu z posłem Salandrą na czele i z ograniczonym udziałem faszystów. Wódz oparł się. Oparły się milicje faszystów.

Legjonom zebranych w szyku bojowym w przeddzień bitwy w Santa Marinella, w Monterotondo, w Tivoli i w Orte, generał Fara zakomunikował rozkaz:

«O wschodzie słońca, w poniedziałek, kolumny rozpoczną marsz na Rzym za wszelką cenę».

Dreszcz radości oswoił piersi ściśnięte obawą i pogardą dla wieczystych «kompromisów».

Wódz chwycił za broń. Zwycięstwo nie zostanie zmarnowane!

Długa, przedziwnie długa była ta jego strzelba. Mówię to bez przenośni. Kiedym zobaczyła ją rankiem, 28 października, na stosie papierów na biurku w gabinecie redaktora przy ulicy Lovanio, wydawało mi się, że nigdy jeszcze nie widziała strzelby tak długiej, jakkolwiek zapewniają mnie, że był to zwykły «model 91». Pomiedzy papierami, na wierzchu znajduje się kartka. Na niej Mussolini skreślił listę przyszłych ministrów. «Nie chcę tworzyć gabinetu stroniczego. Tylko część z nich, to faszyci».

«Prawdę mówiąc — nie wiem — nie zdecydowałem jeszcze — będę musiał porozumieć się z przyjaciółmi — z partją» odpowiada jeden z posłów nie-faszystów, minister *in pectore*, który przyszedł wraz z innymi, aby dowiedzieć się czegoś.

«Co za przyjaciele, co za partja? Ja się nie bawię tego rodzaju zabawkami. Powołuję ciebie a nie twoją partję».

Bojowcy młodzi i młodzi przywódcy o marsowym wyglądzie pukają do drzwi, wyprostowują się na baczność, salutują po rzymsku, oddają zlecenia, otrzymują rozkazy i znikają. Wszystko dzieje się szybko i cicho. Siedzibą głównej kwatery jest redakcja *Popolo d'Italia*, oraz pobliski Dom Faszystów przy ulicy św. Marka, odosobniony pomiędzy wysokim nasypem i kanałem, które tworzą zeń znakomitą fortecę i koszary. Inne ulice są zamknięte barykadami z furgonów automobilowych, szczepionych drutami kolczastymi; za barykadami kordon bojowców. Bojowcy rozmieszczeni tu i ówdzie, gdzie można było, są piękni, pełni zapału i bohaterstwa, jak w poematach Homera. Żadnej płacy, wszelkie wydatki ponieść musi każdy z własnej kieszeni. Robotnicy i chłopci, urzędnicy i studenci, zadowoleni z niewygód, leżą na słomie, jedzą kawałek chleba i wypróżniają blaszaną zupę, byle tylko zobaczyć Wodza i słuchać jego rozkazów. Po tamtej stronie wzburzonych wód kanału, genjusz polityczno-prawny Włoch zaimprowi-

zowuje małą granicę. «Jaka to ranga? Zdaje się, że równa mojej?... Jeżeli tak, to możemy mówić sobie ty!» powiada młody porucznik regularnych wojsk, przechadzający się na przestrzeni stu kroków na chodniku po prawej stronie, podczas gdy po lewej symetrycznie robi to młody *dekurjon*.

Sytuacja paradoksalnej równowagi, a przecież wystarczyłoby piórko, aby przechylić szalę i doprowadzić do rzezi.

«Będzie musiał się znaleźć ktoś — mawiał Wódz podczas godzin przygotowania — kto da sygnał, kto gestem wskaże, że czas przejść z pozycji wypoczynku i spokoju do ruchu rewolucyjnego, a tym kimś będę ja, muszę być ja!»

W południe, dnia 28 października, na skutek nieporozumienia, spowodowanego przez młodego żandarma poza barykadą po przeciwnej stronie, rozległa się strzelanina pod oknami redakcji. Mussolini chwycił natychmiast za swą strzelbę i w gnieniu oka znalazł się na barykadzie.

«Co się stało? Spokojnie wszyscy! O co chodzi?»

Te słowa i jego postać wystarczyły, aby powrócić spokoj. Nieświadomie jednak i nieoczekiwanie naraził się na największe niebezpieczeństwo w życiu. Jakiś młody bojowiec fanatyk, stojący za nim, widząc, że naraża się na ewentualne strzały przeciwników, nerwowo wymierzył karabin za plecami Mussoliniego w stronę przeciwnika. Strzał padł, a kula świsnęła ponad uchem Wodza, dotykając włosów, podczas gdy on ruchem weterana, nawykłego do walki, na odgłos strzału pochylił się nieco.

«Co za idjota...?» Gdyby nie był spostrzegł się i nie obronił ze śmiechem biednego bojowca, byłiby go rozszarpali na kawałki towarzysze.

Jedynym krokiem terrorystycznym było zawieszenie prasy wywrotowej w Medjolanie i cenzura prewencyjna narzucona innym dziennikom.

Jeden tylko wśród tych ostatnich, najbardziej rozpowsechniony, nie chciał się poddać tym rozporządzeniom. Tęgo ranka w sobotę 28 października zawierał on słowa

pełne grozy, wzywając wojsko do bitwy przeciw rewolucji, na czele której znaleźli się inwalidzi odznaczeni złotymi medalami i generałowie, jak Gustaw Fara, Emil de Bono, Gandolfo, Ceccherini, Zamboni.

«A cóż nas obchodzą protesty pańskie, panie redaktorze? Jesteśmy gotowi zamknąć dziennik — i dziennikarza, jeśli zajdzie potrzeba. Chodzi tu o Włochy, a nie o drobnostki, jak na przykład pańskie życie!» odpowiedział telefonicznie z szelmowskim uśmiechem najmłodszy z oficerów faszystów. Poważniejszego tonu, i powiedziałabym dostojniejszego, użył Wódz w rozmowie z dziennikarzem, który w szacie parlamentarza wojennego przedstawił mu się w imieniu tegoż kolegi.

«Zrozumiecie łatwo, moi drodzy, że ja jestem naczelnikiem odpowiedzialnym za każdą kroplę krwi ostatniego wśród mych szeregowców, który ma do mnie zaufanie. Taki dziennik, jak *Corriere della Sera*, jednym słowem może spowodować wydarzenia niesłychanej wagi. Nie mogę zgodzić się na koncesję, nie mogę osłabiać rozporządzeń, aczkolwiek osobiście cenię i uznaję stanowisko waszego kierownika. Moim obowiązkiem jest nie ustępować.»

Dziennikarz ten, inwalida, w gruncie rzeczy przyznawał mu rację. Głos jego drgał oddźwiękami ukrytej czci.

Lecz redaktor dziennika nie wybaczył nigdy dwudziestoczworgodzinnej wymuszonej przerwy.

Jakiś młodzieniec chce przedstawić redaktorowi i Wodzowi pięciu swych ludzi obarczonych sześćdziesięcioma karabinami. Zdobył te strzelby, odbierając je sześćdziesięciu nowozaciężnym, którzy maszerowali po drodze w pobliżu Codogno pod komendą dwóch kaprali.

«Doskonale!» — odpowiedział mu Wódz, śmiejąc się. «Jesteś zwinny, zostań przy mnie.»

Sześćdziesiąt najlepszych koszul męskich, sześć tuzinów krawatów, cztery tuziny rękawiczek, nie wiem, ile pidżam i skarpetek jedwabnych — stały się łupem oso-

bistym tego jegomościa, łupem wynoszącym niespełna jedenaście tysięcy lirów, jak wynika z rachunków najwykwintniejszych sklepów w Rzymie.

«Z polecenia J. E. Mussoliniego. Zapłaci J. E. Mussolini. Jestem adjutantem J. E. Mussoliniego.»

Mussolini, jako domniemany Brummel, oto treść pierwszej niefortunnej przygody po objęciu rządu od chwili marszu na Rzym.

«Jeżeli mam jechać do Rzymu dla intryg i krętaństw parlamentarnych — powiedział Wódz — to nie pojedę. Wyruszę z Medjolanu jedynie poto, aby stanąć na czele mych hucców.»

Nazajutrz, 29 października, w południe, generał adjutant monarchy przywołał Mussoliniego do telefonu.

«Tak, znakomicie. Dziękuję Jego Królewskiej Mości. Życzę sobie, aby telegraficznie potwierdzono mi mandat oficjalny. Wyjadę do Rzymu wkrótce potem.»

Zbliżył się do kurytarza i zawołał głosem nieco oschłym:

«Arnaldo, przygotuj natychmiast. Musimy wydać dodatek nadzwyczajny!»

«Są nowiny?»

«Tak, Mandat!»

W pół godziny później otrzymano małą żółtą kartkę, podczas gdy maszyny huczały zaciekle.

«Wyjeżdżam o trzeciej. Nie, o ósmej. Pociąg nadzwyczajny byłby za drogi.»

Podczas przybycia na stację, hufce faszystów, wyczuwając triumf, śpiewały: «Do Rzymu! Do Rzymu!»

Przemówił krótko na peronie:

«Jutro rano Włochy będą miały nie gabinet ministrów lecz rząd!»

A zwracając się do naczelnika stacji, powiedział:

«Chcę wyruszyć bez opóźnień. Od tej chwili wszystko musi iść doskonale!»

W Civitavecchia, w Santa Marinella odbył przegląd sił faszystycznych.

«Zwycięstwo należy do nas, nie należy go zmarnować. Włochy są nasze, musimy je wprowadzić na drogę dawnej wielkości.»

I na czele huców czarnych koszul poszedł szlakiem wiodącym do Rzymu.

## XLVI

### DOJŚCIE DO CELU

*Nowy rząd. Czterdzieści tysięcy ludzi zdemobilizowanych w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Triumf Rzymu. «A teraz do pracy». Okres drugi. Nieuniknione rozdroże. Ubodzy u celu. Restituit rem.*

Górnolotne słowa przypisano Prezydentowi, kiedy udał się do monarchy natychmiast po przybyciu do Rzymu. Tego rodzaju teatralność nie licuje z jego surowością i dostojnością stylu. Zresztą czas naglił.

W południe wyszedł z Kwirynału pośród szalejącego tłumu, udał się do hotelu i do trzeciej zajmował się decyzjami i szczegółami, temi właśnie, które często są powodem katastrofy najwspanialszych i najlepiej obmyślanych przedsięwzięć.

Wydał rozkaz, aby oddział Czarnych Koszul, z odznakami waleczności na piersi, stanął na straży honorowej i czuwał nad bezpieczeństwem J. E. Fakty; obsadził strategiczne punkty miasta i redakcje dzienników nieprzyjaznych w mieście i na prowincji; wydał jasne i dokładne rozkazy funkcyjnarzuszom, mężom zaufania i prefektom; stworzył rząd, który o siódmej objął władzę po sankcji monarszej, i zawiadzał do hotelu naczelnika ruchu kolejowego. Żaden wypadek nie miał zamącić przebiegu tego dnia.

«Poczynając od dziś, ósma wieczorem, daję panu dwadzieścia cztery godziny czasu na wyprawienie z Rzymu czterdziestu tysięcy zmobilizowanych przeze mnie bojowców z prowincji i odwiezienie ich na miejsce przeznaczenia.»



Rok I (1922) — Prezes Rady Ministrów.



«Ekscelencjo, to niemożliwe! Nawet w czasie wojny!... Trzeba przynajmniej trzech dni».

«Powiedziałem dwadzieścia cztery godziny. Rzeczy niemożliwe nie istnieją dla mnie. Proszę zastosować się do mego rozkazu!»

A potem, uśmiechając się nagle i przechodząc z tonu rozkazującego do życzliwego, dodał:

«To konieczne panie komendancie... Rząd mój nie zapomni o zasługach dla kraju!»

Trudno jest nie spełnić takiego rozkazu, niemożna oprzeć się takiemu uśmiechowi. To też sześćdziesiąt długich pociągów, poza normalnym ruchem kolejowym, zaczęło wyruszać ze stolicy w krótkich odstępach, jeden za drugim, jeszcze tego wieczora.

Biedne Czarne Koszule... Wielu z nich po raz pierwszy znalazło się w Rzymie, łudząc się, że będą mogli pozostać w tem mieście po zajęciu go. Rozczarowanie było wielkie, lecz pomrukiwań mało. Ktoś powiedział: «To zupełnie tak, jakby posłyszało się odgłos dzwonka przed pocałowaniem po raz pierwszy ukochanej niewiasty!» A przecież musieli słuchać podwójnie, jako faszyci i jako Włosi. O północy, we wtorek, na ulicach stolicy nie można było znaleźć ani jednego bojowca z prowincji.

O wschodzie słońca, pierwsze legjony weszły do Rzymu, od strony Ponte Milvio. Jedynie z okien i z za węglów dzielnicy Św. Wawrzyńca strzelanina przywitała kolumnę, prowadzoną przez późniejszego posła Bottai. Kilku faszystów zaczerwieniło swą krwią ten próg zwycięstwa, lecz na szczęście, oprócz rannych, innych ofiar nie było, a mądrość chwili nakazała zaniechanie wszelakich represyj.

Pośród śpiewów, oklasków i rozwianych proporców, wylew ten wypełnia falami regularnymi a zwartymi marmurowy basen Piazza del Popolo. Jedynie obelisk, najstarszy wśród obelisków rzymskich, wyłania się, piedestał już zniknął w ciżbie młodzieży.

O trzeciej rozbrzmiewają nagle trąby. Powiewają sztandary. Wódz staje na czele hufców, i rozpoczyna się pochód kolumnami, po trzech w dziewięciu szeregach, w oddziałkach z dwudziestu siedmiu ludzi, szybkim krokiem, w zdumiewającym porządku, przez pięć godzin z rzędu wzdłuż Corsa, aż ku mauzoleum Nieznanego Żołnierza, na Piazza Venezia. Przed grobem, chyląc kolana z szacunkiem zbożnym, składają oni hold temu, który stanowi symbol najwyższego poświęcenia i nosi jedno imię: Śmierci poniesionej dla Życia innych.

(Już wyruszając z punktów koncentracyjnych, legjony z Abruzzo niosły w szeregach olbrzymi wieniec z lauru wybrzeży adriatyckich, aby złożyć go na sarkofagu.)

Potem Wódz poprowadził zwycięzców na wzgórze dawnego kwadratowego miasta, do pałacu, z balkonu którego spoglądał na nich król, stojąc pomiędzy dowódcą wojsk i dowódcą marynarki z czasów wojny — Diaza i Thaon de Revela — których za wstawiennictwem Mussoliniego mianował król później jednym księciem Zwycięstwa i drugiego Księciem Morza. Monarcha długo i uważnie patrzył na tę falę czarnych koszul, płynącą bezustannie, salutującą i wykrzykującą radosne *alalá*.

Od Nieznanego Żołnierza aż do bardziej znanych, pochód hołdowniczy odbył się w chwale.

Po przedstawieniu monarsze sztabu głównego swych hufców, Prezydent Rady Ministrów znikł.

«Teraz chodźmy do pracy».

Zgorą 1900 powiadam — tysiąc dziewięćset — nowych dyspozycji prawnych wydał rząd faszystyczny w ciągu niespełna dwóch lat. Wiele z nich wielkiej wagi. A gdy skończono dzieło likwidacji przeszłości i umocnienia odpowiedniego teraźniejszości — rozpoczęło się przygotowywanie przyszłości.

«Niestety, niceśmy dotąd nie zrobili» — utrzymywał po tych dwu latach nieukontentowany Prezydent. Dopiero teraz, po wydaniu praw «najbardziej faszystycznych»,



Rok I (1922) — Przy pracy nad odbudową ojczyzny.

w jesieni 1925 i zimie 1926, zaczyna przyznawać: «Tak, coś niecoś się zrobiło».

«Nic, niceśmy nie zrobili — mówił naówczas. — Nic nowego. Piękne czasy nadejdą dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli ręce wolne od pozostałości z wczoraj. Dotychczas jestem tylko likwidatorem, oczyszczam drogi przyszłości z tych wszystkich kwestyj nierozwiązanych, problemów ciągnących się wśród strumieni atramentu i słów, od czasu, kiedy powstały Włochy, od połowy wieku. Rząd jest przede wszystkim ciągłością. Od dość dawna nie miały Włochy ministra, któryby wytrwał na urzędzie dłużej niż sześć miesięcy, i to już było długo. Jakże można było myśleć o czym poważnym, rozpoczynać pracę długotrwałą, wziąć na siebie odpowiedzialność, którą czas dopiero tłumaczy i usprawiedliwia? Lepszy rząd przeciętny a trwały, niż gabinety złożone z najwybitniejszych jednostek a przejściowe».

Od miesięcy i lat nie robiono nic takiego, coby dotyczyło jutra. Prawdopodobna historyjka angielska o wojnie, jaka wybuchła w dalekiej kolonii z powodu jakiegoś niebieskiego zeszytu dokumentów, na którym urzędnik *Foreign Office* usiadł sobie spokojnie, zamiast przeczytać pilne depesze, odpowiadała rzeczywistości codziennej we Włoszech.

Czuwało się jedynie nad nastrojami w parlamencie.

«Panie Prezydencie, niech pan wypocznie przynajmniej godzinę!» — błagali go przyjaciele.

— «Nie... Posiadam energję w rezerwie».

— «Ależ nie można prowadzić takiego życia bez końca, przynajmniej godzinę wypoczynku!»...

— «Nie mogę sobie na to pozwolić — przerwał Mussolini. — Stoimy prawie na progu bankructwa. Jeszcze trzy, cztery miesiące tego rodzaju bezczynności, a bylibyśmy znaleźli się w przepaści. Już i tak jedną nogą jesteśmy nad nią.»

— «Proszę pamiętać jednak, że siły ludzkie są ograniczone. Pańskie siły również.»

— «To nic nie znaczy. Albo teraz, albo nigdy. Jesteśmy chirurgami przy łożu konającego. Cóż to znaczy, że chirurg jest zmęczony; trzeba operować natychmiast, bez wahania. Choćbym wiedział, że zamrę dziś wieczorem, nie mógłbym sobie pozwolić na chwilę wypoczynku.»

Posiedzenia Rady Ministrów, prawie co dnia, trwały od pięciu do sześciu godzin. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy odbyły się trzydzieści dwa posiedzenia. A cały olbrzymi ciężar odpowiedzialności zwał się na bary Prezydenta, który musiał decydować nawet o szczegółach.

Minister skarbu, profesor Tangorra, młody jeszcze człowiek, na początku jednego z posiedzeń o porządku dziennym pełnym kwestji trudnych i zawilych, pod wpływem ciągłego napięcia psychicznego padł trupem na fotelu ministerjalnym.

«Włochy! — Prezydent! — sytuacja poważna! — praca! — O Boże!»

Pozostawił żonę i dzieci w sytuacji ciężkiej, bez grosza. Faszizm posiada w swych szeregach zapoznanych i nieraz obrzucanych oszczerstwami prawdziwych bohaterów ubóstwa. Kiedy poseł faszysta Casalini, w sierpniu 1924 roku, padł zamordowany u stóp swej córki, która towarzyszyła mu na przechadzce, dowiedziano się, że ten drukarz, samouk, socjolog, ochotnik wojenny, aczkolwiek ślepy na jedno oko, żył w Rzymie pogrążony w ubóstwie z żoną i pięciorgiem dzieci, aby poświęcić cały swój czas i pracę partji. A gdy Prezydent, uważając, iż należy w uroczystych chwilach a przede wszystkim podczas przyjęć urzędowych dla króla i korpusu dyplomatycznego, przywdziewać uniform ministerjalny, rozporządził, aby ministrowie sprawili sobie odpowiednie uniformy, wielu z pośród ministrów faszystów nie miało dostatecznych środków finansowych, by poddać kosztownemu rozkazowi.

«Co do mnie, jestem dumny, że mogę służyć memu krajowi w funkcjach najdelikatniejszych, od których zależy jego przyszłość — w Ministerjum Spraw Zagranicznych —



Rok I (1922) — Pod skrzydłami orła z Udine.

bezpłatnie» — mówił Prezydent, pobierając skromną pensję Ministra Spraw Wewnętrznych, i prowadząc Ministerjum Spraw Zagranicznych tymczasowo. «Trzeba stanąć ubogim u celu. W tem jest dopiero prawdziwe piękno. I to właśnie daje poczucie dumy. Szkoda, że niewielu tylko to rozumie.»

Wiekuiста Atalanta pochyła się po jabłka złote.

«Ubodzy u celu» — powiedział, kiedy rozmawiano z nim o tytule Księcia Rodosu, dla upamiętnienia aneksji tej wyspy. «Nicem dotychczas nie zrobił, aby zasłużyć na nagrodę. Obecnie pragnę jedynie pracować.»

Zbyt pięknym, zbyt prostym, zbyt wygodnym byłby świat, gdyby przynależenie do partji, choćby nawet tej, która powoduje odrodzenie idealistyczne, gdyby posiadanie legitymacji partyjnej — choćby nawet zapłacone ofiarą, uświęcone krwią — wystarczyło do wykształcenia sumień czystości idealnej, uświęconej odnową wewnętrzną.

Była taka chwila, kiedy faszyzm stanął przed koniecznością przezyciężenia fatalnego kryzysu wszystkich rewolucyj tryumfujących — jakie tradycyjnie i klasycznie rozkładają się i zanikają — gdy rozbrzmiał okrzyk namiętnej chciwości zachęcający do łupów.

Pocziwi i pokojowi obywatele zajmują się rodziną i sklepami, jak zajmował się swem rzemiosłem ten właściciel szynku z powieści Manzoni, któremu ostrożny Manzoni przyznaje wreszcie rację ustami Renza. Lecz gdy płomień namiętności i uczuć, ideałów i przyziemnych interesów zmiesza rzesze, wtedy piana i śmietanka podchodzą dogóry razem. Młodzi, czysti, palający zapalem tłoczą się wespół z nieuczciwymi, z awanturnikami, z tymi, dla których bójki są żywiołem najszlachetniejszym i celem najwyższym.

Rewolucja naówczas staje pomiędzy dwoma ogniami: zwolennicy dawnego porządku znajdują się na krańcu tylnej straży a na przeciwnym końcu znajdują się burzliwi stronnicy nowego, rozczarowani i występni, «piękne pancerze» —

jak mówiła Katarzyna Sforza, które należałoby trzymać w zamknięciu, aż do chwili czynu. Wszyscy oni uważają się za umysły, jakich powinno się pytać o radę.

Nadchodzi drugi okres oszustów i przeniwierców, dla których każda katastrofa i każdy wypadek staje się jedynie okazją do okrzyku «Precz z tego miejsca, bo ja tam stanę».

Na tem rozdrożu krwi i pieniędzy, kiedy nieuczciwość jednostek zaofiarowuje broń opozycji, giną zazwyczaj rewolucje, albowiem zaciekłość opozycji powoduje krwawe represje, a represje kolejno powodują krwawe reakcje.

Rewolucja faszystów nie rozlała dotychczas krwi, z wyjątkiem pewnych koniecznych represyj, oraz pewnych czynów zbrodniczych jedynie indywidualnych. Postępowanie rządu było mądre i umiarkowane, jak w pierwszym okresie prawie wszystkich rewolucyj. Czy będzie ona mogła pozostać taką? Arystokraci, w nocy 4 sierpnia 1789 roku, wyrzekli się dobrowolnie przywilejów, i wszystko zdawało się oddychać spokojem. A potem przyszło zaprzeczenie zainteresowanych, którzy utrzymywali, «że rewolucja ta nie była prawdziwą rewolucją» i starcie się rozbieżnych żalów: «Nie byliśmy odpowiednio zdecydowani, aby bronić się» — i — «Byliśmy zanadto wspaniałomyślnymi po zwycięstwie». — To spowodowało większy rozlew krwi w drugim okresie, niż lez szczęścia w uprzednim, kiedy wszystko wydawało się uspokojone i niezdolne do konfliktu.

Lecz rewolucja faszystów nie była, tak, jak rewolucja francuska, powstaniem i buntem nowych klas społecznych dla obrony i uznania politycznego praw osiągniętych już w życiu. Była ona raczej powstaniem etycznym, podobnym do rewolucji angielskiej z siedemnastego stulecia, z powodu równie ściśle jedności dramatu historycznego, prowadzonego przez jedną, stanowczą rękę. Niechaj zdoła ona zachować tę swą oryginalność rozwojową i święcie pozostać tem, czem jest z woli swego Naczelnika: odrodzeniem ducha.

## XLVII

## ODRODZENIE WŁADZY

*Wolność, pojęcia przestrzeniowe. Czarne Koszule i milicja. Nowe hasło. Wojsko pewnego snu. Siła i zgoda. Pokolenia z laboratorium. Idealizm mistyczny i Feniks. Omyłka. Mit i człowiek.*

«Szczęście jest pojęciem względnem, lecz wolność — twierdzi Benito Mussolini — jest pojęciem przestrzeniowym».

«Wielka przestrzeń, wielka wolność; mała przestrzeń, mała wolność».

Od lwa na pustyni do pszczoły w ulu.

We Włoszech terytorjum jest niewielkie, a rozrost rasy znaczny; ulice, jakkolwiek są stale poszerzane i przedłużane, przepelnione są wiecznie tłumem. Domy ciągle budowane, miasta rosące błyskawicznie nie wystarczają. Zboże i kartofle albo kukurydza wspinają się tarasami na wzgórze, a każda piędź ziemi jest starannie przewracana niestrudzoną motyką, jak stale nicowane stare palto męzowskie, rękami dobrej gospodyni i żony.

Czterdzieści dwa miliony Włochów rozpychają się lokciami, jak uczniowie w ciasnej klasie, lub nowozaciężni w koszarach. Najbardziej niezdyscyplinowany naród, najbardziej indywidualistyczny na ziemi, jeżeli chce rzeczywiście żyć bez nieznośnego tarcia i deptania sobie po odciskach, musi w jakiś sposób poddać się regulaminowi koszar lub przytułku noclegowego. Nie jest to ani łatwe, ani przyje-

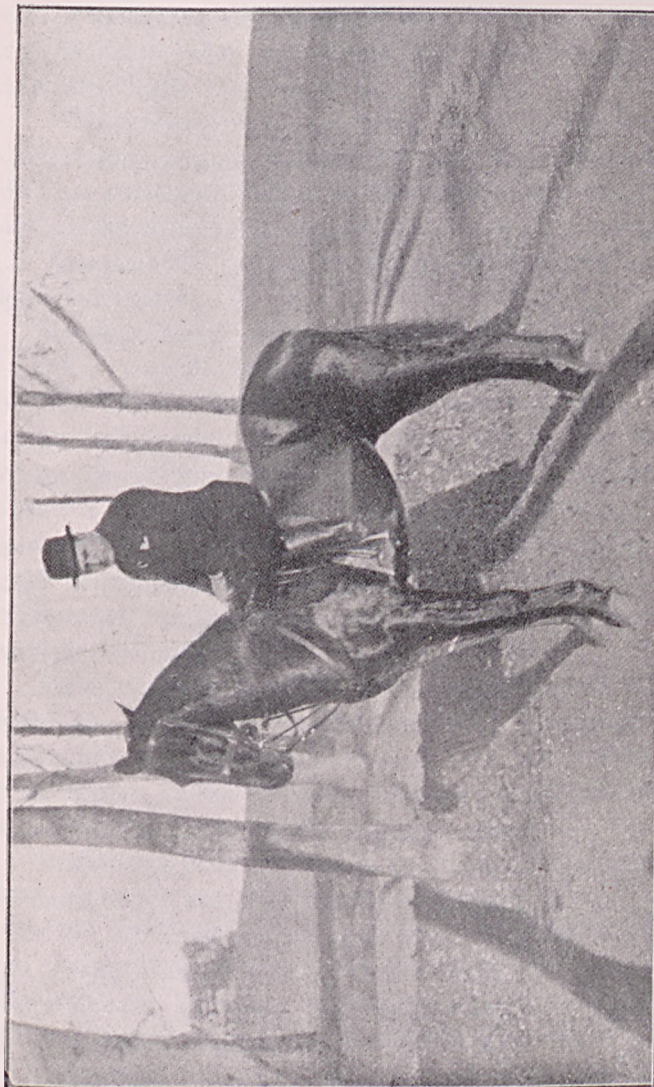
mne. Niestety, jest to konieczne. Kwestja włoska jest problemem psychologii skomplikowanej: kwestją przestrzeni; taką właśnie, jaką jest na większą skalę kwestja europejska; sąsiedztwa i zazdrości potęgują wzajemną niemożność znoszenia się, przyczem nerwy grają dużą rolę.

Poza oddziałami Czarnych Koszul, w okresie poprzedzającym marsz na Rzym, wyrosły nagle Niebieskie Koszule nacjonalistów, Czerwone republikanów i socjalistów, Piaskowożółte liberalów; pierwsze eleganckie, drugie nieporządne a trzecie nieliczne. Zakon różowy «dei innominabili» również proponował własny kolor. «Są to fragmenty władzy państwa upadającego» — mówił Wódz. «Nielatwem jest przejście od ruchu powstańczego do sytuacji uprawnionej i legalnej. To są problemy napawające mię zgrzyzotą i powodujące bezsenność».

Zszeregowanie oddziałów faszystów w szeregach milicji i tej ostatniej w państwie jest najwyższym aktem statysty, dokonanym przez Mussoliniego. Jest to jedna z tych «rzeczy prostych» o jakich mówił sekretarz rzeczypospolitej florenckiej.

Czyście zauważyli, że w Anglii i w Ameryce popularnym bohaterem powieści detektywistycznej jest policjant? Od Dupin'a do Sherlock Holmes'a. Natomiast we Francji, kraju łacińskim, od Vautrina, Jeana Valjean do Arsenjusza Lupina najpiękniejszą postacią jest przestępca. Jest to wielce znaczący objaw. Jest rysem genjuszu, ta umiejętność nadania popularności przedstawicielowi porządku, ta umiejętność podporządkowania fermentu młodzieńczego sile porządku publicznego. Takim samym rysem jest nauczenie łobuzów szkolnych tego, że poświęcenie chwil poza szkolnych n. p. pomalowaniu muru, jest chwalebny i dającym uciechę przywilejem, według metody Toma Sawyer'a.

Nie twierdzą, że to zrobiło z bojowców marjonetki według modelu. Lecz zmieniło dotychczasowe hasła. Na dało odmienny kierunek tendencjom i idejom, inną wartość aspiracjom.



Rok II (1923) — Wśród Rzymskiej Kampanji.

Cóż ponadto dokonali wielcy reformatorzy wszystkich epok? Największą rewolucją moralną w historii sprowadził chrześcijaństwo, który był właśnie najpotężniejszym przewrotem w dziedzinie ideałów.

«Posłuszeństwo» — oto hasło, jakie Mussolini wznosił na najwyższy szczyt, podczas gdy przedtem było ono słowem pogardzanem. Odnowił radość, godność i wartość posłuszeństwa; tej «cnoty» skromnej i rycerskiej.

Następstwem posłuszeństwa są dyscyplina i poczucie odpowiedzialności.

Przypominacie sobie nowelę Rudyarda Kiplinga: *Wojsko snu*? Jest to niemal przepowiednia prorocza porządku rzeczy, istniejącego dziś we Włoszech. Naród zbrojny, klasyczny ideał demokratyczny i antymilitarystyczny, w pełnym rynsztunku i w pełnym entuzjazmie, złożony z wolontariuszów, z masy trzystutysięcznej, szeregowanej w milicji, z dziesięciu tysięcy młodzieńców w szeregach przednich straży od piętnastu do siedemnastu lat i ze stutysięcznej armji małych *Balilla* dumnych z ojcowskiej predylekcji Wodza.

«Nie istniał w dziejach ludzkości taki rząd, któryby opierał się jedynie na zgodzie wszystkich obywateli, albowiem zgoda taka jest chwiejna i niestała, jak warstwy piasku na brzegu morza. Dlatego też wolę siłę pięciuset tysięcy karabinów, niż zgodę pięciu milionów głosów».

Podobnego rodzaju herezje antydemokratyczne są właściwością tego burzyciela parlamentaryzmu.

«Nie «Wolność», lecz porządek, hierarchja i dyscyplina — są hasłami kierowniczymi, jakie ujawniają urok życia i śmierci szeregom młodzieży niespokojnej i odważnej» — twierdzi słusznie. Lecz kiedy powiada w konkluzji, że faszyzm «przeszedł już, a jeżeli trzeba będzie, powróci spokojnie, aby przejść po ciele mniej lub więcej rozkładającym się Bożyszczą Wolności», — to w sercu tych z pośród nas, co zachowali jeszcze zbożny szacunek i kult



dla boskiej, nieprzekupnej Wolności — tej zewnętrznej formy wolnego rozumowania, które człowieka podnosi ku Bogu — to w sercu niektórych z pośród nas — powtarzam — te silne wyrażenia wydają się skierowane ku Niebiańskiej Wenus, przez pomyłkę, gdy w istocie winna je słyszeć jej siostra, Afrodyta Pandemia — Rozpusta.

Wyjaśnił on w istocie swą myśl, dowodząc, że przeżył wolności, o ile miała wyrażać się wprowadzaniem zamętu do życia narodu i plwaniem na symbole religijne i patriotyczne. Zresztą Mussolini, jako artysta, polemista, mąż stanu, rozkochany w duchowej szermierce, doznaje rozkoszy, wgłębiając się w rozpatrywanie naskrajniejszych cyplów własnej myśli bez strachu i wahania. Opanowany wielką ideją, nie znosi żadnej opozycji. Nie byłby silnym bez tej słabostki. Piękną jest rzeczą i niezbędną tolerancja, lecz człowiek karmiący wielki plan własną krwią, twórca doskonały i rzeczywisty, nie może nie spoglądać z nienawiścią na tego, kto psuje, burzy, i niweczy jego siłę — ideję, jeżeli nie dochodzi aż do bratobójstwa w stosunku do przeciwnika, który, nie mogąc stworzyć własnego miasta, przeskakuje mury i wyśmiewa sceptycznie przyszłość. Niestety bez odrobiny błota nie można przygotować fundamentu tam, gdzie powstaje Rzym.

Zapał czynu i ogrom myślowego widnokągu, wiara w nie, pełna niecierpliwości — gdyż działać należy szybko — wzmagają w nim odrazę do przeszkód i opóźnień.

«Posiadamy dotychczas ustawy, które są fartuszkiem dla dwunastoletniej dziewczynki noszonym przez dwudzie-stoletnią kobietę. Włochy nieistniały jeszcze w 1848 roku. Piemont zaś był państwem małym choć silnym, embrjonem. Prasa, municypalność, wielki przemysł, wielkie środki komunikacyjne były albo zjawiskami w okresie formowania się albo też czemś, co miało się stać później. To też fartuszek jest za krótki i za wąski, podarty, pełen dziur. Ale wszyscy wrzeszczą wniebogłosy: «Nie należy go ruszać»! Dlaczego?



*W pierwszą rocznicę pochodu do Rzymu.  
(W Medjolanie na placu «del Castello» — 28 paźdz. 1923 r.)*

Nie trzyma się on kupy, łąta na łącie, trzeba go zmienić. A przecież to zaledwie początek. Trzebaby tworzyć we Włoszech nowe pokolenia w laboratorium».

Gdy o tem mówi, pobłyskują mu oczy zimno i jasno, jakgdyby natchnienie krystalizowało się w wolę.

«Dwadzieścia tysięcy przywódców: nauczycieli, inżynierów, bankowców, przemysłowców i dyrektorów; pięć tysięcy oficerów; trzy tysiące sędziów; dziesięć tysięcy urzędników: wszyscy zaś ludzie pierwszorzędni, specjaliści, wychowani w zrozumieniu techniki organicznej i przepojeni aż do kości potrzebą techniki. Takich ludzi potrzebują Włochy. I takich ludzi muszę przygotować. Od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy ludzi, których zegarki będą funkcjonowały znakomicie i niezawodnie, wskazując godziny wielkości. Nie można pozwolić, aby major wojsk włoskich własnymi rękami pchał wózek dziecinny. Cnoty przezacnego ojca rodziny nie powinny być cnotami majora. Te nieporozumienia, to niedbalstwo, ta niedokładność muszą zniknąć, albo zaginą Włochy, wchłonięte mniej lub więcej przez jakąś inną potęgę. Będzie to wiek wielkich Włoch albo Włoch, jako kolonji cudzoziemskiej. Trzeba wybierać. I trzeba rozpocząć już od ławek szkolnych pracę nad przygotowywaniem i kształceniem charakterów.»

Pojawia się więc wizja jakiegoś pełnego grozy pejzażu księżycowego, halucynacje jakiegoś planety, na którym organizmy podlegają wychowaniu ograniczonemu, albo wydoskonalonemu w pewnym kierunku, w puszkach niemal, na użytek zbiorowości.

«Lecz człowiek, człowiek, panie Prezydencie!»

«Kaźde wielkie powołanie jest kapłaństwem, które przepelnia swym charakterem wszystkie czyny. Zazdrosnym o honor, poświęcającym życie, jest oficer; poważnym, nieposzlakowanym i prawie ascetycznym urzędnik sądowy; eleganckim, surowym i bezwzględym policjant. Mówię wam o pięćdziesięciu tysiącach ludzi, wyspecjalizowanych w ca-

łym narodzie, którzy stworzą kadry klasy rządzącej. Polityków mamy aż do przesady. Należy wychowywać arystokrację techniczną. Zresztą rozpocząłem już to przygotowywanie ustawą o biurokracji i o państwie korporacyjnym. Klasy według rangi — na jakie podzieliłem urzędników i funkcjonariuszów — są klateczkami, w których zamknąłem w postaci piramidy około pół miliona Włochów. Jeden jedyny człowiek zajmuje pierwszą klateczkę na szczycie piramidy, to naczelnik urzędników sądowych. I dlatego też trzeba było tak zrobić, aby jeden tylko urząd kasacyjny istniał we Włoszech.»

Mimowoli przypominają się słowa, jakie pisał jeszcze w *Avanti* w 1913 roku:

«Nie można dokonywać rzeczy niemożliwych, to prawda. A przecież cała historia jest splotem niemożliwości, absurdu, niespodzianek, które stały się rzeczywistością stworzoną przez mózg i przez mięśnie człowieka.»

Nie zdoła wywołać ruchów żywiołowych wśród rzesz ten, kto nie zaczerpnie siły z głębin własnego mistycznego entuzjazmu.

Dlatego też faszyzm, zanim stał się «partją, był już religją», a przysięga, składana przez Milicję «na służbie Bogu i Ojczyźnie», zawiera w sobie pierwiastki mistycyzmu rycersko-arystokratycznego. Należy powrócić do przysięgi składanej przez członków Młodych Włoch i do mistycyzmu Józefa Mazziniego, aby odnaleźć tego rodzaju wyrazy gorącej religijności. Ludzkość w ten sposób zahartowuje się, tworząc milicję idealizmu potężnego, a czynnego, wspartego urokiem nowych obrządków, gdy zużyte i bezczynne stały się te, które poprzedziły obecne zjawiska. Po osiągnięciu celów zasadniczych i możliwych, po przeobrażeniu wszystkiego, kiedy życie wycisnęło z dokonanego czynu najistotniejszą jego wartość, ster zwraca się ku nowym drogom, nieraz wprost przeciwnym, w coraz szybszym rytmie. A Feniks przygotowuje sobie stos, aby na nim spłonąć.



Rok I (1923) — Pierwsze święto 21 kwietnia «dies natalis» Rzymu.  
(General Diaz, Książę Zwycięstwa i minister wojny obok Wodza).

Rzadcy są ci, którym taki los przeznaczono, aby kierowali dwoma pokoleniami, następującymi po sobie podczas tych ewolucyj i przełomów, dzięki którym ludzie stają się prawie że odczepieniami od własnych pojęć i antagonistami. To przypadło w udziale Napoleonowi, który był narzędziem i przywódcą rewolucji a stworzył cesarstwo.

W Diarjusz wojny, kapral Mussolini na górach Karyntji zapisywał pamiętne słowa, napisane przez Józefa Mazziniego w 1832 roku. (O niektórych przyczynach, jakie uniemożliwiły dotychczas rozwój wolności we Włoszech.)

«...Zabrakło przywódców, zabrakło niewielu zdolnych do prowadzenia wielu, zabrakło ludzi silnych wiarą i zdolnych do poświęceń, którzy mogli ośwadczyć całą rzeszę, odczuć i zrozumieć błyskawicznie jej następstwa i z tych gorących wspaniałomyślnych pożądań mogli uczynić jedno jedyne pragnienie zwycięstwa. Zabrakło tych, co mogli byli wziąć pod uwagę elementy rozsiane, znaleźć hasło życia i porządku dla wszystkich, spojrzeć naprzód, a nie wtył, stanąć pomiędzy trudnościami a ludem, z rezygnacją ludzi skazanych na to, aby stać się ofiarami i tych trudności i tego ludu. Zabrakło tych, co mogli byli napisać na własnym sztandarze: «z dobyć albo paść», i co by chcieli dotrzymać obietnicy...»

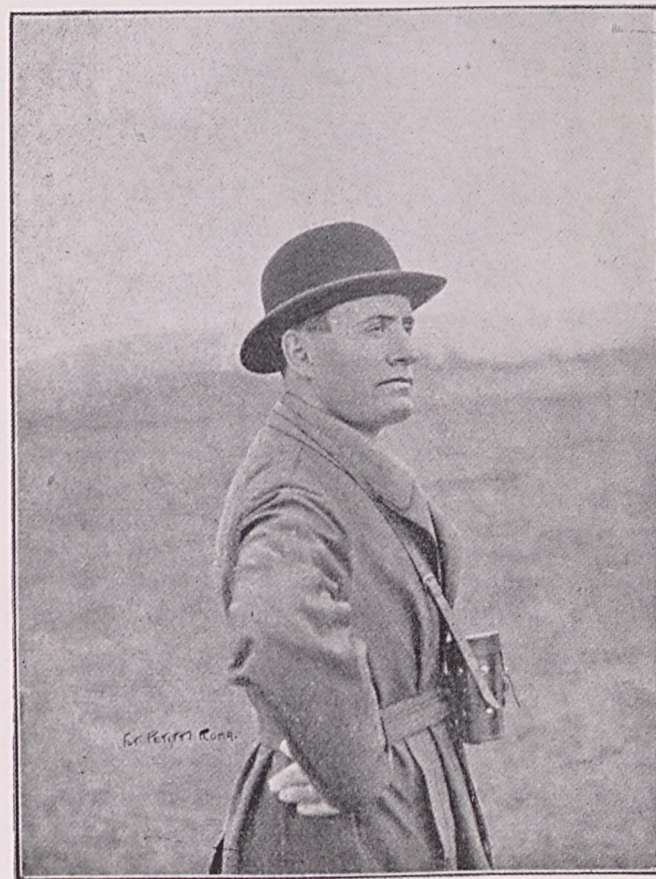
Wojna i późniejsze zamieszki powojenne dały ludziom odczucie religijne życia, streszczające się w bezgranicznej czci dla Wodza. Rzesze ludzkie, odwołujące się do monarchy przeciw małym tyranom w postaci przywódców lig i partij, pożądały i łaknęły zjednoczenia władzy w ręku jednego człowieka odpowiedzialnego. «Skończył się już okres bezkrólestwa, okres straszliwy, i jeden sędzia czuwa na ziemi», — śpiewał Schiller. Dla teologów władze ziemskie mają być szanowane, albowiem pochodzą od Boga. Tak samo, choć w pomniejszonej skali, Włochy faszystyczne szanują władzę, albowiem pochodzi ona od tego, kto posiada moc, aby na-

dać jej część tym, których on do sprawowania tejże władzy powołuje.

Nienawiść do człowieka i odraza do odpowiedzialności niszczą w zarodku — w szeregach biurokracji — możliwość odnalezienia ludzi wyższych i zdolniejszych. Przez reakcję, faszyzm stworzył z niczego postać Naczelnika Rządu, odpowiedzialnego za porządek rzeczy obok i pod kontrolą i władzą Naczelnika Państwa, króla. W następstwie harmonijnem i jako pochodne od tej najwyższej postaci jawią się inne innowacje, jak na przykład stworzenie *ex novo* tak zwanych podestà (burmistrz z nominacji), odpowiedzialnych względem rządu, od którego zależą (zamiast rad gminnych wybieralnych i burmistrzów z wyboru), oraz prefektów posiadających dość szeroką władzę autonomiczną dzielnicową, scentralizowaną, i odpowiedzialnych również przed rządem.

Faszyzm walczy o umieszczenie proletariatu w łonie narodu i stwarza taką możliwość przez porządek korporacyjny. Odnawia on pojęcie państwa silnego, według koncepcji klasycznej monarchy, jako kierownika i rządcy pośród klas lecz poza klasami, jako arbitra ponad wszystkimi, dla dobra wszystkich i przeciw koncepcji liberalnej, uważającej rząd za «Komitet wykonawczy» klasy burżuazyjnej, działający na podstawie mandatu bezpośredniego większości, tak, jak na przykład rada jakiegoś anonimowego towarzystwa akcyjnego.

Człowiek czuje tak wielką potrzebę kierownika i tak rzadko może znaleźć go, że jeżeli znajdzie, następuje u niego wybuch radości, powiedziałabym, wybuch wesołości jakiegoś duchowego organu, który nareszcie będzie mógł wyjść z powolnego zaniku. Rząd narodowy we Włoszech nie przetworzył wszystkiego dotknięciem czarodziejskiej różdżki, narzucił wyrzeczenie się, pracę, twarde życie i konieczne ograniczenia anarchji. A jednak istnieją we Włoszech dość szerokie warstwy, które ogarnia nastrój święta. Nie przerywając szybkiej pracy, korzystają z każdej okazji, aby



Rok II (1923) — Minister lotnictwa podczas ćwiczeń lotniczych.

wyrazić ten nastrój wewnętrznej radości. Natychmiast po podpisaniu konkordatu ze Stanami Zjednoczonymi w zakresie długów wojennych, naród cały pośpieszył, aby złożyć nie milion dolarów ale cztery, opodatkowawszy się dobrowolnie z takim entuzjazmem, z jakim idzie się na zabawę. A przecież Mazzini twierdził, że Włoch chętniej daje życie, niż pieniądze.

Zdarzało mi się nieraz słyszeć, jak ganiono Mussoliniego w jego nieobecności, jednak nie spotkałam nikogo, kto by odważył się w jego obecności wyrazić przekonanie odmienne w stosunku do wydanego przezeń rozkazu lub zwykłego rozporządzenia. Nie zauważyłam również, aby tracił on czas na rozmyślanie przed powzięciem decyzji; wydaje się nieraz, że przychodzą mu one na myśl gotowe, z instynktowną niemal pewnością i logiką.

Nie twierdę, że są nieomyślne. Kto rozszerza zakres pracy i odpowiedzialności, ten siłą rzeczy zwiększa możliwość błędzenia. Myli się, albowiem jest człowiekiem i to człowiekiem nieprzeciętnej miary, a więc i błędy jego są w większym stylu. Dlatego właśnie nie są one bezpłodne. Dochodzi do głębin doświadczenia, jakie z pomyłek wynika, a odwaga przyjęcia jaknajdalej idącej odpowiedzialności za błędy popełnione stwarza naokół niego atmosferę zaufania, stanowiącą jedną z podstaw powodzenia.

«Przyszedłem, aby zobaczyć, czy jest możliwość powstrzymania Mussoliniego od popełniania nowych pomyłek», — deklamował kiedyś z namaszczeniem w jego nieobecności, w roku 1919, pewien profesor, wycierając starannie szkła okularów. — «Słowo honoru, wydaje się, że ten człowiek umyślnie zwiększa ich ilość!»

«W istocie... — odpowiedział ktoś ze szczerością — ale trudno, on już jest takim, i przeszkody, jakie znajduje na drodze, stają się dlań wygodną trampoliną, aby odskoczyć wyżej i dalej!»

«Na szczęście jest Mussolini... Potrzeba Mussoliniego!»

mówiono na początku nowego okresu. Czterdzieści miljonów Włochów myślało jedynie, aby zrzucić na bary nowego Atlasa własne ciężary. Fetyszym tego pierwszego okresu doszedł do granic absurdu, był niemal groteskowym u jednych, a wruszającym u innych, umysłów prostych, w których mieszał się z naiwnym przesądem. Pewien dziennik rzymski opisał z całą powagą, jak spływała po zboczach Etny rzeka rozplamionej lawy, a gorejące oczy Prezydenta starały się ją powstrzymać i opanować.

Pewien turysta, zwiedzając w Orvieto stare mogiły etruskie i dowiedziawszy się, że dotychczas nie zdołano odczytać tajemniczych napisów starożytnych, powiedział: «Bo dotychczas nie było Mussoliniego, teraz zobaczycie, że się je odczyta!»

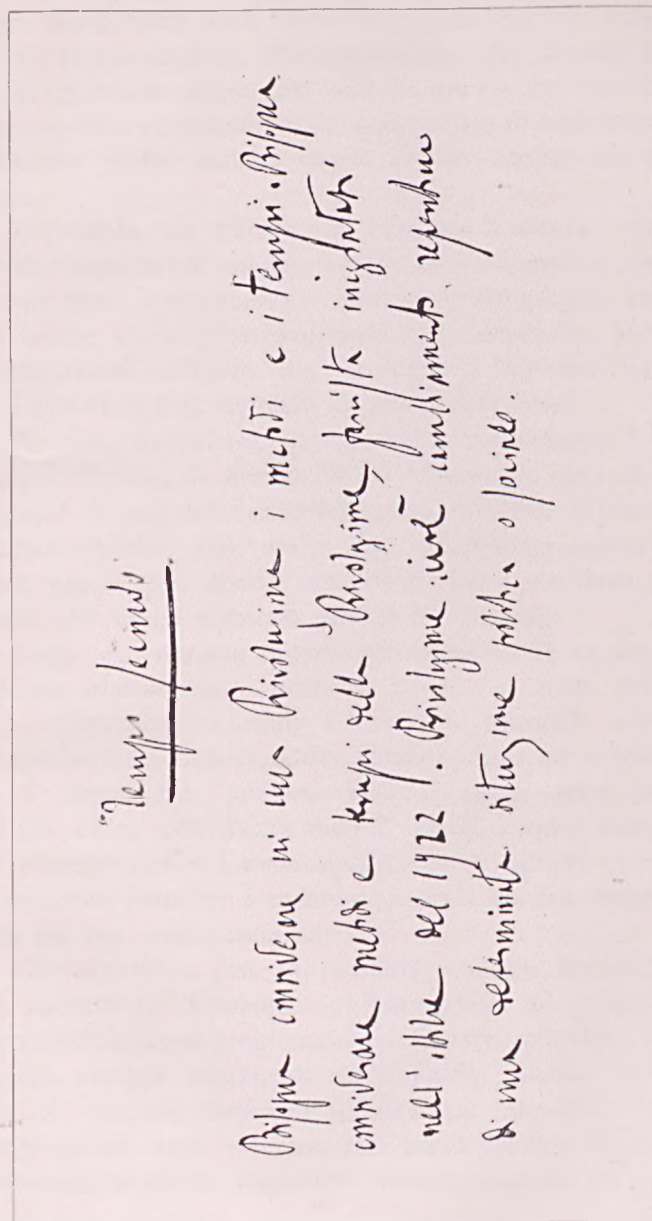
«Mussolini kazał wprowadzić parowiec» — powiedział woźnica na jednej z wysepek neapolitańskich, trzaskając z bicia i paląc swą fajkę.

Kobiety w Abruzzo, kiedy odwiedzał tę dzielnicę, starały się go dotknąć, tak, jak relikwie lub figury świętych, przedewszystkiem zaś czyniły to wdowy i matki zabitych na wojnie.

Burmistrz jednego z małych miasteczek na Sycylii rozkrzyżował ręce i zatrzymał pędzący automobil Prezydenta. «Nie prosimy Pana o nic. Prawdopodobnie nigdy więcej nie znajdzie się Pan na tej ziemi. Prosimy, aby Pan pozostawił nam ślad swych stóp przynajmniej».

Inny burmistrz w odświętym stroju, z szarfą trójkolorową, oznaką swej godności, zbliżył się doń: «Dziś rano o świcie, dwaj moi bracia, zabici podczas wojny, zjawili mi się we śnie i powiedzieli: Wstań, idź na spotkanie Prezydenta, uklęknij i powiedz, że błogosławimy mu, my, milczący zmarli, i dziękujemy za ocalenie Włoch, za które oddaliśmy życie».

Z głową odkrytą Wódz ukląkł na drodze. Niewiasty wokół stojące wybuchły płaczem, klękając z rękami wyciągniętymi ku niemu w niemej prośbie.



Rok I (1923) — Artykuł wstępny w numerze noworocznym czasopisma «Gerarchia».

Ten nastrój, niemal cudu, zapładnia legendę i może zrodzić oczekiwany cud, zawiera jednak groźne niespodzianki i rozczarowania. Miarą człowieka jest również mit, jaki tworzy wkoło siebie, jest oddanie mu się serc ludzkich, jakiem się cieszy; jednak może pojawić się dreszcz trwogi, czy czasem ciężar nadziei nieraz chimerycznych nie powali go.

Kto działa, ten naraża się, myli się i obraża. Partja młodych, aczkolwiek zakuta w łańcuchy karności i posłuszeństwa, musi — siłą rzeczy — przejść nieraz granice, zwłaszcza wobec wycia prowokującego tych Włochów, którzy wszystko rzucili na kartę, aby zaprzepaścić Włochy, i przegrali, i nie chcą dziś zapłacić za popełniony błąd.

W tych warunkach kryzys był nieuniknionym i koniecznym. Pewno, że sposób, w jaki kryzys ten objawił się, pociągając do odpowiedzialności osoby najbliższe Wodzowi, zajmujące wysokie stanowiska, był szczególnie bolesnym, i wódz przecierpiał chwile straszliwe. Lecz nie dane jest ludziom, aby mogli wybierać rodzaj swych mąk.

Część tego narostu mitycznego rozpadła się na skutek zabójstwa Matteottiego; pozostał jednak — poza chmurami — związek konkretny i żywotny, człowiek, zdolen do wypracowania historii, który niechaj stanie się mitem.

W ciągu dni, podczas których przez salon jego, w Pałacu Chigi, pół Włoch niemal, wśród komisji specjalnych, reprezentantów i memorjałów, złożyło mu swe protesty, wyłożyło potrzeby i zadania, pytałam go, jak może to znieść, jak mu wystarczają siły.

«Rzeczywiście, jest to pewnego rodzaju bezustanne kucie młotem po kowadle — odpowiedział mi — tysiące najróżnorodniejszych problematów i kwestyj, pilnych i niezbędnych, kolejno wbijanych mi w głowę. Nieraz wydaje mi się, że poprostu rozpęknie mi czaszka. Ale teraz mam za to w głowie całe Włochy, jak jakąś wielką mapę ze wszystkimi węzłami zagadnień żywotnych; tu potrzeba



dróg, tam kolei, gdzie indziej znowu mostów, zalesienia, basenów, meljoracyj rolnych, połączenia z gminami wiejskimi w pobliżu większych centrów, wielkiej stacji kolejowej w Medjolanie, domów w Rzymie, wody w Apulji, mieszkań w Kalabrii i w Messynie, sieci dróg automobibowych na Sycylii, walki z malarją na Sardynji».

Kiedy przejeżdżał przez jakieś miasteczko w Emilii po zwycięstwie wyborczym w 1924 roku, pośród tłumu oklaskującego, pierwsze jego słowa były: «A linja kolejowa? Postępuje? Powiedźcie mi, czy droga jest już wykreślona, czy rozpoczęto roboty?».

Spostrzegł niepewność zapytanych i prosił prefekta, aby mu zatelegrafował o stanie robót kolejowych.

Jako prawowity syn Rzymu, widzi odbudowę idealną również przez odbudowę fizyczną z cementu i kamienia. «Spać nie mogę — mówił w zaufaniu po powrocie ze Sycylii — na myśl o tych nędznych barakach, w których tłoczą się po piętnastu latach poszkodowani przez trzęsienie ziemi! Każę je palić natychmiast po wybudowaniu domów. Niestety, nie można nadażyć. To są węzły które należy rozwiązać, zanim będę sobie mógł pozwolić na trochę wypoczynku. Niechaj opozycja wrzeszczy, ile się jej podoba. Nie pójdę sobie, dopóki nie rozwiążę tych kwestyj. A rząd, który nie chce odejść, pozostaje na swem miejscu. Wytrzymać, oto sedno kwestji! Trwać! Kto wytrwa, ma zawsze rację. Potrzeba zadowolić jednocześnie dwa instynkty zasadnicze rzeszy ludzkiej, które są przeciwne między sobą: pożądanie zmiany, *rerum novarum cupido*, i instynktowne poszukiwanie stałości w rzeczach.»

Powiada Sismondi, że hegemonja w danym okresie historycznym należy bezsprzecznie do tego wśród narodów, który zdoła wynaleźć formę rządów dostosowaną do potrzeb tego okresu, tę formę, którą później inne narody imitują tylko jak np. feudalizm germański, konstytucja angielska, rewolucja francuska z 1789 roku. Pewne idee, pewne sposoby



Rok II (1923) — W klatce «Italii».

umiejscowiania problematów, odwaga przemiany klasy przez korporację w podstawowy czynnik jedności narodu, podczas gdy przedtem była ona czynnikiem rozkładu: te formy porządku politycznego i współżycia społecznego są tworam i oryginalnemi Włoch.

We Francji, w Anglii, w Niemczech są również fa-szyści. Słowo włoskie stanie się hasłem uniwersalnem do walki i do rozplomienienia uczuć miłości i nienawiści.

## XLVIII

### OSOBISTOŚĆ MUSSOLINIEGO

*Referendum i autodefinicja. Zawsze dziennikarz. Rząd i polemika. «O Włochy, piękne Włochy!» Boska choroba młodości. Portrety i uśmiech. Zasepiony syn kowala. Tolerancja i pogarda. Niewiasta i ruch kobiecy. «Mam następców».*  
*Trzy rysy charakterystyczne. Oznaka czasu.*

Pośród sprzeczności i powikłań — kontrastów zewnętrznych i logiki wewnętrznej — kim jest — w gruncie rzeczy — ten człowiek?

Niedawno jeden z organów faszyzmu w wielkim mieście zapoczątkował *referendum* pomiędzy czytelnikami na temat określenia osoby Mussoliniego. «Proszę zawezwać redaktora — zatelegrafował Mussolini do prefekta tego miasta — i proszę poprosić go, aby zechciał zakończyć natychmiast *referendum* tego rodzaju autodefinicją: «Ponieważ poseł Mussolini oświadcza, że nie wie dokładnie, kim jest, prawdopodobnie tem mniej mogą to wiedzieć inni». Po wydrukowaniu tej deklaracji proszę zakończyć *referendum*, które będzie mogło być podjęte, być może, za lat pięćdziesiąt. Podpisano: Mussolini».

Jest to dokument szczery. Stwierdza on błąd psychologii literackiej mniemającej, że wykonawcy więcej wiedzą od autora, lecz jest to dokument.

Wielkim przemysłowcom, którzy usiłowali odsunąć raz na zawsze pewnego znanego działacza od załatwiania kwestyj



Rok II (1924) — «PRO ITALICO IMPERIO» — «JUSTITIA-VIRTUTE-HIERARCHIA» — «UNGUIBUS ET ROSTRIS».

związanych z pracą i zarobkami, powiedział: «Dlaczego chcecie uniemożliwić temu człowiekowi rozwój jego przyszłych możliwości? Czyż w Mussolinim z 1914 roku mogliście dostrzec Mussoliniego z doby obecnej?»

Pewnemu dziennikowi zaprzyjaźnionemu na zaklania i prośby, aby nie narażał on «swego świętego życia» wobec niebezpieczeństw lotu powietrznego czy też ataku nieprzyjaciół, odpowiada, pisząc, aby nie obciążano go świętością.

Jedna jedyna rzecz wynika z tych wszystkich odpowiedzi, a mianowicie fakt, że jest i pozostał — dziennikarzem.

«Obejmując władzę — zwierzył się na przyjęciu wydanym przez kolegów na jego cześć — nie zapomniałem o tem, że jestem dziennikarzem, i często a chętnie biorę kartki papieru, aby skreślić coś, co może zainteresować Włochów; ma to zewnętrzny wygląd not oficjalnych albo półoficjalnych, jak to się mówi, a w gruncie rzeczy są to małe artykuły, są to akty wykazujące głęboką tęsknotę za naszym rzemiosłem».

Rzeczywiście w którymś komunikacie oficjalnym daje takie określenie: «Pan Y. Z. z zawodu poseł do parlamentu». W pewnym liście, który stanowi dokument oficjalny, jakby do druku przeznaczony, pisze: «Jesteśmy otoczeni pedagogami i mentorami, każdy z nich ma swój nadzwyczajny dylemat do przedstawienia». Mówiąc o Lidze Narodów, określa ją jako «*un couvent de laïques fantasques, impuissants, et par cela même dangereux*». Czterem tysiącom górników z Monte Amiata zwierza się w ten sposób: «W tym dniu, w którym opozycja zaprzestanie nudnego wrzasku, aby rozpocząć coś konkretnego, zrobimy z nich podściółkę w obozach Czarnych Koszul».

Zaproponowano mu poważnego jegomościa, o jeszcze poważniejszych rekomendacjach, na stanowisko w Senacie; wzruszył ramionami: «Tak... tak... a czy umie czytać i pisać»? Jednemu ze swych wiernych faszystów, który

nadestał mu prośbę, aby przyszłym ministrem komunikacji został przede wszystkim dobry faszysta «z pierwszego okresu» — odpowiedział, że zamierza mianować na to stanowisko swego szofera, Cyryla T., «który pozostaje u jego boku od 1919 roku, umie jeździć i jest *molto comunicativo*»<sup>1)</sup>).

Wobec paru dostojnych dam cudzoziemek, które pewnego wieczora przy obiedzie starały się kolejno pouczać go w dziedzinie wielce śmiałych problematów politycznych, prze-rwał tę rozmowę z zuchwalstwem wielkiego pana. «Pozostawmy te kwestje, wymagające innych mózgów».

Wybryki, wyskoki, żarty nie liczącego się z niczem *enfant-terrible*?

Nie. Poczęści należy to wszystko do systemu, jaki ja nazywam «tuszem szkockim»; gorąco i zimno, niespodziewane i nieoczekiwane, dają wrażenie zamętu. Szybkość rzutu oka w obserwacji, jak szybkość uchwycenia wyrazu lub określenia najkrótszego i błyskotliwego, są instynktami, które dziennikarstwo rozwija i zaostrza. Często bardzo dziennikarz gwałtowny i kostyczny, czasem nawet rozgniewany, polemista nieuznający napuszonych prozopopei, góruje nad mężem stanu i wrywa mu jego tajemnicę nie bez nieujawnionego współnictwa tego ostatniego.

Dziennikarstwo dzisiejsze zniszczyło — razem z innymi wyperfumowanymi ostrożnościami — i dyplomację starej szkoły, posługującą się westchnieniem z poza wachlarza. Prostota męża politycznego doby obecnej odpowiada mądrej i brutalnej taktyce dzisiejszej dyplomacji: wypowiada ona na głos to, co inni wyszeptywali potrochu. W ten sposób uzyskujemy pewność, że słowa trafią tam, gdzie trzeba, wyraźnie i bez zmian. Jeżeli zaś chodzi o rzeczy, które nie powinny stać się przedmiotem rozmów, taż sama prostota wskazuje, że nie należy ufać nikomu i zwracać się z nich w zaufaniu.

<sup>1)</sup> Gra słów, której nie można podać po polsku «Comunicativo» — «towarzyski» i «związany z komunikacją».



Rok III (1925) — Podczas ferijj letnich na pokładzie Neptuna.

«Dziennikarstwo — zwierza się ten dziennikarz, który nie oderwał się jeszcze całkowicie od swego zawodu — skryształizowało mego ducha, dziennikarstwo ułatwiło mi poznanie się z materiałem ludzkim, dzięki któremu prowadzę politykę.

«Zanim jeszcze zobaczyłem wchodzące do pałacu Chigi i do salonu Zwycięstw te komisje, które bombardują mnie codziennie szeregiem memorjałów, memorjałów świętych, albowiem przedstawione są w nich interesy kraju, przeszły przez mój pokój przy ulicy Paolo da Cannobio, a potem przy ulicy Lovanio, tysiące Włochów z najróżnorodniejszych zawodów, w różnym wieku i o różnych zapatrywaniach: miałem w ten sposób przed sobą plastyczną wizję Włoch, które zachodziły, i Włoch, które wschodziły.

«Dziennikarstwo dało mi znaczną wytrzymałość przy pracy, boć przecież rządzenie nie jest rzeczą transcendentną, jak to ktoś twierdził, lecz jest trudem. Trzeba umieć siedzieć przy stole od dziesięciu do dwunastu godzin, to znaczy przez okres czasu potrzebny, aby wyczerpać zadania całodzienne.

«Wy wiecie, że szanuję dziennikarstwo i że dałem tego dowody. Chcę tylko, aby ono zdawało sobie sprawę z potrzeb historycznych, z pewnych konieczności historycznych. Chcę, aby dziennikarstwo współpracowało z narodem.

«Z wielką sympatją i uczuciem braterstwa powiadam wam, że powinniście mieć wiele odwagi, albowiem nie wiem, czy, jeśli nie w waszym tornistrze, to w waszej tece redakcyjnej, nie kryje się buława marszałka.»

Myślący i impulsywny, idealista i realista, rozważny i zapalczywy, romantyczny w aspiracjach i klasycznie konkretny w praktycznych osiągnięciach, daje obraz wyższej równowagi, jaka wynika z tych wszystkich czynników nierównowagi. Jedną tylko rzecz można skonstatować z pewnością i bez ogródki: kocha niebezpieczeństwo. Posiada również wrodzoną fizyczną odrazę do podłości.

«Italia, piękna Italia!» — przywołuje głosem specjalnie zmodulowanym i pełnym słodczy wspaniałą lwicę, którą mu подарowano, i która na głos swego pana rzuca się nań z radością. Kiedy była jeszcze mała, trzymał ją w domu, w stancyjce obok swego gabinetu, nad dachami Rzymu. Nawet służąca, spokojna babina z okolic Rzymu, pomimo początkowych obaw i protestów, nabrała odwagi, żyjąc w tem otoczeniu, i bawiła się z lwicą bez obawy.

«Proszę wziąć pod uwagę, że Italia dorosła, że cztery lwy, zamknięte w tej samej klatce, nie znają Pana, Panie Prezydencie» — napominał go dyrektor ogrodu zoologicznego w Rzymie, gdzie lwicę Wódz oddał na przechowanie, drżąc na myśl o odpowiedzialności nań spadającej. Lecz Mussolini nie zna obawy, rozkochany w tem drapieżnym pięknie, które zawiera w sobie potęgę, a w każdej swej linii zręczną siłę. Bawi się z nią, jak szczęśliwe dziecko.

Jest to człowiek pełen energii niewątpliwie. Włoch!

«Jestem człowiekiem, jak wy — powiada górnikom, pozdrawiając ich po bratersku — posiadającym wasze cnoty i wasze wady, posiadającym to wszystko, co stanowi najbardziej zasadniczy czynnik tej specjalnej natury ludzkiej, jaką jest natura włoska».

Cezarysta, militarysta, zwolennik dyktatury, imperjalista?

Powiedział on w jednej ze swych mów w Senacie, w tej namiętnej mowie:

«Zarzucają mi, że jeżdżę konno? Jestem młody! Młodość, to boska choroba, z której każdy z nas powoli i codziennie się leczy.»

Pierwsza część mowy, zawierająca deklarację z zakresu polityki zagranicznej, była odczytana wyraźnie i powoli. Lecz dochodząc do tego okresu, w którym bronił się przed zarzutem i brał w obronę swą młodość, która jest w nim nie zjawiskiem chronologicznym, lecz triumfalnym systemem życia i zasadą mądrości politycznej — przed tem zgromadzeniem starych i zasłużonych powag włoskich — roz-



Rok III (1925) — Minister wojny wraz z królem podczas manewrów w Canavese.

począł improwizację gwałtowną, pełną dzikiej radości. Kto przyglądał mu się uważnie, ten zauważył, że przybrał on pozycję szermierza, nie wyzywającą, lecz pełną skupienia i gotowości do skoku, w rytmie prawie nieświadomym, z wyrzuceniem prawej nogi, o jakim Napoleon mówił do Las Cases'a, jako o podświadomym symptomie wewnętrznej podniety.

Kto widzi i słucha wodza faszyzmu zbliżka, ze zdziwieniem przekonywa się o tej jego szczerzej młodości. Można często usłyszeć, kiedy ludzie, wychodząc z audjencji, powiadają: «Przecież on nie jest taki, jakim go malują, nie jest podobny do portretów: jest znacznie młodszy!»

Podczas jakiejś uroczystości publicznej rozbiega się sensacyjna wieść: uśmiechnął się! Wszyscy wybuchają oburzeniem przeciw fotografom: fotografują go zawsze takim najeżonym i odpychającym! «Ja z nim rozmawiałem. Jest bardzo uprzejmy». I każdy lub każda uważają, że ten wyjątek jest zasługą ich własną. Jakaś chłopka z Abruzzów, z gór pomiędzy szczytem Maiella i morzem, rozepchnęła tłum i zatrzymała Mussoliniego ze śmiałością i trwogą jednocześnie: «Dlaczego na podobiznach robią Was takim brzydkim? Zawsze z tem zmarszczeniem!» Amerykanie, z tą rozbujalą wyobraźnią młodych narodów, obdarzyli go epitetem homeryckim: «Zasępio ny syn kowala».

A jednak legenda, która stworzyła jego podobiznę, jest prawdziwą, prawdziwszą od prawdy.

Zna on doskonale ludzi i wie, jakie niebezpieczeństwo tkwi w zbliżeniu się do nich, a zbliżenie to napawa go odrazą. Jego formułka, gdy chodzi o idealne miejsce zebrania, brzmi, jak następuje: «Dystyngowane, wyszukane i ustronne». Idealne towarzystwo powinno się składać z czworga osób najwyższej, o ile jest ktoś więcej, to wydaje mu się, że jest w tłumie. «Nie narzucajcie mi refektarza» — mawia, jeżeli musi zasiąść do stołu z wieloma osobami. W *Popolo d'Italia*, gdy podczas wielkiej okazji godził się, by coś wypić, czynił to



osobno i po innych. Indywidualista nie towarzyski i przeciwnik biesiad, rozwija w sobie ten instynkt, pielęgnuje go i wydoskonala. Ma jako broń na własną obronę, zmarszczenie brwi. Współpracują z tym instynktem stanowisko, wola. Składają się nań i chęć: każda poza jest w gruncie rzeczy ujawnieniem sposobu, w jaki dany człowiek chciałby ukazywać się oczom innych ludzi.

Nikt nie widział go dumnym lub odstręczającym, lecz jednocześnie nikt nie może chwalić się, że jest z nim poufały. Przykład może posłużyć do wyjaśnienia tego faktu. Ileż to razy widziałam, jak ludzie rzucali się nań, całowali i ściskali go. W październiku 1924 roku zdarzyło mu się, że udekorował osobiście kilku starych robotników w jednej z fabryk lombardzkich orderem Gwiazdy Pracy. Protokół wymagał formalnego pocałunku. Wymaganiu protokołu stało się zadość, kiedy objął i pocałował pierwszego ze starych oneśmielonych, formalnie i tak jak podczas gry na scenie. Ale później, przy drugim i trzecim z udekorowanych, rosnąca potrzeba ekspansji uczuciowej opanowała tych ludzi, i obrzęd przemienił się w wybuch uczucia gorący i szczery. Każdy z nich czuł, że znalazł w tym młodym człowieku brata, a może i ojca.

«*Dess me lavi pu la faccia per un mess*» — (teraz nie będę mył sobie twarzy przynajmniej przez miesiąc) powiedział jeden z nich w dialekcie lombardzkim z akcentem zadowolenia i przekonania.

Lecz pomimo, że widziałam go obcałowywanego, a czasem ściskającego, całującego ręce kobiet, głaszczącego w zamysleniu główki dzieci, jednakże w tym kraju łatwego koleżeństwa, jakim są Włochy, nikt nie odważył się na ten zwykły gest, poklepania go po plecach. Nawet wówczas, kiedy był socjalistą, nawet kiedy był dziennikarzem i później posłem — a ciekawa byłaby odpowiedź na tego rodzaju poufałość. Nawet ci, którzy nazywają go po imieniu: *Benito*, wymawiają jego imię inaczej, z podświadomym akcentem usza-



Rok III (1925) — *Mówca*.

nowania w głosie, ze czcią niemal, jak to czynią dawni jego koledzy i brat Arnaldo.

Obcym był wśród ludzi, którzy otaczali go w życiu. Zdaje się, że nad głową tego, który stworzony został, aby rozkazywać i doskonalić się, ciąży wyrok uświęcający i jednocześnie skazujący na pokutę, wyrok biblijny: «Ty, Człowieku, będziesz wyłączony z zespołu innych ludzi».

Istnieją dla tego rodzaju istot zwierchnicy, których należy słuchać, zrównać się z nimi i przewyższyć ich, a jednocześnie istnieje ciągle zwiększająca się ilość podwładnych, nad których honorem trzeba czuwać i nad którymi należy rozciągnąć opiekę. Istnieją współtowarzysze i koledzy, zwolennicy i «wierni». Ten wyraz pochwały, wykwitający na ustach Wodza, ze specjalnym akcentem męskiej stanowczości, jest niemal tytułem honorowym.

A i on umie być wiernym. Nie zmienia się i nie zapomina mimo lat i wydarzeń. Zachowuje wdzięczność nawet za drobne dowody przywiązania. Córka winiarza, który był jego chlebodawcą w Lozannie, dziecko dziewięcioletnie, kiedy wyjechał on jako więzień, dziewczę, gdy powrócił jako minister, otrzymała odeń dowody pamięci. Rozumie i odczuwa wartość i powagę nazwy «kolega», nawet czasem ze zbyt wielkim poświęceniem uznaje konieczność solidarności ze współtowarzyszem broni.

Lecz nie umie być «przyjacielem» w sensie banalnym, jaki się zazwyczaj daje temu słowu, Nie. W tym sensie nie jest on niczym przyjacielem. Nie uznaje nawet braterstwa duchowego. «Gdyby Bóg-Ojciec powiedział mi: — Jestem twoim przyjacielem — zacząłbym z Nim walkę» — woła podrażniony w ciężkich chwilach, kiedy jawi się możliwość jakiegś jeszcze zdrady lub oszukania go. «Gdyby powrócił na świat mój własny ojciec, nie miałbym zaufania nawet do niego!».

Należało zareagować przeciw łatwemu i leniwemu oportunizmowi, który stanowił niebezpieczny nawyk włoski.

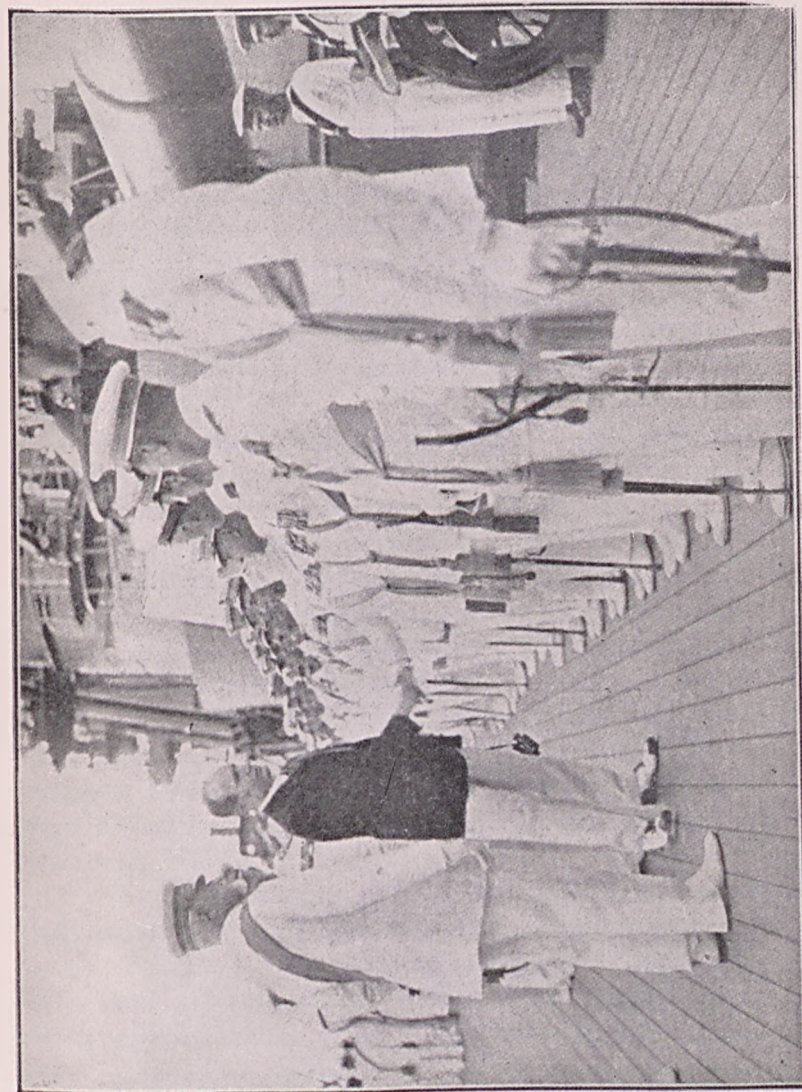
Wyrażał się on typowymi powiedzeniami. «Żywię zaufanie» mawiał, poseł Facta. «Gwiazda Włoch» powtarzano, wierząc, iż gwiazda ta ma automatycznie odrobić niedbalstwa tych, co za nie powinni wziąć odpowiedzialność. «Mastro Raffaello, non te n'incaricà!» (Majstrze Rafaelu, nie troszcz się o to) — temi słowy określano obojętność lazarona, któremu umiera żona i pali się dom. Na ten bezwład należało zareagować wewnętrznie, zwięzając do określonej i coraz mniejszej ilości osób wszelaki impuls uczuciowego zaufania.

«Żadnej serdecznej przyjaźni i jak najmniej uczuć osobistych»: to hasło seminarjów buddyjskich i chrześcijańskich w Port-Royal i wszystkich innych sekt ascetycznych rozciągnął na wszystkie czynności swej istoty. Poza światem tych rzeczy i idei, dla których jest ogniskiem, załatwia się z resztą rzeczy, a zwłaszcza z każdą formą cierpienia osobistego, słowami suchej obojętności:

«Źle, rzeczywiście źle się czuję — ale to nic nie znaczy — niema żadnego znaczenia.» I zajmuje się natychmiast czem innym, opanowując zmęczenie pracą, a gorączkę nadmiarem pracy.

Lecz jest pewien dar, który w ascetach przewyższa obojętność dla jednostki, sprawiając to, że w Stworzycielu odnajdują oni stworzenie, od którego odbiegli. Jest to sympatja — zwykły przeciętny dar wśród przeciętności ludzkiej — a dar wspaniały wśród artystów i mistyków. Nie jest to zbliżenie powierzchowne i codzienne, ale możność wniknięcia jednej istoty ludzkiej w drugą: *tat twam asi* — *ja w tobie* — pradawnej Azji, kiedy na chwilę zanikają przedziały osobiste pomiędzy tobą a mną. Poeta rozdwaja się w zbrodni Makbetha i w przedziwnej czystości Kordelji, a święty Franciszek brata się zasadniczo z tem wszystkim, co stworzone.

Człowiek czynu i władzy — kondjoter — rodzi się opancerzony w swem nieugiętym «ja» na ciężkie zadania, a wola i konieczność zwycięstwa zamykają go w niem coraz



Rok III (1925) — Minister marynarki podczas rewyj sil morskich w Ostji.

szczelniej. Coraz bardziej braknie mu wspólności z ludźmi, tego, co poeta nazywa «mlekiem ludzkiej słodyczy». Biada, jeżeli jednak w tem stwardnieniu straci on kontakt duchowy z ludźmi. Sympatja polega na umiejętności przeniknięcia sobą innych, lecz jednocześnie na zrozumieniu innych w sobie.

«*Curriculum vitae* osób, które mnie otaczają, nie obchodzi mię, i nie znam go, widzę ich raczej przez pryzmat wieczności» — twierdzi Wódz. «Wielkie zdolności» — dodawał, żartując, kiedy był jeszcze w *Popolo d' Italia* — wszyscy moi współpracownicy mają wielkie zdolności, tak, są i głupawi, lecz patent uzdolnienia wolę nadawać bez wyróżnień, w masie, to prostsze — jak pewnego rodzaju podwyżkę drożyznianą».

Jedną z jego cech zagadkowych, które wprawiają w zdumienie często wielbicieli i przeciwników, jest umiejętność poznawania i dobierania sobie ludzi.

Gdyby nie posiadał tej zdolności, nie byłby Wodzem, Naczelnikiem Rządu i Kondotjerem. Poznaje on ludzi ogólnie i ocenia z punktu widzenia praktycznego, sądząc po wartości czynu doraźnego i bezpośredniego, który go narazie obchodzi. Nie posiada czasu, albowiem nie posiada ochoty — raczej nie posiada zaciekawienia — aby poznać ludzi w ich zbiorowisku. Przypuszcza zgóry, że będąc ludźmi, są oni przeciętni i marni, i wie, że różnią się pomiędzy sobą, albowiem nie wierzy w jednolitość i ciągłość rozwoju psychologicznego.

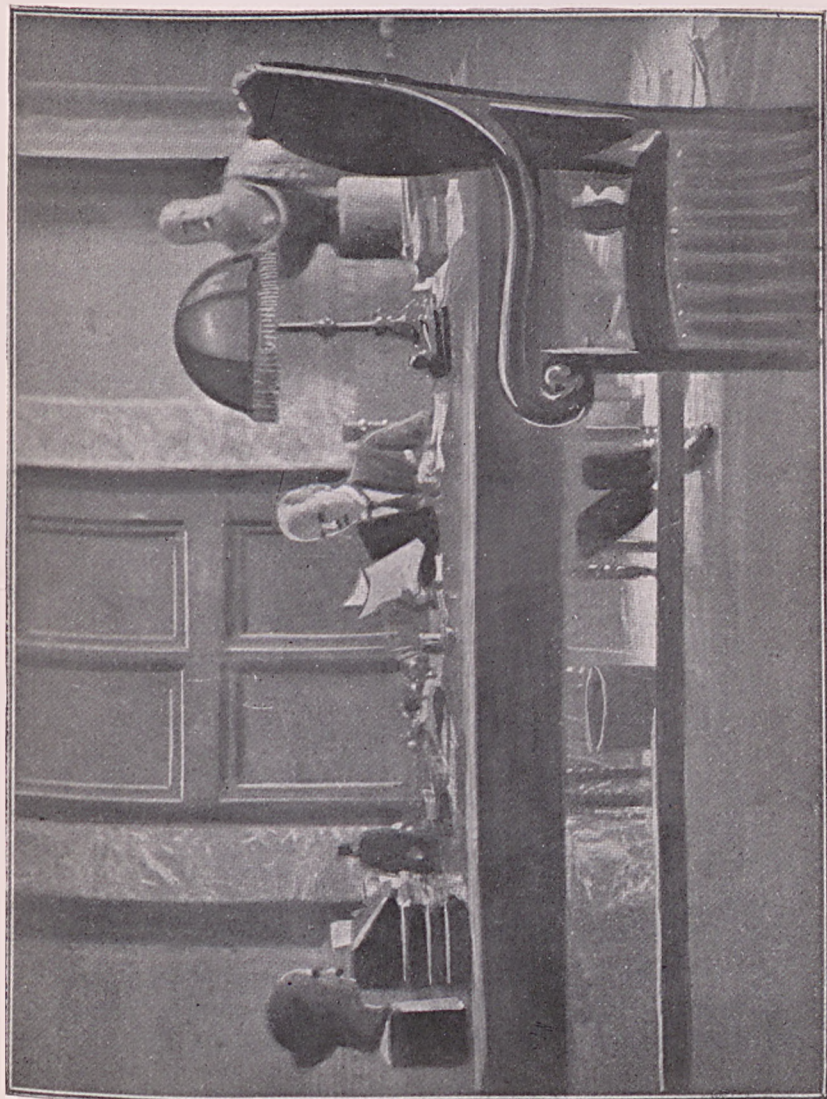
«Trudno jest poznawać ludzi. Nie działają oni prawie nigdy dzięki naturalnej sile charakteru, lecz pod władzą jakiejś tajemniczej i przejściowej namiętności, zagnieżdżonej w najbardziej ukrytych zwojach serca. Należy sądzić ich po czynach danej chwili i jedynie w danym momencie» — napominał Napoleon.

*Curriculum vitae* nie wchodzi więc w zakres pracy, którą mają do spełnienia wielcy mechanicy. Czuwają oni jedynie nad

funkcjonowaniem wielkiej maszyny. Jeżeli dostrzeżę wśród tysięcy kawałków przeciętych coś, co bardziej odpowiada potrzebie mechanizmu, Wódz chwycił to natychmiast. Lecz człowiek jest kółkiem dziwnym o wielu ząbkach nieuchwytnych — i to powinien wiedzieć uczeń Vilfreda Pareto i starej Joanny — a więc nie zadowala się przesyłaniem energii kosmicznej z motoru na walec. Nie wzięte pod uwagę *curriculum vitae* mści się potem wynikami często nieprzyjemnymi. Kółko, przejęte megalomanją, uważa, iż powinno być motorem, i kręci się stosownie do własnego kaprysu, nie stosując się do ruchu, jaki mu nadał mechanik. Podły instrument wyłamuje się z ręki, i trzeba porzucić go z gestem gniewu, aby zastąpić często gorszym jeszcze.

W bilansie swych czynów Mussolini uważa błąd za nieunikniony, ponieważ życie jest ubogie, i nie można oczekiwać nieistniejących, pierwszorzędnych ludzi, a więc należy zadowolić się materiałem, jaki jest pod ręką, wiedząc już z góry, że nie odpowie istotnej potrzebie. To też zdarza mu się, że wpada w ostateczność wręcz przeciwną i nie trafia do celu, mierząc za daleko. Nieufność zasadnicza i ogólnikowa — szatańska pokusa dumy — doprowadza wreszcie do takich samych błędów jak zbyt różowa ufność, pomniejszając różnicę pomiędzy człowiekiem a człowiekiem i wyrównywając przepaście moralne, jakie ich rozdzielają.

Powiedzenie, że Wódz jest daleki od podejrzliwej złośliwości, byłoby jedynie stwierdzeniem prawdy zbyt pospolitej, gdyż jest to łatwo zrozumiałe samo przez się. Tendencja do przystrajania w ciało cieni jest właściwa tylko istotom strachliwym, ta sama więc pogardliwa nieufność zmusza go do wzięcia pod uwagę wartości osoby mówiącej i jej słów złośliwych bez nadania wagi ostatecznej insynuacjom nie stwierdzonym. Nie jest on jednak człowiekiem odrzucającym je z góry, na skutek impulsu bezwzględnej wiary, nawet w stosunku do swych najbliższych.



Rok IV (1926) — Przejście w Salę Związczą w pałacu Chigi.

Wzrusza ramionami: «Eh... zresztą wszystko jest możliwe. Dlaczego nie? Tyle już rzeczy widziałem...»

Wargi krzywią się grymasem. Jest to grymas dziecięcy niemal, spontaniczny i żywy, kiedy naprzykład opowiada o zdradach doznanych, a zwłaszcza o przygodzie z siedmioletnim towarzyszem zabaw. Może dotychczas czuje na wargach smak tej pierwszej krwi.

Z wyjątkiem zdrady i sprzeniewierzenia się wobec uczuć narodowych, nie wydarzyło mi się nigdy jeszcze usłyszeć, aby złorzeczył komukolwiek. Stara się nie dopuszczać do niesprawiedliwości, a jeżeli spostrzeże, że ją popełniono, karze surowo nie z powodu odrazy osobistej, lecz systemem mądrego rządu. Nigdy również nie dostrzegłam, aby gniewał się z powodu nadużycia lub krzywdy na szkodę jednostki, nawet jeżeli sam pada tego ofiarą. Wie bowiem w głębi serca, że niesprawiedliwość w stosunku do jednostki jest prawem, przez które natura osiąga sprawiedliwe nagrody w stosunku do rodzaju. Ideałem społecznym powinno być złagodzenie jej, nie można jednak bezpłodnie dążyć do jej zniesienia.

To uczucie tolerancji i obojętności tkwi głęboko w pogardzie bezwzględnej. Oceniał on ludzi i znalazł, że brak im wielu rzeczy. Stanowi to tragedję wewnętrzną, w której tkwi bolesna dostojność jego przeznaczenia, jako człowieka urodzonego, aby rozkazywać.

Nawet wśród przejawów kultury — szerokiej, gruntownej i głębokiej, jakkolwiek stara się ją ukryć pod powiedzeniami w rodzaju tego — «Jestem nieukiem, wielkim nieukiem», choć jest on jedynym samoukiem, nie pedantem, na jakiego natrafiłam w mem życiu — nawet wśród form artystycznych, ma skłonność do tych, które mają tło polityczne: lubi historję, która jest polityką skondensowaną; architekturę, która jest polityką praktyczną, dostosowaną do celów społecznych; teatr i muzykę dramatyczną, które w chwili trwania dają całkowicie możność ovladnięcia duszą tłumu.

Artystom — a nie ludziom czynu — danem jest wiedzieć, o ileż wyższym jest stary śpiewak Femios, ślepiec samotny, siedzący na szarym końcu biesiadnego stołu, od boskiego Odyseusza, siedzącego na honorowym miejscu. Szpada króla-bohatera jest mitem niepewnym, natomiast prawda Femiosa-Homera przenika tysiące lat w sposób, jaki jedynie jest trwały. Ta strona sztuki, przeniknięcie w sfery świata wyższego nad ten, w jakim konjunktura polityczna panuje; ta strona władcza, monarsza, ukazująca rzeczy niepoznawalne i obejmująca władzę nad wiecznością, jest kontaktem religijnym i bezpośrednim człowieka z Bogiem. Ale stanowi ona białą kartę dla człowieka czynu, który myśli o niej z uśmiechem przychylniej ironji.

Może to jest właśnie jego obowiązkiem.

Jedynym łącznikiem tego zamkniętego w sobie jeststwa z innymi, jedynym sposobem, jaki mu pozostaje, aby mógł przeniknąć znaczenie azjatyckiego pojęcia identyczności, jest miłość do istot, których nie uważa się za równe sobie, lecz za swe stworzenia: do niewiasty i dzieci. Jakkolwiek Mussolini przyznał kobietom wspaniałomyślnie prawo przy wyborach komunalnych, w jego oczach niewiasta — ku zadowoleniu egoizmu męskiego — powinna być istotą piękną, przeznaczoną do podobania się. «Jest to pierwsze i najistotniejsze prawo tych przedziwnych istot, dla których jedynie warto żyć na świecie. Jeżeli zaś kobieta nie podoba się, staje się melancholijną i słusznie nerwową» — oświadczył, wzbudzając gniew, w rozmowie z Lady M., feministką angielską.

«Mając tego rodzaju ideje, nie miałby Pan szczęścia w Anglii».

«Nie pojedę też do Anglii. A zresztą nie przypuszczam, aby nawet w Anglii wszystkie kobiety były kwakierkami politykującymi. Biada, biada, jeżeli na świecie my mężczyźni będziemy pozbawieni wypoczynku przy duszach niewieścich!»



Rok IV (1926) — Naczelnik państwa.

W dzieciach szanuje i czi potęgę wątłą i wzruszającą, potęgę niewiadomego jutra. Podczas wojny, pamiętam, że ktoś zwracał uwagę kapralowi Mussoliniemu, aby nie narażał się zbyt ze względu «na swe dzieci». Odpowiedział na to z szorstką szczerością:

«Cóż to znaczy? Właśnie dlatego, że mam dzieci, mogę umrzeć. Ta myśl właśnie daje mi największy spokój: mam następców!»

Nie jest to strachliwa miłość, w jaką się często stroi instynkt samozachowawczy; kto jest pełnym życia i siły, ten nie obawia się śmierci. Czuje on w głębi samego siebie, że nie może zginąć bez śladu.

Słyszałam, jak myśląc o śmierci, wspominał z żalem o słońcu, o ziemi i o niebie, nigdy zaś o ludziach i o rzeczach.

«Gdy walczę, wierzę w swoje siły, jedynie w swoje siły. Jestem indywidualistą, który nie szuka towarzyszków. Znajduje ich, lecz nie szuka. Żywię pogardę dla strachu odosobnienia, dla zamykania do życia w stadzie.»

Aby miłować bliźniego, aby czuć litość dlań, należy poglądać na niego z wyrozumiałością i, do pewnego stopnia, zabawiać się nim, jako wieczystą karykaturą Boga; albo ludzić się i zgodzić się na jego niedoskonałość.

Lecz jakżeż mógłby on kochać ludzi? Widzi ich takimi, jakimi są, z bezlitosną bystrością. A że rządzi nimi, rości sobie prawo do poprawienia ich i utworzył sobie z Włoch, abstrakcyjnie, ideję tak wielką i wspaniałą, że my, biedni Włosi żyjący, nie możemy jej nie obrazić. Prorocy Izraela musieli gromić swych współbraci z wybranego narodu.

Trzy są charakterystyczne rysy jego osobowości moralnej: ambicja, która go podtrzymuje i pożera; poczucie wielkości, które jest dlań miarą i istotą życia; pogarda, która jest cieniem tego życia.

Nic z tego, co nędzne, nie czepia się go. W życiu nie targuje się o cenę, jaką za każdą rzecz należy zapłacić,



zdobywa i płaci. Osiąga rzeczy wielkie, rzeczy poważne i na nie jedynie zwraca swą uwagę, nacechowaną ambicją sławy — tego krańcowego złudzenia dusz nieśmiertelnych — żądzą wyrzeźbienia siebie samego w sławie, która uszlachetnia dzikusa z jaskiń przedpotopowych. Czasem uśmiecha się z ironją.

«Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za trzydzieści lat będę miał może jakiś pomnik, pod którym zbierać się będą nianki i służące w jakimś ogrodzie. — Tam za pomnikiem Mussoliniego o ósmej — będą mówili zakochani. Co za szczęście!»

Pauza i cisza.

«A cóż takiego zrobiłem, zresztą, dotychczas? Nic. Jestem obecnie skromnym dziennikarzem i ministrem, jak wielu innych — powiada z niezadowoleniem. — Trzeba nauczyć porządku ten naród. Dopiero wówczas spełnię me zadanie. Dopiero wówczas będę się czuł — kimś».

Znowu pauza i znowu cisza. Oblicze kurczy się nagle jakimś kurczem ledwo dostrzegalnym.

«A jednak, tak! — mówi ten typowy człowiek czynu, stając się poważnym. — Tak! — powiada Wódz, a oczy rozbliskują jakimś ogniem wewnętrznym, powstrzymywanym zaledwo wysiłkiem woli. — Tak! Jestem opętany przez to pożądanie. Pali się ono we mnie, pożera mnie i wyczerpuje, jak choroba fizyczna. Wyryć mą wołą, wyryć znak na epoce, jak lew swym pazurem: ot tak!».

I ręce zaznaczają gest szybki i prosty.

KONIEC

## SPIS RZECZY

|  |     |
|--|-----|
| Przedmowa . . . . .                          | 5   |
| I. Tragedja bez bohatera . . . . .           | 7   |
| II. Klub wiejski . . . . .                   | 9   |
| III. Niepokojny płomień . . . . .            | 13  |
| IV. Pierwsze ekspedycje karne . . . . .      | 20  |
| V. Apologja zygzaku . . . . .                | 24  |
| VI. Wpływy otoczenia i typy . . . . .        | 27  |
| VII. Znani i nieznanzi przyjaciele . . . . . | 33  |
| VIII. Roma dea — alma Roma mater . . . . .   | 42  |
| IX. Podnoszenie się duchowe . . . . .        | 47  |
| X. Pierwsze kroki . . . . .                  | 52  |
| XI. Głodówka . . . . .                       | 57  |
| XII. Nauka w jedenastu rozdziałach . . . . . | 65  |
| XIII. Inne nauki . . . . .                   | 70  |
| XIV. Dookoła samowaru . . . . .              | 74  |
| XV. Niektóre spotkania . . . . .             | 80  |
| XVI. Smutna Wielkanoc . . . . .              | 84  |
| XVII. Czerwony rekrut . . . . .              | 89  |
| XVIII. O Machiavelli'm i o winie . . . . .   | 95  |
| XIX. Burze młodości . . . . .                | 99  |
| XX. Szkic o Fryderyku Nietzschem . . . . .   | 105 |
| XXI. Trydent Cezarego Battisti . . . . .     | 112 |
| XXII. Międzynarodowość i naród . . . . .     | 120 |
| XXIII. Walka klas . . . . .                  | 130 |
| XXIV. Procesy i walki . . . . .              | 137 |
| XXV. Nowy redaktor «Avanti!» . . . . .       | 146 |
| XXVI. Preludjum do tragedji . . . . .        | 153 |
| XXVII. Manc, Tekel, Fares . . . . .          | 161 |
| XXVIII. Przełom duchowy . . . . .            | 169 |
| XXIX. Człowiek samotny . . . . .             | 174 |
| XXX. Dni majowe . . . . .                    | 178 |

## SARFATTI

## DUX

|   |     |
|---|-----|
| XXXI. W szarozielonym mundurze . . . . .      | 185 |
| XXXII. Pielgrzymki . . . . .                  | 194 |
| XXXIII. Okopy moralne . . . . .               | 202 |
| XXXIV. Zwycięstwo i po zwycięstwie . . . . .  | 210 |
| XXXV. Redakcja Popolo d'Italia . . . . .      | 219 |
| XXXVI. Elegja zanikłego nieporządku . . . . . | 227 |
| XXXVII. Il Fascio . . . . .                   | 232 |
| XXXVIII. Fiume (Rjeka) . . . . .              | 237 |
| XXXIX. Fakty i przywidzenia . . . . .         | 245 |
| XL. Czerwony sztandar . . . . .               | 252 |
| XLI. Giovinezza . . . . .                     | 262 |
| XLII. Hierarchje . . . . .                    | 273 |
| XLIII. Głosy Rzymu . . . . .                  | 279 |
| XLIV. Wróżby i napomnienia . . . . .          | 286 |
| XLV. Na barykadach . . . . .                  | 294 |
| XLVI. Dojście do celu . . . . .               | 304 |
| XLVII. Odrodzenie władzy . . . . .            | 311 |
| XLVIII. Osobistość Mussoliniego . . . . .     | 324 |



60  
867182/457

